



Bestsellerowy cykl  
*Śmierć frajerom*  
w kolejnej odświeżeniu.

# ŚMIERĆ FRAJEROM

NA BECZCE PROCHU

GRZEGORZ  
KALINOWSKI

GRZEGORZ  
KALINOWSKI

ŚMIERĆ  
FRAJEROM

NA BECZCE PROCHU



Redaktor prowadzący  
*Paweł Wielopolski*

Redakcja i korekta  
*Magdalena Świerczek-Gryboś*

Projekt graficzny okładki  
*Mariusz Banachowicz*

Zdjęcia wykorzystane na okładce  
©Everett Collection/Shutterstock

Skład i łamanie  
*Marcin Labus*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023  
© Copyright by Grzegorz Kalinowski, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-67343-54-1



**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa  
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.  
ul. Borowskiego 2 lok. 24  
03-475 Warszawa  
tel. 22 416 2519

[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)  
[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

PROLOG

CZĘŚĆ I: Batory

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

CZĘŚĆ II: Europa, Europa

ROZDZIAŁ X

ROZDZIAŁ XI

ROZDZIAŁ XII

ROZDZIAŁ XIII

ROZDZIAŁ XIV

ROZDZIAŁ XV

ROZDZIAŁ XVI

ROZDZIAŁ XVII

ROZDZIAŁ XVIII

CZĘŚĆ III: Moskiewskie Kuranty

ROZDZIAŁ XIX

ROZDZIAŁ XX

ROZDZIAŁ XXI

ROZDZIAŁ XXII

ROZDZIAŁ XXIII

ROZDZIAŁ XXIV

ROZDZIAŁ XXV

ROZDZIAŁ XXVI

ROZDZIAŁ XXVII

ROZDZIAŁ XXVIII

CZĘŚĆ IV: Korrida

ROZDZIAŁ XXIX

ROZDZIAŁ XXX

ROZDZIAŁ XXXI

ROZDZIAŁ XXXII

ROZDZIAŁ XXXIII

ROZDZIAŁ XXXIV

ROZDZIAŁ XXXV

ROZDZIAŁ XXXVI

ROZDZIAŁ XXXVII

ROZDZIAŁ XXXVIII

ROZDZIAŁ XXXIX

EPILOG

PODZIĘKOWANIA I WYJAŚNIENIA

Mojemu Przyjacielowi Bogusioowi Łobaczowi  
oraz darczyńcom WOŚP 2023  
Grzegorzowi Królowi i Marioli Sosze

Życie jest za piękne, aby żyć normalnie.

Maria Czubaszek

*Jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie*

Tomasz Lipiński

## PROLOG

### **W którym sargento primero Carlos Ruiz Reverte jest świadkiem, jak patronka Guardia Civil Nuestra Señora del Pilar ratuje życie nierozważnego przechodnia**

Sargento primero Carlos Ruiz Reverte skończył już służbę, lecz cały czas był czujny i odpowiedzialny. Nauczył się tego w starej Guardia Civil, to wyróżniało go między tymi wszystkimi amatorami, uzbrojoną cywilbandą, która włóczyła się z karabinami i pistoletami po mieście. Byli niechlujni, ubrani w byle co, biła od nich nonszalancja. Brakowało im nie tylko wyszkolenia i dyscypliny, ale przede wszystkim wojskowego sznytu, który zapewniają wypastowane buty, dobrze dopasowany ściśnięty pasem mundur, czysty i odprasowany, i będące zwieńczeniem całości służbowe nakrycie głowy. W jego przypadku – charakterystyczny, trójgraniasty kapelusz.

Kapelusz gwardii był czymś równie magicznym, co nakrycie głowy torreadora. Dzięki odpowiedniej prezencji mistrzowie z aren i funkcjonariusze Guardia Civil mieli w sobie coś niezwykłego, niemal nadludzkiego, co dodawało im siły i wzrostu. W przypadku starszego sierżanta Reverte dodatkowe centymetry były bardzo pożądane z powodu nikczemnego wzrostu, ale po włożeniu służbowego kapelusza czuł, że patrzy na wszystkich z góry.

Nowych zapalczywców, którzy zasilili republikańskie szereg, nie oszczędzali marokańscy regulares i legia cudzoziemska, przez co Madryt od początku wojny był frontowym miastem. Dlatego tacy jak on, ludzie doświadczeni i zdyscyplinowani, musieli zachować szczególną czujność, bo wróg atakował miasto czterema kolumnami, a piąta, od środka, uprawiała dywersję na szeroką skalę. Gdy więc rozbrzmiała syrena karetki pogotowia, której wycie niesło się po wąskich uliczkach przedmieść stolicy Hiszpanii, Reverte nadstawił ucha. Co prawda nie zajmował się ruchem drogowym, ale jako dobry podoficer był gotów pomóc załodze pojazdu ratunkowego szybko i bezpiecznie przejechać przez skrzyżowanie.

Sygnal karetki zbliżał się wyjątkowo szybko, co zdziwiło sargento primero, bo wiedział, że powszechna opinia o tym, iż sanitarki pędzą jak szalone, nie pokrywa się z rzeczywistością. Karetka pogotowia szybko pokonuje duże odległości, bo inni kierowcy, furmani, fiakrzy i motorniczowie ustępują jej pierwszeństwa.

Wyciu syreny coraz częściej towarzyszyło naciskanie klaksonu, jakby kierowca nie dowierzał sile przepisowego sygnału ostrzegawczego. Do tego dochodził jeszcze niezwykajny ryk silnika i pisk opon. Można się było domyślać, że sanitarka nie tylko jedzie z nadzwyczajną prędkością, ale i pokonuje zakręty z taką brawurą, jakby to nie były ulice Madrytu, tylko Monako, i pędziła nimi nie furgonetka, ale wyścigowe auto prowadzone przez włoskiego mistrza Luigi Fagiolego. I rzeczywiście, przecznicę dalej zza zakrętu wyskoczyło białe auto z budą, które nie jechało w zwyczajny sposób, a ślizgało się bokiem, kierowca szybko jednak wyrównał tor jazdy; zrobił to nie tylko prostując koła, ale i naduszając pedał gazu z taką siłą, że silnik zawył tak, jakby za chwilę miały puścić wszystkie zawory.

Starszy sierżant Carlos Ruiz Reverte wszedł już na środek skrzyżowania, które było jego areną. Stał elegancko jak matador, obciągnął mundur, zakręcił wąsa i przystąpił do działania. Do ostrzegawczych dźwięków wydawanych przez karetkę dołączył służbowy gwizdek.

– Na chodnik, na chodnik!

Reverte wstrzymał pojazdy i wygonił przechodniów na chodnik, więc karetka mogła przemknąć bezpiecznie przez skrzyżowanie. Nagle jednak od brzegu chodnika oderwała się przygarbiona postać męż-



czynny, zanurzona w lekturze „El Heraldo de Madrid”. Szpalta gazety odcinała go od świata, jak zahipnotyzowany wszedł na jezdnię zza straganu – kierowca zauważył go w ostatniej chwili, i choć wydawało się to daremne, dał po heblach.

– O Matko Boska na kolumnie! – zawałał starszy sierżant Reverte, patrząc, jak auto z piskiem opon nieuchronnie zmierza w kierunku przechodnia.

Jakiś trzy metry przed żywą, ludzką przeszkodą kierowca puścił hamulce i skrzył kierownicą, o centymetry mijając człowieka z gazetą.

Potem szarpnął kierownicą jeszcze raz, ale tym razem cudów nie było, błotnik zawadził o stragan i zmarszczył się jak słoniowa trąba. To i tak była najniższa cena za uniknięcie prawdziwego nieszczęścia.

– O Matko Boska na kolumnie! – powtórzył, tym razem szeptem, starszy sierżant Reverte, choć Nuestra Señora del Pilar nie była już patronką Guardia Civil, bo ta została rozwiązana. Teraz służył w Guardia Nacional Republicana, w której nie było już miejsca dla kapelanów, mszy i patronki. Najświętszej Paniienki z kolumny. Mimo wszystko Matka Boska z Saragossy wysłuchiwała go, bo nie doszło do katastrofy, i ledwie powstrzymał się od tego, by się przeżegnać. Szpalta „El Heraldo de Madrid” złożyła się tak, jak zamykają się okiennice. Zza gazety wyjrzała błada jak ściana twarz mężczyzny w meloniku.

Karetka na wstecznym biegu powróciła na oś jezdni, ale przechodzień nadal tkwił na środku ulicy. Po ułamku sekundy z okna pojazdu wychylił się potężny szofer, a jego krągła, ozdobiona wielkimi wąsami twarz wykrzywiła się w grymasie wyrażającym skrajne oburzenie.

– Dalej, jazda mnie stąd, wypierdziocha, i to w podskokach, matador szarpany, trąba jerychońska!

Nikt na ulicy nie rozumiał, co wrzeszczał kierowca, choć jego głos był donośny jak okrętowa syrena. Szofer nie był Hiszpanem ani także Baskiem czy Katalończykiem. Na pewno to cudzoziemiec, pewnie jeden z tych, którzy służą w Brigadas Internacionales, być może Rosjanin.

– Rusz dupę, lebiego! – Kierowca zachęcił do zejścia z jezdni przechodnia z gazetą.

Dopiero teraz sargento primero zdał sobie sprawę, że senior extranjero, choć siedział za kierownicą karetki, to wcale nie wyglądał na jej szofera. Gdyby służył w Brygadach Międzynarodowych, to by miał na sobie mundur, a gdyby pracował w pogotowiu, to biały kitel.

– Głuchy jesteś, baranie?! – Kierowca nie ustawał w próbie wpłynięcia na przechodnia, który zastępnym słup soli i nie wiedział, czy wrócić tam, skąd przyszedł, czy jednak przejść na drugą stronę.

– O żeż kurwa jego, w te i nazad! – Wąsaty kierowca poparł swój okrzyk dźwiękiem klaksonu.

Policjant znał to słowo – „kurwa”, ale w nie hiszpańskim tego słowa znaczeniu, bo *extranjeros*, którzy go używali, najrzadziej mieli na myśli zakręt, a znacznie częściej określali tym mianem kobiety upadłe, wyrażali też mnóstwo uczuć, od zachwyty po zdenerwowanie.

Tymczasem przechodzień ruszył się w końcu i z jakąś pretensją w oczach, poprawiając melonik, postanowił dokończyć marsz na drugą stronę ulicy. Tym razem rozpostarł gazetę dopiero wtedy, kiedy jego stopa sięgnęła bezpiecznego krawężnika.

Starszy sierżant Carlos Ruiz Reverte ruszył w kierunku karetki, ale ta z piskiem opon, rykiem silnika i terkotem naderwanego błotnika ruszyła przed siebie. Funkcjonariusz miał już sięgnąć po kajeć, by zapisać numery ambulansu, bo kierowca wydał mu się cokolwiek podejrzany, ale w tym momencie do gwaru ulicy i wycia syreny sanitarki dołączył nowy, niepokojący odgłos, który od paru miesięcy prześladował wszystkich madrytczyków. Na dźwięk dochodzącego z nieba basowego dudnienia lotniczych silników ulica zaczęła pustoszeć, nikt nie miał pewności, czy będzie to atak na frontowe republikańskie pozycje, czy kolejna próba sterroryzowania miasta przez niemieckich, włoskich i nacjonalistycznych lotników.

Ta chwila zdecydowała – uciekający w popłochu przechodnie zasłonili auto, a kilka chwil później doszło do pierwszych wybuchów.

# CZĘŚĆ I: BATORY

*Wody z takich statków nie widać za wiele  
i najłatwiej byłoby mi pisać do rubryki „moda i salon”.*

Melchior Wańkiewicz, fragment relacji  
dla miesięcznika „Morze”

## ROZDZIAŁ I

**W którym okazuje się, że ani muzyka, ani bilard nie łagodzą obyczajów, pułkownik Nowicki udowadnia, że wysyłając go na emeryturę, dopuszczono się grzechu ciężkiego, a hotel Victoria przeżywa najwspanialszy wieczór od czasu, gdy grał tu Artur Rubinstein**

### Warszawa, 18 kwietnia 1936

Pamiętam to jak dziś, był sierpniowy wieczór, po upalnym dniu przyszedł od gór chłodny wiatr. Na ulicy, a raczej na wiejskim trakcie, jakim były zakopiańskie Krupówki, para leciała z ust, ale ci, którzy opuścili lokal Morskie Oko, nie wyszli z rozgrzanego wnętrza knajpy po to, by się ostudzić, ale po to, żeby jeszcze mocniej się rozgrzać. Za rozgrzanie wcale licznej publiczności i dostarczenie jej niezapomnianych emocji miał być odpowiedzialny Heniek Wcisło. Czyli ja, bo tak się jeszcze wtedy nazywałem.

Zacząłem od numeru à la Houdini. Rozejrzałem się po zebranych, wyjąłem z kieszeni przedmiot i pokazałem go, trzymając w dwóch palcach. Gdyby to była prawdziwa scena, to miałbym na głowie cylinder, a prezentacji dokonałaby rzadkiej urody asystentka. Obyło się bez rekwizytów i pięknej panny, a publika i tak była zadowolona, może z wyjątkiem trzech rosłych, przyciężkawych mężczyzn lypiących na mnie spođe łba. Jeszcze o tym nie wiedzieli, ale to właśnie oni stanowili tą część widowni, która w trakcie pokazu miała wraz z magikiem dostarczyć niezapomnianych wrażeń. Taki był plan, o którym bracia Izdebscy, bo tak się owi panowie nazywali, jeszcze nie wiedzieli.

Publiczności zaprezentowałem dwuzłotówkę, nazywaną żniwiareczką, bo moneta przedstawiała profil kobiety i kłosy zbóż.

Raz jeszcze spojrzałem na zebranych, wszystko gotowe, więc wyrzuciłem pieniąż w górę; leciał, obracając się, jakby nigdy nie miał spaść na ziemię. To był dobry rzut, perfekcyjny, prima sort! Doskonale odwracał uwagę i stanowił wprowadzenie do właściwego występu, w tym przypadku gong do małej draki, której początek miał miejsce w knajpie Morskie Oko.

To dość komiczne zdarzenie zaczęło się od niemiłego zajścia przy barze. Trzech wspomnianych mężczyzn, czyli bracia Izdebscy, dziane chomąta pod gazem, zaczęły w Morskim Oku mojego przyjaciela, pana Murakamiego. Widocznie słyszeli, że parę dni wcześniej dzięki japońskim technikom walki w efektowny sposób stawił opór miejscowym, więc postanowili się z nim spróbować. Każdy z tych trzech cwoków był roślejszy od Murakamiego, więc mieli pewność, że zdobędą mołojeczką sławę, spuszczając mu porządny oklep. Zakładali, że nawet jak go nie sprowokują do bójkii i nie spuszczą manta, to przynajmniej bezkarnie mu podokuczają.

– Ciekaw jestem, czy ta żółta małpa jest faktycznie taka mocna – zagadywali tak, żeby pan Murakami wyraźnie ich słyszał.

– Eee, to konus, więc objemy go jak fornala.

Śmiechom i radosnym porykiwaniom nie było końca, a wypowiedane uwagi zostały wzmocnione poszturchiwaniami i poklepywaniem mojego japońskiego przyjaciela, jakby ten był jakąś maskotką.

On to wytrzymał, bo był japońskim oficerem, co innego ja, ledwie kapral rezerwy, który mimo eleganckiego, turystycznego wdzianka wciąż pozostawał chłopakiem z Woli. Okazji do bójkę było aż za wiele: w wojsku, na pochodach pierwszomajowych, w Chicago i dwóch klubach bokserskich. Uznałem więc, że sprawy zaszyły za daleko i czas tym pajacom udzielić poważnej lekcji życiowej. Zaproponowa-

łem im wyjście z lokalu w celu pokazania sztuczki. Niby zdawali sobie sprawę, po co wychodzą, podobnie jak i killkunastu zaciekawionych gości Morskiego Oka, bo wiadomo, że nie tak nie podnieca face-tów, jak obnażające się kobiety i bijące się mężczyźni. Na kilometr pachniała bitką, ale słowa, że po-każę, jak polska złotówka nabierze magicznej siły i zostanie najmocniejszą walutą świata, zahipnotyzo-wały wszystkich, nawet Izdebskich. I tak jak w dobrym pokazie iluzjonisty przegapili to, co najważniej-sze, wpatrywali się w szybującą monetę jak sroki w gnat i kiedy osiągnęła swój najwyższy pułap, stało się!

Ten stojący najbliżej mnie poczuł tępy ból w dołku i zamiast dalej śledzić lot żniwiareczki, łapał po-wietrze niczym karp i nie widział, jak kolejny z braci zebrał w pysk, tak że z kichawy poleciała jucha. Trzeciego Izdebskiego potraktowałem z obcasa w duży palec u nogi. Kiedy moneta spotkała się z na-wierzchnią Krupówek, bracia byli już po pierwszym trafieniu, takim zapoznawczym, nie nokautują-cym, żeby nikt mi nie zarzucił cwaniactwa. To miała być wyrównana walka, a że było ich trzech, pomo-głem sobie trikiem z monetą, żeby później stłuc ich po kolei, bo ze wszystkimi naraz mógłbym sobie nie dać rady.

Rozpoczęła się druga runda błyskawicznego starcia. Najpierw silnie pchnąłem tego, któremu roz-deptałem palec. Wprawienie go w ruch nie było trudne, bo gamoń podskakiwał na jednej nodze, poza tym był zawiany, więc poleciał w tył i wywinął efektownego orła. Ten, co dostał na dzień dobry w splot słoneczny, rzucił się na mnie zupełnie na oślep, więc zrobiłem unik jak torreador i dałem mu kopa w łydke. Wieprz nie tylko ładnie fiknął, ale upadł na swojego brata. Przypadkiem to wyszło, ale publika była pewna, że tak to zaplanowałem. Szmerek entuzjazmu i rozległy się oklaski, które przyjąłem.

Ten, co dostał w pysk, rzucił się z wrzaskiem, machając łapami, jakby chciał się wydostać z rzecz-nego wiru. Tacy przeciwnicy – surowi, wkurwieni i przekonani o swojej wyższości – to wdzięczny ma-teriał do sprawienia oklepu, zwłaszcza dla kogoś, kto wie, co i jak. A ja wiedziałem, choć było to jeszcze przed chicagowskimi lekcjami u Irlandczyka Shauna McQueena, ale już po treningach z Izraelem Faj-nem w salce Maccabi oraz sparingach z Adasiem Goldfarbem. To wystarczyło, by z pełnym spokojem robić swoje.

Przed pierwszym cepem wykonałem unik, drugi sparowałem i wyprowadziłem prawy prosty. Lekki, punktujący, bo nos przeciwnika i tak już krwawił. Rozległo się przeraźliwe wycie, znaczy się, ten pierw-szy musiał mu naruszyć chrząstkę. Przeciwnik stał i trzymał się za nos, próbując tamować krwotok, a jego dwóch braci zbierało się z ziemi.

Teraz powinna nastąpić trzecia runda, ale tych trzech wieprzy sprawiło mi zawód: mieli dość i nie chcieli się bić. Bracia byli słabsi, niż przypuszczałem, a ich zawziętość kończyła się tam, gdzie zaczy-nały się porażka i ból. To były podłe typy przyzwyczajone do bicia, ale nie do walki. Znałem takich gnoj-ków, którzy wykorzystywali swą pozycję i bezkarnie bili innych, nie potrafiąc ustać w uczciwej wymia-nie ciosów.

– Ubolewam – powiedziałem, otrzepując dłonie – ale panów ojciec zaniedbał edukację pod każdym względem. Nie dość, że jesteście kanalie i chamy, to na dodatek nie potraficie się bić – skwitowałem nierówną walkę.

Następnie kierownikowi tej grupy obszarpańców, bo nowobogacką elegancję zatarł brud i kurz Kru-pówek, kazałem zawiązać się na kwaterę, wcisnąłem do kieszeni piąta, wskazałem fiakra, który czekał na klientów, i wyjaśniłem:

– Gapa ze mnie, sztuczka nie wyszła, więc przegrałem do panów pięć złotych.

Te słowa widownia skwitowała życzliwym śmiechem, bito mi brawo, gratulowano lekcji kultury, któ-rej bez zbędnej brutalności udzieliłem pętałom. W barze podszedł do mnie oficer, przedstawił się jako rotmistrz Bieliński, postawił na moją cześć kolejkę.

Wczoraj znów go spotkałem, więc mimo że trafiłem na dość nadętą imprezę, to było byczo! Rot-mistrz Bieliński zdążył awansować przez te parę lat od Zakopanego na pułkownika. Był też pułkownik kawalerii Aleksander Nowicki, człowiek, z którym się kiedyś o mało nie pozabijaliśmy. Formalnie od-

szedł z wojska, ale wiedziałem, że nie do końca, bo choć mieszkał w Paryżu i prowadził tam interesy, to pracował równocześnie dla wywiadu i działał w ruchu prometejskim. Wiedziałem o tym na bank, bo wciągnął mnie kiedyś w swoją robotę.

Ten cały prometeizm miał jednoczyć przeciwko Sowietom narody dawnego Imperium Rosyjskiego, więc Nowicki, jako były carski oficer, doskonale się do tego nadawał. Lubilem tego starszego o ponad dziesięć lat zakapiora, więc ochoczko pogoniliśmy do restauracji w hotelu Victoria. Mieli do nas dobić Poldek Walewski i pułkownik Bieliński.

Po drodze Nowicki z wielkim podnieceniem opowiadał mi, co go sprowadziło z Paryża do Warszawy. Było to spotkanie prometejskie zorganizowane pod przykrywką Zjazdu Językoznawców Narodów Ujarzmionych ZSRR. Doszliśmy na plac Dąbrowskiego i wpasowaliśmy się do hotelowej restauracji. Ze środka rozległ się gromki śpiew, któremu towarzyszyło głośne wybijanie rytmu.

*Nie chcemy już od was uznania,  
Ni waszych słów, ni waszych łez,  
Skończyły się dni kołatania,  
Do waszych serc – jebał was pies!*

Pierwsza brygada, zatem oficerska kompania. Nowicki musiał odejść z armii, bo nie był piłsudczykiem i w maju dwudziestego szóstego stanął za prezydentem, ale mundur to mundur. Delikatnie przechnął kierownika sali i zajął do środka.

– Dobra nasza, otwarte, a oni wyglądają na cokolwiek zmęczonych, więc będą kończyć. O, nawet kobieta z nimi jest, wygląda, jakby ich pilnowała, pewnie żona albo kochanka jednego z nich – zaraportował.

I ja zerknąłem, faktycznie, oficerowie i jakaś babka, zatem otwarte, ale... Wciąż śpiewano. A to nie był dobry znak, bo jeśli, jak mówią, „muzyka łagodzi obyczaje”, to akurat Pierwsza Brygada do tego przysłowia nie pasowała. Panowie oficerowie i politycy, wykonując hymn piłsudczyków, stawali się buńczuczni, tacy, do których „bez kija nie podchodź”. Szczególnie jeśli oficerska kompania takowe dzierżyła w dłoniach. Za salą restauracyjną znajdował się oddzielony kotarą pokój bilardowy, widocznie przerwali partyjkę, a może po prostu wzięli kije, żeby wybijać sobie rytm. Pewnie zaraz przejdą do żelaznego repertuaru z legionowego śpiewnika i zaryczą pieśń: „Lance do boju, szable w dłoń, bolszewika goń, goń, goń!”. Kije bilardowe będą lancami, a oni przeniosą się na front wojny 1920. W wyobraźni się przeniosą, a nie we wspomnieniach, gdyż w przeciwieństwie do mnie i Nowickiego bolszewików widzieli tylko na malowankach w podręcznikach; najstarszy z nich, kapitan, mógł mieć góra trzydzieści lat.

Pokręciłem głową, bo wydawało mi się, że nie będziemy mile widziani, a nie miałem nastroju do awantur. Victoria nie była jedynym lokalem w okolicy, poza tym mieszkałem niedaleko, mógłbym tam podjąć przyjaciół. Miałem już to zaproponować, ale Nowicki uparł się na Victorię.

– Jak coś nie będzie pasowało, to im wydam rozkaz, w końcu jestem pułkownikiem. – Zaśmiał się. – W stanie spoczynku, ale pułkownikiem, a jakbym nie odszedł dziesięć lat temu z wojska, to byłbym teraz generałem!

– A jakby car nie upadł, to może nawet byś był gienierał-fieldmarszałam! – dodałem, bo tak mogło być, w końcu Nowicki, mimo polskiego pochodzenia, był ruskim wojskowym w trzecim pokoleniu i gdyby się nie zakochał w polskiej patriotce, to pewnie pozostałby wierny carowi.

Wparowaliśmy do środka mimo protestów kelnera, którego usadziłem słowami: „Jak zamknięte, to szoruj pan do domu!”. Tamci czterej oficerowie, którzy okupowali salę, przyjrzeni nam się niezbyt przychylnym wzrokiem, ale nic sobie z tego nie robiliśmy, bo my też wojskowi, choć w spoczynku i rezerwie, odznaczeni weterani, poza tym miał do nas dobić jeszcze pułkownik Bieliński, który wbił się tego wieczoru w wyjściowy mundur.

Aleksander Nowicki nie zaprzął sobie głowy utarczkami z personelem, widząc, że właśnie niosą do oficerskiego stolika kolejną butelkę. Rozsiadł się przy stoliku i machnął na kelnera ręką. Kuchnia była zamknięta, ale spod szkla bufetu zalotnie spoglądały na nas smakowite, zimne zakąski.

Zamiast „pana starszego”, który odebrałby od nas zamówienie, pojawił się oficer trzymający w ręku kij bilardowy. Nie było to jednak zaproszenie na partyjkę gry w kulki, którą można odbyć w sąsiedniej sali.

– Zamknięte! Nie słyszysz pan, co mówił kelner? – burknął zupełnie nieoficerskim tonem.

– A ja widzę, że otwarte. – Nowicki nic sobie z jego słów nie robił, w końcu był pułkownikiem, a oficer ledwie porucznikiem. Nawet nie spoglądając w kierunku natręta, uśmiechnął się wygodnie w krześle i zawołał: – Kelner! Kelner!

– Proszę mnie nie lekceważyć – syknął porucznik.

– Nie lekceważę pana, panie poruczniku, za to pan przeszkadza mi w złożeniu zamówienia – odparł Nowicki z całkowitym spokojem, dając znaki kelnerowi.

– Wstań, jak mówisz do oficera, chamie! – warknął porucznik i by dodać powagi swoim słowom, uderzył kijem o parkiet.

Nowicki zareagował na gest porucznika, jakby stała przed nim zniecierpliwiona panna, która swoje racje próbuje wzmocnić stukotem pantofelków.

– Tak kochany, to nie będziemy rozmawiać. – Nowicki dalej zachowywał spokój, a kątem oka zerknął na mnie.

Stałem właśnie przy bufecie, wybierając przekąski, i starałem się kontrolować to, co dzieje się na sali. Od oficerskiego stolika wstał kapitan, który najwyraźniej chciał wesprzeć porucznika-bilardzistę w negocjacjach z Nowickim. Próbowala mu w tym przeszkodzić kobieta, która zrazu nie wydała mi się atrakcyjna, bo była jak na mój gust zbyt rubensowska. Nauczylem się tego określenia, bo w towarzystwie nie wypadło mówić gruba, a nawet pulchna, ale jak już się powoływało na Rubensa, to wszystko było w porządku. Sprawy miały się jednak zupełnie inaczej. Kobieta była z natury szczupła, ale za to w stanie błogosławionym... Chyba ją znałem, czy to nie ona?

– Marian, daj spokój, pójdźmy do domu... – powiedziała nie prosząco, a rozkazująco do kapitana, próbując przytrzymać go za rękaw.

Tak, to ona, nie miałem wątpliwości, usłyszałem głos, a po chwili zobaczyłem jej profil i poznałem. Nie sposób było zapomnieć o kimś takim jak Zuzanna Orłowska! Ta kobieta cztery lata temu uratowała mi życie! Zatem ten typ w mundurze to był jej mąż, który nią pomiatał i ją zdradzał! A teraz dupek w mundurze z gwiazdkami kapitana na pagonach szarpał się, jakby chciał strząsnąć z siebie tę wspaiałą kobietę. Tego było za wiele, wystartowałem do niego.

– A pan to kto? – zachrypiął pijackim głosem kapitan.

– Przepraszam najmocniej, nie przedstawiłem się, Henryk Haas!

Mogłem go potraktować z góry, bo choć byłem tylko kapralem rezerwy, to jednak on był tylko teoretykiem, a ja weteranem dwóch kampanii i kawalerem Krzyża Walecznych. Gdyby nie Zuzanna i gdyby nie mundur, do którego czułem jeszcze resztki szacunku, to po prostu skopałbym mu tę suchą, oficerską dupę.

– Pańska żona uratowała mi kiedyś życie! – Ukloniłem się grzecznie, może nawet zbyt grzecznie, bo ośmieliło to męża Zuzanny do dalszych popisów.

– To niech pan, panie Haas, zabierze stąd swojego przyjaciela, ale już, bo mnie denerwuje. – Kapitan lekceważącym gestem wskazał pułkownika Nowickiego, który wciąż siedział, ale był nastroszony jak kogut, gotowy rzucić się na oficera bilardzistę.

– Marian, chodźmy do domu... – prosiła Zuzanna i próbowała wziąć go pod ramię, ale ten wyrwał się jej i usadził ją na krześle.

– Nie wtrącaj się, rozumiesz? – Ton kapitana i zachowanie przypominały bardziej awanturę domową z przedmieścia niż rozmowę oficera z żoną.

– Może by tak grzeczniej? Jesteś pan oficerem i mówisz do kobiety w stanie błogosławionym! – przypomniał o sobie Nowicki, który dalej twardo siedział, nie robiąc sobie nic z oficerka sterczącego nad nim z kijem bilardowym.

– Co się pan wtrącaś, panu też uratowała życie? – Kapitan zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Jestem pułkownik Aleksander Nowicki – powiedział ze spokojem i wstał od stolika, po czym podszedł do kapitana i zmierzył go wzrokiem jak bokser, który staje naprzeciw rywala.

– Z którego pułku?

– Z pułku, z którego wylaliby cię na zбитy pysk za kompromitowanie munduru i sztandaru!

To był koniec rozmowy, kapitan chwycił oparty o sąsiedni stół kij bilardowy i próbował uderzyć Nowickiego, ale Zuzanna go powstrzymała, za co pchnął ją tak mocno, że padłaby na podłogę, na szczęście złapałem ją w ostatniej chwili. Chwyciłem mocno i mimo woli objąłem; wróciły chwile z plaży, kiedy ratowała mi życie, i te z Zakopanego, kiedy kochając się ze mną, brała odwet na niewiernym mężu.

– Naprawdę jesteś bydlak. – Nowicki pokręcił głową. – Swołocz, nastojaszczuy swołocz!

– Kapitanie, ten tu obejmuje pańską żonę! – krzyknął jeden z oficerów, wskazując na mnie i Zuzannę.

– Skarżypyta i lizus – zakpił Nowicki, śmiejąc się do rozpuku.

To była ostatnia chwila, która miała w sobie dziesięć procent szansy na to, żeby wszystko obrócić w żart i żeby sprawa rozeszła się po kościach. Kapitan mógł dołączyć do rubasznego śmiechu pułkownika, a potem wypilibyśmy na zgodę wódeczkę. Nic z tych rzeczy, ponieważ kapitan Orłowski wymierzył mi siarczysty policzek. Nie miałem szans się uchylić, bo trzymałem w ramionach żonę tego skurwysyna. Tymczasem na drugim froncie Nowicki musiał sobie przypomnieć, jak to było na wojnie, bo jeden z przydupasów kapitana Orłowskiego chciał zapoznać jego głowę z kijem bilardowym.

Pułkownik wykonał zgrabny unik, ale było już jasne, że za chwilę sala restauracyjna hotelu Victoria zostanie poddana konkretnej demolce, takiej jakie zwykle się oglądać na westernach, kiedy kowboje łomczą się w saloonie. Były stoliki, bar, a nawet pianino i przede wszystkim sześciu mężczyzn gotowych się pozabijać, brakowało tylko kapeluszy, dziwek w rozłożystych sukniach i pianisty. W westernach z odsieczą nadjeżdża kawaleria albo wparowuje do salonu dzielny szeryf, ale na Jasnej można było liczyć tylko na policję, pod warunkiem że barman dodzwoniłby się na komisariat. Nie szło mu to za dobrze, bo w nerwach nie mógł wykręcić numeru. Do tego kierownik sali powtrzymał go gestem ręki, bo nie chciał skandalu, policji, raportów i zeznań. Pewnie myślał, że oficerowie stłuką nas na kwaśne jabłko i będącie po kłopotach.

Źle myślał, bo dopiero się rozkręcaliśmy, nasza dwójka i ludzie kapitana Orłowskiego. A najbardziej pułkownik Nowicki, który złapał leżącą na stole bilardową kulę i użył jej zamiast kastetu. Porucznik, który go wcześniej zaatakował kijem, dostał w głowę i osunął się na podłogę. Wtedy jak spod ziemi wyrósł drugi z bilardzistów, który miał więcej szczęścia, bo udało mu się dosięgnąć pułkownika kijem, ale za słabo i nieprecyzyjnie. Zamiast go ogłuszyć, tylko go rozjuszył. Pułkownik rzucił się na niego, jak gdyby chciał, by wylecieli przez witrynę restauracji na ulicę. Pewnie by do tego doszło, ale na drodze stały dwa krzesła, które siłą impetu zmietli jak dziecięce zabawki.

Spoliczkowany nie mogłem odpowiedzieć natychmiastowo na afront, wpierw musiałem ją wypuścić z ramion i odsunąć na bok. Przez tę chwilę wszystko sobie przemyślałem i wyszło mi, że nie będzie żadnej szermierki na pięści czy francuskiej walki, bo ani w boksie, ani w zapasach nie zaczyna się walki od kopniaka. Kapitan Orłowski dostał z Nowickiego z podeszwy w klatkę piersiową, trafiałem go niemal jak koń, więc odepchnięty z wielką siłą, bezwładnie poleciał w tył, przewracając krzesło i strącając ze stołu butelkę. Wtedy ruszył na mnie trzeci bilardzista, porucznik w mundurze z rozpiętymi haftkami, czerwony na twarzy od nadużytego alkoholu i złości. Wyglądał na mocno podpitego, z gęby na najmniej rozgarnięto

z całej czwórki, ale okazał się sprytniejszy od swoich kolegów, bo nie brał wielkiego zamachu, lecz próbował mnie dźgnąć kijem jak lancą. Zaskoczył mnie tym manewrem, ale Nowicki czuwał! Pułkownik rzucił w niego talerzem, ale nie trafił w głowę, tylko w korpus. Nie było więc nokautu, tylko chwilowe oszołomienie, to mi wystarczyło jednak, by chwycić krzesło i użyć go jako tarczy.

Za krzesło złapał także ten, którego pułkownik posłał na ziemię. Był bardzo zwinny, szybko się podniósł i kiedy mój przyjaciel Nowicki rzucał talerzem, zamachnął się na niego meblem. Pułkownik dostał potężny cios krzesłem, które musiało być mocno nadwyrężone, bo rozleciało się na jego plecach. Dawny ułan, który w 1914 roku poprowadził pod Nidzicą samobójczą szarżę szwadronu Lejb-Gwardyjskiego Pułku Ułanów Jego Wysokości, tylko się otrzepał, po czym odwrócił, złapał porucznika za mundur i rzucił nim jak szmacianą lalką. Kawaler Georgijewskijego Kriesta i Krzyża Walecznych wciąż miał krzepę, bo oficerek przeleciał w powietrzu ze dwa metry i wylądował na blacie stołu. Pełen zastawy mebel złamał się pod impetem padającego ciała, rozległ się trzask drewna, któremu akompaniowały brzęk tłuczonego fajansu i szła oraz jęk porucznika.

Kierownik hotelu wiedział już, że nie ma na co czekać, przy tej skali zniszczeń musiał zaalarmować policję. Krzycząc do słuchawki, obserwował poczynione spustoszenie w lokalu. Serce musiało go boleć, ale nie tak mocno jak najstarszego stażem pracownika hotelu Victoria, portiera Waclawa Pęgę. Weteran, który pracował tu jeszcze w ubiegłym wieku, chciał chwycić się metody znanej z warszawskiej prasy. Parę lat temu, przy Łazienkowskiej, podczas derbowego meczu Warszawianki z Gwiazdą, doszło do bójki między piłkarzami, a ich zachowanie podchwycili kibice. Wtedy do akcji wkroczył jakiś wojskowy, który rozkręcił hydrant i polał rozpalone głowy zimną wodę.

Portier chciał zrobić to samo, tyle że kapitan Orłowski, widząc klęskę swoich wojsk, wyciągnął pistolet i próbował mnie zastrzelić! W ostatniej chwili pułkownik Nowicki, na którym wisiało dwóch przeciwników, dobył z siebie dziki ryk i skoczył na kapitana. Cała czwórka padła na posadzkę, ale Orłowski zdążył wystrzelić, kula minęła mnie w bezpiecznej odległości, za to portier padł jak zabity. Ktoś z obsługi hotelowej krzyczał, że ranny, że krwawi. Dostałem szału, bo ta kula przeznaczona była dla mnie, ryknąłem: „Ty skurwysynu!”, i kiedy Orłowski się podniósł i rozglądał za bronią, która mu wypadła z ręki, posłałem, jak na mańkuta przystało, najpierw prawego prostego na nos, a później potężny lewy sierpowy na szczękę. Nie było co zbierać, z dwójki rywali pułkownika też, bo złapał za włosy tarzających się z nim po ziemi napastników i zderzył ich dyńkami.

Padli pokotem, ale jak na ironię losu oficer, który został na początku bójki trafiony w leb kulą bilaradową, wstał nagle i tocząc błędnym wzrokiem po sali, przyjął bokerską postawę. Był teraz jedynym zdolnym do walki zawodnikiem swojej drużyny, ale to trwało tylko chwilę; pułkownik Nowicki podszedł do niego, delikatnie pchnął, a delikwent zachwiał się i znów wylądował na podłodze. Teraz mogli ruszyć do rannego portiera, byli już przy nim Zuzanna i ludzie z hotelowej obsługi.

Wydawało się, że nie z niego nie będzie, bo na białej koszuli wykwiłała czerwona plama, ale ku przerażeniu wszystkich, Aleksander Nowicki wsadził w nią palec i oblizal.

– To nie krew, to wiśniówka, w którą trafiła kula. – Wskazał na bufet, gdzie stała przestrzelona butelka. – Jest lekko skałeczony szkłem, to tyle – ogłosił i wszystkim zrobiło się źle, z wyjątkiem czwórki oficerów, którzy nawet gdyby w tej chwili do restauracji wparował zmartwychwstały Marszałek Piłsudski, nie daliby rady powitać go na stojąco.

– Przepraszam, ja zawsze robię zamieszanie – powiedziałem do Zuzanny.

– Ktoś go kiedyś musiał przywołać do porządku – odparła zupełnie spokojnie, po czym już całkiem z nerwem krzyknęła: – A teraz uciekajcie!

Tak właśnie zrobiliśmy, ulotniliśmy się błyskawicznie, zanim nadeszła policja. Nie musieliśmy ani biec, ani łapać taksówki czy dorożki, bo kiedy wyszliśmy z hotelu, przed drzwiami zajechała drynda z pułkownikiem Bielińskim i Poldkiem Walewskim.

– Takiego występu nie mieli tu od czasu, kiedy grał tu Artur Rubinstein! – Nowicki zareklamował ze swadą nasze wyczyny.



– Panowie, zapraszam do siebie, do Prudentiała – zarządziłem – barek jest obficie zaopatrzony, a lodówka pełna.

Słowo „lodówka” wzbudziło nie lada jaką sensację, bo wciąż był to rzadki sprzęt domowy. Jadąc Janą w kierunku placu Napoleona, mineliśmy się z policyjnym patrolem. Chwila moment i z dorożki przesiadliśmy się do windy, wjechaliśmy na dach Warszawy i patrząc na miasto z góry, komentowaliśmy to, co wydarzyło się w Victorii i wspominaliśmy dawne czasy. Wszyscy byli zgodni, że Wojsko Polskie, posyłając na emeryturę pułkownika Nowickiego, odebrało sobie szansę na piękne szarże i niebywałe pogromy przeważających sił wroga. Aleksander się śmiał, że to wszystko była walka piesza i że pokazałby, co tak naprawdę potrafi, gdyby dali mu dosiąść konia. Śmialiśmy się do rozpuku, wspominając szybujących w powietrzu oficerków, tyle że rano nie było już tak wesoło.

## ROZDZIAŁ II

**W którym nazajutrz draka w Victorii okazuje się czymś więcej niż tylko towarzyskim nieporozumieniem, a mój tyłek muszą ratować wspólnie polska dyplomacja wraz z arystokracją**

**Warszawa, 19 kwietnia 1936**

Poldek szybko odpadł, ale z panami pułkownikami wypiliśmy jak na starych wiarusów przystało. Nie był to jakiś przepotężny „the day after”, jak mówią Amerykanie, ale i tak pospałem do jedenastej. Troszkę mi szumiało w głowie i rzecz jasna suszyło, a gołębie spacerujące po parapecie mojej sypialni były wyjątkowo głośne. Kiedy osuszyłem karafkę z wodą, wziąłem prysznic, wypucowałem zęby, założyłem świeże ubranie, uderzyłem małego klina – małego, bo w butelce pozostał ostatni łyk whisky – poczułem się prawie jak nowo narodzony.

Lodówka została opróżniona przez moich gości, ale blisko Prudentiala było mnóstwo lokali, sławnych i doskonałych, tyle że o tej porze serwujących jeszcze śniadania, a przeważnie to kawę z ciastkami. Kiedy mam ciężkiego kaca, to nic nie jem, a gdy takiego lekko półśredniego jak dzisiaj, to łapię wilczy apetyt, zwłaszcza jeśli opuszczam mieszkanie na pół godziny przed krakowskim hejnałem, który transmitują każdego dnia przez radio. Wtedy muszę zacząć dzień od obiadu, a tylko jedno miejsce w okolicy mogło spełnić me oczekiwania.

Winiarnia Ziemiańska tym się różniła od słynnych siedmiu siostr Ziemiańskich i ich jeszcze sławniejszej matki z Mazowieckiej, że zdecydowanie nie była kawiarnią. Przy Sienkiewicza pod numerem ósmym można było od rana zająć się kulebiakiem, zapiekaną zupą rybną, forszmakiem, rumsztykiem lub gruzińskim czkmeruli, czyli mocno naczosnkowanym kurczakiem duszonym w mleku i śmietanie. I to wszystko przed południem, dlatego mój szofer i przyjaciel, Miecio Kosiorek, mawiał: „W Ziemiańskiej Winiarni są konkrety, nie to, co w tych kawiarniach, gdzie tylko na słodko, ciasteczka, kawka i... śledzik”. Krzywił się przy słowie „śledzik” niemilosiernie, choć „wódeczka pod katolika” należała do jego ulubionych zestawów. Krzywił się, bo miał na myśli specjal z Ziemiańskiej przy Mazowieckiej, który był słodkim ciastkiem w kształcie śledzia.

Wielu mogło tu znaleźć energię na cały dzień, ale byli i tacy, którzy mogli tu dzień zakończyć. Zdarzali się delikwenci, którzy wpadali tu po burzliwej, ale niedojezdzonej nocy, wchłaniali na śniadanie kolację i szli spać w południe, żeby się obudzić na kolację, ale już o akuratnej porze. Różna klientela tam zasiadała, czasem znani aktorzy, którzy upodobali sobie to miejsce, najczęściej Fogg, bo niedaleko, przy Marszałkowskiej, mieściło się studio Syrena Rekord, gdzie niemal codziennie coś nagrywał, chyba że wyjeżdżał w trasę.

Dziś nie było ani Fogg, ani Dymszy, tak w ogóle to było pusto, jakby wszyscy już dzisiaj poszli na plac Kraińskich, żeby oglądać odsłonięcie pomnika Kilińskiego. Nie widziałem nikogo znajomego, ale uznałem, że do machnięcia klina nie potrzebuję towarzystwa. Wypiłem najpierw jedną, a potem drugą pięćdziesiątkę, poczułem się dziarsko, krew pięknie krążyła w żyłach, a mój nastrój poprawiało pierwszorzędne jedzenie. Pałaszowałem sobie spokojnie, kiedy poczułem, że ktoś nade mną stoi.

– Pięknie narozrabiałeś – usłyszałem głos kapitana Juliusza Beniowskiego.

– Towarzyskie nieporozumienie, tylko mu podzelałem oko, dostał jak darmo, bo należało mu się solidne lanie – powiedziałem, nie odwracając wzroku od talerza, bo właśnie doszedłem do znakomi-

tego kurczaka po gruzińsku i nie chciałem się zachłapać śmietanowym sosem, zwłaszcza że miałem na sobie garniak w kolorze marengo.

– Tobie się należy lanie – powiedział Beniowski, siadając naprzeciwko mnie.

Julek zrzucił mundur jakieś trzynaście lat temu i oficjalnie nie było go w armii. Różne legendy chodziły o jego odejściu, ale żadna z nich nie była prawdziwa. Najczęściej powtarzano tę, że wyrzucono go za niesubordynację, według mniej popularnej, że nastąpiło to w wyniku zemsty jakiegoś wysoko postawionego oficera za przyprawienie mu rogów. Prawda była taka, że Juliusz Beniowski, kierownik warszawskiego oddziału Towarzystwa dla Handlu Zagranicznego Bałtyk-Świat oraz współwłaściciel berlińskiej manufaktur sejfów i kas pancernych Eisenschloss, nadal służył w wojsku, tyle że w wywiadzie.

Pracowałem dla niego od jedenastu lat, a znaliśmy się prawie od urodzenia. Był nieco starszym ode mnie chłopakiem z dobrego, inżynierskiego domu; tak się złożyło, że tata mojego kumpla bardzo wspomagał naszą rodzinę. Jego rodzice byli bogaci i wpływowi, a w wojsku to on miał stopień oficera, ja zaś szeregowca. Był jak starszy brat, puściłem więc jego uwagę mimo uszu i dalej spokojnie jadłem, i dopiero po dwóch kęsach spojrzałem na niego.

– A bo to jedyna bójka w knajpie, jaka mi się przytrafiła? – powiedziałem bez emocji w głosie, rachując w myślach, ile razy mi się coś takiego przydarzyło; pierwszy raz to na Śląsku bójka ze szkopami z Freikorpsu, później z Nowickim u Grubego Joska, nawalanka z komunistami w barze Pod Cyckami na Chłodnej. Żadne halo, jeśli było coś grubego, to historia z Nowego Jorku, kiedy zostałem zmuszony do tego, by być cynglem gangsterów z Chicago i odstrzeliłem ich konkurenta, Koszernego Rekina. Dlatego ze spokojem skwitowałem: – Zwykła awantura na zabawie, oni zaczęli, myśmy skończyli. Są świadkowie – rzuciłem, po czym pstryknąłem ręką na kelnera i pokazałem, że ma podjechać z kolejną wódeczką, a Julka zapytałem: – Ty też zmrożonej żytnióweczki?

– Poczęstuję się wodą mineralną – kapitan wskazał stojący na stole syfon, który pomagał mi ugasić pragnienie – choć powinienem wypić setkę wódki – odparł, a w jego głosie był cały lodowaty chłód Arktyki, który wykończył wyprawę Scotta. – Narobiłeś niezłego bigosu, i sobie, i mnie.

– Musisz wiedzieć, że po pierwsze, to pułkownik Nowicki się tam pchał, po drugie, tamci byli zalani w pestkę i szukali zwady, a po trzecie, ten dupek, kapitan Orłowski, dał mi po pysku.

Zwykle takie tłumaczenie było jasne dla każdego, ale nie dla Julka.

– Wiesz, kim jest jeden z wujków kapitana?

Wzruszyłem ramionami, bo kompletnie mnie to nie obchodziło.

– To major... – wycedził, a kiedy miałem powiedzieć, że w drace towarzyszył mi pułkownik, a drugi ewakuował mnie z pobojowiska, Julek niskim, nieco chrapliwym głosem wyszeptał: – Żadna Czwarta Brygada jak siostrzeńiec, tylko Pierwsza, i do tego dwójka, rozumiesz?

Rozumiałem! Pułkowników, i nie tylko pułkowników, oraz różnych ważnych cwaniaków, co nie byli w legionach, a sadzili się na wiarusów, skoro już byli w kręgach władzy, nazywano pogardliwie Czwartą Brygadą, a ten nieznamy mi z nazwiska major nie dość, że był weteranem Pierwszej Brygady, to na dodatek był w dwójce, czyli w wywiadzie. Dalej jednak nie widziałem problemu.

– Weźmie cię do raportu, skoro cię tam formalnie nie ma? Kto o tobie wie? Nic ci nie zrobią, bo jak? Poza tym... – zaśmiałem się – ...musiałby mnie z tobą połączyć.

Z pełnym spokojem patrzyłem na kapitana Beniowskiego. Chciał grać opanowanego gościa, ale dekonspirowały go mimika, mowa ciała, tembr głosu i nerwowo palony papieros. Dotarło do mnie, że Julek był zdenerwowany nie na żarty.

– Masz rację, niewiele o mnie wie, ale akurat major Stefan Rój-Kordyjewicz to jeden z tych niewiele, którzy mają o mnie pojęcie.

– Rój-Kordyjewicz... Piękne literackie nazwisko – uśmiechnąłem się – czy to współnik Wańkowicza w wydawnictwie Rój?

– Słuchaj, Heniek... – Głos Beniowskiego z poddenerwowanego zrobił się niemiły, wręcz agresywny. – Gdyby tamten idiota nie użył broni, to może by się wszystko rozeszło po kościach!

– Jego broń, jego problem. A co jego wujek może nam zrobić?

– A to, że już dawno kopie pode mną dolki, czuje do mnie taką mięty jak do rotmistrza Sosnowskiego!

– Sosnowski, ten bohater? Szpieg, którego złapały szkopy?

– Były bohater, część ludzi z dwójki, dokładnie ci z referatu Wschód, uważają, że to zdrajca, i że wszyscy pracujący w terenie dla referatu Zachód są trefni. Za kilka dni mają wymienić kilku szwabskich szpiegów na naszych ludzi, w tym i Sosnowskiego. Tyle że nie wyląduje w domu, tylko pod całą, takie mam informacje – powiedział szeptem. – To się okaże na dniach, ale na bank wiem, że Rój-Kordyjewicz i jego ludzie nie tylko szepczą za moimi plecami. Piszą raporty, że moja robota w Niemczech to była praca dla mojej własnej kieszeni, dla Sosnowskiego i Niemców, a Polsce i dwójce rzucałem ochłapy. Jego marzeniem jest zrobienie ze mną tego samego, co z rotmistrem. Ja się starałem od Sosnowskiego trzymać z daleka, bo na mój gust za bardzo szastał pieniędzmi, za bardzo rzucał się w oczy, ale Rój-Kordyjewicz ma ambicje, żeby mnie do niego przykleić. Kapitan, którego obileś, jest dupkiem i na pewno już pobiegł z gębą do swoich wszystkich protektorów, w tym i do wuja, poza tym musi na kogoś zrzucić użycie broni. Parę tygodni i dojdą do naszych powiązań, a wtedy będę miał łatkę współpracownika Sosnowskiego i kumpla gangstera z Chicago.

– Za duży smród – powiedziałem, nie przerywając rumsztyka, który wzięłem pod następną wódeczkę.

– Tak myślisz? – Na twarzy Julka pojawił się krzywy uśmiech. – Wiesz, co ja bym zrobił na ich miejscu? Przymknąłbym cię za byle gówno, a następnie zrobił na siebie donos do prasy, że się amerykańskiego obywatela bezprawnie przytrzymuje. A jaki kolejny krok? Prasa pisze, a ambasada interweniuje, czyli oddaje ci niedźwiedź przysługę.

Miałem prawdziwy paszport i prawo jazdy, za które zapłaciłem odpowiednim urzędnikom, ale nie miałem amerykańskiego obywatelstwa. Taki drobiazg, o którym czasem zapomniałem i z którego nikt nie zdawał sobie sprawy. Jakby pogrzebali, zaczęli szczegółowo badać, kim jestem, to okazałoby się, że Henry Haas nie jest do końca tym, za kogo się podaje.

– Byłaby niezła draka, tak się chyba mówi u ciebie na Woli, prawda?

– Nie, u nas na Woli powiedzieliby, że jestem w dupie – odparłem, próbując zachować fason, choć prawdę mówiąc, była to tylko dobra mina do złej gry.

Miałem pietra, poza tym czułem, że podkład z poprzedniej nocy i szybko zaliczona ćwiartka robią swoje. Bez dwóch zdań przeszarżowałem, ale przecież miałem tylko skonsumsić leczniczy posiłek, wrócić do swojego apartamentu w Prudentialu i uderzyć w kimono. Wyglądało na to, że szybko tego nie zrobię, bo Julek rozpędał się jak ksiądz na rekolekcjach.

– No to chyba zrozumiałeś, co jest grane. Robisz stąd wytyki, ale już! Może się to uspokoi, ale na razie musisz przeczekać to zamieszanie gdzieś z dala od Polski.

– Chcę się z nią spotkać... – Nie mogłem się powstrzymać, by tego nie powiedzieć.

– To znaczy z którą? Z Aldoną Glock czy Ireną Leszczycką, a może z obiema naraz, z fanatyczką wolnej miłości i stateczną mężatką, co?

– Niepotrzebna ta złośliwość, ja ci tylko przypominam, że pułkownik Nowicki chciał nas pozabijać, bo mu odbijałeś żonę. – Julek Beniowski udawał, że tego nie słyszy, ale tak właśnie było, w knajpie u Grubego Joska doszło do draki większej niż ta wczorajsza, i ja, i Nowicki wylądowaliśmy wtedy w szpitalu. – Najsampierw to ja chciałbym się zobaczyć z Zuzanną – wyjaśniłem.

– To jedź do wiceministra Wrońskiego – powiedział z lekkim uśmiechem.

– Niby dlaczego? – Nie miałem pojęcia, po co wymienia tę rządową figurę.

– Bo to jego córka. Po tym, co się wczoraj stało, wyprowadziła się od męża i uciekła do ojca. Dlatego jest taka afera, strzały i bijatyka to przy tym mały pikus.

– A jeśli powie, że się z nią przespałem... – wymknęło mi się.

– Rany boskie! – wykrzyknął Beniowski na cały lokal. – Może to jeszcze twoje dziecko?!

– Nie, wtedy w Zakopanem, już po wszystkim powiedziała mi, że właśnie się dowiedziała, że jest w ciąży, więc postanowiła, że od niego nie odejdzie, da mu szansę, ale wcześniej wyrówna rachunki.

Julek słuchał tego, kręcąc z niedowierzania głową. W końcu nie wytrzymał i opróżnił kieliszek wódki. I zaraz drugi.

– Już nic nie mów, nie mam siły tego słuchać – zajączał, jakby był kaznodzieją, który usłyszał, że jego parafianin uwiódł mu gosposię.

– A powinieneś, bo chyba zapomniałeś, co mnie z nią łączy – powiedziałem to nad wyraz spokojnym tonem, jakbym tę gosposię nie tylko uwiódł, ale i zmaistrował jej dziecko, a teraz będę prosić księdza dobrodzieja o błogosławieństwo i jakiś klawy termin ślubu.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – Beniowski złapał się za głowę.

Sądzę, że wszystko pamiętał, bo mu to nie raz opowiadałem, i że rozumiał mnie, bo nie było faceta, który by się w niej nie zakochał. Nie tylko dlatego, że była z niej fest kobitka, przede wszystkim chodziło o okoliczności. Parę lat temu miałem zatarg z bandytami z Chelma, z niedobitkami gangu mojego koleżki z wojska, niejakiego Wlazły. Taki grubszy i konkretny zatarg, bo paru z nich poszło do piachu. Ci, co przeżyli, przyjechali się zemścić i zrobili na mnie zasadzkę na plaży.

Zrobili to elegancko, nie ma co gadać! Wyreżyserowali zamieszanie, muszę przyznać, że z talentem godnym pracy w kinematografie. Najęty przez nich chłopaczek skroił jednemu z gości portfel i zaczął uciekać, ale nie tak, żeby od razu zwiać, tylko żeby przy okazji się zabawić. Zamiast polecieć do końca plaży i przeskoczyć przez płot, ten, wykazując niezwykle charakter w nogach i spryt, podpuszczał przesładowców. Zwalniał i przyspieszał, kluczył, śmiał im się w żywe oczy. Goniło go pół plaży, z patrolem policji na czele, a druga połowa gapiała się na to przedstawienie. Ja też. Byli sprytni, bo zaczęli ten spektakl, kiedy Miccio wyszedł za potrzebą. Mieli mnie więc na widelcu, w szlafroku plażowym, bez broni i obstawy. Byłoby pozamiatane, kiła mogiła, nieodwracalna egzekucja.

I wtedy pojawiła się ona, cała na biało, w krótkiej sportowej spódniczce i z łukiem w dłoniach. Trenowała na torze przy plaży, żeby zdobyć odznakę łuczniczą, a tego dnia strzelała tak, że należała się jej nie odznaka, tylko złoty medal! Załatwiła typa, który do mnie mierzył, uratowała mi życie! I jak tu się nie zakochać? Ale minuta pięć i musiałem się odkochać, bo powiedziała, że jest mężatką i zrobiła to stanowczo i zdecydowanie, tak jak parę minut wcześniej szła z łuku do zamachowców.

– Nie interesuje mnie, co było, tylko co będzie! – Julek walnął pięścią w stół. – Masz wynieść się z Warszawy. Nie zdrziwiłbym się, gdyby chciał cię po prostu zabić, bo kim on teraz jest? Kawalerzystą rogaczem, oficerkiem z ciężarną żoną, która się wyprowadziła do papy po tym, jak jej kochanek obił mu mordę.

– On o tym nie wie, a poza tym najbardziej to bił Nowicki, też z kawalerii – doprecyzowałem.

Kapitan był bliski furii, ale w tej chwili przy stoliku wyrósł jak spod ziemi Poldek Walewski.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał usłużnie, jakby był kelnerem, a nie hrabią i pracownikiem MSZ.

– Weź go zabierz, najlepiej jak najdalej stąd!

– Może być Czackiego? – Znaczyło to tyle, że Poldek chce mnie zamelinować w swoim mieszkaniu.

– Może, ale jak dojdzie do siebie, to trzeba go wysłać za granicę, najlepiej w rejs dookoła świata, żeby był nieosiągalny!

– To się da załatwić... może nie dookoła świata, ale... – Leopold hrabia Walewski, radca w ministerstwie Spraw Zagranicznych zrobił tajemniczą minę.

Przed wyjściem z Winiarni Ziemiańskiej golnąłem jeszcze jednego, żeby zapomnieć o tym, w co się wpakowałem. Nie miałem żadnego planu, zdałem się na nich, wyglądali na takich, którzy mają tysiąc i jeden pomysłów, co zrobić z przyjacielem, który ratował im tyłek z tuzin razy. Nawywiјаłem, więc po-

tulnie zgodziłem się na przeprowadzkę do Poldka. Do przejścia było paręset metrów, ale nocny podkład, południowe picie, a na dobitkę wiosenne słońce sprawiły, że zaczęło mnie rozbierać, więc na Czackiego Poldek postanowił wesprzeć mnie swoim ramieniem. Wchodząc z nim do eleganckiego lokum, mierzyłem się po drodze ze spojrzzeniami sąsiadek.

– Ach, czemuż to tak... – zdawały się mówić oczy młodej panny służącej.

– Nie wygląda, kto by pomyślał... – Zerkąła za nami tęsknie znakomicie prezentująca się czterdziestolatka.

Obie wyrażały to bezgłośnie, naszą wspólną wspinaczkę komentowały ich twarze i oczy, ale starsza pani, która widziała, jak Poldek wprowadza mnie do mieszkania, podając mi swoje ramię, wyraziła swe myśli na głos: „Paskudztwo, że też nie ma na to jakiejś kary”, po czym przeżegnała się i syknęła: „Sodomicy i grzesznicy!”.

– Koczkodan! – skomentowałem pod nosem, ale już za drzwiami, bo Poldek wjechał ze mną za drzwi z wielką gracją.

Zastanowiłem się wtedy, czy tańczy, i czy to on prowadzi. Dalej nie spekulowałem, bo choć hrabia Walewski był moim przyjacielem i przyzwyczailem się do tego, że kobiety uwodzi na salonach, ale sypialnie dzieli z mężczyznami, to jednak szczegółów tego pożycia wołałem sobie nie wyobrażać.

– Stara pudernica! – ryknąłem z nadzieją, że mimo zamkniętych drzwi sąsiadka mnie usłyszy.

– Henryku! – Poldek spojrział na mnie z wyrzutem. – Nie wypada! Poza tym pani Alicja Sędzicka przeżywa ciężkie dni...

– Ale że co, zgubiła sztuczną szczękę?

– Posłuchaj, mój przyjacielu – zaczął łagodniej niż zwykle – nie dalej niż tydzień temu dowiedziała się, że jej wnuczka uciekła z artystą z jazzbandu!

– Jak Cygan, to pewnie dubeltowo ją ubodło. – Zaśmiałem się, wykazując absolutny brak współczucia dla starej jędzy, i opadłem w wygodny klubowy fotel, stojący w saloniku, który był połączony z biblioteką.

– Murzyn, mój drogi – powiedział Poldek, załamując ręce, po czym tęsknym głosem dodał: – Niezwykłe przystojny trębacz.

– Zdecyduj się w końcu: współczujesz czy zazdrościsz?

– Przede wszystkim martwię się o ciebie! – powiedział to szczerze, bo głos zafalował mu ze wzruszenia. – Zaklinam cię, Henryku, nie ruszaj się stąd! Możesz rozporządzać moimi trunkami, płytami, pafonem i radiem oraz biblioteką, ale błagam! Nie ruszaj się z domu pod moją nieobecność i nie otwieraj nikomu poza kapitanem Beniowskim i twoim szoferem. Pan Kosiorek ma przywieźć z twojego mieszkania najpotrzebniejsze rzeczy. Nie dzwoń do swoich pań, o niczym ich nie informuj. Przykro mi, kapitan ma rację, będziesz musiał opuścić Warszawę bez pożegnania, po angielsku. – Powiedziałwszy to, skierował się do drzwi.

– A ty gdzie się wybierasz?

– Wszędzie tam, gdzie będzie to potrzebne, by błyskawicznie przygotować twój wyjazd – odparł ze śmiertelną powagą i opuścił mieszkanie.

Zostałem sam ze swoimi problemami, które załagodzić mógł tylko sen. Zażywałem więc lekarstw, których nie brakowało w barku hrabiego Walewskiego. Berek był okazałych rozmiarów globusem na kółkach. Popijając szkocki nektar, pomyślałem, że to mebel w sam raz dla pracownika MSZ-etu, bo sięgając po alkohole z różnych stron świata, można przy okazji szukać ich ojczyzn na mapie. Popatrzyłem na butelki, popatrzyłem na globus i zacząłem się zastanawiać, dokąd mnie teraz zawieje: do Francji, krainy koniaku, szampana i niezliczonych rodzajów win, czy na Węgry, skąd pochodził tokaj – wino królów? A może do niemieckiej Nadrenii albo do Portugalii, na Maderę lub do Porto? Globus był okazały i wskazywał mnóstwo możliwości.

Cel został osiągnięty, bo po wysączeniu szklaneczki whisky przesiadłem się na kanapę i smacznie zasnąłem. Nie miałem koszmarów, odpocząłem od tego, co chodziło mi po głowie, choć w snach pozostałem blisko tematu mojej nieokreślonej sytuacji. Przyśniły mi się mile chwile podróży po świecie, rejsu do Ameryki, przygód na pokładzie statku, lotu z Chicago do Kalifornii, kolejne wyprawy...

Obudził mnie chrobot klucza otwierającego zamek, a później skrzywienie drzwi. Wrócił Poldek, z twarzą zadowoloną, jakby wygrał milion na loterii.

– Oświadczył ci się jakiś podchorąży szwoleżerów?

– To poniżej twojego poziomu, Henryku! – Hrabia skrzywił się, ale zaraz uśmiech powrócił na jego twarz. – Pamiętasz, co powiedział kapitan Beniowski, co byłoby dla ciebie najlepsze?

– Rejs dookoła świata? – przypomniali mi się słowa Julka i otrzęźwiło mnie natychmiastowo.

– Blisko, blisko... – Poldek tajemniczo się uśmiechnął.

– Dokąd chcecie mnie wysłać?

– Nigdzie konkretnie, Szlakiem Południa! – oświadczył triumfująco, wymachując dwoma biletami – W dziewiczy rejs Batorym!

– Jest tylko jeden problem...

– Jaki?

– Za taką wycieczkę trzeba słono zapłacić...

Prasa trąbiła o tym niesłychanym rejsie, który ma powtórzyć wyprawę starszego brata „Batorego” – „Piłsudskiego”. Gdzie się człowiek nie obejrzał, rozpisywano się o rejsie z Wenecji do Gdyni, w którym mieli popłynąć sami wspaniali (albo przynajmniej bogaci).

– Ile to będzie mnie kosztować? – westchnąłem.

– Tysiąc złotych – powiedział Poldek z pewnym wahaniem, po czym dodał: – Netto, bo ministerstwo dopłaciło za wszystkie dodatki, wycieczki, a nawet... bilet kolejowy. Na pociąg już nie zdążysz, musisz lecieć, to dodatkowe pieniądze, tyle że...

– Że co?

– To dwuosobowa kabina, tak że w sumie to będzie gdzieś dwa i pół tysiąca złotych – wyjaśnił Poldek z przeproszającą miną, jakby mnie wrobił w kupienie przegranego kuponu na wyścigach.

– Tyle to mam – odetchnąłem. – A gdybym nie miał na bilet?

– To bym ci go sprezentował! – powiedział z dumą w głosie Poldek.

– Zawsze narzekałeś na brak pieniędzy. – Ze zdziwieniem pokręciłem głową.

– Będę szczerzy, jak zwykle badanie moich finansów wykazuje manko, ale...

– ...ale co?

– Ale mojej siostrze Marii nie brakuje pieniędzy, bo my oboje, Henryku, jesteśmy i będziemy twoimi dłużnikami. Opłacenie tej podróży nic by nie zmieniło.

– Daj spokój, ja też przy tej okazji coś ugrałem!

Sześć lat temu Poldek wpadł w nie lada kłopoty. Jego kochanek okazał się szantażystą, groził, że skompromituje młodego hrabiego i jego rodzinę. Poldek i jego siostra Maria, w której zakochałem się na zabój, mieli wiele do stracenia. On miał się zatrudnić w MSZ, a ona... ona, o czym nie wiedziałem, była zaręczona z niemieckim arystokratą. Miałem tym typom przemówić do rozumu, ale okazało się, że nie była to zwykła banda, którą można po prostu zbić i zastraszyć. To byli najgorsi z najgorszych bandyci, a z ich szefem Frankiem Wlazło miałem stare rachunki do wyrównania: mianowicie podejrzewałem go o zabójstwo mojej mamy i serdecznego przyjaciela Antosia Bożyczki. Kiedyś przykapował mnie policji, sprzedał śledczemu, któremu odbiłem pannę. Następnie wrobił w morderstwo, przez co musiałem wiać z kraju, bo groziła mi jeśli nie czapa, to dwudziestoletni pobyt na Świętym Krzyżu, z którego wyszedłbym jako starzec bez płuc.

Z początku miałem ich tylko utemperować, ale ostatecznie na spotkanie z nimi wziąłem ze sobą moją pamiątkę z Ameryki, pistolet maszynowy Thompsona. Założyłem na siebie płaszcz, kapelusz i szalik Poldka, więc byli przekonani, że to on przyszedł pokornie z okupem za milczenie. Wszedłem na melinę ze spuszczoną głową, a oni powitali mnie po swojemu.

– Już jesteś, cioto? – rzucił jeden z nich.

Było ich czterech siedzieli przy stoliku, rozparci i pewni siebie, panowie życia i śmierci. Rechotali znad kart i wódki, nonszalancko rozrzucając karty i paląc papierosy. Nie wiedzieli, że wszystko to robią po raz ostatni w życiu – wyszarpnąłem spod płaszcza thompsona i pojechałem po nich długą serią. Wili się jak w tańcu świętego Wita, leciały drzazgi, ich wycie przebijało się przez huk automatu, wewnątrz zasnuło się dymem. Zabiłem czterech typów, a w chwilę później piątego, który skrył się w drugim pomieszczeniu. Ocaliłem Poldka i honor jego rodziny, ale sam zemściłem się tylko połowicznie; Franio w ostatnich słowach powiedział, że owszem, należało mu się, bo mnie przykapował, ratując swój tyłek, ale że matki i Antosia nie zabił.

– Henryku! – Poldek wyrwał mnie z zamyślenia. – Wszystko w porządku?

– Tak, tak – skłamałem, zastanawiając się, kiedy dostanę w swoje ręce mordercę mojej matki i mojego przyjaciela.

– To dobrze, bardzo dobrze – powiedział głosem, jakim pewnie lekarze mówią do pacjentów domów dla nerwowo i psychicznie chorych – bo musisz się z tym zmierzyć.

Poldek podsunął mi pod nos jakieś papiery i pióro.

– Wniosek wizowy. Wszyscy pasażerowie mają zbiorczy dokument, ale ty dołączyłeś w ostatniej chwili.

– Ile potrwa to szaleństwo?

– Trzy tygodnie.

– Już raz płynąłem transatlantykiem, ale to było kilka dni – jęknąłem. – Jak ja wytrzymam miesiąc z dętym towarzystwem?!

– Trzy tygodnie, Henryku. Na pewno będzie zabawnie. Rozerwiesz się, odpoczniesz, a zanim Batory dopłynie do Gdyni, to na pewno się wszystko ułoży.

To mi poprawiło nastrój, bo też mi się tak wydawało, że po trzech tygodniach na luksusowym, pływającym więzieniu zejdę znów na ląd i wrócę do Warszawy.



## ROZDZIAŁ III

**W którym zmagam się z przeszłością, staram się uporządkować swoje sprawy, odrzucam propozycję wygrania wyścigu i wzbudzam nieukrywaną zazdrość człowieka, któremu zazdrością niemal wszyscy i który sam wielu zazdrości**

Wziąłem do ręki wnioski wizowy. W życiu nie widziałem na oczy takiego dokumentu, nie mówiąc już o tym, że nigdy czegoś takiego nie wypełniałem. Wyjeżdżałem za granicę wiele razy i ani razu nie musiałem starać się o wizę, wszystko miałem załatwiane. Bez kitu! Zawsze tak było!

Pierwszy raz wyjechałem za granicę na fałszywych papierach. Idąc do woja na ochotnika, musiałem zrobić mały szacher-macher. Wiosna 1920, nie było jeszcze paniki przed bitwą warszawską, kiedy brali każdego, kto się zgłosił. Zorganizowano wtedy marsz na Kijów i wojsko jeszcze kręciło nosem na dzieciaki, które chciały się zaciągnąć. Miałem szesnaście lat i żeby zyskać pewność, że po tym, jak ucieknę ze szkoły, dadzą mi mundur i karabin, musiałem trochę pomajdrować przy papierach. Uprosiłem Mosze Kugela, starego drukarza i fałszerza, żeby mnie postarzył o dwa lata. Zrobił to pięknie, bo to był wielki mistrz w swoim fachu i wojsko mnie przyjęło, po czym wysłało bez wizy i paszportu do Kijowa. Granica była zresztą tam, gdzie były nasze bagnety, to my ją przesuwaliśmy.

Każdy kiedyś wagarował, ale niewielu mogło powiedzieć, że brykając z budy, dotarli aż do Kijowa. No i mało który uciekinier ze szkoły mógł do niej wrócić jako bohater, a tak się właśnie stało ze mną i innymi chłopakami, którzy zamiast się uczyć, wzięli się za wojaczkę. Po roku znów opuściliśmy szanowaną szkołę inżynierską Wawelberga i Rotwanda. To była kolejna podróż zorganizowana przez Wojsko Polskie, a konkretnie przez Oddział II Sztabu Generalnego, czyli wywiad. Zorganizowana od A do Z, włącznie z lewymi dokumentami. Nie planowałem tego, chociaż w szkole znów zrobił się smród koło tyłka, tym razem co złego, to nie ja, tylko kapitan Juliusz Beniowski. Dla całej reszty kapitan Beniowski, a dla mnie Julek, starszy kolega, syn inżyniera Ludwika Beniowskiego, dobrodzieja naszej familii. Pan Beniowski myślał, że obaj zostaniemy inżynierami, i jego syn, jako następca, i ja, syn majstra, jako znak, że Polska się rozwija. Tradycja i postęp.

My jednak woliliśmy wywiad, strzelaniny, draki i zamiast dyplomów Wawelberga i politechniki – fałszywe papiery. W 1921 roku Julek Beniowski zabrał mnie na Śląsk i tak po prawdzie to jakbym się nie ruszał z budy, bo oddział, w którym służyliśmy, nosił zaszczytne miano Grupy Dywersyjnej Wawelberg. Pojechaliliśmy na Śląsk wspierać wybuch powstania i mieszać na szwabskich tyłach. Polski rząd i wojsko udawały, że o niczym nie wiedzą, więc każdy z nas miał lewe dokumenty. Moje wystawiono niezwykle elegancko i dopisano do nich zgrabną historyjkę. Zostałem Heinrichem Haasem, Niemcem spod Warszawy, który się wyniósł do Vaterlandu. W sumie niewiele trzeba było wymyślać, wszystko to kleiło się kupy, bo Haasowie ze Skoroszcy byli moimi krewniakami.

Awanturka na Śląsku się skończyła, ale zostały mi po niej dokumenty, więc kiedy wiałem do Ameryki, prawie wszystko miałem gotowe, a czego nie miałem, to załatwił mi Julek Beniowski. Nie mógł inaczej, bo pracowałem dla dwójki i za dużo wiedziałem, więc nie mogłem ot tak pójść na spotkanie z sędzią śledczym i prokuratorem.

W Ameryce wszystko załatwiałem za pieniądze, miałem ich tyle, że sprawiłem sobie paszport i co tylko chciałem. Nigdy niczego nie wypełniałem i nie zwracałem sobie głowy papierkowymi pierdolanami. Aż przyszedł dzisiaj dzień i wypełnianie włoskiego wniosku wizowego! Z Włochów to ja znałem Ala Capone i paru jego kumpli, niektórych, można powiedzieć, aż do śmierci.

Popatrzyłem w końcu na tę elegancką bumagę i odetchnąłem, wszystko już było wypełnione!

– Henryku, sprawdź to proszę punkt po punkcie i podpisz się! – powiedział hrabia Walewski, który stał przede mną jak dworski kancelista przed właścicielem majątku.

Pomyślałem sobie, że zachowując wszelkie proporcje, to żeby mieć takiego kancelistę, trzeba byłoby być księciem albo królem, a już najlepiej – cesarzem.

– Nie, cesarzem stanowczo nie! – mruknąłem pod nosem, bo mi się przypomniało, że cała ta cesarska menażeria, która rządziła połową Europy, została po Wielkiej Wojnie rozparcelowana i poszła do piachu. Wiluś Niemiec, ten Austriak, którego imienia nie pamiętam, co wziął wakat po starym Franzu Josefie, no i ruski car Mikołaj, który skończył najmarniej, bo go bolszewicy zastrzelili razem z całą rodziną. A teraz ten etiopski negus Hajle Syllasje goniony jest przez makaroniarzy w te i we w tę. Nie, nie cesarz, król. – Król wystarczy! – zakończyłem na głos.

– Słucham? – zapytał Poldek. – Mówiłeś coś o cesarstwie? Włochy to królestwo!

– Tak, tak królestwo włoskie – powiedziałem i pochyliłem się nad kartką. – Jak już mi to dałeś, to przeczytam – zażartowałem, po czym zabrałem się za lekturę.

Nazwisko – Haas, imię Henry, zatem do Włoch leci moje amerykańskie ja, to polskie długo nie wróci. Data urodzenia 1904 roku, Warszawa, imię ojca, matki... Leciąłem punkt po punkcie, aż dotarłem do rubryki: zajęcie. Zdębiałem! Ale pisało tam jak wół.

– Posiadacz ziemski? – Zaśmiałem się.

– Oczywiście, że tak! Przecież masz ziemię w Hiszpanii – zauważył Poldek.

O mało nie trzepnąłem się dłonią w czoło! Faktycznie tak było! Latem 1930 roku byłem w Hiszpanii. Ledwie kilkadziesiąt godzin, przyleciałem tam zeppelinem z Ameryki i od razu miałem jechać dalej, ale, jakże by inaczej, poznałem ciekawych ludzi i poszedłem w małe tango. Wylądowałem z miejscowymi oficerami na solidnie zakrapianych kartach, a następnego dnia obudziłem się z gigantycznym bólem głowy i... z aktem własności jakiegoś gospodarstwa. W Andaluzji, gdzie podobno ziemia była spalona jak w Afryce, pod dziurą o nazwie Marbella.

Żadne halo, ledwie to na siebie zarabiał, ale było. Sprzedać tego nie mogłem, bo oficer hiszpański, kapitan Alfons Jesus Maria Calderon y Bahamonde, powiedział mi, że po pierwsze, trochę nie wypada, bo jego kolega, który przegrał te grunta, będzie to chciał kiedyś odkupić, pamiętka rodzinna, honor i takie tam, a po drugie, że nawet jeśli tego nie zrobi, bo trochę za często się zgrywa w karty, to cena w tych okolicach pójdzie w górę. Bo gorzej już nie będzie.

Posłuchałem go. Zarządca pozostał ten sam, nie zwracałem tym sobie głowy, jakiś tam pieniądź z tego był, choć nienadzwyczajny, służył nieregularnie, bardziej mogłem liczyć, że przyjdzie kolejny list z apelem od oficera-karciarza, że jest na jak najlepszej drodze do tego, by zebrać pieniądze i ten wątpliwy skarb rodzinny odkupić. Był to bajer na Grójec, bo mój hiszpański koleżka, Alfons Jesus wielu dalszych imion i nazwisk, poinformował mnie, że takich gospodarstw, które przehuła i które niechybnie kiedyś skupi, ten karciarz ma kilka. Trudno, co zrobić, może kiedyś, jak stracę wszystko i będzie mnie ścigać policja całego świata oraz rogać z połowy Warszawy, to wyjadę do Hiszpanii i będę zarządzał uprawą owoców mango, czy co tam na mojej ziemi wyrastało.

Poldek poszedł do włoskiej ambasady po stemple i pewnie wszystko szybko załatwi, bo kobiety się w nim kochały, a mężczyźni podziwiali eleganckie stroje. Bo Włosi potrafią docenić dobrze ubranych mężczyzn jak żadna inna nacja. A do tego ten jego hrabiowski tytuł w ambasadzie Królestwa Włoch, którego Ministerstwem Spraw Zagranicznych zarządza książę, robi nie lada wrażenie. I bez tego wszystkiego był figurą w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, wschodzącą gwiazdą, beniaminkiem, ulubieńcem i przyszłością, ktoś nawet mówił, że może gubernatorem polskiej kolonii, bo oczywiście prędzej czy później dochrapiemy się takowej. Ale nawet jemu, przyszłemu ambasadorowi, ministrowi i gubernatorowi, wyprawa do włoskiego poselstwa zajmie parę minut, więc postanowiłem się zdrzemnąć.

Nie udało się, bo wparował Julek Beniowski. Kapitan był już spokojniejszy i nie chciał ponownie prawić morałów, przyszedł za to z konkretami.

– To prospekt firmy, pod którą się ukrywamy – powiedział, po czym podał mi broszurkę zatytułowaną Towarzystwo dla Handlu Zagranicznego Bałtyk-Świat. – Nie wiem, czy jesteś na bieżąco, ale oprócz biur w Polsce, Paryżu, Berlinie i Nowym Jorku utworzyłem także przedstawicielstwa w Casablance i Lizbonie. W prospekcie masz adresy i numery telefonów do wszystkich biur, gdybyś czego potrzebował, wal tam jak w dym. Proś zawsze szefa, to zawsze jest oficer dwójki albo zwerbowany przez nas agent. Pieniądze, dokumenty, ułatwienia w podróży i tak dalej... – Ścisnął mi ramię tak po męsku, po przyjacielsku. – Masz flotę? – zapytał z pełną powagą. – Bo jeśli nie, to pomogę, stąd lecisz samolotem, więc bierzesz mały bagaż, resztę będziesz musiał sobie sprawić w Wenecji.

– Mam. – Uśmiechnąłem się.

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem i miał prawo tak zrobić. Parę ostatnich lat to była niezła kołomyja.

– Na pewno? – Julek popatrzył mi w oczy. – Honorowy facet jesteś, jakby co, to nie krępuj się! Jedziemy na jednym wózku, jesteśmy... Kurwa, Heniek, jesteśmy przyjaciółmi, bliższego człowieka od ciebie nie mam!

Wzruszyłem się, nie powiem.

– Julek, przyjacielu, dam radę, a jak będzie cienko... to zapukam do właściwych drzwi, adresy znam. Dziękuję ci za to. I...

– I co? – zapytał.

– I przepraszam.

– To ja przepraszam, obsobaczyłem cię, nie powinienem. Rozmawiałem z Nowickim, pułkownik powiedział mi, że to on narozrabiał, zresztą to wszystko, co się dzieje, nie jest związane tylko z tobą i tym palantem, kapitanem Orlowskim. To gruba rozgrywka, w której non stop wyciągane są haki.

Ulżyło mi, chwilę milczeliśmy, aż Julek zapytał:

– A tak w ogóle, to co u ciebie słychać, tak poza tym całym bałaganem i twoimi dwiema kochankami, które jeszcze się o ciebie nie pozabijały? – Uśmiechnął się, bo chyba zazdrościł mi tej sytuacji, był bowiem kobieciarzem. – Co się dzieje z twoją siostrą, kuzynką, chłopcem, na któregołożyłeś...

Opowiedziałem mu, a przy okazji uspokoiłem go, że z moimi finansami nie ma żadnej lipy.

Czułem się zobowiązany je wyjaśnić, bo był czas, kiedy wydawałem jak szalony. Ale miałem powody. Najsampierw to chęć nadrobienia tych wszystkich lat, gdy nie posiadałem ciuchów i różnych męskich zabawek. Jechałem po krawędzi, żyłem szybko, wydawałem dużo, ale nie chwaląc się, tak więcej z głową. Napatrzyłem się na takich, którzy nie mogli przestać chodzić na roboty, bo im więcej zrobili, tym potem więcej wydali. Ja trzymałem się zasady „tisz jedziesz, dalsze budiesz”, i miałem gdzieś, kiedy ktoś mówił, że jestem cykorem albo przewróciło mi się w dupie.

Interes życia zrobiłem w Ameryce i pieniędzy, które miałem, starałem się nie przepieprzyć. Połowę tego, co miałem, włożyłem w rodzinę i w siebie. Miałem na utrzymaniu siostrę oraz kuzynkę z dzieckiem, chciałem, żeby porządnie mieszkały, żeby mieli pokończone dobre szkoły i nigdy niczego im nie zbrakło. Sam z kolei chciałem nie być gorszy od warszawki, ale zapomniałem, że część z nich wypuszczała z portfeli flotę, na którą pracowały dwa, trzy pokolenia, a inni kombinowali tak, że gdyby nie byli przemysłowcami i politykami, to siedzieliby w mamrze do końca życia.

W Warszawie mieszkało paru moich kumpli, a poza tym nie miałem serca, by wyprowadzać gdzieś na prowincję siostrę Stefę i kuzynkę Zosię. Zresztą same wyjechały na Kresy ze swoimi mężami. Porządni goście, zawiadowca małej stacyjki i kierownik szkoły powszechnej, nie bogacze, ale przyzwoicie zarabiający, na pewnych, państwowych posadach z dobrymi, służbowymi mieszkaniami. I tak po dziesięciu latach zeszyły z payrollu; tak się nauczyłem mówić w Chicago, słówko *payroll* wpasowało mi się w kiepeł jak parę innych. Miałem oszczędności, ale z drugiej strony zrobił się ze mnie większy kozak, bo odpadły mi rodzinne obiady, wycieczki do zoo i lunaparku. Jak się ma za dużo czasu i pieniędzy... Ile można czytać książki i chodzić do kina? Ile razy można pójść do Adrii albo kabaretu? Wystarczająco wiele, by po wyprawie do Paryża wrócić z pomysłem własnego teatryku. To nie był najlepszy pomysł,

ale na szczęście Amerykę, bo tak się nazywało moje przedsięwzięcie gastronomiczno-estradowe, kupił inny ciężki frajer, do którego nie docierało, że aby się napić piwa, nie trzeba kupować browaru.

Pozbyłem się teatrzuku, rodzina się usamodzielniała, praca dla dwójki, oprócz dyskretnej wdzięczności Ojczyzny, przyniosła mi także pieniądze, bo otworzyliśmy parę kas, a wywiad jak zwykle interesowały papiery, mniej z kolei forsa. Manko po wystawnym życiu, wydatkach na apartament w Prudentialu i domek w Juracie zostało wyrównane. Wyszędłem z ostrego zakrętu i pędziłem prostą w świetlaną przyszłość, aż do momentu kiedy pułkownik Nowicki zarządził kolację w Victorii. Musiałem więc na moment zniknąć, ale miałem za co i od Julka oraz Walewskich potrzebowałem tylko pomocy organizacyjnej.

Po ustaleniu wszystkich szczegółów wyjazdu, na koniec w mieszkaniu Poldka wydali na moją cześć małą kolacyjkę. Bardzo to było miłe, wzruszające nawet, bo Julek, Poldek, pułkownicy Nowicki i Bieliński oraz mój sofer Miccio Kosiorek, to byli najbliżsi mi koledzy!

Koledzy... Przyjaciele nawet, tyle że z przyjaciółmi to można wypić i pogadać, wspomnieć czasy, kiedy jeden drugiego ratował z opresji. Można też było złożyć zapewnienia o wiecznej przyjaźni i jak muszkietierowie krzyknąć: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego!”, ale nie można było obiecać miłości i wspólnego życia.

Mój problem polegał na tym, że nie mogłem tego obiecać także żadnej z bliskich mi kobiet. Kiedyś miałem takie plany wobec Leokadii Rostockiej i Marii Walewskiej, ale wyszło, jak wyszło. Aldona Glock zdawała się zbyt niezależna, by chciała się ze mną wiązać, a Irena Leszczycka już miała męża. Zresztą wybierając Aldonę, zrezygnowałbym z Ireny, wiążąc się z Ireną zaś, skreślałbym Aldonę. Miałem je dwie, ale tak jakbym nie miał żadnej. Wszystkim to pasowało.

Julek zabronił mi kontaktować się z moimi kochankami, zarządził mi areszt domowy, ale tak po prawdzie, gdybym mógł wyskoczyć do którejś z nich na tę ostatnią noc, to bym i tak nie widział do której! To nie było normalne, tak zresztą jak i całe moje życie; pewnie to wszystko ktoś za mnie uporządkuje, kiedy kipnę, ale gwarancji na to nie było. Wystarczy pomyśleć o Marszałku, którego ciało spoczywało na Wawelu, serce w grobie matki, a mózg na Uniwersytecie Batorego. Pewnie i mnie czeka coś w tym stylu, bałagan nawet po śmierci.

Nie pożegnałem się ze swoimi kochankami, ale miałem zamiar się pożegnać ze swoim sportowym mercedesem. Tego mi Julek nie zabraniał, bo tego nie przewidział. Rano Miccio Kosiorek wyprowadził go z podziemnego garażu w Prudentialu i czekał pod oknem, ja miałem zejść, zająć miejsce za kierownicą i poprowadzić na Okęcie. Jakoś zamyśliłem się, bo przegapiłem pojawienie się Miccia pod oknem na Czackiego. Nie chciał robić rabanu i zamiast dusić klakson, wjechał na górę.

– Heniu, jak Boga kocham, zbieraj dupę w troki, bo nie jedziemy na Pole Mokotowskie, tylko na ten wygwizdów. Kto to słyszał, żeby dymać przez całe miasto na jakieś Okęcie? – zapytał z warszawska.

Mietek Kosiorek lubił dramatyzować i był konserwatystą. Jego zdaniem świat się kończył, bo Pole Mokotowskie miało przestać istnieć. Zaczęło się od przeniesienia portu lotniczego na Okęcie, a za chwilę nie będzie tam toru wyścigowego. I to Miccia bolało najbardziej. Był entuzjastą wyścigów, chodził i grał, kiedy tylko był przy forsie. Nie był hazardzistą, nie zgrywał się, nie obstawiał wielkich sum, chyba że miał cynk.

– No to jadziem, panie ładny! – powiedziałem ze wzorowym warszawskim akcentem, którego nabyłem jeszcze w czasach, kiedy Wola była przedmieściem, a Czerniaków podmiejską wsią.

W końcu usiadłem za kierownicą i westchnąłem, jakby to nie była jazda autem przez miasto, tylko szus na nartach z Kasprowego Wierchu albo samej góry Suchego Żlebu. Chciałem być sam, solo przejechać przez moje miasto, pożegnać się z nim, jak należy, przemyśleć parę spraw. Poprosiłem więc Miccia, żeby pojechał taryfą, obiecując mu przy tym, że nie narobię żadnych głupstw, nie będę szarżował i ostro wchodził w wiryże.

Ruszyłem spod kamienicy Poldka, który zęgnął mnie, machając chusteczką, co oczywiście musiała zauważyć ta szantrapa, Alicja Sędzicka. Stara kwoka patrzyła z oburzeniem, jak Poldek macha od mnie, a ja do niego, specjalnie dla niej, żeby ją jeszcze bardziej zgorszyć; zatoczyłem koło, podjechałem pod krawężnik, żebyśmy się jeszcze raz uściskali.

– Sodoma i Gomora! – fuknęła Sędzicka.

– Myślałem, że szanowna pani wymyśli coś oryginalnego! – powiedziałem do niej z czarującym uśmiechem.

– Daj spokój... – syknął Poldek.

– Wiem, wiem, wnuczka tej pani uciekła z jednym takim... – zacząłem, ale Poldek zakrył mi usta.

Wiem, wiem, jestem podłym typem, który naigrywa się ze starej kobiety, ale nie robiłbym tego, gdyby nie robiła scen; bywam złośliwy i to bardzo, ale tylko wtedy, jeśli mnie ktoś do tej zabawy zaprosi.

Ruszyłem Czackiego w kierunku Świętokrzyskiej, ciasnej i zatłoczonej ulicy łączącej Trakt Królewski z Marszałkowską. Poczekalem na znak dany przez policjanta i skręciłem w Marszałkowską, aż dojechałem do skrzyżowania z Alejami Jerozolimskimi, gdzie ruchem nie kierował funkcjonariusz, lecz świetlny semafor, który działał w tym miejscu już trzeci rok. Zapaliło się pierw żółte, a później czerwone światło, więc przystanęłem, słuchając klaksonów i wrzasków, bo wielu szoferów i woźniców nie przyzwyczaiło się jeszcze do tego wynalazku. Kusilo mnie, żeby przed skrzyżowaniem depnąć na pedał gazu, bo włókł się przede mną jakiś fiacik, lecz odpuściłem sobie, w końcu obiecałem Mieciowi, że nie będę szaleć. Dlatego nie zdążyłem przejechać na zielonym i stałem teraz pod semaforem, czekając na zmianę świateł.

Coś zabalugotało, koło mnie zatrzymało się auto z jakimś potężnym silnikiem, z pewnością ośmiocylindrowym, bo one mają dźwięk nie do podrobienia. Zerknąłem, był to wielki buick, czterodrzwiowa karetka z prawie czterolitrowym motorem. Kierowca opuścił szybę i dojrzałem twarz, którą znała niemal cała Polska, a przynajmniej ci, którzy czytali. Był to słynny literat, Tadeusz Dołęga-Mostowicz. Wpadliśmy już na siebie parę razy przy różnych okazjach, nie koniecznie arcymyłych, bo miałem mu za złe, że postać Winklera z powieści *Prokurator Alicja Horn* jest bardziej podobna do mnie, niżbym sobie tego życzył, a poza tym podczas wywczasów w Juracie podrywał moją siostrę Stefę. Pozdrowiliśmy się grzecznie i wydawało się, że na tym koniec, ale kiedy zapaliło się zielone światło, pisarz rzucił z błyskiem w oku: „Ścigamy się!”.

Dołęga-Mostowicz nadepnął pedał gazu i jak wyścigowy kierowca, niemal paląc gumy, wbił się ostro w wiraż i ruszył Alejami w kierunku placu Zawiszy. Narobił hałasu i zniknął, natomiast ja delikatnie spuściłem sprzęgło, jakbym był zawodowym taryfiarzem, bo tylko oni tak to potrafią, po czym podążyłem za literatem, łagodnie operując gazem i płynnie zmieniając biegi. Tymczasem autor bestsellerów z rykiem silnika mijał samochody, dorożki i platformy konne – on naprawdę się ścigał! Towarzystwo temu szaleństwu odgłosy klaksonów i ostrego hamowania. O tym, że nie biorę udziału w ogłoszonym przez niego rajdzie, zorientował się w okolicach placu Starynkiewicza. Czekał ustawiony przy krawężniku, mniej więcej na wysokości Żelaznej, machnął na mnie ręką, więc się zatrzymałem.

– Nie podjął pan walki? Czemu? – zapytał z nieukrywanym żalem.

– Powiedział pan kiedyś, że kto świśnie milion, jest defraudantem, a żebrak, co wyciągnie bliźniemu z kieszeni złotówkę, to złodziej – odparłem. – Ma pan rację! A ja sobie myślę, że lepiej zabić tuzin drani z rozpylacza, niż zabić na ulicy autem jakiegoś przechodnia. Poza tym pana buick to elegancki, wygodny wóz, ale absolutnie nie nadaje się do ścigania.

Tak w istocie było, ten buick to był kredens na kółkach, a mój merc prawdziwą sportową strzałą.

– Mimo wszystko nalegam! – powiedział z pasją w głosie.

Kusilo mnie utrzcze nosa takiej gwieździe, bo byłem pewien swoich umiejętności, a jeszcze bardziej mocy mojego auta. Nie miałby szans, ale ja miałem spokojnie, bez niepotrzebnych cyrków dotrzeć na Okęcie.

– Nie tutaj... – powiedziałem, a on rozejrzał się, kiwając głową. – Umówmy się w jakimś stosownym miejscu, gdzie na dobrej szosie. Na radomskiej, a może na konstancińskiej?

– Jutro pod Konstancinem! – zawołał Dołęga-Mostowicz. – O której?

– Panie Tadeuszu, raczej za miesiąc albo jeszcze później.

– Czemu nie jutro? – Pisarz nie ukrywał rozczarowania, które przeszło w oburzenie. – Co stoi na przeszkodzie?!

– Jutro będę w Wenecji – obwieściłem to z takim spokojem, jakby Wenecja była jedną ze stacji kolejki EKD, gdzieś między Tworkami i Pruszkowem a Podkową Leśną i Grodziskiem.

– Żeby machać chusteczką na Batorego – zaśmiał się – pożegnać nasze elity, które płyną nowym polskim cudem, które zbudowała włoska stocznia?

– Nie, zamierzam się na nim zaokrętować i popłynąć w dziewiczy rejs.

– Ach tak! – Jego twarz stężała. – To w takim razie do widzenia! – Literat nacisnął pedał gazu i odjechał z piskiem opon.

Zareagował ze złością identyczną, którą wywołało u sąsiadki Poldka wspomnienie wnuczki. Na początku nie pojąłem, czemu tak zareagował, czym go obraziłem. Ruszyłem i zanim dojechałem do placu Narutowicza, wiedziałem, o co się rozchodziło, czym uraziłem najpopularniejsze polskie pióro.

Przypomniała mi się rozmowa z Juraty oraz to, co o nim czytałem. „Wolę buicka od pomnika” – odpowiadał tym, którzy uważali go za pisarza dla kucharek i odmawiali mu uznania. Krytycy go chłostali, a koledzy pisarze zazdrościli nakładów i zarobków, wystawnego stylu życia i filmów, które powstawały podług jego powieści. Do tego flirtował z endecją, co nie było mile widziane.

Miał to, o czym inni mogli tylko pomarzyć, wielkie pieniądze i nieprzebrane rzesze czytelników, ale na salonach literackich ziemianin herbu Dołęga był traktowany jak nuworysz. Wiedział, że nie otrzyma złotych wawrzynów i państwowych odznaczeń i żeby dostać się na rejs Batorym, musiał sobie kupić bilet jak każdy inny śmiertelnik. Stać go było na kabinę klasy de luxe, ale ambicja nie pozwalała mu na to, by wydawać pieniądze jak pierwszy lepszy nowobogacki, kiedy Szyfman, Strug, familia Żeromskich i Wańkowicz płynęli jako honorowi goście. Zaproszono nawet tego młodego reportera Fiedlera, bo teraz podróże i kolonie były w modzie.

Zastanawiałem się, co jest gorsze: klepać będę, ale mieć recenzentów po swojej stronie, czy być banitą, którego kochają czytelnicy, a wydawcy obsypują złotem? Ta myśl nurtowała mnie krótko, do Opaczewskiej. Tam na wysokości remizy tramwajowej przeskoczyłem na tematy, które bardziej mnie dotyczyły: jak długo będę przebywał na przymusowej emigracji, czy spotkam na Batorym kogoś ciekawego, z kim znajomość będzie dłuższa niż rejs, no i wreszcie, jeśli nie będę mógł po miesiącu wrócić do Polski, to czy uda mi się ściągnąć na wywczasie Aldonę albo Irenę.

To ostatnie nie będzie łatwe, ale jakoś sobie poradzę, pewno szybciej niż Dołęga-Mostowicz zdoła się oporać ze swoimi krytykami.

## ROZDZIAŁ IV

**W którym jadąc do nowego portu lotniczego, urządzam sobie małą wycieczkę, Okęcie okazuje się nie tylko lotniskiem, ale także barem i biblioteką, węgierski nieludzkim językiem, Lido miejscem wielu emocji, a oficjalne komunikaty i reklamy zdają się psu na budę**

### Warszawa, 20 kwietnia 1936

Tak po prawdzie to zrobiłem sobie małą wycieczkę, bo wbrew ponaglianiom Miecia miałem wcale nie małego czasu i mimo nieplanowanej pogawędki z literatem automobilistą, nie musiałem się spieszyć. Szybciej, niż planowałem, dojechałem do placu Zawiszy i tam wpadłem na pomysł, by pojechać troszkę naokoło. Najszybciej byłoby ciąć prosto z placu Narutowicza do szerokiej jak szosa alei Żwirki i Wigury, ale ja pojechałem dalej Grójecką, bo chciałem zobaczyć słynne osiedle robotnicze Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. W końcu było się kiedyś socjalistą!

Skreśliłem z Grójeckiej w Pruszkowską i z przedmiejskiego krajobrazu wyłoniło się sześć jasnych, dwupiętrowych pawilonów osiedla Rakowiec. To naprawdę trzymało się kupy i było równie udane co budynki, które pobudowano na Żoliborzu! Faktycznie było tak, jak zapowiadano: frontem do słońca, a nie do rynsztoku. Domy miały dostęp do światła, bo stały ustawione do ulicy na sztorc, a rynsztok nie istniał, bo wszystko skanalizowano, a każdy z lokali był z wygodami, znaczy się z prądem, wodociągiem i kanalizacją. Podobno znajdował się tu także Dom Społeczny, który mieścił pralnię, gabinety lekarskie, ochronkę i świetlicę.

Pięknie, choć na razie te luksusy tyczyły się tylko najbardziej zaradnych robotników, tylko czterdziestu ośmiu rodzin, których awansu i wygodę strzegło siatkowe ogrodzenie i brama, jak w dobrej czynszówce oddzielająca lepszy świat od tego pospolitego. Kto wie, może kiedyś te proporcje się zmienią? Nieprędko, odpowiedziałem sobie równie szybko, jak skończyła się moja wizytacja lepszego, robotniczego świata. Pruszkowską dojechałem do alei Żwirki i Wigury, po czym pognałem w kierunku nowego portu lotniczego.

Na miejscu miałem przekazać kluczki do auta Mieciewi i szybko się z nim pożegnać, żeby uniknąć tego całego wzruszenia, jego ojcowskich rad i błogosławieństw oraz gorzkich żali, że „a o wszem, może i nowocześnie, ale na zadupiu”. Wysiadłem z mojego mercedesa i wypatrywałem taryfy z Mieciewem. Pięć, dziesięć minut, długo jakoś! Może i jechałem naokoło, ale nawet najbardziej powolny i oszczędzający na paliwie oraz amortyzatorach złotowa już tu powinien być! Kiedy już myślałem o tym, żeby zostawić kluczyki i dokumenty w recepcji portu lotniczego, to najpierw usłyszałem, a później zobaczyłem, jak aleją Żwirki i Wigury pędzi taksówka. Auto z piskiem opon stanęło za moim samochodem, a Miecio błyskawicznie wyskoczył ze środka, taszcząc ze sobą skórzaną torbę-kuferek.

– No myślałem, że mu ten hrabiowski łeb ukręcę – pomstował, jak się domyślałem na Poldka Walewskiego, bo jakoś nie podejrzewałem, że Mietkowi mógłby w paradę wejść jakiś inny arystokrata.

– Co takiego się stało? – zapytałem, klepiąc mojego potężnego szofera po ramieniu.

– No to! – Pokazał na kuferek. – Taki mi czemadan wyrzucił, księżarz szarpany! – rzucił, po czym otworzył kuferek, który po brzegi był wypełniony książkami. – To dla ciebie, ale jak chcesz, to mogę to jakoś teges zgubić.

Miecio uśmiechnął się porozumiewawczo, ale nie doczekawszy się właściwej reakcji z mojej strony, żadnego gestu, który sugerowałby, że książki „mają się zgubić”, ciągnął dalej:

– Dognał mnie hrabiowszczyk, jak już do taryfy wsiadałem, wyskoczył mię z dwiema torbami, tak zapakowanymi, że formalnie to miał ręce do kolan ten nasz Poldek. Powiedział, że może i tam jest biblioteka na tym statku, ale publika się rzuci na książki... Więc nasz hrabiak zaczął mi wciskać ten księgozbiór, więc ja mu mówię, że troszkę za dużo tego towaru. I to był, rozumisz, błąd! Bo dotarło do jego hrabiowskiej lepetyny, że tego szczęścia za dużo, więc zaczął przebierać i upychać tylko do tej jednej torby. Zamiast rach-ciach-ciach, to ten się guzdrał, oglądał te książki, zastanawiał się, jakby pierwszy raz ten towar na oczy widział. Myślał, jakby był jakimś myśliwym, a jak już wymyślił, to jeszcze ci liścik napisał. – Westchnął ciężko, jakby to on miał to wszystko czytać, po czym dał mi księgarski kuferek.

– Męskich nie było?

Skrzywiłem się, biorąc torbę, która była wykonana z brązowej, jak na mój gust ździebko zbyt błyszczącej skóry i miała nieco fikuśny wzór, ale w końcu ważniejsze były książki. Teraz nie miałem czasu ani na sprawdzenie, co dostałem, ani na czytanie liściku od Poldka. Pożegnałem się z Miciem i wszedłem do budynku lotniska.

Rzeczywiście, wygwizdowo to było pierwszorzędne, ale nie mogło być inaczej, bo maszyny pasażerskie były coraz potężniejsze, a i lotów coraz więcej. Oczywiście stare lotnisko mokotowskie miało swój niezaprzeczalny urok, bo można było sobie skoczyć do portu lotniczego per pedes, a po drodze w Awionetce albo u Lardellego zaliczyć deserek z kawką i koniaczkiem. Można też było, jeśli to dzień gonitw, ruszyć do samolotu wprost z toru wyścigowego, a jak było lato, to poczekać na samolot, rozciągając się na położonym na trawie kocyku. Tyle że kiedy padało, to pasażerowie tłoczyli się w baraczkę, szumnie nazywaną dworcem lotniczym, i cały czar przyskał. Jak na milionowe miasto, stolicę sporego europejskiego kraju z dostępem do morza, to była lekka kicha!

Ale co innego nowy Port Lotniczy Okęcie! Budowla prezentuje się godnie i modnie, a i tak to wszystko tylko przejściowe i chwilowe, bo prawdziwe lotnisko pasażerskie ma stanąć na Gocławiu. Plany są imponujące! Przez Wisłę, gdzieś na wysokości Siekierok, mają iść mosty drogowy i kolejowy oraz dalszy ciąg linii obwodowej, która prowadzić będzie do lotniska. Budowa ma ruszyć za parę lat, coś chyba o 1939 roku przebakowali, a na razie lata się z Okęcia, które oferuje wygodne warunki oczekiwania na egzekucję, bo jak spojrzełam po pasażerach, to połowa z nich miała pietra.

Byli debiutanci, którzy nie wiedzieli, co ich czeka, ale nie brakło i weteranów, zazwyczaj biznesmenów, których do latania zmuszało robienie interesów, co wymagało szybkiego przemieszczania się. Ogólnie pasażerów dzieliłem na trzy kategorie. Jedni oddawali się w ręce Boga Wszechmogącego (w poczekalni zauważyłem pana i panią wzywających wszystkich świętych), drudzy zaś pokładali ufność w mocy alkoholu. Był też łączący obie grupy ksiądz, który bezgłośnie odmawiał modlitwy, nerwowo obracał koralikami różańca i z pełną – tak tylko jemu się wydawało – dyskrecją opróżniał pierścionkę. W trzeciej kategorii mieściła się pozostała czwórka (wraz ze mną), która zawierała nowoczesnej, amerykańskiej technice i polskim pilotom.

Wygodnie wyciągnąłem się w fotelu i sięgnąłem po gazetę, najwięcej było prorządowej, a że nie wzięłem nic ze sobą, dla zabicia czasu wertowałem dziennik, któremu w innych warunkach nie poświęciłbym nawet chwili. Czytanie stron o polityce sobie darowałem, jak zwykle same brednie, ale między peanami na cześć Śmigłego-Rydza, którego jeden z publicystów tytułował już marszałkiem, choć wciąż był generałem, trafiłem na relację niejakiego Jarosława Mizerskiego. Jego nazwisko nic mi nie mówiło, ale już miejsce, z którego nadawał, jak najbardziej.

Reporter słał swe korespondencje z Wenecji, gdzie już od wczoraj przebywała publiczność, mająca wyruszyć w dziewiczy rejs Batorego. Strasznie był ten Mizerski tym wszystkim podniecony i zaferowany, siusiak musiał mu sterczeć jak spławik w wodzie. Wszystkim się zachwycał, a zwłaszcza gościńą we włoskiej stoczni, gdzie wodowano nowy okręt wojenny. Chłopaczyna, bo czuło się młodzieńczy entuzjazm, malował słowem na szpaltach gazety obrazy z rozmachem godnym Matejki i wszystkich Kossaków razem wziętych.

Z tymi Kossakami to było coś na rzeczy, bo Wojciech Kossak znalazł się wśród pasażerów i nie one jeden uświetnił dziewiczy rejs Batorego. Mizerski naskrobał na łamach „Polski i Świata” całą listę waż-



nych i jeszcze ważniejszych. Najbliższy miesiąc miałem spędzić obok arystokratów, takich jak Potoccy i Tarnowscy, przemysłowców i bogaczy, nie brakło też artystów. Byli i dziennikarze, a wśród nich najjaśniejsza gwiazda – Melchior Wańkowicz.

Nie było za to Dołęgi-Mostowicza, któremu z chęcią oddałbym teraz swoje miejsce. Ciekawe, czy na pokładzie znajdzie się jakaś jego książka? Wtedy przypomniałem sobie o podróży bibliotecze od Poldka i liściku. Wyjąłem go z kieszeni i zacząłem czytać.

Drogi Przyjacielu!

Sądzę, że nie będzie zbyt wielkim nadużyciem, jeśli napiszę, że znam Cię dobrze, więc w tym rejsie albo rzucisz się w wir towarzyskich szaleństw, albo... wycofasz się, bo uznasz współtowarzyszy podróży za nudnych bufonów.

Pisał prawdę! O tym właśnie myślałem! Zresztą rejs potrwa dwadzieścia jeden dni, zatem nawet jak polubisz towarzystwo z transatlantyku, to zapewne wcześniej czy później się nim zmęczysz, a wtedy...

Wiem, że kiedyś wiele czytałeś, inaczej nie wsparłbyś mnie w mojej krótkiej, acz udanej karierze literata. Cóż, dyplomacie nie wypada pisać powieści sensacyjnych, niemniej epizod ten wspominam niezwykle dobrze. Ale do rzeczy! Ostatnio nie widziałem Cię z książkami w ręku...

Fakt, kiedyś czytałem naprawdę sporo, ale kiedy założyłem teatrzyk rewiowy Ameryka, to się mocno w lekturach opuściłem. A później korzystałem z bryków, a w zasadzie z brykania z bardzo miłą, rozkoszną, mądrą i czytaną kobietą, Aldoną Glock. Ona czyta chyba ze sto książek rocznie i o każdej z nich mi opowiadała, a nie raz w łóżku czytała mi fragmenty. Czasami zastanawiam się, jak to możliwe, że pomogłem Poldkowi w jego literackim epizodzie. No cóż, napisał parę sensacyjek dla Roja, a ja podrzuciłem mu kilka pomysłów, opowiadając o życiu w Chicago i korzystając z lektury nieznanego w Polsce *Sokoła maltańskiego*.

Co by się nie działo, to będziesz miał na książki albo bardzo dużo, albo tylko dużo czasu. Wybrałem dla Ciebie premierowych Krzyżowców Zofii Kossak Szczuckiej, pisarki katolickiej, ale... sam zobaczysz.

Zobaczyłem – to były cztery tomy!

Do tego zeszlorczone *Granica* Zofii Nałkowskiej i... wiem, wiem, zdziwisz się, *Doktor Murek* Dołęgi-Mostowicza. To jedna z tych jego dobrych książek, taka jak *Kariera Nikodema Dyzmy*.

Zatem jakaś cząstka Dołęgi-Mostowicza będzie na Batorym!

Dalej Poldek życzył mi udanych lektur, rejsu, zwiedzania i tak dalej, i tak dalej.

W końcu nadszedł nasz czas, poproszono nas do samolotu, który podkołował pod budynek dworca i był gotów na nasze przyjęcie. Czekał na nas piękny, stalowy ptak Lockheed Electra. Był to nowoczesny dolnopłat, który miał po każdej stronie kadłuba po pięć wcale wygodnych miejsc. Electra mogła lecieć ponad tysiąc sto kilometrów, ale mimo wszystko po dwóch i pół godzinie lotu musiała mieć przystanek w Budapeszcie.

Zacząłem od lotu z nosem przyklejonym do szyby, ale kiedy wlecieliśmy w chmury, usnąłem, obudziło mnie dopiero lądowanie w stolicy Węgier. Nigdy tam nie byłem i poczułem się rozczarowany, że przespałem lot nad Budapesztem. Kiedy tankowano i sprawdzano samolot wraz z innymi pasażerami, poszliśmy na kawę do skromnego budyńeczku portu. To był ostatki tego lotniska, które jak przystało na Węgrów, nosiło nieludzką nazwę Mátyásföld repülőtér, ten nowy port lotniczy ma się nazywać Budăörsi, co – niezależnie od tego, co tam pobudują – będzie jakimś postępem.

Zamieniłem z każdym z pasażerów po parę grzecznościowych zdań, nie afiszując się, że lecę do Wenecji po to, by zaokrętować się na Batorego. Po mniej niż godzinie weszliśmy po drabinie do wnętrza maszyny i poleciliśmy w kierunku Włoch. Niestety siedziałem po lewej stronie, a do tego samolot odładał się, a nie przybliżył do środka miasta, tak że Budapeszt nadal znałem tylko z pocztówek i gazetowych zdjęć. Nie było widoków, więc czytałem gazety, których lektury nie dokończyłem na Okęciu.

Z paru artykułów dowiedziałem się niemal wszystkiego o Batorym: statek miał prawie sto sześćdziesiąt metrów, czyli jak to jeden z redaktorów wytłumaczył miłośnikom futbolu, „niemal półtorej długości placu do gry w piłkę nożną”, był szeroki na dwadzieścia dwa metry, z siedmioma pokładami: słonecznym, łodziowym, spacerowym oraz czterema, których autorzy nie potrafili dokładniej opisać, poza tym że nazwane są one A, B, C i D. To, co mnie najbardziej interesowało, to opis kabin, których było trzysta osiemnaście, a każda z nich wyposażona w umywalkę z ciepłą wodą. Z luksusów będzie korzystać siedmiuset siedemdziesięciu trzech pasażerów, więc nie ma mowy, by liczyć na to, że się nie wpadnie na kogoś znajomego, a powozić tym ma i skakać koło klienteli trzystu trzydziestu czterech oficerów, marynarzy, kucharzy, kelnerów i służby. Pewnie i w tym gronie trafi się ktoś, z kim miałem okoliczność.

Może niepotrzebnie zakładałem, że będzie to zjazd bogatych bufonów i rządowych szych? W końcu z opisu jestem jednym z nich! Żyjący jak pączek w maśle, spoglądający na Warszawę z wysokości Prudentiala, posiadacz sportowego auta i limuzyny, którą prowadzi szofer. Zresztą zakamarków na statku będzie bez liku: jadalnie i sale dansingowe, wielka sala balowa, biblioteka, czytelnia, palarnia, kaplica, trzy bary, basen, sala gimnastyczna i wreszcie kort tenisowy! W końcu dotarłem do fragmentu, który niemal znalazłem na pamięć, czyli do opisu wnętrza. Aldona nadawała mi o tym wielokrotnie. Że Włosi zażądali jakiejś bajońskiej sumy za wykończenie Batorego, więc ktoś przytomny wymyślił, że zrobimy to nie tylko lepiej, ale i taniej. Pracowało przy tym dziele ponad siedemdziesięciu artystów i rzemieślników, malarzy, grafików, architektów wnętrz oraz meblarzy.

Moja przyjaciółka ekscytowała się obrazami Stryjeńskiej, meblami Niemojewskiego i ponoć obłędnymi kolumnami wykonanymi przez Kenara. To była prawdziwa armia, którą dowodził jak generał profesor Jastrzębowski, a wielu jego żołnierzy-artystów spędziło na Batorym po osiem miesięcy! Zrobiło mi się żal, że nie było ze mną Aldony, a po chwili przeszedł mi po plecach dreszcz niepokojny: a jeśli będzie tam Zofia? Zofia, ma się rozumieć nie sama, tylko z mężem! Odeгнаłem tę myśl od siebie, a na koniec zasnąłem.

Łądowania w Wenecji nie przegapiłem, bo choć przysnąłem, to obudziło mnie poruszenie. Ci, którzy nie byli entuzjastami latania, z miejsca zauważyli, że lądowisko na wyspie Lido jest przerażająco wąskie i otoczone morzem. Mimo to pilot wcelował i zrobił to mięciutko, bezszmerowo; zdarza się lotnikom wyciąć podwoziem o lądowisko.

Z portu na plac Świętego Marka zabrała pasażerów łódź motorowa, ale ja do niej nie wsiadłem. Takśówka zawiozła mnie do hotelu Excelsior, wielkiego pałacu, który pobudowali Brytyjczycy, by się poczuć trochę jak w Indiach, a trochę jak u siebie na wyspach. Odświeżyłem się, zjadłem lunch, poddrze-małem, zrobiłem zakupy w hotelowym sklepie, pospacerowałem po plaży i zobaczyłem zachód słońca. I tak minął dzień, ostatni przed zaokrętowaniem na Batorego.

Rano zamiast udać się na śniadanie, poszedłem do baru, bo zasnąłem. Tam wziąłem jakąś przekąskę i wypilem drinka, bo Anglicy i Szkoci nie są przesądni w kwestii picia przed południem. Zaordynowałem motorówkę na południe, żeby jeszcze dokupić coś w Wenecji i spokojnie wsiąść na pokład. Kiedy wolnym, jak na mnie, wręcz dostojnym krokiem zbliżałem się do wejścia, drogę zastąpił mi portier.

– Mister Haas? – zawołał i nie czekając na odpowiedź, dodał: – Telefon do pana!

Ki czort? – pomyślałem. Nim wybrzmiało moje „halo!”, owym diabłem okazał się Poldek.

– Ty jeszcze na Lido! – Hrabia był wyraźnie podniecony, jakby w następnym zdaniu miał mi ogłosić, że rejs odwołany, bo w kadłubie Batorego powstała gigantyczna dziura.

– Moje walizy już spakowane, za moment lecę na zakupy, a to zajmie mi minuta pięć, po czym walę do portu, panie hrabio!

– Tyle że ten port jest w Trieście!

– W jakim Trieście? – krzyknąłem tak, że aż publiczność w hallu spojrzała na mnie z przerażeniem. – Przecież to jest rejs Wenecja–Gdynia!

– Tylko w reklamie – jęknął Poldek.

Spojrzałem na zegarek, było dwadzieścia po jedenastej. Łódką mieli już płynąć do Wenecji jacyś angielscy pierdziele, którzy nie chcieli mi ustąpić miejsca, sternik krzychał *mamma mia!* i łapał się za głowę, bo przepadłby mu piękny kurs, konsjerż wydzwaniał do innych hoteli, a kierownik recepcji sprawdzał, jakie są połączenia z Dubrownikiem, gdyby się okazało, że nie zdążę do Triestu.

W końcu rozegrałem to po swojemu: po prostu kupiłem od tego zasranego lorda rejs za sto dolarów. Kiedy ja i Luigi, bo tak się nazywał sternik, pruliśmy w kierunku Triestu, minęliśmy po drodze motorówkę z sąsiedniego hotelu. Silnik ryczał, łódka pędziła, woda rozbryzgiwała się na boki, rybacy klęli, a ja czułem się, jakbym jechał na koniu galopem, w dodatku na oklep. Nagle zwolniliśmy, myślałem, że motor zdechł, ale po prostu skręciliśmy do Lido di Jesolo, by prawie na końcu weneckiej laguny zatankować paliwo. Dalej poszło bez sensacji, choć wszystko na styk.

Kiedy zobaczyłem stojącą w porcie sylwetkę Batorego, tym razem reklama nie kłamała. Może i rejs nie był z Wenecji, tylko z Triestu, ale statek był piękny, a może nawet i piękniejszy od tego z folderu. Zanurzyłem się w gwarze pasażerów i gapiów oraz dźwiękach orkiestry, przez co nieco się uspokoiłem. Trochę za wcześnie, bo nie wpuścili motorówki pod samego Batorego, wysiadłem daleko od niego i kawałek podjechałem jakąś portową platformą. Później musiałem ruszyć biegiem, bo zobaczyłem, że majstrują coś przy trapie. Minąłem gapiów, orkiestrę, policjantów, którym machnąłem biletem, aż w końcu zwolniłem, bo mnie zauważono. Wstrzymali wciąganie trapu, a ja spojrzałem na zegarek, miałem jeszcze całe pięć minut, zatem nie musiałem biec.

Zwolniłem i szedłem spokojnie, kiedy niemal napadł mnie jakiś facet, młodszy ode mnie, wyglądający, jakby szedł na karnawałową imprezę, na której miał wystąpić jako amerykański reporter. Płaszcz, kapelusz z wsadzonym za wstążkę notesem i ołówkiem. Zastanawiałem się, czy nie łatwiej byłoby notes i ołówek wyjmować z kieszeni, gdyby chciał coś zanotować. W końcu było ciepło, a on po coś miał na sobie ten prochowiec! Pomyślałem to w złą godzinę – gość zlustrował mnie, jakby chciał się we mnie czegoś doszukać, po czym ruszył w moim kierunku, wyciągając ołówek i notes!

– Jarosław Mizerski, gazeta „Polska i Świat”, pan jest pasażerem! – wykrzyknął.

– Nie! – zaprzeczyłem.

– Nie? – Spojrzał na mnie, wyraźnie nie dowierzając, tak jak ja nie dowierzałem, że można się spodziewać czegoś sensownego po reporterze rządowej gazety, którego płomienny artykuł o Batorym czytałem na Okęciu.

– Ale... – Patrzył na mnie, chcąc dodać coś jeszcze i zastępując drogę. Uparł się na mnie, cholernik!

– Jak mnie pan nie przepuści, to nie wejdę na pokład i nie zostanę pasażerem.

– Tylko jedno słówko! – Czuję, że jeszcze chwila i będę się z nim musiał szarpać. – Jak się pan czuje przed rejsem?

– Rozpiera mnie duma, że w tak doborowym towarzystwie popłynę szlakiem Marszałka przez Maderę do Polskiego Okna na Świat!

Oniemiał, lecz zanotował. Jeszcze raz przeczytał sobie tekst po cichu, poruszając przy tym wargami, jakby odmawiał modlitwę.

– Jak pana podpisać? – wyrwał się w końcu z osłupienia.

– Włodzimierz Zagórski – odparłem, po czym dodałem, widząc, że reporter wpadł w nowy stupor: – Niestety nie mam przy sobie kart wizytowych. Zagórski, Włodzimierz Zagórski, polski patriota, wierny żołnierz marszałka Józefa Piłsudskiego!

Nie uważałem generała Włodzimierza Zagórskiego, jednego z największych wrogów Marszałka, za jakiegoś szczególnego patriotę, bo w końcu do Pierwszej Brygady trafił jako oficer austriackiego wywiadu, by pilnować Piłsudskiego i spółki. Miałem go raczej za grubego cwaniaka, bo w czasie wojny próbował przejąć kontrolę nad brygadą, a po jej zakończeniu naciągnął Polskę na miliony, tworząc z Francuzami spółkę Francopol. Firma ta sprowadzała latający smiel i uważałem, że jego śmierć nie była efektem zwykłego mordu politycznego, raczej pozbyciem się akcjonariusza, na którego można zwalić wszystkie winy. Po zamachu majowym Marszałek w try miga dogadał się z arystokratami, a wła-

śnie paru z nich Zagórski miał w swojej spółce. Tak czy owak dla reportera z rządowej gazety takie nazwisko nie istniało.

– I proszę, niech pan wspomni, że pochodzę z Ryków, rodzina będzie dumna! – dodałem, bo nie było chyba zabawniejszej nazwy miejscowości.

Nie wiem, czy załapał, że się z niego nabijam, ale stojąc z rozwartą japońską, nie mógł zadać mi żadnego pytania. Minąłem go, a on ruszył za mną, usłyszałem jego kroki, po czym przystanąłem, obróciłem się, on ledwie co wyhamował i przystanął przede mną z pytającym spojrzeniem, czegoż to mogę jeszcze od niego chcieć.

– Panie Mizerski! – Spojrzałem mu w oczy, po czym położyłem mu na ramieniu dłoń i zanuciłem ścisłym, ale bardzo dramatycznym głosem: – Legiony to...

– ...żołnierska dusza – podjął oniemiały reporter.

– Legiony to... – podałem kolejną strofkę.

– ...ofiarny stos – odpowiedział mi wciąż niepewnie.

– Legiony to...

– ...żołnierska buta. – Teraz już wszedł w niego automatyzm, kolejnego wersu już nie podjąłem, Mizerski jechał dalej sam: – Legiony to straceńców los!

– Zrobi pan kolosalną karierę, poinformuję o wszystkim redakcję i pana prezydenta – szepnąłem między zwrotką a refrenem, po czym nie oglądając się za siebie, poszedłem spokojnie w kierunku trapu, wsłuchując się w solowy popis gorliwego reportera rządowej gazety „Polska i Świat”.

– My, Pierwsza Brygada, strzelecka gromada! – piał Mizerski, a ja już okazywałem bilet oficerowi i stewardom.

– Piękny patriotyczny zryw – powiedziałem, wskazując na śpiewającego reportera, lecz oficer zachował kamienną twarz, a stewardzi z uśmiechami odebrali walizkę i torbę z książkami.

Wszedłem trapem na pokład i nagle uświadomiłem sobie, że mimochodem, będąc ostatnim, który wsiadł na statek, stałem się gwiazdą. Patrzone na moje entre, jakbym co najmniej był japońskim posłem w stroju narodowym. Coś w tym było, bo choć nie miałem wachlarza, to z powodu temperatury i tempa, w jakim pokonałem ostatnie metry, chłodziłem się, używając do tego celu programu wy-cieczki, który wręczył mi oficer.

## ROZDZIAŁ V

**W którym potwierdza się, że ostatni będą pierwszymi, nie robiąc nic, można wzbudzać zainteresowanie, jedzenie płatków Kelloggsa nie jest tak skuteczne jak picie bromu, bogaci i wężniacy płacą najmniej albo wcale, a najważniejsze znajomości są tymi z wojska i szkoły**

Ledwie wszedłem na pokład, zaczęto wciągać trap, z dołu raz jeszcze, na bis, gruchnęła *Pierwsza Brygada*, jakby specjalnie, by dziarski reporter Mizerski mógł się dołączyć do orkiestry, a po chwili do gry weszły żółte kominy Batorego. Silnik zahuczał mocniej, rozległy się dźwięk syreny, gwizdki oficerów i bosmanów. Ludzie machali chusteczkami, strzelały migawki aparatów, śpiewano i wnoszono okrzyki wśród crescendo oklasków. Patriotyczno-wycieczkowe uniesienie sięgnęło zenitu, a ja po emocjach ostatnich godzin szukałem drogi do swej kabiny.

Zamiast stewarda pojawił się on! Wyglądał jak na malowance dla dzieci, komiksie albo prospekcje. Wysoki, męzny, z wąsem i siwymi skroniami, prawdziwy wilk morski jak ktoś z Jacka Londona albo Conrada, pewnym krokiem zmierzał ku mnie, sunął, jakby to właśnie on był transatlantykem. Dostrzegłem go z daleka, nie sposób było go przeoczyć, bo miał ze dwa metry wzrostu i jego biała czapka kapitańska unosiła się ponad resztą załogi i pasażerów jak żagiel nad taflą wody. Dał mi przenikliwym spojrzaniem znak, że idzie właśnie do mnie; szedł szykowny jak sam Żabczyński, potężny jak Pytłasiński, sunął ku mnie prawdziwy gwiazdor, za którego chyba inni oficerowie prowadzili teraz statek, bo on kompletnie nie miała na to czasu. Jego marsz w moją stronę był jak marsz Marszałka między narodem, odbierał bowiem nieustające honory i holdy, każdy go zagadywał, a on był uprzejmy i dla każdego pasażera znajdował chwilę.

– Kapitan Eustazy Borkowski – przedstawił się, choć nie musiał, bo po rejsie do Nowego Jorku, podczas którego dowodził Piłsudskim, oraz w dniach poprzedzających debiut Batorego, był prawdziwą gwiazdą, a jego oblicze figurowało w kronikach filmowych, gazetach i tygodnikach. Bez dwóch zdań i żadnej lipy był jedną z najpopularniejszych postaci w Polsce, a tu bohaterem bezkonkurencyjnym. Nawet gdyby się tu pojawił Bodo ze swoją Czarną Perłą, panną Neri, i wielkim psem Sambo, nikt by nie zwrócił na niego tyle uwagi, co na kapitana. – Jestem tu pierwszy po Bogu – powiedział, a ja nie do końca wiedziałem, czy żartem, czy serio.

– Henryk Haas, ostatni pasażer! – zażartowałem, po czym dodałem całkiem szczerze: – Pan tu naprawdę jesteś pierwszy po Bogu!

– Taka funkcja została mi wyznaczona! – odparł, zachowując skromność.

Ale nie taką zwykłą, było w niej coś z pomnikowej dumy, coś na kształt – jak to mówią w przypadku aktorów – kreacji. Widziałem to od pierwszych chwil, że nie tylko był kapitanem, ale jeszcze swoją rolę ubarwiał. Stojąc na tle obrazu przedstawiającego króla Batorego w czerwonym kontuszku, futrzanej czapie i złotych butach, nie prezentował się gorzej od tego, który pobił Moskali pod Pskowem. W końcu sporo przeżył i z niejednego pieca chleb jadł.

Choć wyglądał nad wyraz poważnie, to był jeszcze przed pięćdziesiątką. Urodził się w Warszawie, skąd ruszył w świat. Kiedy rzucał gimnazjum, miał czternaście lat, więc był z niego niezły kozak, bo ja zviałem ze szkoły, jak byłem o dwa lata starszy. Pływał, uczył się w Rydze, aż został oficerem carskiej floty handlowej. Co robił podczas wojny? Nie wiadomo, ale podobno po jej zakończeniu pracował jako paryski taksówkarz. To było jego własne auto i pewnie jak je zajeździł, to w 1929 roku wrócił do Polski. Potrzebowano fachowców na morzu, więc z miejsca został kapitanem pasażerskiego *Premjera*, a następnie szefował na *Kościuszcze* i *Pulaskim* oraz w zastępstwie na *Piłsudskim*, ale krótko.

Kapitanem Batorego został, jak statek był jeszcze w budowie. Nic dziwnego, miał doświadczenie, mówił połową języków tego świata, a na dodatek otaczał go nimb sławy, o czym z lubością rozpisywali się dziennikarze. A było o czym! Uratował niemieckich rozbitków ze statku Horst Wessel, za co dostał Krzyż Zasługi, no i rzecz jasna dowodził sławnym transportem czterech kanadyjskich bizonów zamówionych przez prezydenta. Teraz już mało kto pamiętał o tamtych sprawach, bo liczyło się to, że był kapitanem Batorego.

– Pan pierwszy raz na morzu? – zapytał.

– Drugi – odparłem, czym go nieco zaskoczyłem, bo większość pasażerów była debiutantami, po czym dodałem, że płynąłem do Ameryki na pokładzie RMS Majestic.

– Ach tak... – odparł kapitan.

Nie tylko miał przed sobą pasażera, któremu rejs po Morzu Śródziemnym nie wydawał się niczym nadzwyczajnym, ale już wcześniej płynął prawdziwym kolosem. Majestic miał wysoką na pięć pięter nadbudówkę, trzy strzeliste złote kominy i mierzył prawie trzysta metrów długości. Batory był niemal o połowę krótszy, o wiele niższy i miał na pokładzie około tysiąca stu pasażerów i członków załogi. Kapitan Metcalfe, który dowodził tą bestią, miał pod sobą trzy tysiące ludzi.

– Majestic to dawny Bismarck – dodał do swojego „ach tak” Eustazy Borkowski, zapewne zbierając myśli, by jednak zaskoczyć czymś pasażera o takim doświadczeniu. – Piękny, potężny statek, ale parowy, my jesteście statkiem motorowym! – powiedział z dumą.

– To wielki postęp! – odparłem i nie ciągnąłem tematu, bo mimo nowocześniejszej konstrukcji motorów diesla, które miały nieopętą wprost moc dwunastu tysięcy koni mechanicznych, Batory nie wygrałby wyścigu z napędzanym przez parowe silniki kolosem. Poza tym Batory jest piękniejszy, Majestic był *démodé*!

– W rzeczy samej, mój panie! – Kapitan się rozpromienił, uścisnęliśmy sobie dłonie.

Eustazy Borkowski ruszył dalej. Idący z nim oficer przypatrywał mi się uważnie. Skąd ja go znam? Ale wspomnienie się ulotniło, przede mną stał już steward i bagażowy. Wzięli moje bambetle i poszli śmy do kajuty.

Po drodze steward opowiadał o statku, bo byłem najslabiej poinformowaną osobą. Niemal wszyscy byli tu od wczoraj i zdążyli zwiedzić nie tylko Batorego, ale i okolicę.

– Pan szanowny to musi być zalatany, skoro wcześniej ze wszystkimi pociągiem nie przyjechał – zagaił na początek.

– W rzeczy samej zalatany, przyleciałem samolotem.

– Jak pan jeszcze w domu siedział, to reszta pasażerów już dawno rajdem gwiazdzistym z całej Polski zjeżdżała się do Katowic. Tam na dwie tury jechali dalej, bo aż dwóch składów było potrzeba, by dojechać do Wiednia, a w Wiedniu kolejna przesiadka do Triestu!

– Znaczy się, to już jest zgrane towarzystwo – powiedziałem – pomyślałem sobie, że albo zajmę wygodną pozycję outsidera, albo też będą mnie chcieli wyimpasować jak singlowego króla w brydżowej rozgrywce i dołączyć do swojej lewy.

– O tak, szanowny panie, to już mocno zgrana, a do tego niezwykle rozrywkowa kompania, oczywiście nie wszyscy dokazują... – Ściszył głos i uśmiechnął się porozumiewawczo. – Jak to tutaj się mówi, atmosfera jest taka bardziej jak w pociągu narciarskim!

Nie musiał mi nic więcej dodawać, pociąg Narty–Dancing–Brydż był słynną formą objazdowej rozrywki, którą i ja poznałem. Nie będzie wylewania za kołnierza, miękkiej gry, będzie ułańsko-narciarska fantazja, będą pokusy...

– Ale to wszystko tak z grubsza wieczorem, a z rana śniadania! Kapitan bardzo przestrzega godzin, poranny posiłek od ósmej do dziewiątej, a kto zaśni – steward powiedział to tonem znaczącym – ten nie zostanie na lodzie, od jedenastej ratuje życie bulion z pieczywem! Jest roznoszony po pokładach, barach, na obydwu werandach oraz salach towarzyskich. Jak i bulion okaże się zbyt wczesną propozycją, to pół do pierwszej zapraszamy do sali jadalnej na drugie śniadanie. Później, o czwartej po południu

dniu, podwieczerek, wieczorny obiad, czy też jak kto woli wczesna kolacja, serwowana jest o pół do siódmej. Dla wytrwałych od dwudziestej trzeciej podajemy w barach zimne i ciepłe przekąski oraz... alkohol, ma się rozumieć. W międzyczasie można skorzystać z baru amerykańskiego i damskiego, zrobić zakupy, zagrać w jaką grę towarzyską, napisać list i złożyć go w naszym urzędzie pocztowym, najpóźniej na godzinę przed wypłynięciem do portu! Matki okrętowej, znaczy się ochronki, szanowny pan nie potrzebuje – zażartował steward, rozglądając się na boki, jakby szukał jakiejś pociechy, której wcześniej nie zauważył. – Z sali gimnastycznej, basenu i kortu na pewno będzie pan chciał skorzystać! No i ma się rozumieć z Pokładu Słonecznego, gdzie można się poopalać, tylko proszę pamiętać, by wracając do kajuty, konieczne założyć płaszcz kąpielowy! A jeśli pan szanowny zawinszuje skorzystać z kocyków i leżaka, można je nająć dla wypoczynku na górnych pokładach, dzienna opłata wynosi pięć złotych!

Doszliśmy do kabiny, więc dałem po piątku gadatliwemu stewardowi i jego milczącemu asystentowi. Kajuta była niczego sobie, z iluminatorem, toaletą i podwójnym pulmanowskim łóżkiem, czyli takim składanym piętrem jak w kolejowym ślipingu.

Kłapałem na łóżku i pewnie byłem jedynym pasażerem, który sprawdzał teraz sprężystość materaca. Przez okno dochodziły odgłosy święta, wszyscy wylegli na pokłady, chcąc stać się częścią historycznej chwili. Zmęczony dzikim rajdem motorówki, nieco poobijany, postanowiłem uderzyć w małe kimono, po czym ruszyć na festiwal propozycji kulinarnych. Kiszki grały mi marsza, więc się cieszyłem na podwieczerek, który zacznie się już za dwie godziny.

Lekkie dudnienie motorów, kołysanie fal i zmęczenie przyniosły błyskawiczny sen, i jak to mówi Mietek Kosiorek, kimnałem w opakowaniu. Zdążyłem tylko zzuć buty, co zrobiłem zaraz po wejściu do kabiny, i poluzować krawat. Jak szybko usnąłem, tak szybko mnie obudzono. Natrętne pukanie do drzwi wyrwało mnie ze snu jak pięść championa zmiata z ringu marnego fightera. Życząc pukającemu wszystkiego najgorszego, obrażając w myślach jego rodzinę, powlokłem się do drzwi. Zastałem w nich wyraźnie zaafetowanego stewarda, tego samego, który odprowadzał mnie niedawno do kabiny.

– Szanowny panie, upraszam pana o wypełnienie zamówienia obiadowego! Trzeba wypełnić wszystkie dwadzieścia jeden rubryk, wybrać z menu dania na całą trasę!

Podał mi książeczkę, a ja poczułem się jak dziecko w ochronce albo szeregowy w wojsku, który musi zjeść na czas.

– Panie starszy – wyjęczałem – zamawiam u pana usługę pierwszorzędnego wyboru dań, zaordynuj pan, co najlepsze, byleby bez nówek, buraczków i... no, niech pan coś zakreśli, wpisz, podkreśli!

Steward wziął arkusz obiadowy, zainkasował kolejną piątkę, a ja zamknąłem drzwi i zasnąłem.

Gdybym się spał, oczywiście nie jak świnia, ot tak, bankietowo, jak się pije w Adrii, żeby później o własnych siłach wyjść po schodach na powierzchnię, to pewnie nikt by mnie nie zapamiętał, bo byłbym jednym z wielu. W takim tłumie naprawdę trzeba pokazać nie wiadomo co, żeby ludzie cię zapamiętali, na przykład jak pod Morskim Okiem w Zakopanem, czy nie tak dawno w Victorii, dać komuś pedagogicznie i wychowawczo po mordzie.

Tymczasem ja byłem na drugim biegunie, bo zdobyłem sławę dziwaka, który nie przyjechał ze wszystkimi pociągami z Katowic, o mało nie spóźnił się na wypłynięcie statku, a na koniec nie uczestniczył w Balu Kapitańskim, wielkim wieczorze zapoznawczym. Gdybym był pisarzem Strugiem, który chyba poważnie chorował, bo ledwie chodził, to wiadoma rzecz! Tymczasem ja miałem trzydzieści dwa lata, i chyba na tyle wyglądałem, kulawy nie byłem, ręce miałem obie i aurą suchotnika ode mnie nie zalaływało. No i nie byłem księdzem, więc czemu w niczym nie uczestniczyłem?

Ponadto rozczarowałem swoich sąsiadów od stolika. Został jeden wolny, a dokładnie dwa wolne miejsca przy czteroosobowym stoliku. Ich była dwójka. Paniusia w wieku żeglarskim, znaczy się rycząca czterdziestka. Nienachalnie urodziwa blondyna z lisem na szyi, biżuterią na pokaz i z pretensjami do świata, a on nieco od niej starszy i chyba przez nią sterroryzowany. Jeden z tych, którzy godzi

się z fochami żony i jej ustawicznym bólem głowy, bojący się, że utraci coś jeszcze, skoro nic już poza wydatkami nie ma. Tłustawy typ, z zaczesanymi pod górę, trzymającymi się na brylantynie ażurowymi włosami i ze szcزتeczka wąsów pod nosem, jak kanclerz Niemiec albo Chaplin. Taki typ, co cwaniakuje przed służbą i pracownikami, trzyma ich wszystkich za mordę, a młodsze podkomendne łapie za tyłek, ale przed żoną czuje mores i ma pełne gacie. Myśleli pewnie, że mają stolik na wyłączność, a tymczasem przyszedłem, przywitałem się i usiadłem.

– Starosta Głębicki – przedstawił się, lecz zaraz poprawił: – Wicestarosta!

No to prawie rządowa figura, gdzieś z Pierdziszewa, bo Głębic jako siedziby starostwa sobie nie przypominałem. Podał nazwisko, a o swojej metropolii wołał zmilczeć. W końcu, przynajmniej w teorii, starosta bóbrecki albo żydaczowski znaczy tyle samo, co lubelski czy tarnowski.

– Głębicka – przedstawiła się niechętnie blondyna, potwierdzając moje przypuszczenia i wciskając mi do ucałowania pulchną dłoń. – Aleksandra Głębicka.

No i tyle rozmowy, bo byli obrażeni, że zająłem miejsce, które już uznali za swoje, baba nawet położyła na jednym krześle torebkę, a pan wicestarosta na drugim kapelus. Teraz torebka i kapelusz spoczywały na jednym krześle. Obraza majestatu pani wicestarostowej Pierdziszewskiej.

Miałem ochotę na jajecznicę na boczku, ale moi sąsiedzi nie dość, że byli przy kości, to jedli śniadanie jak Brytyjczycy. Ich talerze obciekały tłuszczem, więc jakby z przekory poszedłem sobie do szwedzkiego stołu nałożyć czegoś lżejszego. Po drodze, rozglądając się, doszedłem do wniosku, że pół sali to szwedzki stół: mnóstwo pięknych kobiet, brać, wybierać... Może dlatego nałożyłem, jakbym chciał się poumartwiać, do miski płatków marki Kellogg's. W Polsce to była jeszcze nowość, a mnie przypomniało się, że ten Kellogg, który to wymyślił, był niezłe nawiedzonym adwentystą dnia siódmego, uważał, że trzeba się zdrowo odżywiać, a jedzenie płatków zapobiega onanizmowi. Coś w tym było, bo Miecio, który się kiedyś „tym wynalazkiem” poczęstował, powiedział krótko: „Jakbym coś takiego jadł na śniadanie, to do końca dnia faja by mi nie dygnęła nawet o milimetr”. Patrząc na panie, które zasiadały na sali, same płatki nie wystarczały, tu trzeba by było po wojskowemu wyfasować porządną łyżkę bromu!

A może i dwie? – pomyślałem, bo miałem jakąś dziwną łatwość w poznawaniu kobiet w najrozmaitszych okolicznościach. Większość romansów wiązała się z kłopotami. Byłem więc czujny.

Kiedy śniadanie się skończyło i zastanawiałem się, co dalej, do naszego stolika podszedł pierwszy oficer, ten wysoki przystojniak, z którym wymieniliśmy spojrzenia poprzedniego dnia. Pani wicestarostka aż się wyprężyła, a jej mąż się jakby skurczył, tymczasem oficer zsalutował i zapytał:

– Heniek z Wawelberga?

Poznałem go!

– I to z obu!

I po chwili ściskaliśmy się, jak to szkolni koledzy i weterani wojenni, bo z Tadkiem Meissnerem i jego bratem Januszem chodziliśmy do szkoły Wawelberga i Rotwanda, oni byli nieco starsi, a później służyliśmy pod kapitanem Puszczykowskim w Grupie Destrukcyjnej Wawelberg. Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej rozmawialiśmy, ale znaleźliśmy się z widzenia, no i łączyły nas wspólne przygody, dowódcy i belfrzy. Odeszliśmy od stolika, zostawiając parę; on był zadowolony, ona rozczarowana, bo pewnie myślała, że Tadek ma do niej jakąś sprawę.

– Nie byłem pewien, czy to ty, nie zdążyłem sprawdzić, kto tu jest pierwszym oficerem.

– Za to pierwszy oficer zdążył zajrzeć na listę pasażerów. Nie bardzo wiedziałem kogo szukać, ze szkoły pamiętałem, że Heńka, a z obozu szkoleniowego w Sosnowcu znałem Haasa, no i patrzę, a tu pan Henryk Haas!

– Byłem w Ameryce, tam z Wcisłą był kłopot – wyjaśniłem, a Tadek uśmiechnął się tylko, bo jego nazwisko nie było za granicą problemem – więc przybrałem nazwisko z Wawelberga, zresztą moich kuzynów, miałem jeszcze do wyboru po babci: Muller. Powiedz, bom strasznie ciekaw: co u Janusza?



– Znów jest lotnikiem i pewnie tak zostanie, tak to braci Meissnerów z Żelaznej w Warszawie rzuciło pod niebo i na oceany.

– Podobno stary też z Warszawy?

– Tak, nasz kapitan to warszawiak.

– A pasażerowie?

– Dużo publiki ze stolicy, a i z Krakowa też, elita, bo kogo stać, żeby taki żółty kartonik (chodziło mu o bilet, który miał cytrynowy kolor) wymienić za paręset złotych.

– Po ile chodziły najtańsze? – zaciekawilem się, bo nie miałem pojęcia, ile tu stały najtańsze bilety.

– Ceny idą od czterystu dziewięćdziesięciu złotych. Miejsce w trzyosobowej kajucie, dwa poziomy pod linią wodną, na wyposażeniu umywalka, toaleta wspólna na korytarzu – wyjaśnił. – Nauczyciel ze szkoły powszechnej musi odłożyć dwie miesięczne pensje, żeby tu z nami być (nie był to żart, raczej gorzka uwaga). A wielu, których na to stać, ma to zupełnie za darmo. Spójrz na tamtą panią w niebieskiej sukience. – Wskazał dyskretnie brodą kobietę po trzydziestce.

– Powinienem znać?

– Nie sądzę, ale męża tak, choćby ze słyszenia. To Eleonora Świtalska, żona Kazimierza, a obok Paulina z Tylickich Starzyńska, jeden mąż jest upadłą, a drugi wschodzącą gwiazdą.

– Pani wojewodzina i pani prezydentowa – odparłem. – Domyślam się, że ten, co jest na fali, to prezydent Warszawy, a ten skończony to wojewoda krakowski?

– Jak jechała pociągiem, to była jeszcze wojewodzina, jak szła po trapie, jej męża zwalniali z posady. Jak się strajk kończy ofiarami śmiertelnymi, to ktoś z kręgów rządowych musi dać głowę, padło na Świtalskiego, bo się sam podłożył, w środku strajku wyjechał na narty do Zakopanego. Pewnie dostanie inną posadę, może jak Walery Slawek zasiądzie w Instytucie Piłsudskiego, źle nie wylądaje, zresztą żona spędza w luksusie darmowe wakacje, w kajucie pierwszej klasy numer sto piętnasty.

– Jest pierwsza klasa? – zapytałem zaskoczony.

– Tak, jest parę lepszych kajut z wyjściem na własny kawałek tarasu spacerowego. Poważny luksus,zydentowa Starzyńska i admirałowa Unrug tak nie mieszkają! One też bez mężów, panowie płynęły na inaugurację Piłsudskiego. Było jeszcze trochę arystokratów, sama śmietanka towarzyska. O właśnie przeszły panie Żeromskie – zerknąłem tylko i wystarczyło mi stwierdzić, że panna Żeromska jest przepiękną kobietą – to jakby jakieś tête-à-tête, to broń Boże, nie mówi o matce panny Moniki, że jest wdową albo żoną. Nigdy nią nie była, nazywa się Anna Zawadzka, a mistrz swoim nazwiskiem obdarzył tylko córkę, z pierwszą żoną Oktawią nigdy się nie rozwiódł.

– O czymś jeszcze muszę wiedzieć?

– Tak na wszelki wypadek nic nie mów o willi w Konstancinie, bo choć ją pan Stefan Żeromski dostał od wydawcy, to jednak wiele na tym stracił, wydawca doprowadził siebie do bankructwa, a Żeromskich na jego skraj, zresztą tu prawie każdy kryje jakąś tajemnicę... – Tadek powiódł oczami po sali, odpowiadając na pozdrowienia pasażerów, głównie pań.

Postanowiłem zmienić temat, ale pozostać przy sprawach Batorego.

– Co straciłem z przyjęcia? Bo wiesz, zaspąłem na Bal Kapitański.

– Uroczystą przemowę pana kapitana Borkowskiego, toasty z szampana wzniesione ku chwale Matki Boskiej Gwiazdy Morza i za świętej pamięci marszałka Piłsudskiego.

– To nie aż tak wiele. A skoro już cię wypyuję, to powiedz, czemu Batory?

– Bo nie Paderewski, a Piłsudski już jest. Polonia chciała Paderewskiego, ale rząd go nie znosi, poza tym wciąż żyje, więc wybrano króla, co miał Polskę od morza do morza, a Gdańsk trzymał krótko na smyczy.

– A jak wodowanie? Z pompą?

Tadek Meissner spojrzął na mnie z politowaniem.

– Wodowanie było dawno temu i bez pompy – zaśmiał się – próby szybkości i sterowności odbyły się trzy tygodnie temu, a przed czterema dniami było już tylko oficjalne przekazanie. Bum z armaty, hymny i bankiet, wszystko jak trzeba.

– Muszę na coś uważać? – zapytałem.

– Na kobiety – roześmiał się – szaleją na morzu, a zwłaszcza jedna, Bela Gelbard, ale bądź spokojny, ta wariatka przed rejssem awanturowała się w naszym warszawskim biurze, że powinna dostać darmowy bilet, bo nikt jak ona nie zasługuje na to, żeby być maskotką rejsu.

– Bela Gelbard... – zamyśliłem się – ...wysoka, ekstrawagancka, po czterdziestce?

– Ta sama, znasz ją?

– Z widzenia, z Zakopanego. Prowadzała się tam z Witkacym.

– To wiele wyjaśnia. – Tadek się zaśmiał. – Ona szaleje za tym młodym reporterem i podróżnikiem, Fiedlerem.

– A ta dama w marynarskim stroju? – Nie potrafiłem się powstrzymać, by nie zapytać o blondynkę w granatowych spodniach i białej marynarce z wykładanym kołnierzem.

– Alicja Kazanecka, dobry wybór! – pochwalili Tadek. – Piękna i do tego dziedziczka niezłej fortuny, jej ojciec...

– Tak tylko pytam – przerwałem mu.

– Oczywiście, pewnie o jeszcze niejedną osobę będziesz mnie pytać, więc uprzedzę cię i zakończę twoją ciężką pracę umysłową, która w innym przypadku nie dawałaby ci spokoju.

– Ale przecież ja jestem spokojny jak nigdy!

– Jeśli się myślę, to stawiam ci w Lizbonie butelkę przedniego porto i vice versa, jeśli miałem rację. Stoi? – zapytał, a ja przytaknąłem. – Zatem, mój drogi, zastanawiasz się, czy ta dama chodzi w spodniach, bo kryje felerne nogi, czyż nie tak? Otóż nie, nogi ma prima sort, ale żeby to wiedzieć, nie można być śpiochem i leniem, tylko trzeba od rana korzystać z naszego basenu! *Adieu*, niedługo wpływamy do Dubrownika.

Zasalutował i poszedł, a ja zostałem, myśląc o kobiecie w marynarskim stroju i przegranych zakładzie. Skąd on, do cholery, wiedział, że zastanawiałem się, jakie nogi kryją szerokie marynarskie spodnie?

## ROZDZIAŁ VI

**W którym Dubrownik jest pięknym miastem, a ja, niepomny ostrzeżenia, wchodzę w ryzykowny świat nocnego życia, doświadczam towarzyskiego rozczarowania, werandując z mistrzem Wańkowiczem i biorę udział w bolesnym zderzeniu**

Nigdy nie byłem w Dubrowniku, ale znałem go jak prawie każdy Polak, bo niedawnym przebojem kinowym była *Panienka z poste restante*, kiczowata historia o tym, jak przez zakłócenia na łączach i błędny tekst depeszy, pracująca na poste restante panienka wyjeżdża do Dubrownika, zastępując sekretarkę przemysłowca. Komedia pomyłek, romans, kryminał i film krajoznawczy w jednym, z obowiązkowym szlagierem i happy endem. Zły Amerykanin, który chce pozabawić majątku polskiego asa biznesu, przegrywa z kretesem, a przemysłowiec bierze ślub z Marysią z poste restante. Banał, aż zęby bołą, ale Dubrownik i jego okolice są przepiękne, więc nadrabiają braki fabularne.

Już z pokładu statku miasto wyglądało pięknie, lepiej niż w kinie. Do tego Batorego okrążyło mnóstwo małych łódek i kutrów, bo tamtejszy port jest płytki, więc na ląd przerzucały nas mniejsze jednostki, co już samo w sobie było jakąś atrakcją. Płynąłem w jednej łódce z panną Moniką, która opowiadała o katastrofie, do jakiej doszło na konstancińskiej rzeczce Jeziorce. Towarzystwo zabalowało w miejscowym kasynie i zarządzono nocne pływanie łódkami. Załoga jednej z nich spadła z progu wodnego, bo albo zapomniano, że tama może być podniesiona, albo przegrali z nurtem Jeziorki. My na szczęście takich przygód nie mieliśmy.

Ponad sześciuset pasażerów ruszyło na uliczki Dubrownika, ja taktycznie, choć miałem bilet, nie podłączyłem się do żadnej z wycieczkowych tur, kupiłem jakiś niemiecki bedeker, były jeszcze francuskie, polskich i angielskich nie mieli. Dawno nie miałem kontaktu z niemieckim, może to znak, że trzeba sobie przypomnieć język matki? Na myśl o niej, o tym, jak odeszła z tego świata, poczułem ukłucie w sercu, ogarnął mnie smutek, załamała melancholia. W tym stanie ruszyłem samotnie za mury bajkowego miasta z białego kamienia, które nazywało się kiedyś Ragusium, a Włosi mówili o nim Ragusa.

Chodząc po tym niezwykłym miejscu, zaglądając w uliczki, wchodząc na mury i patrząc na morze dachów z czerwonej dachówki, zdałem sobie sprawę, że tak naprawdę to niewiele widziałem. Owszem, mogłem zaimponować Ameryką, widziałem tam Chicago, Nowy Jork i Kalifornię, ale cały ten wyjazd był jedynie ucieczką. Patrząc na Dubrownik, jedząc małe szaszłycki i zapijając młodym winem, postanowiłem to zmienić. Teraz będę podróżował, zwiedził świat, uwolnił się do stałych adresów: Juraty, Krynicy i Zakopanego! Z radosnym nastawieniem wróciłem na statek, ustawiłem się przy burcie i patrzyłem na miasto, a później na pasażerów wchodzących po trapie.

Wyhaczyłem stającą niczym tancerka pasażerkę. Figurka, nóżki, ubranie, wszystko pierwsza klasa, tylko twarzy nie było widać, bo na głowie miała kapelusz z wielkim rondem. Pod rękę trzymał ją dżentelmen w średnim wieku, też elegancko ubrany. Jego twarz było widać i niemal krzyknąłem ze zdziwienia: to był Władysław Zylberg, człowiek interesu, kupiec, któremu sprzedawałem kabaret! Zatem... Nie chciało mi się wierzyć, ale ta kobieta nie mogła też być jego córką, bo czule się obejmowali. Poza tym znałem tę figurkę i te nogi, w końcu należały one do gwiazdki mojego lokalu. To oznaczało, że Alina Chrabąszcz, która pod pseudonimem Anastazja występowała w mojej Ameryce, teraz już całkiem oficjalnie pokazuje się u boku swojego kochanka!

Kiedy uniosła głowę, lekko opadło rondo kapelusza, ukazując jej twarz. Niemal zagwizdałem z podziwu; bez krzykliwego makijażu, w ubraniu od najlepszych krawców, wyglądała jak dama! Aż poczułem nieprzyjemnie ukłucie zazdrości. Wlepiąłem w nią wzrok, bo wyglądała zjawiskowo i gdybym jej

nie znał, to pewnie zakochałbym się jak nic, a już z pewnością chciałbym ją poznać, nie zważając na obecność jej abstrzyfikanta. Zaczęła obracać głowę w moim kierunku, więc szybko wycofałem się w głąb pokładu, a moje miejsce przy burcie błyskawicznie zajął kolejny pasażer.

Radosny nastrój wyprawy prysnął, poczułem, że pojawienie się Anastazji zwiastuje kłopoty.

Drugi wieczór na statku. Byłem wypoczęty i nawet spragniony jakichś doznań towarzyskich, choć oczywiście cały czas z tyłu głowy miałem, żeby nie szarżować, zwłaszcza z paniami i oficerami, bo mogą być przez to kłopoty, a z Batorego to już mógłbym się przesiąść tylko na szalupę ratunkową. Wyszedłem z kajuty i udałem się w kierunku sali, w której grała orkiestra. Rozpoznałem utwór i mimo że nie słyszałem wyraźnie śpiewaka, to mogłem z nim nucić refren:

*Brunetki, blondynki – ja wszystkie was dziewczynki  
Całować chcę  
Lecz przyznam się, o jednej tylko śnię  
Tą kochać chcę*

Kiepurą nie byłem, ale nuciłem z zapałem, bo lubiłem ten kawałek, który chłopak z Sosnowca nagrał zeszłego roku do filmu Kocham wszystkie kobiety. Pomyślałem sobie, że może nie kocham wszystkich, ale na pewno wiele, zbyt wiele. Spojrzałem na salę i od widoku pań ubranych tak, by błyszczeć podczas dancingu, dostałem lekkiego zawrotu głowy. Trzeba by się było napchać płatkami Kelloggsa pod pokrywkę, żeby na to wszystko patrzeć spokojnie.

*Brunetki, blondynki – ja wszystkie was dziewczynki  
Całować chcę  
Lecz przyznam się, o jednej tylko śnię  
Tej wyśnionej, wymarzonej dam serce me!*

Wybrzmiał ostatni refren, który był jak memento mori, ostrzeżenie, bym nie łapał romantycznego nastroju i nie kozaczył, próbując jak ostatni sprawiedliwy ratować zaniedbane kobiety i uszczęśliwiać te, które nie dość są szczęśliwe. Ledwie przestąpiłem próg sali, usłyszałem pierwsze takty największego ubiegłorocznego szlagieru *Powróćmy jak za dawnych lat*, który w filmie *Manewry miłosne* śpiewali Tola Mankiewiczówna i Aleksander Żabczyński.

– Pan Drucki? – usłyszałem miły kobiecy głos. Może nawet bardziej niż miły, bo zalotny. Nie odwróciłem się jednak, choć wiedziałem, że chodzi o mnie.

– A może pan Winkler? – ponowiła pytanie, siląc się na głos namiętnej kotki. Tym bardziej postanowiłem udawać, że nie wiem, o co chodzi.

W końcu poczułem dłoń na ramieniu, odwróciłem się więc i zobaczyłem trzydziestoparoletnią panią, która choć nie była brawurowej urody, to jednak z oczu biła jej niepokojąca śmiałość.

– Z kimś mnie pani myli. Henryk Haas jestem, droga pani...?

– Ludwika Starońska. – Podała mi dłoń do ucałowania, zlustrowała mnie wzrokiem, po czym z lekkim rozczarowaniem dodała: – Naprawdę to nie o panu pisał pan Dołęga-Mostowicz?

Plotki o tym, że Winkler – postać z powieści Dołęgi-Mostowicza – to ja, już zaczęły mnie trochę męczyć, odparłem więc:

– Mogę panią o tym zapewnić, tak samo o tym, że na Żoliborzu nie mieszka żaden demoniczny profesor, który ze swoim japońskim asystentem eksperymentuje na kotach i nie tylko na nich, choć muszę przyznać, że w Warszawie roi się od ludzi pokroju Zalkinda.

Pożegnała się ze mną i odeszła, a ja zastanawiałem się, czy aby z niej nie za bardzo zakpiłem.

– To niewiarygodne, że ludzie tak mocno wierzą w postacie fikcyjne i bez krytyki przyjmują wszystko, co przeczytają w powieściach, zwłaszcza w tych, co kosztują mniej niż złotówkę. – Spojrzałem w bok, skąd dochodziły słowa, i zobaczyłem postać zażywnego mężczyzny w średnim wieku, w którym z miejsca rozpoznałem Melchiora Wańkowicza. – Ale pan jest trochę tym Winklerem, panie Henryku. – Uśmiechnął się do mnie, podając mi równocześnie rękę. – Wańkowicz, Melchior Wańkowicz – przedstawił się, co było szczytem elegancji i kultury, bo przecież każdy wiedział, kim jest.

Czterdziestoparoletni, jowialny, przy kości, z wysokim czołem i wydatnym nosem, zawsze uśmiechnięty. Chyba taka po prostu była konstrukcja jego fizjonomii, z wysuniętym do przodu podbródkiem, więc wystarczył drobny ruch ust, by wychodził z tego uśmiech.

– To dla mnie ogromna przyjemność, ale skąd pan mnie zna? – zapytałem z głupia frant. – I skąd ta pewność, że Winkler-Drucki to ja?

– Jestem współwłaścicielem wydawnictwa „Rój” – odparł Wańkowicz. – To u mnie publikuje Dołęga-Mostowicz, więc siłą rzeczy wiem, że jest pan literackim pierwowzorem gangstera-Polaka z powieści *Prokurator Alicja Horn*.

– A mnie mówił coś innego – odparłem również z uśmiechem – poza tym...

– Nie jest pan tak okrutny dla kobiet, ale pan był tylko szkicem, do którego autor dołożył trochę cech ubarwiających postać, większość z nich Winkler zawdzięcza Mostowiczowi, jego cechom charakteru, może nawet żądzom i pragnieniom, które nim miotają, bo kto jest od nich wolny? Ale o tym w towarzystwie się milczy, a pisarze przelewają je na papier, jedni jak ekshibicjoniści obnażają się bezwstydnie, a inni kryją się za parawanem postaci. Ja bym z chęcią przeczytał jego autobiografię, żeby się dowiedzieć, co przeżył jako ułan w oddziale zagończyków, który bez pardonu bił się z Sowietami, ale na razie pisze inne historie, w których przemycą, tak jak każdy autor, albo swoją przeszłość, albo swoje sprawy niedokończone, którym w książce nadaje finał, albo oddaje się marzeniom. Dał mu pan impuls, a ten później pozęgłował po swojemu, a co zabawne – Wańkowicz znów się uśmiechnął – pan zaczął żyć pod dyktando jego pomysłów. Najpierw była jego Arizona, a w chwilę potem pana Ameryka, można powiedzieć, że pana rozczytał – tym razem twarz redaktora była absolutnie poważna – tyle że wiedział o panu zbyt mało, by nakreślić pełny obraz. Może gdyby wiedział, że ma do czynienia z polskim Hammettem... – Wbił we mnie wzrok, a ja poczułem się zdradzony.

– Poldek... – westchnąłem.

– Tak, Leopold hrabia Walewski – przytaknął – straszny gaduła, mam nadzieję, że w swej pracy dyplomatycznej zachowuje umiar. U nas *Sokół maltański* nie został jeszcze wydany, ale czytałem o tej powieści. Sądziłem, że hrabia... – Wańkowicz przymknął oczy, jakby w zażenowaniu czy przeprosinach – ...splagiatował amerykańskiego pisarza, ale wybronił się pana osobą. Powiedział mi, że pan poznał ten świat, był jego częścią. Wyszła z tego dobra powieść, szkoda że hrabia musiał się oddać pracy dyplomatycznej.

– Czytałem *Sokoła maltańskiego*, jeszcze w odcinkach, w czasopiśmie „Black Mask”, więc pochlebiamy to, co pan mówi, z drugiej zaś strony zasmuca, bo złapał mnie pan na plagiacie – wyznałem ze skrucą.

– Panie Henryku – Wańkowicz wybuchnął śmiechem – ja sądziłem, że to może być plagiat, kiedy pan Walewski nakreślił mi szkic powieści, ale gdy ją wzięłem w ręce i przeczytałem... Panie Henryku, pan to przeżył, widział, tak po prawdzie to reportaż napisany w stylu czarnego kryminału!

Stałem, robiąc zapewne głupią minę, taką z cyklu „czyżby?”, „na pewno?”, „ale czy to o mnie mówią?”.

– Proszę się nie obawiać – położył mi dłoń na ramieniu – nie będę biegał po Batorym i krzychał: „To nie Winkler, bo Winkler to betka, to prawdziwy znajomy króla gangsterów Ala Capone!”. Gdybym był plotkarzem, to bym już dawno wszystko rozgłosił podczas przerwy obiadowej w którymś z lokali na Mazowieckiej.

Fakt. Mógłby, a gdyby to zrobił, to już „pół Warszawy” by wiedziało, a tak tylko przypuszcza.

– Jestem zobowiązany za dyskrecję, panie redaktorze.

– Może pan spłacić moje milczenie, będąc moją obstawą podczas zwiedzania Barcelony. O siebie się nie martwię, siedziałem w rosyjskim więzieniu i niemieckim areszcie, walczyłem w dwóch wojnach, ale panie, z którymi pójdę, ech, co one widzą w moim towarzystwie? – Zaśmiał się. – Chyba tylko popularność, majątność i intelekt – westchnął – ale dobre i to!

Niezły z niego kpiarz, pomyślałem. Tymczasem podeszła do nas kobieta, która podczas śniadania defilowała w marynarskim mundurku. Była ubrana kosztownie, ale nie krzykliwe, ubranie zaś ekspozycjonowało nie tylko interesujący biust, ale i zgrabne nogi. Podobna była do Toli Mankiewiczówny, ciekawe, czy krawiec i fryzjer na to wpłynęli, czy był to jej pomysł. Wszystko jedno, wyglądała tak pięknie, że uznałem, iż to popularna aktorka jest podobna do niej, a nie na odwrót.

– Panna Alicja Kazanecka, pan Henryk Haas – przedstawił nas Wańkowicz, a w mojej głowie zapanował chaos; miałem być ostrożny, tyle że mój anioł stróż najwyraźniej został w kajucie. – Pan Henryk mieszkał w Chicago i nic mu nie jest straszne, więc nas poprowadzi uliczkami Barcelony!

– Nie wiem, czy podołam – uśmiechnąłem się – pan we mnie pokłada tak wielkie nadzieje, a ja, jak ta gapa, mogę się tam po prostu zgubić!

– Jestem pewna, że pan podoła – powiedziała panna Alicja, na co skłoniłem się grzecznie.

Wańkowicz się nie skłonił, tylko po angielsku opuścił nasz kawałek podłogi; ktoś taki jak on mógł zniknąć i pojawiać się co chwila w jakimś innym towarzystwie, korzystając ze swojej sławy i elokwencji. Kto wie, może poszedł do stolika, przy którym mistrz Kossak świętował swoje urodziny?

– Pani też uważa, że jestem Winklerem z powieści Dołęgi-Mostowicza?

– Nie, absolutnie nie! – Odetchnąłem w myślach z ulgą, ale ona szybko dodała: – Pan jest kimś znacznie mocniejszym od Winklera.

– Jest pani pewna? – Jestem raczej wygadany, ale nic ponadto nie mogłem z siebie wydusić, a to był dopiero początek!

– Absolutnie, panie Henryku – powiedziała z czarującym uśmiechem – nie mam co do tego żadnych wątpliwości, bo ja się na mężczyznach znam! – powiedziała to stanowczym tonem, może nawet nieco wyzywającym, tak że nie do końca można było te słowa traktować poważnie, mój spokój prysnął jednak w jednej chwili. – Znam się jak mało która kobieta, bo jestem podwójną wdową.

Usłyszawszy te słowa, które brzmiały jak ogłoszenie albo reklama, miałem na ułamek sekundy rozdziawić usta tak, że wleciałaby w nie mucha, ale i sporych rozmiarów świerszcz albo konik polny. Pozbierałem się w okamgnieniu, a przez głowę przeleciały mi jak w kalejdoskopie scenariusze na dzisiejszy wieczór, noc oraz najbliższy poranek.

– A teraz, panie Henryku, udaję się do kajuty... Zatem niech pan teraz dołączy do pana Wańkowicza, żeby go wspomóc przy barze.

Niewiarygodne! Najpierw rozpałała, dała nadzieję, a później wylała na głowę kubek zimnej wody.

Uśmiechnęła się zalotnie na pożegnanie i opuściła salę bankietową. Po chwili ruszyłem za nią, bo pomyślałem, że to jakaś gra. Tak to była gra, bo obejrzała się i spojrzała na mnie, jakby chciała się upewnić, że nie dam się tak łatwo splawić. W jej wzroku było coś więcej niż przyzwalającego, jakby triumfu i akceptacja. Szła, pięknie stawiając nogi, delikatnie kołysząc biodrami. Kiedy byłem o dwa kroki za nią, przystanąła, obróciła się i poczekała, aż podejść. Miałem ochotę popukać się w czoło, bo w swoim zapale zapomniałem o dyskrecji, tymczasem ona położyła mi dłoń na ramieniu i spojrzała w oczy.

– Panie Henryku... Mówiłam panu, żeby dołączył pan do redaktora Wańkowicza i jego kompanii. Jeśli mówię „tak”, to mówię „tak”, jeśli mówię „nie”, to mówię „nie”, a jeśli wskazuję panu bar, to z pewnością nie jest to moja kabina. Dobranoc panu!

Powiedziała to z czarującym uśmiechem bez cienia pretensji, ale i nie pozostawiając żadnych złudzeń, że mam zawrócić, pójść do baru i tam zrobić się na perłowo. Podjąłem to wyzwanie, zdobywając pokład, zrazu samotnie ze szklaneczką szkockiej, później już w kilkuosobowych ekspedycjach na rufę, by patrzeć na kilwater w towarzystwie współpasażerów oraz panów Baczewskiego, Kantorowicza

i Smirnoffa. Ani się obejrzałem, jak stałem się uczestnikiem przeniesienia na morza i oceany Adrii, Oazy i Paradisu. Ten styl, ta publiczność, rozmach i pewnie nieuchronny finał. Zaczynało się elegancko, a kończyło w herbaciarni Grubego Joska i w dorożkarskich szynkach. Tak też będzie i na Batorym, bo za dużo wśród pasażerów było oficerów, artystów, polityków i bogaczy. To tygiel, w którym każdy wypity kieliszek, każda rozmowa, a przede wszystkim każde pojawienie się singlowej damy może uczynić z ludzkiej mieszanki substancję wybuchową.

Następnego dnia pan wicestarosta i jego małżonka mogli się cieszyć własnym stolikiem, ja sterany poprzednim wieczorem oraz większą częścią nocy postanowiłem sobie poleżakować. Na pokładzie słonecznym nie było tłoku, pogoda się psuła, ale Wańkowicz twardo się werandował. A dokładnie to spał. Kiedy się przebudził i podniósł, z pewnym trudem zresztą, powiedział ze skwaszoną miną:

– Źle znać zbyt wielu ludzi, być samarytaninem i samotnie zajmować kabinę. Wyobraź pan sobie, że moi znajomi, bliźsi i dalsi, zrobili sobie z mego lokum miejsce schadzek, a ja mam zbyt miękkie serce i za dobrze znam takie potrzeby, by odmówić. W nocy poszedłem na chwilę się zdrzemnąć, kiedy w moim łóżku badano jakoś sprężyn i materaca, i tak zostałem do rana! Ale dość użalania się nad sobą, trzeba pracować!

Wyjął z kieszeni reporterski kącik oraz ołówek i zaczął pisać. Po półgodzinie z zadowoleniem przedstawił mi fragmenty swoich korespondencji.

– Najpierw takie zdanie, posłuchaj pan! „Wody z takich statków nie widać za wiele i najłatwiej byłoby mi pisać do rubryki «moda i salon»”.

– Dobrze! – wykrzyknąłem jak najbardziej szczerze. – Niech pan czyta dalej!

Wańkowicz zrobił minę, która mówiła: „Wiem, że dobre, wiem, że wprost doskonałe”, i odczytał kolejny kawałek.

– Tamto było do miesięcznika „Morze”, a to pójdzie w Polskim Radiu! „Na dziewiczy rejs najpiękniejszym i najnowocześniejszym transoceanikiem Bałtyku wybrało się sześciuset dwudziestu burżujów wyładowanych grubszą forszą, którzy obżerali się, pili, werandowali i byczyli za wszelkie czasy”.

Uśmiałem się serdecznie, a mistrz wstał i z pewnym trudem udał się do kabiny, by porządnie się wyspać; widać było, że noc spędzona na leżaku nie przysłużyła się jego kościom. Zostałem sam i postanowiłem jednak zobaczyć nieco więcej wody. Ruszyłem w kierunku rufy, myśląc o tym, że Batory to wcale nie mała miejscowość, taki pływający kurort. Biorąc pod uwagę zakamarki, sale i różne godziny funkcjonowania, to można tu spędzić parę tygodni i nie zobaczyć znajomej osoby, która płynęła tym samym statkiem!

Idąc w kierunku barierki otaczającej pokład, zobaczyłem jednak kolejną po Anastazji kobietę, którą doskonale znałem, ale do tej pory nie wpadliśmy na siebie, szczęśliwie się mijając. Bo to spotkanie było nieszczęściem, klęską dla nas obojga: naprzeciw mnie szła Irena Leszczycka, i to nie sama, z jakimś fagaszem, starszym ode mnie, ale młodszym od jej męża. Ukłoniliśmy się sobie z szacunkiem i nadzieją, że już podczas tego rejsu na siebie nie wpadniemy. Ledwie ochłonąłem, wpadłem w prawdziwą pułapkę – schodząc na niższy pokład, niemal zderzyłem się z Anastazją. Na szczęście do tego nie doszło, zatrzymałem się, ale ona przyłgnęła do mnie, jakby czas się zatrzymał w miejscu i nie były to schody na Batorym, tylko mój dyrektorski gabinet w teatrzyku Ameryka.

Na scenie Ameryki wiła się teraz przebrana w kostium Kleopatry, Indianki, Szeherazady, a tu była elegancką, młodą damą. Szyk zapewniał jej starszy o kilkanaście lat kochanek Władysław Zylberg, który wyzwolił mnie i od niej, i od lokalu Ameryka. Miał kiepełę, trzeba to przyznać, bo nic nie słyszałem o jego bankructwie, a dla mnie lokal i jego gwiazda były bliskie doprowadzenia do ruiny. A może mu to nie wadziło, bo jego inne interesy latały manko?

– Jak tam Ameryka? – Od czegoś trzeba było zacząć.

– Świetnie prosperuje – powiedziała, a lekki dotyk nabrał na sile; jej biodra wybiegły do przodu, a ja czułem, że to, co dla mężczyzny zwykle jest najbardziej pożądane, rośnie nie dumnie, lecz katastrofalnie. – Piękne przychody z nowym księgowym, ale bez ciebie pusto, mój drogi Henryku... – zamruczała.

Sytuacja zrobiła się, jak mówią kibice futbolu, podbramkowa, zgrabnie ująłem więc ją pod ramię i poszliśmy do baru. Tam upiekłem dwie pieczenie na jednym ogniu. Mogłem ochłonąć, bo Anastazja szła obok, a nie przylegała do mnie jak plasterek wędliny do nasmarowanego masłem chleba, a poza tym zobaczyła mnie Irena ze swoim gachem. Mała rzecz, a cieszy. Usiedliśmy przy barze, kątem oka widziałem, że Irena spogląda na mnie z niejaką zazdrością!

– Nie żal ci? – zapytała Anastazja.

– Ameryki? – odparłem.

– Ameryki! – prychnęła. – Mnie czy ci nie żal!

– Teraz to już musztarda po obiedzie, masz wspaniałego kochanka z majątkiem i teatrem! Tak w ogóle to nie było okazji, żeby pogratulować.

– A niby czego? – Była nadąsana jak dziewczynka, której obiecano wyjście do kina na premierowy film, ale w ostatniej chwili wszystko odwołano, bo obraz jest nieobyczajny. – Tego uwięzienia w złotej klatce?

– Rozumiem, że jednak za skromnie?

– Nie kpjż ze mnie! Nie o majątek się rozchodzi. To straszny nudziarz jest! – powiedziała zrozpaczo-  
nym głosem. – Życie moje staje się nie do wytrzymania. On teraz siedzi w kajucie i albo przegląda ra-  
chunki, które zabrał w podróż, albo śpi!

– Ale nagrałaś płytę. – Sądziłem, że to celny, nokautujący cios, bo małżonek najął najlepszych ludzi, od autora tekstu po kompozytora, i wykupił pół nakładu, czyniąc z płyty prezent dla kontrahentów, znajomych i współpracowników, a drugie pół kupił walczący o jego względy przemysłowiec.

– Tyle że jeszcze nie zagrałam w filmie!

To mnie akurat dziwiło, bo z jej sylwetką mogłaby zagrać jakiś epizod, pod warunkiem że nie mówi-  
łaby za wiele i nie śpiewała, bo głos miała nienadzwyczajny.

– Na pewno wkrótce to się stanie. Ja nie miałem takich możliwości! – Myślałem, że to utnie wszelkie  
spekulacje i zatrzyma niebezpiecznie rosnącą falę sentymentu.

– Miałaś inne zalety... – powiedziała, a ja poczułem, że ociera się o moją nogę.

Pora było kończyć, zerknąłem na cyferblat i ucałowałem Anastazję w dłoń.

– Przepraszam szanownych państwa, ale za chwilę odchodzi mój pociąg, jeśli się pośpieszę, to jesz-  
cze zdążę! – Szybkim haustem dopiłem whisky, ukloniłem się grzecznie i poszedłem precz.

Za moimi plecami słuchać było szmerek zdziwienia, ale i oklaski. Złośliwe czy w podziwie? Miałem  
to w tyle, w coraz większym, bo dziarsko oddalałem się do kajuty.



## ROZDZIAŁ VII

**W którym morze jest niespokojne, Irena także, Barcelona zaś zupełnie szalona, oglądam piękne fontanny, otrzymuję propozycję pójścia do burdelu, ale wybieram kolację ze starym znajomym, zostaję ekspertem od nieruchomości, a dla wyczynów pana Wańkowicza brak słów**

Adriatyk zaczął się poruszać jak kołdra, pod którą ktoś się wierci. Morze falowało coraz silniej, pierw wywołując życzliwe zainteresowanie i ciekawość, a później niepokój. Morska atrakcja stała się morską chorobą, która miała najrozmaitsze objawy i wywoływała skrajne reakcje. Jedni złąknieni uciekali do kabin, nie chcąc, by widać było ich strach, drudzy wprost przeciwnie, chcieli leczyć lęk towarzystwem współpasażerów i obecnością kapitana Borkowskiego oraz, ma się rozumieć, alkoholem. Nie wszyscy potrafiliby przelknąć cokolwiek poza tabletkami z kogutkiem. Byli i tacy, którzy z powodzeniem łączyli wyroby Mokotowskiej Fabryki Chemiczno-Farmaceutycznej Adolf Gąsecki i Synowie z koniakiem. Ja postawiłem na środki kojące produkcji brytyjskiej i zapijałem wszystko whisky.

– Koisz smutki? – usłyszałem.

Stała nade mną Irena Leszczycka.

– I mnie nie służy ta pogoda, ale jakoś sobie radzę, a twój džentelmen?

– Z kimś musiałam płynąć, trafiły mi się bilety w ostatniej chwili, szukałam cię!

– Znalazłaś.

– Za późno.

– Trudno, co zrobić, za to jak będę wpaadał na brydża, to będę mógł normalnie spojrzeć twojemu mężowi w oczy. Zostaniemy teraz po prostu przyjaciółmi?

– Nic się nie nauczyłeś po tylu latach... – zachnęła się. – A co do przyjaciół, to byliśmy nimi i będziemy, to wszystko. – Chciała powiedzieć to obojętnie, ale nie wyszło.

– Krępowałem się zapytać, więc tak na finisz tamtej przyjaźni, bo ta będzie inna, powiedz mi, o co chodzi z twoim mężem?

Uśmiechnęła się gorzko.

– Byłam młodą, nieco zagubioną wdową, on przystojnym, jeszcze niełysięjącym oficerem. Dalej może się podobać... Imponował mi, był dla mnie ostoją. I nadal jest, tylko mnie notorycznie zdradza. Po całej Polsce i Europie, a kiedy mu to powiedziałam, odrzekł krótko: „Kiedy jesteśmy razem, w Warszawie czy na wczasach, nie ma innych kobiet. Czego oczy nie widzą, kochana... I tak jesteś najważniejsza! A jeśli tego nie akceptujesz, droga wolna, choć nie chciałbym, byś odeszła, po prostu czekaj na mnie, jak chcesz”. Więc czekam na niego, jak chcę. Ostatnie lata czekałam z tobą.

Tak miało wyglądać nasze pożegnanie?

– Będziesz wpaadał na brydża? – zapytała jeszcze. – Bo Jerzy tak dobrze nie gra. I nie myśl, że nie wiedziałam o Aldonie Glock i tej panience z teatryku! – Uśmiechnęła się na koniec.

Lubiłem ją. Nie, ja ją kochałem. Ech, ja chyba za dużo kobiet kochałem!

Morze się w końcu uspokoiło i kiedy wpływaliśmy do portu w Barcelonie, świeciło piękne słońce, ale nie dla wszystkich. Wielu wciąż dochodziło do siebie po bujaniu i leczeniu, chyba nawet częściej po

tym drugim.

Jak dobry samarytanin kapitan Borkowski towarzyszył pasażerom w zabiegach leczniczych i jak wielu uczestników koniakowej terapii, musiał ją odespać, pewnie dlatego zastępował go pierwszy oficer Tadek Meisner. Pod nieobecność „pierwszego po Bogu” egzaltowane panny otoczyły pierwszego oficera i wzięły go w krzyżowy ogień próśb i pytań. Patrzyłem na to, zastanawiając się, na jak długo starczy Tadekowi cierpliwości. Wańkowicz też obserwował ten pokaz powściągliwości i odporności na popularność.

– One go uwielbiają, młody, przystojny, w świetnym mundurze... – Pokiwał z zadumą głową. – A przede wszystkim cierpliwy, ja bym nie dał rady, a on to jakiś anioł cierpliwości! To ciężka robota, ale nie tak ciężka jak Borysa Korczyzna-Żukowskiego, to on tak po prawdzie jest tu najważniejszy! Pierwszy po Bogu to kapitan, tak wszyscy myślą, ale między nim a najwyższym jest jeszcze intendent! Na jego głowie jest większość problemów, to on ma więcej ludzi pod sobą. Marynarzy nie ma tak wielu jak personelu hotelowego, kucharzy, kelnerów, stewardów, wszystkich rzemieślników: fryzjerów, szwerców, instruktorów sportu, kosmetyczek, lekarza i pielęgniarki, bibliotekarza, oficera do spraw rozrywki oraz orkiestry. Prawdziwa armia, drogi panie, i do każdego z żołnierzy tego oddziału, który walczy o nasze wygody, przychodzą panie z najrozmaitszymi pytaniami. Kawa za cienka, herbata za mocna, czy można zmienić stolik, menu, kabinę, muzyka za głośna albo za cicha, za wolna lub za szybka... Marynarze walczą ze sztormem raz na jakiś czas, personel i intendent na okrągło! Wie pan, że te panie – wskazał dyskretnie na kobiety oblegające Meissnera – szukały kogoś z personelu, kto poszedł by z nimi do knajpy dla marynarzy, takiej prawdziwej spelunki z najprawdziwszymi bandytami! No ja bym im chyba prawdziwego bandytę pokazał natychmiastowo, wymordowałbym je, jedną po drugiej – powiedział, przybierając głos filmowego monstrum, po czym dobrotliwym głosem dodał: – A na jaką wycieczkę pan jedzie, może zobaczyć fontanny, a potem...? – Uśmiechnął się znacząco.

– Bar z bandytami?

– Może, może... Fontanny wieczorem, a na razie obwiozą nas po mieście autobusami i pokażą, co najciekawsze.

Przedpołudniowa wycieczka obyla się bez sensacji, może dlatego że towarzystwo było podmęczone. Patrzyłem jak inni przez okno autobusu na widoki.

– Ramblas to piękne miejsce, ale niebezpieczne!

Jak na zawołanie włączył się przewodnik, a ja już wiedziałem, co usłyszę dalej: doliniarze, naciągacze płci obojga, farmazoni, miłości życia, bo w życiu nie straci się tylu pieniędzy, co na przygodnym romansie, magiczne uliczki z równie czarodziejskimi bramami o ruchu jednostronnym. Każdy port to taki większy Dworzec Główny, miejsce, wokół którego jak sępy krążą cwaniacy i bandyci, by dopaść frajera i go oskubać. W Warszawie nie byłem frajerem, ale tu jak najbardziej! Zapomniałem o tym, patrząc na piękne kobiety i palmy, a teraz to do mnie dotarło: tu jestem tylko turystą, zabrałoby mi trochę czasu, żeby tu się jakoś odnaleźć.

Zawieźli nas na budowę katedry Sagrada Família, która trwała już kilkadziesiąt lat i była dumą mieszcowskich. Kościół nie przypominał niczego innego, co do tej pory widziałem, był gigantyczny, podobny do zamku z piasku, jakie dzieci wznoszą nad morzem, zanim zmyje je morska fala. Wymyślił to ich bohater, architekt Gaudí, później obejrzelśmy jego niezwykle, okładane mozaikami domy i park. Na koniec zawieźli nas na wzgórze Tibidabo, gdzie znajdował się wielki lunapark i piękny widok na miasto.

Na obiad przyszła barcelońska Polonia, Polacy i Żydzi, jednego ze starozakonnych, elegancko ubranego, rozpoznałem, aż nie mogłem uwierzyć, że to on! Ruszyłem za nim, ale niefortunnie, w momencie kiedy szedł do toalety – trudno, też skorzystam.

Otworzyłem drzwi, ruszył na mnie, wyciągając z marynarki pistolet. Byłem szybszy, nie zatrzymałem się, jak gracz futbolu amerykańskiego rzuciłem się na niego i rozmaśliłem na ścianie, aż ta jęknęła,

on zaś stracił przytomność. Schowałem jego pistolet do kieszeni i zacząłem go cucić. Wtedy usłyszałem szum spuszczanej wody i uchyliły się drzwi jednej z kabin.

– Co się stało? – zapytał przerażony człowiek.

– Wołaj pan pomoc, ten tu zemdleł!

– A to dobrze! – Drzwi otworzyły się do końca i z kabiny wyszedł szczupły pan z bródką. – To znaczy dobrze, że akurat trafiło na mnie. Świtalski jestem, lekarz Wacław Świtalski.

Pacjent dochodził do siebie, rozciągnięty w leżaku i sączący whisky. Zobaczyć go tutaj, stoczyć z nim walkę w toalecie, to wszystko było jak jakiś żart! Przede mną, wciąż jeszcze blade, ale nabierający kolorów, spoczywał Alex Sycowski, znany w pewnych kręgach jako Tiger Kid.

Był z niego niezły cwaniak, ale każde cwaniactwo ma swoje granice, bo oszwał się nie tylko amerykańską skarbówką, ale i samego Ala Capone, dlatego zwiózł z Ameryki i próbował szczęścia w Europie. Dużo o sobie opowiadał i zdaje się, że większość to był kit, który wciskał pismakom i frajerom, żeby zarobić forszę. Jeśli istniało coś pewnego w tych jego opowieściach, to na pewno to, że urodził się w żydowskiej rodzinie, ojciec był felczerem, ale narobił tyle dzieci, że klepali potworną biedę, do tego stary wychował go pasem. Takich rodzin są tysiące, więc pewnie tak było, ale to, że uciekł z domu, kiedy miał sześć lat i dojechał do Hamburga na gapę, a później przeschmugłował się na pokład statku i przez nikogo niezauważony przyplłynął do Ameryki, między bajki bym włożył. Podobnie jak to, że pracowało dla niego dwaście tysięcy ludzi, a jego flota przemytnicza liczyła dwadzieścia dziewięć okrętów. Nie wierzę też w to, że mógł zawinąć Alowi sto pięćdziesiąt wagonów whisky, ale że go oszukał na grubszą kasę, to na pewno możliwe, w końcu był jednym z jego księgowych. Kiedy Al wpadł w tarapaty, okradali go wspólnicy i podkomendni, więc Alex na pewno się do nich przyłączył. A kiedy król chicagowskich gangsterów wylądował w mamrze, odwaga staniała i Sycowski popisywał się w prasie, trąbiąc, jakim to słabakiem i tchórzem był Alfonso Capone. Potem kręcił się po Europie, ale bez sukcesów, z Polski go wydalono, a teraz objawił się w Barcelonie!

– *Sorry, Ejdz Ejdz* – (dawno nie słyszałem swojej chicagowskiej ksywki, którą był po prostu mój monogram, „H–H”) – *I’m wanted*, ścigają mnie, próbują dorwać za różne takie tam geszefty, myślałem...

– Myślałeś, że mam cię rąbnąć – wszedłem mu w słowo rozbawiony.

– A co, to też był twój *job*! Pamiętam tych *motherfuckers from New York*, jak ich posłałeś do piachu, i jak załatwiłeś sprawę z Koszerny Rekin i Grimaldi! A ja teraz w strachu...

– Jasne, czytałem gazety. Kogo ty chcesz nabrać? Co żeś ty tam naobiecował w Wielgomłynach i Radońsku...

– I byłbym to wszystko zrobił, elegancko opłacił, *I have money*, poważny pieniądz, ale czekałem na przelew!

– A jak oni w tych twoich rodzinnych stronach czekali! – Zaśmiałem się, bo wychodziło na to, że Alex naprawdę wierzy w to, co mówi.

– *Government...* Ścigano mnie bezpodstawnie jak jakiegoś przestępcę! – odpowiedział z dostojeństwem i wyższością, jakby był hrabią, który tłumaczy, że to jego salon jest najlepszy w mieście, tylko że jakieś chamy naniósł do środka błota.

– Sam mówiłeś, że...

– Zawinięcie gangsterowi *a couple of bottles of whiskey* to żaden *criminal case*. Okej, na mnie już czas, wpadnij tu wieczorem!

Dał mi wizytówkę i zmył się ze statku, czy faktycznie się spieszył, czy może wśród pasażerów zobaczył jakiegoś funkcjonariusza Urzędu Śledczego, który przyczynił się do wygnania go z Polski... W przypadku Małego Tygrysa, który był już nieco wyleniałym kocurem, wszystko było możliwe.

Wieczorem pojechaliśmy zobaczyć fontanny. Wybrałem się tak dla draki. Dla jakiej? Tego jeszcze nie wiedziałem, bo po samych fontannach nie spodziewałem się czegoś nadzwyczajnego, ot, woda leci w górę, a potem w dół, i fajrant! Kiedy jechaliśmy, to nawet chciałem dać nogę, jak usłyszałem, że całe to przedsięwzięcie nazywa się La Font Màgica, czyli Magiczna Fontanna. Jakiś pic na wodę, fotomontaż, pomyślałem, a jak tylko pomyślałem, to usłyszałem w głowie głos Miecia Kosiorka: „I ty, Heniu, poważny człowiek jeszcze poważniejszych interesów, jedziesz z frajerstwem na jakieś dyrdymały zamiast przytomnie to dęte towarzystwo puścić kantem i poszukać sobie jakiejś niekulawej seniority?”. Tymczasem okazało się, że było warto! Piękne to było, podobno strasznie drogie, kupę forsy to kosztowało miasto, więc odpalali tę pamiątkę po Wystawie Światowej tylko od czasu do czasu.

Na placu Hiszpańskim, gdzie stało to cudo, wycieczka podzieliła się na grupy. Ta, w której był Wańkiewicz, Fiedler i tak krzykliwa panna Bela oraz parę pań spragnionych przygód, a także Alicja, ciągnęła, jak mówił pan Melchior, do burdeliku. Dobry żart! Alicja patrzyła na mnie tęsknym wzrokiem i wystarczyłoby tylko jedno słowo... Ale nie padło, pożegnałem się z salonowymi poszukiwaczami wrażeń, oni wsiadli w swoje taryfy, a ja w swoją, udałem się na spotkanie z Alexem, do knajpy przy ulicy Carrer d'Avinyó numer 56.

Gdyby nie znakomite żarcie i wino, to bym powiedział, że to stracony czas, bo Alex opowiadał swoim polsko-angielsko-żydowskim slangiem o wielkich planach, o tym, że będzie handlował narkotykami, że w Paryżu nie wyszło, ale że wróci, że rok nie wyrok...

Wysłuchałem grzecznie, bo ja z natury grzeczny chłopak jestem, i na koniec się zdziwiłem, bo Sykowski za wszystko zapłacił.

Wróciłem na Batorego i podszedłem do baru, który był pusty. Towarzystwo jeszcze się bawiło w mieście, była jedenasta, a statek miał odpluć o północy. Krótko delektowałem się samotnością.

– Panie Haas! Jakże miło, że w końcu mogę pana poznać!

Zawołała mnie piękna pani w moim wieku.

– Julia Morzejska – przedstawiła się, wyciągając dłoń do pocałunku. – Pan siada i opowiada!

– O Ameryce? – zapytałem i już byłem gotowy opowiadać o Chicago, Nowym Jorku, Kalifornii...

– Pan wybaczy, to nie był mój ulubiony lokal – uśmiechnęła się przeprasząco – ale dla wielu przyjaźniół pierwszorzędnym i niezapomnianym, zwłaszcza za pana dyrekcji.

– Było, minęło – odpowiedziałem z uśmiechem i dodałem szeptem: – Zdradzę pani tajemnicę. Ja też nie przepadałem za tym miejscem!

Roześmieliśmy się oboje.

– Sądziłem, że ma pani na myśli tę prawdziwą Amerykę, za oceanem.

– To też interesujący temat, ale ja mam do pana, panie Henryku, zupełnie inny interes, sprawę niecierpiącą zwłoki, sprawę najpierwszej ważności. Rozmawiałam o tym z hrabią Walewskim, ale... wolałbym dowiedzieć się o szczegółach od pana – dokończyła szeptem i zrobiła minę tak tajemniczą, że zacząłem się bać, o jaki interes może jej chodzić.

Zapanowała krępująca cisza, więc odezwałem się w jedyny możliwy sposób.

– Proszę walić prosto z mostu, szanowana pani! – zawołałem, a ona zaśmiała się perłście i niespodziewanie położyła swoją dłoń na mojej.

– Uprzedzono mnie, że ma pan niepowtarzalny, apaszowski urok!

– Dziękuję pani, bo zgaduję, że to komplement. – Ucałowałem jej dłoń i poczułem, że przebiegł przeze mnie prąd elektryczny. – Zatem słucham panią! Kogóż mam dla pani zgładzić? – zażartowałem.

Liczyłem na to, że znów wybuchnie śmiechem.

– Tak, o to właśnie chodzi, panie Henryku... – odparła śmiertelnie poważnie. Wydawało się, że za chwilę po jej pięknej twarzy polecą łzy. Mocno ścisnęła moją dłoń, pochyliła się ku mnie i szepnęła pro-

sto do ucha: – Słyszałam, panie Henryku, że mieszka pan w Prudentiale, czy naprawdę warto tam zakupić apartament?

Zaśmiała się i dopiero teraz zrozumiałem, o jaką radę chodzi! Ulżyło mi, a jednocześnie poczułem się przyjemnie odurzony jej poczuciem humoru. Byłem już jej, tylko ona nie była jeszcze moja.

– Zatem serdecznie zapraszam panią w odwiedziny – palnąłem.

– Odważna propozycja, mój panie – powiedziała karcąco, ale w jej oczach błysnęły filuterne ogniki.

– Proszę się nie bać, windy są absolutnie niezawodne, idą w górę bezszmerowo, windziarze są grzeczni i mają czyste uniformy!

– Pan jest niemożliwy! Wiem, jak wyglądają apartamenty w Prudentiale, zwiedzałam, są piękne, a widoki jeszcze doskonalsze, nie wiem tylko, jak się mieszka. Co innego spędzić noc... – powiedziała to tak, że elektryczny prąd przeszedł mnie od stóp do głów – ...a co innego miesiące.

– Odstąpię pani lokum na miesiąc, pomieszka pani i niezawodnie będzie mogła podjąć decyzję. Ja ten czas spędzę w Juracie – dodałem na wszelki wypadek, a ona zrobiła minę, która zdawała się mówić: „Naprawdę pana nie będzie, panie Henryku?”

– To nie wchodzi w rachubę! – zaprotestowała żywo.

– Czemu? – zdziwiłem się i na wszelki wypadek dodałem: – Nie poniesie pani żadnych opłat!

– Nie mogę mieszkać w Prudentiale i równocześnie być w Juracie – powiedziała stanowczym głosem – teraz płynę sama, bo mąż ma ważne interesy, ale wakacje spędzamy razem!

Wszystko pękło jak bańka mydlana albo było wstępem do bliższego poznania nowej Ireny Leszczyckiej. Nie, lepiej nie, jak ją teraz odwieść od kupna apartamentu w Prudentiale?

W tym momencie, jak na westernie, uratowała wszystko kawaleria. Do baru wlała się ekipa, która poszła do burdeliku.

I faktycznie tam trafili, a całość zaaranżował redaktor Wańkowicz, który jednym dał przygodę życia, a drugich zgorszył. Tematem wieczoru było przedstawienie, które Wańkowicz zamówił w tym przybytku. Otóż zapłacił dwóm panienkom, aby przed publicznością rozebrały się i pieściły nawzajem. Najbardziej zgorszona, o dziwo, była Bela Gelbard; ta, która chwaliła się kilkoma mężami i legionami kochanków, która chciała schrupać Fiedlera i wręcz reklamowała się nie tylko jako kobieta wyzwolona, a wręcz nimfomanka.

Ciekawe, co na to wszystko Alicja, ale wyglądało na to, że po wycieczce udała się od razu do kajuty.

## ROZDZIAŁ VIII

**W którym płyniemy do kraju rozebranego jak niegdyś Polska, entuzjaści polskich kolonii snują plany podboju świata, pan Arkady gotów jest się poświęcić i dla dobrego reportażu zostać bigamiścią, Kercelak z Nalewkami to mały pikus, prostytutki są nachalne, a Atlas wysoki**

Płynęliśmy do Casablanki w Maroku, francuskim Maroku. Arkady Fiedler dokładnie nam zrelacjonował tamtejsze zależności polityczne. W 1912 roku Francja wymusiła na sultanie Maroka, Mulaju Abd al-Hafizie, zrzeczenie się suwerenności i Republika przejęła ministerstwa spraw zagranicznych, wewnętrznych, armii i finansów. Postawiła się Hiszpania, której za święty spokój Francuzi odpalili część Maroka, jednym słowem dokonano rozbioru, coś jak z Polską za króla Stasia. Ale to nie był koniec, fikalili Niemcy, więc Francuzi dali im kawałek swojej Afryki Równikowej i Szwaby mogły sobie rozdmuchać ten swój Kamerun.

Taka prezentacja zakończyła się wystąpieniem jakiegoś fagasa, który wyglądał jak urzędnik, brat bliźniak mojego sąsiada od stolika, wicestarosty Pierdziszewskiego.

– Niemcy straciły Kamerun, tymczasem my mamy polskie osadnictwo, naszych pionierów, którzy cywilizują świat dzikich i użyźniają nieużytki – powiedział z entuzjazmem brat wicestarosty z Pierdziszewa, który nagle się pojawił i przybierając pozę Napoleona, kreślił wielkie plany dla jeszcze większej Polski. – Wszak kupiono ziemię w Brazylii. Za rządowe pieniądze nabyto, w brazylijskiej Paranie! – Słowa „rządowe pieniądze” wymówił z namaszczeniem. – A przecież jeszcze Kamerun, Togo, Gwinea i Liberia. A to nie koniec, z kręgów rządowych wiem o Mozambiku, Paragwaju i Angoli! Ale największą naszą nadzieją jest przecież Madagaskar! – Domniemany brat wicestarosty Pierdziszewskiego spojrział na Arkadego Fiedlera, a ten milczał, jakby nieco skrępowany.

– Panie Arkady, czy pan przewodniczący niczego nie pominął? – powiedział z dostojeństwem Wańkowicz.

Zatem jakiś przewodniczący, tylko czego i skąd – nie miałem pojęcia. Tymczasem młody podróżnik chrząknął i przemówił.

– Sześć lat temu pierwszych sto trzydzieści pięć rodzin wyjechało do Parany, w tym samym czasie rozpoczęto także kolonizacyjną akcję w peruwiańskiej Montanii. – Fiedler urwał, przybierając pozę ucznia, który dobrze zaczął odpowiedź, ale nagle ogarnął go jakiś cud niepamięci.

– I...? – zapytał ktoś.

– No właśnie, jak im tam poszło, tym naszym dzielnym osadnikom? – Kolejny słuchacz rozwinął pytanie.

– Mów pan, panie Arkady – ponaglił trzeci, a później ponaglenia i prośby stały się nieczytelne.

Młody podróżnik nie miał wyraźnie na to ochoty, ale musiał, nabrał powietrza w płuca i wyjął prawdę.

– Niestety ponieśliśmy porażkę, warunki są skrajnie trudne, ziemia ciężka do uprawy...

Ze zgromadzonych, przynajmniej tych, którzy nie znali szczegółów, jakby zeszło ciśnienie, przez szmerek niepokoju przebił się głos niezawodnego przewodniczącego Ligi Morskiej i Kolonialnej z Podkarpacia.

– Początki są trudne! – powiedział, wzmacniając swą napoleońską pozę. – Wszak dwa lata temu reprezentujący Ligę Morską i Kolonialną generał Orlicz-Dreszer zawarł porozumienie z rządem liberyj-

skim, ma się rozumieć za zgodą rządu Rzeczypospolitej, o utworzeniu pięćdziesięciu plantacji. Polskich plantacji – podkreślił z dumą. – A na oku mamy także, jak wspominałem, ziemię w Mozambiku. Jest wielki entuzjazm, mnóstwo młodych ludzi się garnie, na przykład wychowanek generała Zaruskiego, Michał Sumiński. Świetny żeglarz, talent dziennikarski, nic dziwnego, że stanął na czele sekcji młodzieżowej naszej Ligi. Potrzeba nam zatem więcej Piłsudskich i Batorych, więcej okrętów i żaglowców, musimy „ubrać Gdynię w las masztów!” – zakończył mowę hasłem, które powtarzał generał Orlicz-Dreszer.

Gdyby tylko sobie ten Orlicz-Dreszer tak wygadywał... ale on był pupilkiem Marszałka, więc to, co wygłosił i przypadło do gustu wodzowi, stało się częścią testamentu Piłsudskiego. Orlicz-Dreszer nawet sam go podyktował i dbał o to, by się trzymać jego litery. Kierowana przez niego Liga Morska i Kolonialna miała już ponad trzysta tysięcy członków, od młodzieży szkolnej, przez urzędników, aż po wojskowych i policjantów. Pewnie jeszcze księży się zapiszą, bo w tych dzikich krainach potrzebni będą misjonarze.

– Wybiera się pan do tej naszej kolonii? – zapytał zupełnie niezmiészany przewodniczący, który nie ustął w zapale dzielenia świata. – Znaczą się na Madagaskar!

– Panie Suszyński, nie dzielisz pan czasem skóry na niedźwiedziu? – zapytał ktoś przytomniejszy.

– Przecież to już praktycznie postanowione przez polski rząd oraz Polki i Polaków – prychnął. – Nie widzi pan tego entuzjazmu, zapалу, nieuchronności i dziejowej sprawiedliwości, jaką będą polskie kolonie i terytoria zamorskie?!

– Ale czy aby Francja się na to zgodziła? – zapytał ktoś pozbawiony patriotycznej pewności siebie.

– A co ma się nie zgodzić? – burknął Suszyński. – Przecież to nam się należy! A pan to kto, że ma takie wątpliwości?

– Panie przewodniczący Podkarpackiego Koła Ligi Morskiej i Kolonialnej – powiedział z zadaniem – pan znasz morze, gospodarkę i geografę z gabinetów, a ja jestem przedsiębiorcą, który sam wszystko wypracowuje, nazywam się Jan Koenig i mówię panu, że to wszystko to bajdy pozbawione ekonomicznego sensu!

Ponad barem przeszedł szmer, który świadczył o tym, że zdania są podzielone. Gdyby to był robotniczy bar na Woli, to by się skończyło mordobiciem, ale tu pojawił się mediator.

– Tylko bez polityki, panowie, tylko bez polityki. – Wańkowicz wszedł ze swoim głosem odważnie i pewnie, jak sędzia bokserki między kłinczujących pięściarzy. – Nie odchodźmy od tematu, którym są małżeństwa zawierane w świecie dzikich. Panie Arkady, czy pan, jeśli się znajdzie na dłużej w takim świecie, znajdzie sobie miejscową żonę?!

Pytanie było postawione bardzo mocno, ktoś cicho gwizdnął, ktoś oburzony powiedział: „Daj pan spokój z takimi pytaniami”, inny dodał, że „to ten redaktor od wycieczki do burdelu”, ale przeważało zainteresowanie, a nie zgorszenie. Wszyscy spojrzeli na podróżnika, czy aby się nie obrazi pytaniem starszego kolegi. Ktoś go próbował wyrezyć, śmiejąc się: „Toż to czysty żart!”.

– To nie żart – rzekł po chwili Fiedler – ja to pytanie przyjmuję zupełnie na poważnie i z miejsca odpowiadam panu Wańkowiczowi: dziwne by było, gdybym nie miał! – odparł z zapalem.

– Opowiadasz pan! – ktoś to mimo wszystko przyjął jako żart.

– No gdzież tam – dodał inny.

– Panowie... – uciszył tłumek Fiedler – ...kiedy się chce żyć pośród obcych plemion, trzeba żyć jak oni! Kiedy przybysze z innej cywilizacji zamieszkują w naszych miastach, nie dajemy im stawiać namiotów i jurt, chcemy, aby się obyczajnie ubierali, nikt nie zniósłby golizny, chodzenia z dzidą po ulicy i polowania w parku! A ja chcę, by pod swoim dachem z liści lub trzciny przyjęli mnie wraz z aparatem fotograficznym, maszyną do pisania i nietypowym ubraniem. Przyjęli ze zrozumieniem, a tego by nie było, gdyby zobaczyli, że zdrowy, młody mężczyzna chce żyć samotnie, bez kobiety albo i kobiet, bo w niektórych plemionach to tak samo normalne jak u nas starokawalerstwo.

Po zgromadzonych przeszedł szmer, ktoś bąknął, że z dwiema kobietami to jednak problem.

– A jaki to problem? – zdziwił się czarnowłosy młodzieniec. – Chyba tylko...

Wańkowicz nie dał mu dokończyć.

– Pewnie pan powiesz, panie...

– Łęcki, Władysław Łęcki – przedstawił się brunet.

– No pięknie, jak z *Lalki* – pochwalił pan Melchior. – Pewnie panu, panie Władysławie wydaje się, że to wyłącznie kwestia... – ściszył głos – ...potencji! – Rozejrzał się po zgromadzonych, ten i ów zaśmiał się, paru zarechotało, wprowadzając się tym samym w miłą, niezobowiązującą atmosferę męskiego, koszarowego wieczoru. – Jak patrzę po szanownych panach, to nie sądzę, by był problem – znów szmerek rozbawienia i uznania – bo to przecież sprawa oczywista – ostatnie słowa powiedział już głośno, prostując się dumnie, co powitała eksplozja śmiechu – tyle że człowiek nie królik, także dziki, i musi się uporać z kobietami nie tylko w nocy, ale i za dnia, tak więc, panie Łęcki, każdy z nas da radę, pewnie wielu ją daje, dzielnie łącząc otwarte kampanie w małżeńskim łożu i partyzanckie potyczki z kochankami. – Zawiesił głos, by nasycić się atmosferą, jakby był aktorem w kabarecie, ktoś nawet zaklaskał z uznaniem, a on uciszył towarzystwo gestem ręki, po czym wskazał młodego Łęckiego. – Czy pan, panie Władysławie, jest żonaty?

– Nie, dopiero co się zaręczyłem – odparł młodzieniec.

– No właśnie! Nie masz pan pojęcia, co to znaczy mieć żonę, a co dopiero dwie!

Znów śmiech, niemal aplauz, połączony z głosami potakiwania.

– To heroiczne wyzwanie: żyć z dwiema kobietami pod jednym dachem! – dokończył redaktor.

– Chyba łatwiej, szanowany panie, z dwiema żonami niż z żoną i teściową! – Jakiś łysiejący czterdziestolatek postanowił skraść Wańkowiczowi przedstawienie.

Znów śmiech.

– Pan, panie Arkady, jesteś ekspert! – Koenig powrócił do głosu. – Daliby taką żonę, czy może wzbrałiby czegokolwiek, no jak pan to widzisz, ty nasz Livingstone?

Podróżnik zaśmiał się, po czym odpowiedział:

– Panie Edwardzie! David Livingstone był misjonarzem, czego raczej o mnie powiedzieć nie można. – Towarzystwo rozbawiły te słowa, mnie zresztą też.

W poniedziałek, 27 kwietnia, wpłynęliśmy do Casablanki, co prawda Maroko to nie Algieria, ale wielbłądy, Arabowie w turbanach, pustynia i cała reszta się z grubsza zgadzały, więc większość myślała, że weźmie udział w pięknym obrazie, który znali z filmu *Zew pustyni*. Była to absolutna kłapa finansowa, która położyła wytwórnę B-W-B, której właścicielami byli Bodo, Waszyński i Brodzisz. Ale film przedni, można powiedzieć hollywoodzki, więc prawie każdy szykował się na coś specjalnego.

Schodząc z trapu, spotkałem Alicję Kazanecką, szła sama, więc skorzystałem z okazji.

– A pani ojciec nie idzie zwiedzać miasta?

– Papa? – zdziwiła się. – Nie zauważył pan, że jeśli gdzieś jest stolik brydżowy i dobrzy gracze, to musieliby z nim razem wszystkich wynieść! Nie ma takiej możliwości, by przerwał grę!

Zatem poszliśmy sami w wąskie uliczki. Pierwsze, co zrobiłem, to wzięłem od panny Alicji dokumenty, a wewnętrzną kieszeń, w której trzymałem wszystkie ważne rzeczy, nie tylko zapiąłem na guzik, ale i dodatkowo zamknąłem na dwie agrafki, choć jak zobaczyłem ludzkie kłębawisko, to miałem ochotę ją sobie zaszyć, i to dratwą. Co prawda dolna agrafka miała mnie uchronić od odcięcia dołu kieszeni brzytwą, ale zdarzali się Houdini doliniarskiego fachu, którzy potrafili dokonywać cudów zręczności.

Wydawało mi się, że nie ma bardziej zatłoczonej ulicy niż Nalewki. Jak się okazało, mało widziałem, tu tłok był jak w porannym tramwaju, kiedy tysiące pasażerów jadą na tę samą godzinę do pracy albo szkoły i koniecznie musi to być tramwaj wjeżdżający w pobliże Dworca Głównego, pod który jakąś ma-



giczną sztuczką przenoszą wszystkie warszawskie bazyry, a do tego wóz tramwajowy idzie bez przychepcy! Ludzkie mrowisko, które sprzedawało, kupowało, targowało się, żebrało, obiecywało miłość jak z Kamasutry, śmierdziało, pachniało, kradło i uciekało. Jakby Kercelak, który został zwielokrotniony, a jego sprzedawcy, klientela, farmazoni i magicy, łobuzy, doliniarze nie występowali pojedynczo, lecz całymi pułkami.

Chciałem już zwracać, chociaż panna Kazanecka była ciekawa i nie zniechęcały jej wyciągane w naszą stronę ręce żebraków, które były jak falujące trawy. Błagali o jałmużnę starcy, kobiety stare i młode, w ciąży i z dziećmi na ręku, kalecy mężczyźni oraz dzieci. Patrzyła jak urzeczona na ten spektakl okropieństw. Nagle przez cały ten zgłęb arabskich słów przebiło się paniczne wołanie.

– Ratujcie mnie, biją mnie kurwy! Ratujcie mnie, ratujcie mnieeeeee, aaaaa! Państwo są Polakami, ratujcie mnie!

Kiedy doszliśmy na miejsce zdarzenia, zobaczyliśmy widok niezwykły. Z kłębowiska, w którym prze-ważali żandarmi, dwóch mundurowych wyciągnęło jakąś arabską dziewczynę, a kolejnych dwóch wy-nosiło z tej cizby pasażera z naszego statku, Rudnickiego, o którym Wańkowicz złośliwie mówił, że na-leżał do tak zwanej półtołej szlachty, co próbuje doskoczyć do pełnej krwi arystokracji. Po chwili żan-darmi rozeszli się w dwie strony, jedna grupa eskortowała Arabkę, druga Polaka, ją kierując do aresztu, a jego na statek. Staliśmy jak wryci, kiedy usłyszeliśmy głos Wańkowicza.

– Państwo pozwolą, tu jest wolne miejsce, zapraszam do naszego stolika, to europejska kawiarnia, służba jest bardzo pilna, a jak trzeba, chroni nas francuska armia!

Wtedy zobaczyłem, że przy innych stolikach siedziały panie Żeromskie i kilka arystokratek, a zaraz za nimi francuski generał z jakąś damą.

– To wielki zuch, ten wojskowy – podjął znów Wańkowicz, jak zwykle w doskonałym humorze – jak szturmowali lokal mali żebracy, to nie zawahał się użyć syfona, prul do nich gazowaną wodą, jak gang-ster z amerykańskiego filmu wali z rozpylacza.

– A co się przytrafiło panu Rudnickiemu? – zapytała panna Kazanecka.

– Zaplątał się w jakąś komiczną sytuację, może się za bardzo przyglądał tej dziewczynie, a ta go opacznie zrozumiała? Nie wiem, rzuciła się na niego i wpiła wprost w przyrodzenie, bił ją po rękach, a ona rozpiniała mu guziki w rozporku, niewiele brakowało, a w obecności tych oto dam dokonałaby ekshumacji jego męskości! Być może prężnie odżyłyby dawne wspomnienia, ale przybyli dzielni żan-darmi. Nie wiem, co powiedzieć o tym naszym półtora szlachciucu, czy miał szczęście, że go odbili z jej rąk, czy wprost przeciwnie!

Wypiliśmy z Alicją po kawie, ale już na ciasteczko się nie skusiliśmy; roje much unosiły się nad ka-wiarnią jak nad pobojowiskiem.

Po kolacji jak zwykle nastrój koktajlowy, chodziłem od grupki do grupki w poszukiwaniu Alicji, pana Wańkowicza albo Fiedlera, na koniec trafiłem jednak do królestwa panny Moniki Żeromskiej. Ależ z niej była piękna kobieta! A do tego córka wielkiego pisarza, więc otaczał ją wianuszek adoratorów, a część nadgorliwych pochlebców tytułowała jej matkę „wdową po wielkim pisarzu”. Szybko zakłębiło się jak w domu aukcyjnym, bo kiedy jakiś fagas rzucił, że pięknie wygląda, inny pochwalił się, że czytał dzieła wszystkie mistrza i że płynie Batorym, bo zakochał się w *Wietrze od morza*. Licytacja trwała bez ja-kiejkolwiek żenady.

– Gdyby pani ojciec mógł popłynąć, gdyby zobaczył ten morski triumf... – zapiał lekko brzuchaty po-chlebca.

– Byłoby z tego dzieło! – przebił go łysawy chudzielec w okularach.

– I to jakie! – Tego nie widziałem, ale do wysokiego, świszczącego głosu dopasowałem typka wzrostu siedzącego psa.

– Na miarę *Popiołów!* – Ten już był doskonale widoczny, łysa pała z wąsem pod haczykowatym nosem górowała nad adoratorami córki wielkiego pisarza.

– Ależ skąd! Raczej ciąg dalszy *Przedwiośnia!* – odezwał się stary znajomy od podbojów, przewodniczący Podkarpackiego Koła Ligi Morskiej i Kolonialnej.

– Państwo się domagają czegoś epickiego, a czymże jesteśmy my i nasz rejs, to raczej byłby format *Wiatru od morza!* – Dał o sobie znać brzuchaty jegomość, który zaczął ten festiwal uwielbienia twórcy i jego dzieł, z których najważniejszym była urodziwa córka.

W ten sposób zamknęło się koło pochlebstw nieoczywistych, bo w drodze do hołdu bezpośredniego pod adresem panny Moniki były peany na cześć jej ojca, jakby droga do serca córki pisarza wiodła wyłącznie przez wygraną w Pełnomorskim Turnieju Wiedzy O Życiu i Twórczości Stefana Żeromskiego.

Towarzystwo prowadziło dyskusję z zapalem, z jakim dzieci toczą śnieżną kulę. Nikt nie wnosił do sprawy nic nowego, ot każdy chciał dopowiedzieć coś, byle tylko błysnąć. Licytacja trwała, zrobił się całkiem spory tłum, nawet się nie obejrzałem, a rozmowa kilku osób stała się poważnym zebraniem.

– Pewnie chciałby tę podróż dzielić z Edwardem Abramowskim, ileż mieliby sobie do powiedzenia, cóż by to były za dysputy, co o tym wszystkim sądziłby Abramowski! – zapalił się jakiś starszy jegomość z bródką i w okragłych drucianych okularach, jakby się wybrał na bal maskowy przebrany za Bolesława Prusa.

– Jakby żył Abramowski – szepnął mi do ucha Wańkowicz, który nagle znalazł się za moimi plecami – to powiedziałby: szkoda, że to nie jest statek spółdzielczy i żałowałby, że nie nazywa się Przyszłość.

Kiedy oddaliśmy się na bezpieczną odległość, gdzie można było swobodnie rozmawiać, postawiłem sprawę jasno.

– Zapewne ma pan rację, ale nie potrafię tego docenić, bo nie wiem, kim był pan Abramowski, oprócz tego, że znał się z panem Żeromskim i że już nie żyje.

Zaśmiał się, ale nie było w tym śmiechu nic szyderczego.

– Z pan to jest byczy facet! – powiedział i dał mi kuksańca w bok. – Abramowski to był filozof, snuł utopijne wizje, trochę socjalistyczne, trochę anarchistyczne, widział świat spółdzielców, pewnie by mu się spodobały żydowskie kibuce. Żeromski uwiecznił go w *Przedwiośniu* jako Szymona Gajowca, a Dąbrowska jako Marcina Śniadowskiego w *Nocach i dniach*. Pociętni ci adoratorzy panny Moniki, ale przynajmniej wiedzą, kto to Abramowski.

– Teraz to i ja wiem – powiedziałem.

– Zatem nie idzie pan ze mną do baru, wraca pan walczyć o serce panny Żeromskiej?

– Gdyby nie pan, nie wiedziałbym, kto to Abramowski, więc najpierw muszę spłacić swój dług wdzięczności!

No i spłaciłem. Towarzystwem panu Wańkowiczowi, który znów dobrodusznie użyczył komuś swojej kabiny.

Rankiem zmieniłem środek transportu. Ponieważ na mój bilet były wykupione wszystkie wycieczki, to zabrałem się pociągiem do Marrakeszu, skąd samochodem szła wyprawa w góry Atlas. Alicja nie pojechała, została z ojcem, czego żałowałem, ale mam wrażenie, że chciała przypilnować ojca, bo chyba pana Edwarda Kazaneckiego interesował nie tylko brydżyk na symboliczne stawki, ale i pokerek na grube.

Marrakesz był piękny, nie tak tłoczny jak Casablanca, różnorodniejszy, bo docierali tu czarni jak heban Murzyni oraz nasi! Redaktor Wańkowicz wynalazł Polaków, którzy stacjonowali tu w Legii Cudzoziemskiej, i zachwyił się historią jednego z nich, niejakiego Dębickiego. Rok temu na wieść o śmierci Piłsudskiego zalał się w pestkę i zatrzymał bryczkę, którą jechał francuski oficer z żoną. Darł się na nich, że Dziadek umarł, a oni sobie bryczką jeżdżą. W Polsce może by i dostał awans, tu wsadzili go do

paki, z której jeszcze nie wyszedł. Jakby tego było mało, mieszkaliśmy w hoteliku, który należał do Żyda z Galicji, no i śnieg był jak w Polsce, oczywiście w górach Atlas, które przytłaczały swą wielkością. Jazda serpentynami robiła wrażenie niemniejsze od śniegu leżącego na szczytach w środku Afryki. Pięknie, naprawdę pięknie, przyjechałbym tu z jakąś kobietą. Pomyślałem o Aldonie, jakoś o niej zapomniałem, zupełnie niesłusznie, może dlatego że była taka niezależna, mocna i chodząca swoimi drogami? To przecież zupełnie jak ja.

## ROZDZIAŁ IX

**W którym Neptun Batoremu życzliwy, co ośmiela pana Wańkowicza do brawurowego wyczynu, Madera ma szansę stać się nową Częstochową, idę na Bal u Gubernatora, wspomina Witka Bociankowskiego i choć robię partię ze słabą kartą na ręku, to i tak czuję się przegrany**

Ocean był dla nas łaskawy, a kolejny próbny alarm przednią rozrywką. Wszyscy byli na to gotowi, więc nikt się nie bał. Kiedy po próbie wszyscy rozeszli się do swoich zajęć, znów zapanowało podniecenie, tym razem nieudawane. Obsługa biegiem ruszyła na górny pokład, nawet sam kapitan Borkowski pojawił się szybko, widać zrezygnował na chwilę z powolnego, pełnego dostojności kroczenia. I ja ruszyłem, a na schodach spotkałem Tacka.

– Człowiek za burtą? – zapytałem.

– Nie, człowiek ponad pokładem – odparł – pan Wańkowicz chciał wejść na bocianie gniazdo, którego u nas nie ma, żeby wypatrzeć Maderę, no i mamy problem!

Jakoś mi się nie chciało wierzyć, że ten kresowy niedźwiedź mógł się gdziekolwiek wspinać, ale tak było! Melchior Wańkowicz znajdował się na dwóch trzecich wysokości masztu, a w jego kierunku szło dwóch marynarzy. Były tam specjalne drabinki i występy, ale zadanie nie było łatwe. Domyślałem się, co się stało, bo choć nie jestem wytrawnym wspinaczem, to coś niecoś potrafię i wiem. A wiem przede wszystkim to, że łatwiej wejść, niż zejść! Ileż razy ratownicy z TOPR-u ściągali z gór panie i panów, którzy zdobyli szczyt lub ścianę, a kiedy spojrzeli w dół, łapał ich paraliż. Tak było i z panem Wańkowiczem, który na rauszu obiecał jakiejś damie, że wypatrzy dla niej Maderę. Wcale szybko wszedł na maszt, łądu nie wypatrzył i zejść nie potrafił. W galerii burżujów, którzy, jak to sam opisywał, byczyli się na Batorym, zdobył palmę pierwszeństwa.

– Co pan widział, panie redaktorze? – zapytał któryś z gapiów.

– Że, szanowny panie, „od Łyczakowskiej aż po prospekt Newski «Baczewski»!

Sam pobyt na Maderze obył się bez sensacji, nikt nie wpadł do wody, choć podobnie jak w Dubrowniku, Batory był zbyt duży, by zacamować w porcie, więc zakotwiczył na redzie, a do Funchal zabrały nas motorówki. Wyspy pełnej zieleni, bananowców i patriotycznego wzmożenia.

Od razu udała się do willi, w której mieszkał Marszałek, delegacja z kwiatami. Z dnia na dzień umacniałem się w przekonaniu, że Wańkowicz jest mocnym piłsudczykiem albo tylko dobrze gra. Z przejęciem mówił o ich wizycie, jakby to było jakieś sanktuarium, że portugalski oficer piał, że do cesarza austriackiego, który tu jest pochowany, zwyczajnie przychodzą z wieńcami, za to Polacy do domu Marszałka pielgrzymują. Ja zapamiętałem wysokie góry i jazdę... saneczkami! Zjeżdżało się po drodze wysypianej drobnymi kamyczkami, grzało się w dół aż miło.

Straciłem kontakt z Alicją i nie usiłowałem jej nawet szukać, bo jak ją znajdowałem, to z jakimś fatygantem i robiłem się zazdrosny. Drugiego i ostatniego dnia pobytu na Maderze odnalazła się – podeszła przy śniadaniu do mojego stolika.

– Pójdzie pan ze mną na dzisiejszy Bal u Gubernatora? Będzie mi pan towarzyszył? Nie mogę przecież pójść sama.

– Ależ oczywiście, szanowana pani! – powiedziałem, starając się ukryć swój entuzjazm.

Powstrzymałam się od radosnych reakcji, a wicestarościńską, pozał się Boże, parę niemal nie rozzerwało ze złości. Słabo im szło, widać było, że to ich ubodło, bo Bał u Gubernatora był zaszczytem dla nielicznych. Teraz ta dęta impreza nabrała zupełnie innego znaczenia, liczyło się, z kim idę!

Serce nie służy, zresztą nie wiem, czy serce w tym wszystkim było najważniejsze. Tak czy owak szedłem, bo nie wypadało jej iść samej, co przypominało mi o pewnej bankietowej historii i moim koleżce warszawskim Witku Bociankowskim.

A było to tak. Spotkaliśmy się na jakiejś dętej imprezie, na którą zawlekła mnie Aldona Glock. Obecni tam artyści to jeszcze pół biedy, ale napatoczyli się także ich mecenasi i było to trudne do zniesienia. Aldonie byłem potrzebny na początku i na końcu tego niewątpliwie nudnego wydarzenia. Po entre, kiedy już przywitałem się ze wszystkimi starymi capami i młodymi dobiegaczami, rzucając przy tym jakieś deprymujące słówko, że nie powinni startować do Aldony, ona zyskała swobodę rozmów, a ja czas wolny. Moja kochanka mogła spokojnie, bez tracenia czasu na dawanie prztyczka w nos fatygan-  
tom, pogadać, co i jak w sztuce się dzieje. Wszystkie te dyrdymały o odcieniach, kompozycjach, pociąg-  
gnięciach pędzla, niezawodnej ręce i innych pierdołach. Mam wrażenie, że malarz mniej myśli i mniej  
znaczeń zawiera w swoich landszafikach, niż mu to ta cała artystyczna banda przypisuje. Facet nama-  
lował portret, a oni rozbierają wszystko na czynniki pierwsze, jakby to był ośmiocyldrowy silnik  
z oprzyrządowaniem.

Na szczęście spotkałem Witka Bociankowskiego, który był w podobnym położeniu, co ja. Miał tu kwitnąć dwie godziny i do tego bez zobowiązań! Stańliśmy przy stoliczku, prawie sami, bo towarzy-  
szył nam jeszcze zmarznięty na kość pan Baczewski. Pilny i przy tym myślący kelner, po dwóch szyb-  
kich kolejkach, które znamionowały wprawę naszych nadgarstków, zorientował się, że zedrze przy nas  
zelówki i przyniósł nam wiaderko, w którym pełna butelka przezroczyściego nektaru otulona była kost-  
kami lodu. Daliśmy mu do zrozumienia, że jego śmiałość nas nie obraża, że sami będziemy się obsługi-  
wać i zaordynowaliśmy tylko syfon z wodą oraz tartinki ze śledziem.

I mogliśmy rozmawiać o tym, co chcieliśmy, czyli o autach i kobietach. Szybko zeszło na kobiety,  
a tak dokładnie i detalicznie na jedną z nich, Apolonię Bilską, czyli młodą damę, z którą Witek wparow-  
wał na ten wieczorek. Jego pozycja względem niej była, jak to powiedział, niemożliwie werterowska,  
znaczy się, że była to żona kolegi, a on zobowiązał się w akcie męskiej przyjaźni eskortować ją, żeby do-  
biegacze nie zlecieli się do niej jak pszczoły do miodu. Widok dwójki facetów, niewyglądających na ro-  
mantyków, za to równo opróżniających butelkę wódki, skutecznie gasił zapędy adoratorów.

– Apolonia to piękna kobieta, muszę więc być czujny, bo Edward to mój przyjaciel – powiedział Wit-  
tek po pierwszej stopce.

– Spójrz na nią, to prawdziwy skarb, zatem tym bardziej cenię sobie zaufanie, jakim mnie obdarzył  
Ed! – To było po jakimś trzecim kieliszku.

– Stoją koło niej i patrzą. Patrzą i podziwiają, tylko podziwiają, bo wiedzą, że nie dla psa kiełbasa! –  
Pomachał do Apolonii, a ona odpowiedziała tym samym, co zdeprymowało osobników próbujących iść  
w konkurs. – Zresztą popatrz na tych mydlków, na tego elegancika w angielskim garniturze i tego arty-  
stę w lachach jak z cyrku! Gdzież im do mnie! Ale ja tylko jestem Tristanem, a ona Izolda.

To było już po napoczęciu drugiej butelki i zwiastowało pełen emocji ciąg dalszy, bo z tego, co pa-  
miętałem, czytać się nie dało, ale historia kława: rycerz Tristan miał opiekować się królewską dziewczicą  
Izoldą, ale trochę mu nie wyszło. Płynnie przeszliśmy z wódki na whisky, tyle że ja trzymałem się do-  
brze, a mój towarzysz się rozklejał.

– Ale ja się nie poważę na przekroczenie pewnych granic, nie będę Tristanem, żadnego tam... – Za-  
wiesił głos i nalał do szklaneczek whisky od Baczewskiego.

Na koniec, mając już miękkość w kolanach, niestosowną nawet podczas artystycznej imprezy, chyba  
że się jest gwiazdą – gwiazdom wszystko wolno, i nawet jak się upiją, to jest takie upodlenie eleganckie  
i en vogue. Witek nie był gwiazdą, za to wygłosił przy mnie szczerzy apel do Boga.

– Jezus Maria, Boże, ty widzisz i nie grzmisz? Ed ją zaniedbuje, on znów jest w delegacji! – To był prolog, zaraz potem dodał dramatycznym tonem: – A ja stoję tu na straży, choć mógłbym się szlajać po mieście.

Strzemiennego i jednocześnie zamykającego butelkę whisky zakończył szczerym: „Kocham ją, kocham Apolonię, moją Izoldę Złotowłosą”. Jak raz Apolonia była brunetką, ale i nie o platoniczną miłość tu chodziło.

– Kocham ją – powiedział dramatycznym szeptem, po czym dodał: – I wyruchałbym ją choćby zaraz. Nie będę cierpiał jak młody Werter!

Poderwał się i poszedł dziarsko w jej kierunku. Po chwili wyszli. Nie wiem, jak to się wtedy skończyło, ale okazało się, że kiedy on cierpiał, jego narzeczona kotłowała się z Edwardem, bo ani ona nie jeździła do ciotki, ani on w delegacje.

Wiem natomiast, co było ze mną. Odstałem swoje jako stróż Alicji, jak trzeba, to się pojawiałem, dzięki czemu nie musiała się oganiać od kawalerów, a nawet dziadów jak Monika Żeromska, która pojawiła się z matką. Gubernator nawet za nią łąził i w końcu uciekła przed nim do kasyna, i żeby fatyganci na nią nie lecieli, wybrała się tam z panem Wańkowiczem.

O dziwo i ja wzbudziłem pewne zainteresowanie, podszedł do mnie jakiś dystyngowany jegomość i palnął:

– Pułkownik Eugeniusz Rakuszecki, radca stanu, znam pańskiego kuzyna! – powiedział to z wyraźną dumą.

– Tak? – zdziwiłem się.

– Józef Haas, poseł BBWR, wielki społecznik, nie sposób go nie znać!

To kiedyś musiało się stać! Faktycznie był to mój daleki kuzyn, bo babcia pochodziła ze Skoroszy, gdzie mieszkali niemieccy koloniści, których rodzina Haasów była liderami. Sołtysowie, wójtowie, szefowie straży, budowniczości kościoła, wreszcie Józef Haas, który był posłem. To od nich przyjąłem mój artystyczny pseudonim, kuzynowskie nazwisko, na które wystawiono mi dokumenty, kiedy jechałem robić na Śląsku dywersję. To była dobra legenda, bo piąte przez dziesiąte orientowałem się, co i kto, potrafiłem opowiedzieć bajeczkę, że jestem Niemcem, który postanowił wrócić do Heimatu.

– To bardzo mi miło, że mój kuzyn wywarł na tak znamienitej osobie korzystne wrażenie. – Jak chciałem, to potrafiłem szczebiotać ich językiem.

Radca z zadowoleniem chwycił się za kłapy smokingu, jakby to były kijki narciarskie i za chwilę miał poszusować w dół.

– To trzeba opić, szanowny panie, obowiązkowo!

Udaliśmy się więc do baru.

Wypić kolejkę albo dwie z radcą stanu? A w ogóle jest takie stanowisko? Stopień pułkownika na pewno, trudno, co zrobić.

Z tego wszystkiego nafutrowałem się i wypilem sporo z kręgami rządowymi, ale okazało się, że Alicja także. Kelnerzy byli tu bardzo pilni i dolewali non stop. A może Alicja nie była wstawiona, przyszło mi do głowy, może mnie kokietowała i ośmielała?

Wziąłem ją pod ramię, a ona wtuliła się we mnie i już nie byliśmy parą, która ma się pokazać na Balu u Gubernatora, wyglądaliśmy jak starzy kochankowie. Poczulem jej ciepło, które udzieliło mi się, nadzieje zostały rozbudzone! I stale rosły, bo kiedy płynęliśmy z portu na redę, położyła głowę na moim ramieniu, a potem już na Batorym jeszcze mocniej do mnie przyłgnęła. Wziąłem kurs na moją kabinę; zdawało mi się, że Alicja akceptuje ten jedyny słuszny kierunek. Nagle jednak pociągnęła mnie za sobą i zdryfowaliśmy w kierunku stolików, gdzie grano w karty, akuratnie do tego, przy którym rezydował jej ojciec.

– Papo! Papo! – musiała powtórzyć, by Edward Kazanecki odwrócił się do nas; zrobił to dopiero po tym, jak obejrzał karty, które przypadły mu w zakończonym właśnie rozdaniu. – To pan Henryk Haas –

zademonstrowała mnie z dumą, jakoś niezwykle radośnie i oficjalnie, aż poczułem się jak nigdy przedtem, bo żadna z moich dziewczyn czy kobiet nie prezentowała mnie swojemu ojcu. – Papo, pan Henryk jest wybitnym brydżystą, zastąpi cię w tym rozdaniu, a tymczasem ty odprowadzisz mnie do kajuty, okrutnie dziś wieje i buja!

Tego się nie spodziewałem, podobnie jak pan Kazanecki nie spodziewał się dostać tak marnych kart, bo spojrział na nie z niesmakiem, potem na mnie, a na koniec na swoją córkę. Wstał od stolika, wskazał mi miejsce i karty, wziął pod ramię Alicję i zakomunikował:

– Panowie! Wracam za kwadrans, faktycznie okrutnie dziś wieje i buja!

Dla towarzystwa, które nie zamknęło się jeszcze w kajutach, był to argument prawdziwy i zrozumiały, każdy z nich, ruszając się od baru albo wychodząc na dwór czy do toalety, czuł mocne kołysanie. Ja już nie. Czuję złość i rozczarowanie. Wziąłem do ręki marne karty po Edwardzie Kazaneckim, spojrzałem na mojego partnera, nieznanego mi mężczyznę z fryzjerskimi wąsikami. Kozacko zalicytowaliśmy, później ja grałem, wyszło, jak trzeba, z kontrą i rekontrą. Zrobiliśmy partię, ale i tak czułem się przegrany, przegrany tak mocno, że musiałem coś z tym zrobić. Tak mi nakazywały zawiedziona miłość, nadszarpnięta ambicja i wreszcie rozpalona żądza. I bez ich podszeptów wiedziałem, że na pływającym salonie zacząłem się czuć niczym tygrys w klatce i dwie wizyty na wybiegu, w Lizbonie i Londynie, tego nie zmienią, miałem już po prostu dość.

## CZĘŚĆ II: EUROPA, EUROPA

Wiem, jak bardzo naród niemiecki  
kocha swojego Führera.  
To wielki człowiek.

Józef Stalin po podpisaniu  
traktatu Ribbentrop-Mołotow



## ROZDZIAŁ X

**W którym wpływamy do Lizbony, śpochów budzą nabożeństwo i hymny, ja układam plan tyłuż mocny i bezczelny, co misterny, poznaję wygodny hotel, wspaniałą kobietę i faceta, który mógłby być niezłym kompanem w knajpie i na wojnie, a panu Kazaneckiemu opowiadam o wielkim interesie**

Madera to był tylko przedsiębiorca Portugalii, który rozbuchał wielkie nadzieje, po czym stał się koncertową klapą. Co prawda brydżyci obwołali mnie swoim naczelnikiem, ale nie ratowało to mojego podłego humoru. Alicja mnie unikała, w przeciwieństwie do jej ojca, który zapragnął grać w parze tylko ze mną. Nabrałem wręcz przekonania, że pan Edward, gdybym w zamian za rękę Alicji spisał kontrakt ślubny gwarantujący dożywotni udział zięcia we wspólnych rozgrywkach karcianych, nie wahałby się ani chwili. Po odejściu od stolika był już innym człowiekiem, a gdy zniknął na dłużej, życzliwi komentowali, że ma pewne kłopoty finansowe, a rejs będzie rozwiązaniem tych problemów. Brzmiało to jak fantastyczna złośliwość, ale karciarze byli pewni tego, że liczył, iż córka znajdzie tu dobrą partię. Nie sądzę, by chodziło o mnie!

Starałem się omijać Alicję, uznałem, że to ona powinna wykonać kolejny krok. Rozłożyłem się w leżaku, który wypożyczyłem za piątką, i skończyłem *Krzyżowców* Kossak-Szczuckiej. Poldek nie mylił się, lektura była wciągająca, za to myliłem się ja, i to bardzo, Alicja ani razu do mnie nie podeszła, nie miała czasu, bo była rozrywana przez jakichś mydlków, którzy rozprawiali z nią jak najęci. Rzuciłem się więc na nowego Dolegę-Mostowicza, spodobał mi się, pierwszorzędny jest ten *Doktor Murek zredukowany*. Wykształcony gość, ale nie jakiś miękki pizspan, ambitny typ, idealista i dlatego zbiera po tyłku. Z jednej strony go lubię, a z drugiej strony typ irytuje mnie swoją naiwnością. Niby chłopski sierota, a życia nie zna. Ale czytam dalej i w ten sposób minęły dwa dni żeglugi i w czwartkowy poranek trzeciego maja, wpłynęliśmy w gardziel rzeki przechodzącą w wielkie rozlewisko, nad którym leżała Lizbona. Brzegi strome, górzyste, ten lewy mocniej zabudowany, zбочa gór zapełniały domy, aż w końcu dopłynęliśmy na wysokość jakiegoś wielkiego pałacu czy klasztoru, ale jeszcze bardziej niezwykła wydała mi się wyrastająca z wody wieża.

– To Belém, wieża strzegąca portu i Lizbony oraz klasztor hieronimitów – powiedział jak zwykle doskonale przygotowany Fiedler, po czym spojrział w przewodnik. – Mosteiro dos Jerónimos, zbudowany na początku szesnastego wieku, w czasie gdy Portugalia była wielką, morską potęgą. Wznoszono go ponad pięćdziesiąt lat, wcześniej była tam kaplica ufundowana przez Henryka Żeglarza. To stąd wyruszyli portugalscy odkrywcy, zaś my staniemy już w samej Lizbonie. Ale warto będzie wrócić lądem, by obejrzeć to miejsce.

– Mogę na chwilę zajrzeć do pańskiego przewodnika? – poprosiłem Fiedlera.

Podróżnik podał mi książeczkę, myśląc pewnie, że szukam jakichś zabytków, tymczasem ja w spisie treści znalazłem rozdział „lizbońskie hotele”, przerzuciłem kartki na właściwą stronę, po czym zwiędziłem rubrykę „hotele klasy lux”. Wpadłem na pomysł, że przenocuję dziś na lądzie, taką miałem fantazję!

Moją uwagę wzbudził Hotel Avenida Palace, który mieścił się przy stacji kolejowej i mniej niż pół godziny spacerem od przystani dla statków pasażerskich, ledwie dziesięć minut jazdy taksówką i tylko cztery minuty od Elevador Santa Justa. Ta cała winda nic mi nie mówiła, ale odległość od nabrzeża była do przyjęcia, a opis hotelu zachęcający. Informowano w nim, że jest w pełni luksusowy, z łazienkami i telefonami, mieści się w dziewiętnastowiecznym gmachu, który wygląda jak nasze pierwszorzędne

Polonia Palace, Bristol i Europejski, a roztacza się z niego widok na plac Restauratorów i zamek św. Jerzego. Wewnątrz też pięknie, pokoje akuratnie i z gustem umeblowane, obsługa na najwyższym poziomie, a restauracja podaje wyborne dania. Kiedy planowałem nocleg na łądzie, a Fiedler wycieczki i zwiedzanie zabytków, kierownictwo rejsu miało już w rękach plan na patriotyczne obchody trzeciego maja. Tych, co zaspali, obudziła msza w kaplicy i chóralne Boże coś Polskę, wszystko w obecności posła Romera, który płynął z nami od Madery.

Świętowano w najlepsze, a ja schodziłem po trapie i jak raz spotkałem Alicję. Przypadek czy czekała na mnie? Była zalotna i już trochę tego wszystkiego nie rozumiałem.

„Obiecanki cacanki, a głupiemu staje” – pomyślałem. Tak mówią chłopaki z Woli, i nie tylko z Woli. Śmierć frajerom, za stary jestem, żeby dać się wodzić za nos. Rozegram to jak Junoszyca, czarny charakter od Dołęgi-Mostowicza, który owinął sobie wokół palca pannę Mirę. Zatem wóz albo przewóz.

– Moja droga... – powiedziałem to ciepłym tonem, bez przekąsu – ...zwodzisz mnie i tuzin innych mężczyzn, co pewnie kogoś doprowadzi do jakiegoś uwiądu, depresji albo mordobicia. Pewnie byłoby pięknie, gdyby jeden rzucił się z rufy na pełnym morzu, a dwóch innych stoczyło pojedynek.

Zrobiła taką minę, jakby to wszystko bagatelizowała, a może nawet wyobrażała sobie taki finał.

– Tak sądzisz?

– A mam prawo sądzić inaczej, Izabelo Łęcka?

– To impertynencja!

– Może i tak, jeśli uznamy, że Łęcka miała wszystkie twoje cechy, tylko brakowało jej pieniędzy... Na taki rejs jej papa by się nie wykosztował, chyba że wcześniej Wokulski przepłaciłby mu za kamienie, ale twój to i owszem, piękna gielda, nie ma co, dzielisz i rządysz, tylko jedni są nie dość bogaci i poważni, a inni...

– Świnia!

Chciała mnie spoliczkować, ale byłem na to gotowy. Chwyciłem ją za nadgarstki, bo po nieudanym policzku chciała mnie zaatakować pięściami, jakby miała walić w drzwi. Przyciągnąłem ją do siebie, tak że nieomal przyłgnęła do mnie. Drżała, nie wiem, czy z gniewu, strachu, czy podniecenia, ciężko oddychała, jej biust w intrygujący sposób falował. Wiedziałem, że należy do tych, które kręci męska siła, samcza pewność i charakter przewodnika stada. Trochę to jak z kiepskiego romansu, a tacy goście byli palantami, ale wielu kobietom się to podobało; po tym jak byłem miły i grzeczny uznałem, że to właściwa droga.

– Na pewno nie chcesz skandalu, bo wiesz, że plotkary notują, kto do kogo, w jakiej kabinie, a już kajuca Wańkowicza ma swoją księgę wejść i wyjść. Rozumiem, jesteś damą, cenisz sobie dyskrecję, zatem zapraszam na spacer po mieście, a później na kolację i śniadanie w Hotelu Avenida Palace. Za pięć piąta po południu zajedzie pod statek taksówka, będę czekał w wejściu do hotelu.

Puściłem ją, uchyliłem kapelusza i poszedłem w kierunku Avenida Palace, musiałem zrobić rezerwację. Po drodze zjadłem na śniadanie pastéis de nata, czyli babeczki budyniowe, oraz wypilem podwójne espresso, które nazywają tutaj duplo. Wyszczyłem szklaneczkę wina, możliwego, ale naprawdę dobre spodziewałem się wypić podczas kolacji.

Idąc do hotelu, upewniałem się w przekonaniu, że zrobiłem dobrze, bo pokazałem jej, czego od niej chcę, że nie jestem frajerem, jednym z tych lamusów, którzy dają się jej traktować jak jojo na gumce.

Zamówiłem pokój i od razu poszedłem pod numer, bo noc spędziłem na kartach. Położyłem się, uciałem krótką drzemkę, po czym poszedłem na spacer, kupiłem bilet do windy i wjechałem na wysokość zbliżoną do tej, którą ma mój Prudential. W parę minut przeniosłem się do dzielnicy Baixa, z której tarasów pięknie było widać miasto. Każde miasto ma coś swojego, specjalnego, najwięcej Warszawa z powodu sentymentu i znajomych, a Lizbona niespodziewanie wyszła na drugie miejsce. Stałem na szczycie, a po przeciwnej stronie była Alfama z zamkiem i katedrą.

Odświeżyłem się, dopiłnowałem stolika, popatrzyłem na zegarek i punktualnie o piętej po południu wyszedłem przed hotel. Zajechała zamówiona przeze mnie taksówka, była pusta, a kierowca podał mi

kopertę. W środku był list.

Panie Henryku!

Nie przybędę, uprzedzam Pana o tym, bo mam do Pana resztki szacunku, i nie zależy mi na Pańskiej kompromitacji. Nie miałabym satysfakcji w Pańskiej porażce, smętnym oczekiwaniu przy pustym stoliku. Niechże Pan odwoła kolację albo zaprosi kogoś innego. Wiele pań i dziewcząt lubi takie bezpośrednie męskie typy, zdecydowanych brutalni, w których rolę tak udanie wszedł Pan dzisiejszego poranka. Podola Pan, w hotelu jest wiele pięknych pań, a jeśli nie w nim, to na otaczających go ulicach, być może za skromną albo solidniejszą dopłatą, wszystko kwestia oczekiwań. Jest Pan przystojnym, czarującym mężczyzną, ale przy okazji także cymbałem! Cymbałem i bufonem.

Nie popłynęłam Batorym na licytację narzeczonych, a na spotkanie z ciekawymi ludźmi. Spośród nich Pan wydał mi się postacią najbardziej interesującą, a nasza znajomość była wielce obiecująca, dlatego to Pana poprosiłam, by towarzyszył mi na Balu u Gubernatora. Szkoda, że Pan zawiódł, bo wydaje się Panu, że jesteś Pan nie wiadomo kim, choć wystarczyłoby pozostać mężczyzną, którego poznałam na początku rejsu, innym niż reszta towarzystwa. Niestety okazał się Pan zazdrośnikiem i macho, który odmawia kobiecie towarzystwa innych mężczyzn i rozmów z nimi.

Niech Pan wie, że interesują mnie ludzie, co mają coś do powiedzenia, że nie bawią mnie romanse wczasowe i przełotne miłostki. Nie jestem już podlotkiem i nauczyłam się czegoś w życiu, przede wszystkim cierpliwości, czego i Panu życzę.

Z poważaniem Alicja Kazanecka

Wiedziałem jedno: była to krewa jak cholera, po której nie tylko nie pojawię się na śniadaniu, ale i na Batorym. Chcąc nie chcąc, musiałem jednak zabrać graty, zostawić w okrętowej bibliotece Krzyżowców, żeby nie dźwigać przeczytanych już tomów, i przede wszystkim powiedzieć, że wysiadam, żeby mnie nie szukali za burtą. W sumie korciło mnie takie rozwiązanie, w którym stałbym się topielcem, ale wiedziałem, że część zamieszania spadłaby na głowę Tadka Meissnera. Szczęśliwie Alicji nie spotkałem, może wyszła na korridor, która była teraz w planach, za to jak zwykle na pokładzie pozostał jej ojciec.

– Wraca pan? – zawołał niezmordowany karciarz. – Czy jakie nieszczęście...?

– Nie, panowie. Mój wspólnik mnie wzywa.

– Zysk czy strata? – zapytał pan Edward, wychylając się przez burtę.

– Ogromny zysk – odparłem i miałem wrażenie, że gdzieś już słyszałem ten dialog.

– Ale będzie pan musiał czekać na kolejny statek, nie lepiej popłynąć z nami? Tych kilka dni to taka różnica?

– Dla mnie kolosalna, dziesiątki, a może i setki tysięcy złotych!

– Brawo, brawo, pan mi się podoba – pożegnał mnie.

Ja tymczasem nie pożegnałem ani redaktora Wańkowicza, ani Fiedlera, ani Tadka Meissnera. Zostałem mu tylko wiadomość, którą podałem drugiemu oficerowi.

Przed wyjazdem Julek mówił, że powinienem zadzwonić do kierownika firmy, która była parawanem dla działań wywiadu. Facet nazywał się Henryk Hojda. Reklamował mi go jako dobrego druha, który pięknie się w Lizbonie urządził, ale nieco tęsknił za krajem.

Poprosiłem konsjerżę o pomoc, a ten wybrał numer i połączył mnie z lizbońskim oddziałem Sociedade Para Comercio Exterior Baltioco-Mundo. Musiałem podać nazwę po angielsku, a konsjerż wyszukał ją, wykręcił cyfry, po czym zaanonsował, a na koniec podał mi słuchawkę.

– Dzień dobry – dobiegło po polsku z drugiej strony słuchawki – mówi Henryk Hojda, czym mogę panu służyć, panie Henryku?

Cholera, musiał mnie znać albo Julek uprzedził go o tym, że ktoś taki jak ja może do niego dzwonić.

– *Do you speak English?* – Nie chciałem budzić sensacji, że Amerykanin mówi w jakimś dziwnym języku, dla nich przypominającym rosyjski, a jak wiadomo, każdy ruski może być komunistą.

– Okej, aljuzju pana! – powiedział Hojda – pan mówi po angielsku, jeśli pan musi, panie Haas, a ja nie będę kaleczył języka Szekspira. Konsjerż powiedział, że mieszka pan w Avenida Palace, może wpadnę więc na kawę? Mam interes do załatwienia w dokach w Belém, umówmy się jutro o jedenastej, pozna mnie pan, będę w skórzanej kurtce.

Następnego dnia poszedłem nad Tag, z daleka słyszałem hejnał, który grali na Batorym o ósmej rano, a potem widziałem, jak odpływa, a miejsce przy kei zajmuje niemiecki okręt wojenny, który przypłynął do Lizbony z wizytą. Popatrzyłem na oddalający się statek, po czym udałem się w kierunku miasta. Przeszedłem przez wielki Plaza de Comercio, a potem pod łukiem triumfalnym, Arco da Rua Augusta, aż do kolejnego placu – Restauradores, pośrodku którego stał dumnie obelisk.

Pokręciłem się po placu, po czym znów poszedłem do windy, kupiłem bilet i wjechałem do dzielnicy Baixa.

Tam trafiłem do niezwykle ozdobnej kawiarni, która nazywała się A Brasileira. Gdyby stała przy Kerelaku, to złocenia, mosiężne ozdoby i klamki zostałyby rozparcelowane przez miejscowych cwaniaków. Nie stanowiła takiego pałacowego wnętrza jak Lourse, tu by się nie zmieściły wielkie fotele. A Brasileira była długa niczym wagon restauracyjny, bardziej wyglądała na bar niż kawiarnię. Podłoga była marmurową białą-czarną szachownicą, a pod barwnym sufitem wisiał złoty zegar. Nie lubiłem przepychu, ale ten mi pasował. Wszedłem do środka, ciekawie się rozglądając, widać było, że jestem tu pierwszy raz.

– Doskonały wybór, nie ma lepszej kawiarni w Lizbonie – usłyszałem słowa wypowiedziane bardzo elegancką angielszczyzną, do tego kobiecą.

Spojrzałem i ujrzałem... Marlenę Dietrich. Nie, ona była od niej piękniejsza, choć może nieco starsza, znaczy się mogła mieć koło czterdziestki. Smukła, z wysokim czołem, wydatnymi kośćmi policzkowymi i falującymi rudymi włosami (słynna aktorka była blondynką). Ubrana jak królowa kina, w dwurzędową marynarkę, apaszkę i rozszerzane spodnie, w rękę, a jakże, trzymała papierosa w długiej fifce, bił od niej zapach perfum Chanel N°5, nie pomyliłbym ich z żadnymi innymi, bo używały ich Aldona i Irena.

Kawiarnia była pełna ludzi, a przy jej stoliku było miejsce, wskazała je ręką, podziękowałem i usiadłem.

– To najlepszy stolik w mieście! – powiedziała bez krępacji.

– To zrozumiałe – odparłem – ale nikt poza panią nie wie, który ze stolików w Lizbonie będzie kolejnym pierwszym w mieście. Wszystko zależy od tego, gdzie pani usiądzie!

– To miłe, ale to nie moja reklama, powiedziałam tak, bo przy tym stoliku siedzieli Pessoa i Crowley... – wyznała seksownym szeptem, jakby to była jakaś tajemnica.

– Henry Hass – przedstawiłem się, a ona podała mi do ucałowania dłoń w rękawiczce.

– Elisabeth Silva – odpowiedziała.

– Wiem, jak się pani nazywa, ale nadal nie wiem, kim są ci dżentelmeni, którym być może zajęliśmy stolik.

Zaśmiała się jak z dobrego żartu. Pięknie się śmiała, pokazując śliczne, białe zęby i lekko odchylając do tyłu głowę.

– Jeśli mnie pan zaprosi na kawę, to panu opowiem... – zaproponowała, a ja uczyniłem dworski gest dłonią.

– A ile te będzie kosztować? – palnąłem z miejsca, pomyślałem bowiem, że to może luksusowa dama do towarzystwa.

Oparła brodę na splecionych dłoniach, spod rękawa marynarki wysunęła się bransoletka za parę tysięcy dolarów. Jak na zamówienie ściągnęła rękawiczki, z gracją, z jaką nie każda kobieta potrafi zdjąć biustonosz. Na palcach dostrzegłem pierścionki warte niemalą fortunę. Były jak z królewskiego skarbcza, jakby ich właścicielka nie kupiła ich u jubilera, lecz odziedziczyła.

– Na początek... cherininho – powiedziała niskim głosem.

– Jeśli mnie na to stać... – Nie miałem pojęcia, o co chodzi!

Znów się zaśmiała, znów był to piękny, choć trwający ledwie kilka sekund spektakl.

– Kiedy pan przyjechał do Lizbony? – zapytała.

– Kilka dni temu.

– To oczywiste, zatem niewiele pan wie o kawie!

– Cafe, galão... – zacząłem z mozołem wymieniać.

– Ale nie carioca? – Zmarszczyła brwi.

– Nie pijam lury! – zaprotestowałem, a ona się rozchmurzyła.

– Ale americano to też lura. – Znów się zaśmiała.

– Tak, jestem Amerykaninem, ale lubię konkretny smak kawy, cheriniho jeszcze nie piłem.

– Zatem!

– *Senhora Silva* – skłonił się kelner – o *habitual*?

– To, co zwykle – odpowiedziała kelnerowi, a może bardziej mi, po angielsku.

Kelner odwrócił się i krzyknął:

– *Cheriniho con whisky!*

Zrozumiałem, że to kawa z alkoholem. Zerknąłem w kierunku baru, jak się ten wynalazek robi.

– Już nie jest pan ciekawy, kto tu przed nami siedział? – zapytała. – Jeszcze przed rokiem siadywał tu Fernando António Nogueira Pessoa, tutejszy Edgar Allan Poe... – Zawiesiła głos, jakby czekała na reakcję.

– Portugalski poeta – strzeliłem, bo słyszałem to imię i nazwisko po raz pierwszy, ale wiedziałem, że Poe był nie tylko znakomitym twórcą opowiadań, ale również amerykańskim poetą.

Kobieta z zadowoleniem pokiwała głową, jakbym zdał jakiś egzamin.

– Największy, mój ulubiony! – westchnęła. – Tu właśnie siedział wraz z Aleisterem Crowleyem, twórcą thelemy!

Tym razem nie zdałem egzaminu. Ni w ząb nie wiedziałem, o co chodzi. Z kłopotów wybawił mnie kelner, który przyniósł kawę, a wtedy do kawiarni weszła jeszcze jedna nieznajoma, nie tak piękna jak Elisabeth, ale z pewnością interesująca. Pomachała do niej, Elisabeth dopiła kawę i wstała od stolika.

– Miło było pana poznać, jestem tu codziennie o dziesiątej, byłabym rada spotkać pana raz jeszcze!

Lizbona zaczynała mi się coraz bardziej podobać.

Poszwendałem się po mieście i na dziesięć minut przed jedenastą byłem już niemal przy hotelu, tam gdzie Rua 1 Dezembro wpada w Praca dos Restauradores. Przeszedłem wzdłuż pięknego budynku dworca kolejowego Rossio i kiedy miałem jakieś trzydzieści metrów do hotelowego wejścia, z hukiem minął mnie motocykl, jakiś potwór nie maszyna!

Przemknął obok mnie, a choć nie jechał przesadnie szybko, maszyna ta przez pracę silnika i sylwetkę dawała znać, że jest pierwszorzędnym produktem amerykańskiej firmy Harley-Davidson. Trzydzieści pięć lat temu William Sylvester Harley i Arthur Davidson przymocowali cztery silniki do ramy rowerowej, a trzydzieści cztery lata później ich firma wyprodukowała najlepszy motocykl świata, model VLH. Potężny motor o pojemności tysiąca trzystu czterdziestu centymetrów sześciennych, który dawał osiemdziesiąt koni mechanicznych, kiedy Polskiego Fiata 508 popychały ledwie trzydzieści dwa konie. Pięknej niebieskiej maszyny z białym bakiem dosiadał mężczyzna w skórzanej kurtce. Zajechał pod hotel, wykręcając równe kółko. Zdjął gogle i rękawice, poprawił dość długie szpakowate włosy oraz wąsy, które okalały brodę.

– Pan Hojda? – zapytałem, uchylając kapelusza.

– Zatem pan Haas!

Przywitaliśmy się i weszliśmy do hotelowego baru.

– Mam nadzieję, że nie zawracam gitary – zagadałem na swojaka, bo w tej kurtce wyglądał na luzaka. Uśmiechnął się, jakby mu te słowa sprawiły nie wiadomo jaką frajdę.

– Ależ skąd, miło spotkać rodaka, no i takiego klawego jak pan, kontakty z naszym poselstwem to prawie jak gra salonowa. Jak mogę panu pomóc?

– Jestem na jedną noc w Lizbonie – zacząłem.

– Niech zgadnę – przerwał mi – przyплыł pan Batorym?

– Zgadza się.

– A czy już czasem nie odpłynął?

– Na to wygląda. Zagapiłem się i... – Rozłożyłem szeroko ręce.

– Mam propozycję, żona i córka mieszkają w Cascais, tam jest spokojniej, a ja mam mieszkancko przy biurze. Jeśli kończę wcześniej, to wsiadam na motor i jadę do rodziny, ale po zmroku daję sobie spokój i śpię w pokoju biurowym. Słońce zachodzi teraz później, jeśli chciałby pan zwiedzić Lizbonę, to robota mogłaby się przedłużyć. – Zrobił zawadiacką minę. – Zatem wydzwonię pana, jak będę wychodził z biura.

## ROZDZIAŁ XI

**W którym zwiedzam z porucznikiem Hojdą knajpy, dostaję wykład o Portugalii i Estado Novo, poznaję, ale tylko w opowieści, portugalską Berezę, dowiaduję się, że jazda tramwajem może być równie ciekawa, co autem albo motorem, a na koniec mam przyjemność dowiedzieć się, co to fado**

Słońce zaszło, a Hojda się nie odzywał. Kiedy już myślałem, że nie potrafię nie tylko poderwać kobiety, ale i umówić się z facetem na wino, zadzwonił telefon, podniosłem słuchawkę i usłyszałem:

- *Más vale tarde que nunca!* – Poznałem głos mojego lizbońskiego imiennika.
- Mów pan do mnie jeszcze, co to za rebus?
- Zapomniałem się, to znaczy mniej więcej „lepiej późno niż wcale”.
- To rozumiem. – Odetchnąłem z ulgą, słysząc polski.
- Braga reza, Coimbra estuda, Porto trabalha e Lisboa diverte-se!
- A to co znowu znaczy?
- Powiem panu za dwadzieścia minut, czekaj pan na mnie przed hotelem!

Tym razem nie był w swojej skórzanej kurtce, nie przyjechał motorem, tylko zjechał windą Santa Justa. Ubrany był elegancko, ale i zarazem zawadiacko, w szerokie flanelowe spodnie, a na głowie miał kaszkiet. Podszedł do mnie różnym krokiem, rozłożył ramiona, uściskaliśmy się jak starzy znajomi.

– Gdzie zgubił pan motor? – zażartowałem.

– Motocykl, motor jest tylko jego częścią! – Zmarszczył groźnie brwi. – A poza tym, panie kolego, to nie jest motocykl, tylko Harley-Davidson! Osiemdziesięciokonny silnik, moc i szybkość, zapach benzyny – mówił w podnieceniu typowym dla zwolenników motocykli – ale dziś jedziemy na prąd, tramwajem!

– Nie taksówką? – Spojrzałem na auta pod hotelem i ich szoferów. Ten stojący jako pierwszy w kolejce skończył nawet palić papierosa, rozdeptał niedopałek obcasem i otworzył drzwi do gabloty.

– Jeszcze nie zaszło słońce, a my wybieramy się tam. – Wskazał palcem w kierunku wzgórza, na którym stał zamek. – Pojedziemy do Domu Fado.

– Co to takiego?

– Zobaczysz pan na miejscu, a po drodze zwiedzisz pół Lizbony, bo najlepiej zrobić to tramwajem linii 28.

Popatrzyłem na górę, która może nie górowała nad Lizboną jak Gubałówka nad Zakopanem, ale z pewnością wjazd tramwaju na jej szczyt był niczym prawdziwa wyprawa na wysokościach. Tramwaje były żółte, małe jak dziecięce zabawki, podłączone pantografami do prądu.

– Te żółte karakany tam wjadą? – Zaśmiałem się.

– Za chwilę się o tym sam pan przekonasz. Niedaleko stąd jest przystanek eléctrico, bo tak tu się mówi na tramwaje. Najpierw pójdziemy coś zjeść, tu na dole, a później pojedziemy na Alfamę, tak się nazywa ta dzielnica. – Wskazał w górę.

Po drodze do knajpy Hojda wyjaśnił mi, co znaczył potok szeleszczących słów, które wydał z siebie podczas rozmowy telefonicznej.

– Braga reza, Coimbra estuda, Porto trabalha e Lisboa diverte-se, czyli Braga się modli, Coimbra studuje, Porto pracuje, a Lizbona się bawi! Na całe szczęście jesteśmy w Lizbonie.

– Faktycznie tak jest?

– To przysłowie nie kłamie, w Porto faktycznie tyrają, a Braga, która nie jest wielkim miastem, ma z kilkadziesiąt kościołów, wielkie Santuário do Bom Jesus do Monte oraz Santuário de Nossa Senhora do Sameiro, no i ma się rozumieć Se de Braga, katedrę. Mówi się, że to portugalski Rzym, zresztą północ jest bardziej bogobojna, pewnie dlatego, że bliżej stamtąd do Santiago de Compostela.

– A Coimbra?

– To stara stolica Portugalii, miejscowy uniwersytet starszy od naszej Jagiellonki, 1290 rok! – Pokreślił głową z uznaniem. – Tam nawet klub futbolowy nazywa się Académica, jeszcze w dziewiętnastym wieku założony. Interesujesz się futbolem? Nie?! Nie wiesz pan, co traciisz! – Był wyraźnie rozczarowany, jak pijak, który dowiaduje się, że ktoś nie podziela jego alkoholowej pasji.

– Ale na paru meczach byłem... Na pierwszej kolejce ligowej, kiedy Legia grała z Warszawianką, no i na otwarciu stadionu Wojska Polskiego – powiedziałem, a Hojda pokiwał głową z uznaniem. – I to wszystko, jak już, to koniki, golf i boks. No i narty, ale tutaj na to widoków raczej nie ma.

– No dobrze – poddał się i z futbolowej murawy przeniósł się do kolejnego miasta ze swojej wylizczanki – w Porto faktycznie się więcej pracuje, a tu się ludzie bawią.

Zasiedliśmy w knajpcie, mojego gospodarza dobrze tu znali, a on jeszcze lepiej znał jądłospis, który nic mi nie mówił.

– Na początek weźmiemy pasteis de bacalhau, to są paszteciki z dorsza, i sardinhas grelhadas, czyli pieczone sardynki, później dorsza, polecam bacalhau à brás, dorsza ze smażonymi ziemniakami i jajkami, albo zapiekane go w śmietanie, po ichniemu bacalhau com natas, bacalhau à lagareiro, znaczy w oliwie z oliwek z czosnkiem i cebulą, też dobry... – Zawiesił głos, po czym zarządził: – Damy radę wszystkie trzy, oni są mniejsi od nas, to i porcje inne!

Było byczo, jedliśmy, zapijaliśmy winem, a Hojda opowiadał o Portugalii. Prezydentem był tu wojskowy António Óscar de Fragoso Carmona, ale rządził cywil, premier António de Oliveira Salazar, niedoszły ksiądz (nawet miał niższe święcenia), który to wszystko trzyma za mordę i nazywa się to Estado Novo, Nowe Państwo.

– Mają tu swoją Berezę? – zapytałem.

– Berezę nie – mój imiennik się uśmiechnął – tu nie mają Kresów, tu mają swoje Madagaskary, kolonie znaczy się, i wyspy. Można powiedzieć, że geografia tutejszym władzom sprzyja. Geografia i klimat – tym razem uśmiech był lekko diaboliczny – a najpierwszym wyborem jest Cabo Verde, znaczy się Wyspy Zielonego Przylądka. Berezę Kartuska jest jakieś trzysta kilometrów od Warszawy, za to Cabo Verde około pół tysiąca kilometrów, ale nie od Lizbony, tylko od Afryki! To cały archipelag wysp i wysepek, a największa z nich nazywa się Santiago, czyli po portugalsku Jakub, po hiszpańsku zresztą też, a imię to znaczy tyle, co „ten, którego Bóg ochrania”. Wyspa Santiago, ma jednak osadę Terrafal, od tego roku działa w niej obóz, którego pensjonariuszy Bóg specjalnie nie chroni. Najmniej to tych, co trafili tu na początku, buntowników z Marinha Grande.

W styczniu 1936 doszło w Portugalii do strajku generalnego, a najostrzej było w nadmorskim miasteczku Marinha Grande. Tam od zawsze mieszkali charakterni robotnicy z huty szkła. Już wcześniej potrafiliby każdej władzy sprawić kłopoty. Osiemnastego stycznia trzydziestego czwartego nie skończyli się na strajku, o świcie robotnicy zerwali połączenia telegraficzne z Leirą, Lizboną i Porto, poszli na posiadłość właściciela huty, zajęli elektrownię i otoczyli koszary GNR, czyli Guarda Nacional Republicana; to taka formacja policyjna, jak żandarmeria we Francji czy u nas Rezerwa Policji Państwowej. Gwardziści poddali się, a robotnicy, którzy wzięli także ratusz, mieli ogłosić na wzór rosyjskich komunistów swoją Radę Marinha Grande. Zastrzegam, że podobno, bo to może być propaganda władzy, żeby zrobić z nich Sowietów, bo wiadomo, jak ktoś Sowiet, to go mniej lubimy.

Uśmiechnął się porozumiewawczo i kontynuował:

– Zaczęło się mocno, skończyło szybko. W parę godzin z pobliskiej Leiry, to już większe miasto, przybyło wojsko. Na galowo i poważnie, można powiedzieć, bo dwa pułki, jeden piechoty, a drugi artylerii.



To wystarczyło, buntownicy się rozeszli, paru uciekło i znalazło nowy dom w Hiszpanii. Kto nie przyszedł następnego dnia do pracy albo był uznany za jednego z przywódców, został aresztowany. Ponad stu uznano za rebeliantów, połowa z nich została skazana, a tych najważniejszych wysłano do Cunene w Angoli. Kiedy tylko powstał obóz Tarrafal, zostali odesłani tam statkiem więziennym. To są zalety kolonializmu! – Przez głos Hojdy przebiegał sarkazm, chyba już wiedziałem, z kim mam do czynienia. Z oficerem, a może tylko współpracownikiem wywiadu, który miał własne zdanie. – Są kolonie, więc i są niezadowoleni tubylcy, z Angoli i Mozambiku, więc ich też tam wysyłają.

– Światowy rozmach! – Pokręciłem głową z podziwem.

– Nie taki jak francuski – Hojda wydał wargi – oni posyłają do Gujany, a tych najbardziej niepokornych na Diabelską Wyspę. Znasz pan sprawę Dreyfusa?

Znałem, bo kto nie słyszał, mimo że wydarzyło się to jeszcze w ubiegłym wieku. Szukając w armii szpiega, wytypowano w śledztwie żydowskiego oficera Alfreda Dreyfusa. Zrobiono z niego kozła ofiarnego i wsadzono do więzienia, choć dowody były dęte. Pół Francji protestowało, a najbardziej pisarz Zola, którego za zniesławienie armii skazano na rok więzienia, przez co musiał uciekać przed więzieniem i pogróżkami do Anglii. Później okazało się, że znalazł się prawdziwy szpieg i Dreyfusa zrehabilitowano. Oczywiście wiedziałem o tym od Aldony, ale w jej opowieści nie było nic o Gujanie i Diabelskiej Wyspie.

– Jasne, że wiem, o co chodzi, ale nie pamiętam, że siedział właśnie tam!

– Pewnie, że pan nie pamięta, bo w najlepszym razie miałeś pan roczek, dwa! – Hojda był w doskonałym humorze.

– Ale pamiętam sprawę skruszonego mordercy żydowskiego kupca Łabędzia. Ten bandyta, po mordzie dokonanym w Warszawie, popełnił także zbrodnię we Francji i za nią został skazany i wysłany do Gujany.

– Cykor się ten bandyta nazywał! Nazwisko i sprawa takie, że nie sposób nie zapamiętać. Najpierw porąbał na kawałeczki biednego kupca, a po latach się do tego przyznał, pisząc list z ciężkiego więzienia w Gujanie. Uznał, że lepiej zdechnąć w Polsce niż tam! – ucieszył się Hojda. – Przywiózł tu pan kawałek Polski, szkoda, że takiej! Pan z Warszawy?

– Tak, a dokładnie z Chicago – zażartowałem.

– No to skoro tak... To napijemy się whisky!

– A nie porto?

– Panie, co ja, jakiś Anglik jestem? To słodka melasa, nie przepadam.

– Dlaczego Anglik?

– Bo mają szmergla na tym punkcie – kierownik Hojda zaskoczył mnie tym słówkiem. – Tak lubią ten trunek, że powykupowali winnice, osiedlili się tutaj i produkują na potęgę. Tak po prawdzie, spora część porto to angielski wyrób, choć z Portugalii.

– Jak się nazywa tutejsza defensywa? – postanowiłem teraz podnieść poprzeczkę, pytając o policję polityczną.

– Tutaj są mniej mili koledzy z PVDE. Skrót ni w kij, ni w oko, jak większość tutejszych, a oznacza to Policía de Vigiliância e de Defesa do Estado, czyli... – uniósł palec – ...uważaj pan, jaka piękna nazwa: „Policja Czujności i Ochrony Państwa”! A u nas? Żadnej poezji, Defensywa Polityczna, Wydział IV-D, Służba Informacyjna, Policja Polityczna, Służba Śledcza? Nuda!

Po zakąskach, pasztecikach i sardynkach oraz prawie całej butelce wina, a jeszcze przed dorszami, przeszliśmy na ty, tak z rozpędu bez brudzia.

– Ten Salazar to taki Hitler? – zapytałem.

– Neeee – zaśmiał się – tu narodowy socjalizm nie przejdzie, taki faszyzm z tą całą pogańską szopką, mój drogi, nie ma szans. To kraj jak Polska katolicki, Hitler by się w Polsce nie przyjął, bo by nie klęknął w Częstochowie i pod Ostrą Bramą, i tu podobnie, nawet mają mocniejsze karty. U nas był Cud nad

Wisłą, który tak pięknie opisał ten bydlak Stroński... – Spojrzał na mnie uważnie, jakby testując moje poglądy. – Walę prosto z mostu, bo ty jesteś Heniek Wcisło... Trochę maczałem palce w twojej ewakuacji do Ameryki, ubezpieczałem akcję w Gdańsku, kiedy zrobiłeś kasę tego brunatnego skurwysyna. – Uśmiechnął się szeroko pod wąsami. – Co nieco o tobie wiem, narwany pepeesiak, który się nie podłączył pod tych łobuzów Tasiemkę i Łokietka, choć pewnie pięknie by uzupełnił swoimi umiejętnościami. I za to cię szanuję, kolego!

Zrobił pauzę w przemowie, pstryknął palcem na kelnera, a ten przyniósł dwie szklaneczki whisky.

– Henryk!

– Henryk!

Obaj się roześmieliśmy i wypiliśmy brudzia.

– Mówiłeś, że ubezpieczałeś akcję w Gdańsku, a to było dwa lata temu.

– Bo nasza praca wymaga ciągłego ruchu, Towarzystwo Handlowe Bałtyk-Świat! – Zaśmiał się i upił łyk. – Nie przyjechałem specjalnie w tej sprawie, akurat byłem w Gdyni, moje zadanie polegało na zamelinowaniu was na statku, gdyby wyszło coś nie halo. Kapitan Beniowski miał plan B, z Kasino-Hotel w Sopocie mieli was przeprowadzić przez granicę celnicy, a jeśliby, a takiego numeru nie można było wykluczyć, doszło do jakiejś strzelaniny z naszymi na granicy, to miałem was przejąć.

– Nie wiedziałem!

– Ważne, że on wiedział i jeszcze parę osób, choć co do szcegółów, to tylko ja.

– Kapitan? – zapytałem, patrząc na jego przydługawe włosy i wąsy okalające usta i podbródek.

– Wciąż porucznik, tak jak Beniowski wciąż kapitan – rozłożył ręce – ale nie będę się skarżył, to nie kasyno oficcerskie, w którym się pokazuje, co tam wykwitło na pagonach. O faszyzmie miałem mówić, prawda?

Przytaknąłem.

– Stanęło na tym, że Marszałek co prawda przeczołgał swoją Kurię Polową i wywalił na zbity pysk biskupa Galla, ale już jego następcy pokochali purpuratów, wiesz, co mam na myśli?

W 1931 roku wybuchała afera, bo po nabożeństwie pogrzebowym ministra Czerwińskiego odprowadzający go biskup połowy Gall nie dołączył do konduktu, choć za trumną szedł prezydent. Poszło o to, że ten minister, podobnie jak Marszałek, był protestantem, ale na łożu śmierci znów został katolikiem. Dlatego biskup się na niego wypiął, czego nie zapomniał mu Marszałek. Kazał mu przeprosić Mościckiego za nietakt, a gdy ten tego nie zrobił, chciał klechę wywalić z posady. Ten narobił hałasu w swoim kierownictwie i nuncjaturze, ale Marszałek rozegrał to po swojemu. Wstrzymał wypłaty całej Kurii Polowej i po paru dniach nuncjusz papieski zmiękł i zgodził się na wyrzucenie biskupa Galla. W Portugalii coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Tak masoni w rządzie, jak i wojna z biskupami.

– Teraz i u nas byłoby to nie do pomyślenia – zauważyłem.

– Zgadza się, Śmigły Rydz i spółka wzięli kurs na kościół i prędzej rozwiążą łoże masonskie, niż będą się obnosić z dawnymi masonskimi sympatiami – powiedział Hojda. – Zobaczysz, że zagrają tak, jak biskupi zachcą! A tu tak właśnie jest i tu jest bardziej katolicko niż u nas. Podobnie w Hiszpanii, tam mają Falangę, tyle że w przeciwieństwie do naszego ONR-u częściej śmigają do kościoła. Ale wracając do tematu, Hitler nie jeździł po sanktuariach, a tu by musiał. Tu mają Fatimę, znasz?

– Piąte przez dziesiąte. Matka Boska się objawiła, tak?

– Objawia, a nie objawiła! Prawie dwieście lat temu pierwszy raz, a później jeszcze dwa razy. Cud nad Wisłą to nasz polski mit, Stroński opisał, Dmowski potwierdził, biskupi pobłogosławili, a Kossak namalował. I co z tego, skoro papież tego oficjalnie nie wpisał do kalendarza? A co innego Fatima, jeden ojciec święty ustanowił na tę okazję i dla tego miejsca święto Matki Bożej Pokrzyw, a drugi tatko, sześć lat temu, uznał objawienia. No i mamy tu takie sanktuarium, że paulini z Częstochowy przy nich to ubodzy krewni.

W tym momencie wjechał na stół dorsz pod trzema postaciami i zabraliśmy się za jedzenie. Przyspieszyliśmy, bo Heniek powiedział, że za pół godziny będzie na Alfamie jakieś przedstawienie, fado, czy coś w ten deseń. Spalaszowaliśmy dorsza i już nie zdążyliśmy zjeść na deser babeczek z budyniem. Może i lepiej, bo się nafutrowaliśmy pod pokrywkę. Kiedy wyszliśmy z knajpy, Heniek krzyknął:

– A teraz biegiem, bo nam elétrico zwieje!

Dogoniliśmy tramwaj i wbiliśmy się do jego ciasnego wnętrza. Zasiadliśmy na drewnianej ławce, pierwszy przystanek, który wiódł prosto wąwozem ulicy, po drugim nastąpił wiraż w lewo, a potem kolejny w prawo i żółte pudełko elétrico zaczęło się piąć. Tramwaj dawał radę, ulica była stroma i kręta, w pewnym momencie wagonik wziął zakręt między kościołem i katedrą, w tym momencie z góry nadjechał drugi wóz i minęły się na grubość lakieru.

– Takim tramwajem nie jechałeś – powiedział Hojda z namaszczeniem, jakby zamienił jazdę swoim harleyem na powożenie elétrico na trasie 28.

Dwa przystanki za katedrą wysiedliśmy.

– Spójrz jaki widok!

Kryte czerwoną dachówką domostwa schodziły w kierunku rzeki, gdzieniegdzie wyrastały wieże i dzwonnice kościołów. Z prawej strony widniał wielki klasztor, którego częścią był potężny kościół z dwiema wieżami. Biel ścian, czerwień dachówek, ciemnoniebieska woda i czerwieniejące niebo tworzyły wspaniały spektakl.

Skręciliśmy w ciasną uliczkę i weszliśmy do lokalu, w którym publika siedziała stłoczona przy stolikach. Na scenie trzech muzyków, jeden mandolinista i dwóch gitarzystów, stroiło swoje instrumenty. Czekałem, co będzie dalej, a w międzyczasie Heniek przyniósł po solidnej porcji wina.

Stuknęliśmy się szklanicami, ale nie podniosłem szkła do ust. Kieliszek zatrzymał się w pół drogi, bo zobaczyłem zjawiskową kobietę, młodą, ale dojrzałą wyglądającą, z jakimś pięknym smutkiem wypisanym na twarzy, o znakomitej sylwetce, pełnym białym biuście, oliwkowej skórze, czarnych oczach i włosach zebranych do tyłu. I ubrana była na czarno, z jakimiś dyskretnymi, czerwonymi dodatkami, a usta pościągnięte karminową szminką uzupełniały obraz niemal doskonały. W dłoniach trzymała czerwony goździk.

Weszła na scenę, wtedy muzyk z mandoliną zaczął grać, po chwili dołączyli gitarzyści. Rozległa się piękna, choć smętna melodia, a ona stała niczym posąg. Minęła chyba minuta i dopiero wtedy zaśpiewała. Odstawiłem kieliszek z winem. Byłem jak zahipnotyzowany, nie ja jeden, bo do zarezerwowanego tuż przy scenie stolika przysiadło się czterech młodych Portugalczyków. Wyglądali na miejscowych kiziorów, zwabionych rajskim śpiewem i pięknem artystki. Szczególnie jeden, z zaczesanymi do tyłu włosami i starannie przyciętymi wąsami, patrzył tęsknym wzrokiem. To było niebywale, jak śpiew i piękno pieśniarki z silnego faceta robiły potulnego parafianina. Jej postać, głos i muzyka zdawały się czynić cuda, sprawiać, że wszyscy zebrani w barze stali się lepszymi ludźmi, pełnymi miłości i delikatności.

Nagle ruszyła ze sceny, minęła kolejne stoliki i stanęła przed naszym. Czułem, że śpiewa specjalnie dla mnie; jej oczy pochłonęły mnie, utopiłem się w nich, kiedy się odwróciła, poczułem lekki wir powietrza, poczułem zapach świeżości, chusta, którą miała na ramionach, dotknęła mojej twarzy, a kiedy odeszła, spostrzegłem, że zostawiła na blacie kwiat, trzymany wcześniej w dłoniach. Kiedy skończyła, wziąłem go i chciałem ruszyć w jej kierunku, ale nie zdążyłem wstać, Hojda mnie przytrzymał.

– To nie jest kobieta dla ciebie! – powiedział, jakby był hrabią, którego najstarszy syn chce popełnić megalomanię. – To gwiazda fado! Lokalna, co prawda, ale już zdobywa popularność, która wyjdzie poza kwartał, a później poza dzielnicę.

– To mnie zostaw! – Wyrwałem mu się. – Śpiewała dla mnie, zostawiła goździka!

– To nie jest dobry pomysł...

Nie oglądając się za siebie, ruszyłem w kierunku pieśniarki. Wtedy romantyk, który siedział przy stoliku najbliższej sceny, poderwał się i stanął mi na drodze. Tego nie przewidziałem, a tym bardziej że

wstaną też jego kumple.

Sygnal był jasny, teraz rozumiałem słowa Hojdy. Najrozsądniej było zawrócić, ale przecież nie mogłem, bo ona patrzyła na mnie, a jej oczy mówiły: „Pójdź do mnie!”, zupełnie jakby była Matką Boską ze świętego obrazka, która zaprasza do siebie małych, ufnych pastuszków. Tyle że typ z wąsikiem nie podzielał mojego nastroju, a jego sprężynowiec, wyciągnięty z kieszeni, ostatecznie zbrukał nastrój świętości.

Nie spodobało mi się to, uniosłem ręce. Jego usta błyskawicznie z wrogiej nitki przeistoczyły się w uśmiech, po trosze rozbawienia, po trosze triumfu i satysfakcji. To nie podobało mi się tak samo jak nóż, którego ostrze znajdowało się pół metra od mojej twarzy. I nagle uśmiech zniknął, a milczenie, które było straszniejsze niż najgorsze groźby, zmieniło się w stłumione wycie. Z reguły dzieje się tak, kiedy mężczyzna poczuje na swoim kroczu stopę obutą w skórzany pantofel.

Kopniak nie był za mocny, musiał pójść, jak mówią piłkarze, spod kolana, bo chodziło o szybkość i zaskoczenie. Poza tym, jak to się mówi na dzielnicy, „kopniak w nabią!” nie musi być silny, by zadać ból. Pierwszy etap zaliczony, nerwus z nożem stał zgięty wpół bez szans na reakcję, ale wciąż trzymał w dłoni sprężynowiec; uwolniłem go od tego ciężaru, kopiąc z całej siły w nadgarstek. Nie wszystko poszło, jak trzeba, bo to, że chyba połamałem mu palce, było wliczone w ryzyko, ale już nie to, że nóż gwizdnął ponad salą i padł na jeden ze stolików. Skończyło się na szczęście tylko na rozbiciu dzbanka z winem i zalaniu jakiejś bogu ducha winnej pary.

W tym momencie zrobiło się dwóch na dwóch, a w zasadzie dwóch na jednego. Mój nowo poznany przyjaciel otrzymał staranne, przedmiejskie wykształcenie, miło było patrzeć na fachowca, który z wielkim znanstwem aplikował piąchopirynę. Zmiotł dwóch towarzyszy głównego napastnika, ostatni z kompanii nie ryzykował, tylko dał nogę, wypadł na zewnątrz, a po chwili rozległ się gwizd.

– Chodu, teraz było czterech, a za moment może być czterdziestu!

Podzielałem te obawy, ale chciałem się jakoś z nią pożegnać. Nie było na to szans, bo klęczała przy skopanym przeze mnie typie. Nic z tego nie rozumiałem, bo jej oczy wyrażały i smutek, i wściekłość, ale i wdzięczność. Uznałem, że próba zrozumienia tego, co się stało, może zagrażać zdrowiu, a nawet życiu. Wskoczyliśmy do tramwaju, który jechał w dół, przez tylną szybę zobaczyłem, że goniło nas kilkunastu chłopów, a z bocznych uliczek wyskakiwali kolejni. Patrzyliśmy na nich przez szybę, machaliśmy im i śmiało się jak szczeniaki.

Znaczy się jeszcze nie zardzewiałem!

## ROZDZIAŁ XII

**W którym staję się bywalcem Café A Brasileira, wpadam jeśli nie w depresję, to przynajmniej w melancholię, dzwonię z prośbą o ratunek do MSZ, jak zwykle nic nie jest tym, na co wygląda, a San Sebastian mimo mroku znajdują miastem przepięknym**

Jak było umówione, poszedłem do Café A Brasileira, przekroczyłem próg stylowego lokalu, wciągnąłem w nozdrza zapach kawy i woń perfum Channel N°5. Było to tylko złudzenie, bo tej, dla której przyfrunąłem jak na skrzydłach, nie było. I następnego dnia także, i kolejnego również.

Kiedy za trzecim razem na próżno wszedłem do środka, nie siadałem przy stoliku, nie zamawiałem kawy, jednej, drugiej, trzeciej, tylko rozejrzałem się i wyciągnąłem papierosa, mimo że kelner mnie zapraszał do stolika. Jak byłbym kelnerem, to bym sam siebie zapraszał, bo byłem grzecznym klientem i dawałem dobre napiwki.

Stałem i myślałem, niedługo, bo co tu było do dumania? Pierwsze, co mi przychodziło do głowy, to niezbita pewność, że zwyczajnie to wszystko był żart, i do tego gruby. Wyszedłem szybko, zły na siebie. Co krok to większe rozczarowanie, więc postanowiłem to przerwać. Cofnąłem się do lokalu, kelner doskoczył ze szczerym uśmiechem.

– *Post office* – powiedziałem, a pan starszy chwycił w mig.

– *Correios, post office, correios!* – niemal wykrzyknął, okazując wielki entuzjazm, który był świadectwem swoich napiwków z poprzednich dni. – *Praca de Municipios, Baixa, cinto, seis minutos!*

Z gestów domyśliłem się, że to jakieś pięć, sześć minut od kawiarni w dół, w kierunku Tagu. Poszedłem, bez trudu trafiłem na pocztę, która nazywała się tu *correios*.

Podąłem numer i czekałem na rozmowę międzynarodową. Poszło błyskawicznie, po kwadransie zawołano mnie do rozmównicy.

– Instytut Propagandy Sztuki, słucham! – rozległ się miły, aksamitny, damski głos, tyle że ja liczyłem na to, że będzie nieco chropawy, a przede wszystkim należący do Aldony Glock.

Przedstawiłem się po angielsku jako senior José Alves z biura promocji sztuki i że szukam panny Glock. Usłyszałem, że bywa, ale nie wiadomo, kiedy będzie można ją zastać. Tyle to i ja wiedziałem, Aldona pracowała na wielu frontach, miała przecież swoją firmę projektowania wnętrz, często wyjeżdżała nadzorować prace, do tego IPS, organizowanie wystaw, wyjazdy do galerii w Polsce i za granicą. Po IPS-ie obdzwoniłem sąsiednią Sztukę i Modę oraz Zodiaka. Pudło za pudłem, mogłem tak próbować, Aldona nie była osobą, która potrafi usiedzieć w miejscu, za co ją zresztą bardzo ceniłem.

Zagrałem inaczej, wedle nauk Julka, który mówił: „Nie dzwoń po domach, nigdy do mnie, zwłaszcza do biura, najlepiej do MSZ-etu, do Walewskiego, podawaj się za jakiegoś urzędnika z kraju, z którego dzwonisz”. To był pomysł!

Po raz czwarty poprosiłem o międzynarodową, a po raz drugi z Instytutem Propagandy Sztuki. Tym razem tylko dziesięć minut czekania! Znow wszedłem do rozmównicy i poprosiłem, żeby panna Glock skontaktowała się z radcą Leopoldem Walewskim z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, bo to on ma być moim partnerem do rozmów. Aldona znała Poldka i wiedziała, gdzie mieszka, więc jeśli jest w Warszawie...

Szybko wyskoczyłem z rozmównicy, podszedłem do kontuaru i podałem urzędnikowi zapisany na kartce numer telefonu, dodając, że będzie to kolejna międzynarodowa rozmowa z Warszawą. Tym razem nie poszło tak szybko, ale i nie było tragedii, po pół godzinie zaproszono mnie do rozmównicy.

– *Bom dia* – zacząłem od „dzień dobry” po portugalsku i dalej też było w tym języku, przedstawiłem się podług słów, które spisał mi Hojda.

Oczywiście nikt mnie nie zrozumiał, zatem szybko przeszedłem na niemiecki, wtedy akuratnie zrozumiano, że telefonuje Cristiano dos Santos Aveiro, kierownik do spraw międzynarodowych Instituto de Arte Estado Novo. Powiedziałem, że planuję zorganizować wystawę w Polsce i pilnie szukam kontaktu z Walewskim.

Miałem szczęście, nie był w delegacji ani na kawie.

– Ach, pan radca! – niemal zapał ze zdziwienia. – Jak mogę panu pomóc?

– Chciałbym nawiązać kontakt z polskimi środowiskami artystycznymi, przybliżyć im tradycyjną i nową sztukę Portugalii.

– Mam kogoś takiego, panna Aldona Glock! – Poldek był bez dwóch zdań lebskim facetem.

– Ale jak mogę się z nią skontaktować? – Grałem zdziwienie, bo choć szansa na to, by ktoś chciał podслуchiwać rozmowę radcy Walewskiego z jakimś portugalskim urzędnikiem od propagandy sztuki, była jedna na sto, a może nawet i na tysiąc, to jednak jakaś tam była.

– Ta kobieta jest w ciągłym biegu – powiedział, wyrażając skrajny zachwyt nad ruchliwością Aldony Glock – ale jestem pewien, że jutro w południe będzie w Instytucie Propagandy Sztuki, numer...

Nie notowałem, bo miałem go już w swoim kajeciku.

– A kiedy możemy się spodziewać pana w Warszawie?

– *Deus escreve direito por linhas tortas* – powtórzyłem słowa Hojdy, wprowadzając najpewniej Poldka w osłupienie. – To znaczy, panie radco – przeszedłem na niemiecki – „Bóg pisze prosto, ale nie wprost”!

Wszystko poszło jak z płatka! Dzień później zakomunikował mi o tym Walewski, dzwoniąc o umówionej porze na pocztę przy Pracą do Município. Kochany Poldek załatwił wszystko, jak należy, a raczej zakomenderował swoimi sekretarkami oraz znajomymi, którzy na jednej nodze zorganizowali Aldonie lot do Paryża, a stamtąd, jeszcze tego samego dnia, do Bordeaux!

Lot obsługiwany był przez Air France i hiszpańskie Líneas Aéreas Postales Españolas, i łączył stolice Francji i Hiszpanii, a w Bordeaux było tylko międzylądowanie. Doprawdy imponujące, że jeszcze tego samego dnia można dotrzeć z Warszawy aż nad Atlantyki! Tylko czemu tak? Nie lepiej byłoby, gdybyśmy spotkali się w Madrycie? Okazało się, że Aldona zażyczyła sobie zobaczyć hiszpańskie święto sanfermines, podczas którego byki gonią ludzi po ulicach Pampeluny.

Szaleństwo, ale czego mogłem się spodziewać po Aldonie, czyż nie dlatego byliśmy razem, kiedy nie byłem z poukładaną, niemal dostojną Irenę Leszczycką? Nie spodziewałem się za to, że współscenarzystą będzie Poldek, który jak gdyby nigdy nic zakomunikował mi:

– A teraz słuchaj mnie, Henryku – zaczął telefoniczną przemowę mocnym, niezwykle stanowczym nie tylko jak na niego głosem – na razie jesteś na wakacjach, które potrwać przynajmniej dwa miesiące. – Zamurowało mnie, bo oznaczało to, że wciąż nie mogę wrócić do kraju. – Dobrze słyszałeś – powtórzył, uprzedzając moje pytanie, i dodał radosnym głosem: – Ależ z ciebie szczęściarz, wywczasaj w San Sebastian! Piękna plaża, elegancki hotel, wszystko opłacone, niezwykle kobieta u boku. Nawet nie wiesz, jak ci zazdroścę, Henryku! Razem z Marią chcemy, żebyś spędził tam najpiękniejsze chwile twojego życia albo żeby to był najlepszy urlop!

Zrozumiałem, że koszty ekskluzywnej banicji pokrywają wspólnie z siostrą, że postanowili mi się zrewanżować za moją pomoc okazaną sześć lat temu. Nie miałem sił się opierać, mogłem tylko podziękować.

Następnego dnia Aldona miała zacząć podróż przez Paryż do Bordeaux, gdzie zarezerwowano jej nocleg w Hotelu Grand, za który także zapłacili Walewscy. Ja serdecznie podziękowałem Heńkowi Hojdzie

za opiekę, a nasze pożegnanie było wzruszające, jakbyśmy byli starymi kumplami, choć spędziliśmy ze sobą tyle czasu, co na połowie wakacyjnego turnusu. Porucznik był mi bratnią duszą, poza tym braliśmy udział w tych samych akcjach, a on był moim zabezpieczeniem, można powiedzieć Aniołem Stróżem. W tej roli odnalazł się także podczas ostatniego mordobicia przy okazji pokazu fado. Czułem, że się jeszcze spotkamy.

Jak i kiedy? Życie zaskakuje, a już na pewno życie takich ludzi jak my, dwaj awanturnicy o tym samym imieniu i tych samych inicjałach. Przynajmniej na jakiś czas, ale czy kiedyś jeszcze wrócę do nazwiska Wcisło? Przyzwyczaiałem się do tego Haasa, prawie jedna trzecia życia...

Mój pociąg odszedł z pięknego dworca Rossio o świcie, kiedy jechał jeszcze przez Portugalię, Aldona startowała z Warszawy, czekała nas długa droga, ona z przesiadkami w Paryżu i Bordeaux, ja w Madrycie. W hiszpańskiej stolicy wysiadłem na stacji de Atocha, a stamtąd szybko pojechałem taksówką na dworzec Norte, z którego miałem odjazd do San Sebastian. Madrytu nie widziałem, morza w San Sebastian też nie, bo było ciemno, za to słyszałem fale uderzające o brzeg i czułem bryzę. Hotel de Londres y de Inglaterra był pięknie położony, mniej więcej tak jak sopocki Kasino-Hotel. Wszystko to wróżyło dobrze na najbliższe dni.

## ROZDZIAŁ XIII

**W którym San Sebastian okazuje się pysznym kurortem, dopadają mnie moje obsesje, granica z Francją jest kapryśna, Hiszpania wrząca, Aldona Glock namiętna, a ja nadzwyczaj romantyczny i wzruszony. To rozdział, w którym nie poznają siebie**

Rano przekonałem się, że miałem pokój z widokiem na zatokę de la Concha, wyspę Santa Clara i ocean. Widok jak z lotu ptaka, bo pokój był na szóstym piętrze, niemal pod samym dachem. Wystarczyło wejść do widny, a jak brakowało prądu – w końcu toczyła się wojna – to można było zbiec po schodach i w okamgnieniu znaleźć się na piaszczystej plaży. Zamiast na plażę zbiegłem na śniadanie, które nie było jakieś sensacyjne, ale kawa równie dobra, a może nawet lepsza niż w Lizbonie. Sensacyjna była za to miejscowa mowa! San Sebastian leżało w Euskadi, kraju Basków, i niemal wszyscy posługiwali się baskijskim. Słyszałem kiedyś Węgrów, więc jeśli mi się z czymś ten baskijski skojarzył, to z tą nieludzką mową.

Zresztą wszystko jedno, po hiszpańsku też nie mówiłem, za to starszy personel hotelu, szef recepcji i kierownik sali oraz młody kelner Gaizka i szofer Inaki radzili sobie po angielsku. W końcu nazwa hotelu – Londres Inglaterra – zobowiązywała.

Zamówiłem samochód z kierowcą, żeby pojechać na stację po Aldonę, i spojrzałem na zegarek. Miałem sporo czasu, więc poszedłem na bulwar. Szybko zszedłem z niego na plażę, zrzuciłem buty, podwinąłem nogawki i ruszyłem przez piasek w kierunku wody. Podniosłem z plaży wyszlifowany przez morze płaski kamień i puściłem nim kaczkę. Leciał nisko nad taflą, po czym odbił się raz, drugi, trzeci, czwarty, aż w końcu zawadził o falę i zakończył lot. A mógłby się jeszcze odbić i polecieć dalej. Czy i mi przeszkodzi kiedyś jakaś fala? Czy piękny lot i kolejne skoki zostaną przedwcześnie przerwane? Owszem, byłem pazerny, ale pazerny na życie, niepohamowany, jeśli w grę wchodziły draki i kobiety. Po prostu byłem głodny życia i choć jako kaszlar wychodziłem ze wszystkich robót suchą nogą, to w sprawach sercowych byłem jak na karuzeli.

– Kurwa! – przekląłem pod nosem, bo wszedłem za głęboko, a poszła mocniejsza fala i zamoczyłem spodnie, prawie do kolan. Zupełnie jak w życiu, zapuściłem się za daleko.

A może się ustatkować? Tylko jak i z kim? Z Aldoną? Była bardziej szalona niż ja, może dlatego dobrze mi było raz z nią, a raz z Ireną, jej przeciwieństwem. Czyż to nie czas założyć dom i postarać się o dziecko? Zaraz, jakie dziecko, o czym ja myślę? Może tak pomyślałem, bo bulwarem szły niańki z pociechami.

I tak wróciła jedna z moich obsesji, że gdzieś żyje moje dziecko, kawałek mnie, o którym nie wiem. Słyszałem, że moja wielka miłość, Leokadia Rostocka, która mieszka od wielu lat w Paryżu, widywana jest z chłopczykiem. Rozstaliśmy się dziewięć lat temu... Może dlatego spławiła mnie, kiedy odnalazłem ją w Paryżu? Uważała, że do Ameryki nie uciekłem przed fałszywymi oskarżeniami, tylko przed nią?

A ten cyrk z Marią Walewską... Byłem pewien, że chłopiec, z którym ją widziałem w Ogrodzie Saskim, to mój syn, bo wyglądał jak ja w wieku czterech lat, zamurowało mnie wtedy i nie wiedziałem, co zrobić. Zapytałem Poldka, a on powiedział, że to ich mały kuzynek i zaklinał, że nie jestem jego ojcem. Później przeczytałem w gazecie, że ma córeczkę, i znów coś mnie napadło, że to może być pamiątka po naszej jedynej nocy. I ją też widziałem, bo uparłem się, więc Poldek zawiózł mnie do Konstancina. Moja domniemana córeczka miała włosy jak mały lisek, a przecież ani ja, ani Maria nie jesteśmy rudzi! Poldek śmiał się ze mnie i tłumaczył, że Fryderyk Overath, alzacki arystokrata, z którym jego siostra



była w związku małżeńskim, był rudzielcem. Trzeba mieć nierówno pod kopułą, żeby spalać się takimi sprawami, wymyślać w głowie scenariusze na temat swojego domniemanego ojcostwa.

Ku zaskoczeniu przechodzącej brzegiem pary wsadziłem głowę do morza, poczułem słony smak, do uszu i nosa wiała mi się woda, ale myślałem, że to mnie jakoś wyrwie z tych bezsensownych myśli. Szedłem plażą, trzymając w rękach buty, w przemoczonych do kolan spodniach i kręciłem głową jak pies, który chce się otrząpać z wody. Nieliczni spacerowicze patrzyli na mnie jak na egzotyczny okaz.

Usłyszałem syrenę okrętową, spojrzałem w kierunku, z którego nachodził przenikliwy i zarazem głęboki dźwięk. Dostrzegłem statek. Podobnym niedawno płynąłem. Czy jeszcze bym był na Batorym, gdybym nie wysiadł w Lizbonie? Który dzisiaj w ogóle jest? Dwunasty!

Ponad tydzień minął od mojego zejścia z pokładu Batorego, doszło do mnie, że to wczoraj, jedenastego maja, powinienem wpływać do Gdyni. Tak planowałem, a raczej miałem nadzieję, że będę mógł wrócić do kraju i z Gdyni szybko pojechać do Warszawy, by jak co roku dwunastego maja odwiedzić grób matki. Gdyby żyła, obchodziłaby pięćdziesiąte szóste urodziny. Mimo swojej mokrej głowy i spodni klapnąłem w piasek, po prostu usiadłem z niemocy i żalu. Cały czas winiłem się za jej śmierć.

Znów wróciły wspomnienia o czynie człowieka, który kiedyś był mi przyjacielem, a potem okazał się kanalią i mordercą mojej matki. Antek Bożyczko... Gdybym go tylko mógł dorwać, a tymczasem przez lata myślałem, że nie żyje, że także był ofiarą zbrodni. Upozorował swoją śmierć, i trzeba przyznać, że zrobił to perfekcyjnie. Zabił jakiegoś człowieka, który przypominał go sylwetką, przebrał w swoje ubranie, zmiażdżył mu twarz i wrzucił do rzeki, a potem znalazł azyl w Sowietach. Tam zrobili z niego szpiega, który pomagał rozpracowywać rosyjską opozycję. Wiem, że żył, znałem jedno z jego nazwisk, pod którym działał i wiedziałem, że prędzej czy później dorwę gada.

Na samą myśl o tym, wróciły mi siły, poderwałem się z piasku, czym zaskoczyłem starszego pana w drucianych okularach, który się nade mną pochylał.

– *¿Está bien, señor?* – zapytał, po czym dodał po angielsku: – *It's okay, sir?*

– *Everything's all right, sir!*

Szybko poszedłem do hotelu, przebrałem się w suche rzeczy i niemal biegiem udałem się do auta. Pośpiech był niepotrzebny, pociąg bowiem spóźnił się dwie godziny. Wydawało się, że wcale nie przyjedzie, więc nakazałem kierowcy, by jechał na granicę, ale powiedział mi, że to i tak nic nie da. Od paru lat granica jest zamykana ze względu na tak zwane „ważne okoliczności”, a są nimi niepokoje, które wstrząsają Hiszpanią.

Tu się cały czas kotłuje. Jeszcze niedawno Hiszpania była królestwem, którym sterował dyktator, generał Miguel Primo de Rivera. Dyktator był z niego na tyle przyzwoity, że socjaliści nie przejmowali się tym, iż był markizem, i go popierali. Do czasu, bo chociaż walczył z bezrobociem, kryzys dupnął jak wszędzie indziej i lewica przestała go lubić, a wiadomo, że łagodny dyktator długo nie pociągnie, do tego Primo de Rivera był schorowany, trafiła go cukrzyca i skończyło się zgonem w Paryżu po siedmiu latach rządów.

Król Alfons XIII był tylko figurantem, a bez parasola Primo de Riverę stał się nikim i w 1931 stracił koronę. Hiszpanię ogłoszono Republiką, w której trwała nieustająca awantura polityczna, większa niż w Polsce. Konserwatyści nie chcą króla, ale i nie chcą republiki, sami by monarchę zastąpili jakąś swoją dyktaturą. I oni, i zwolennicy republiki są w cholere podzieleni.

Z grubsza wygląda to tak: Baskowie, w których kraju przebywałem, chcą niepodległości albo przynajmniej autonomii, więc z Republiką im po drodze, mimo że Front Ludowy, który ją reprezentuje, ma inne zdanie na temat Kościoła. Front Ludowy jest mozaiką, sami socjaliści są dość podzieleni, a do tego nieustannie kłócą się między sobą anarchiści i komuniści. Ci ostatni też są podzieleni, bo jedni uważają za boga Trockiego, a inni Stalina.

Największymi przeciwnikami obecnych rządów są Kościół i faszyci, których partia nazywa się Falangą. Faszyci chcą ograniczyć wpływy Kościoła w państwie i są za reformą rolną. Ich przywódca, syn byłego dyktatora, José Antonio Primo de Rivera, zapatrzony jest w Mussoliniego, który odwzajemnia

sympatię, dając hiszpańskiej Falandze pieniądze. Kościół też ma swoją partię, to Karliści, którzy są za biskupami i przywróceniem monarchii, a że tutaj nic nie jest proste, wielu z nich to Baskowie z Nawarry.

Na razie całe to towarzystwo wymieniało poglądy na murach, a treść tej awantury objaśniał mi kierowca, który wiozł mnie na dworzec. Gdyby wierzyć temu, co piszą, to najchętniej wszyscy wycięliby się w pień. Lekceważyłem sobie tę wojenkę na hasła, ale szofer powiedział mi, że jest gorzej, niż mi się wydaje. W San Sebastian tego nie widać, ale bojówki partyjne i anarchiści odważnie sobie poczynają, i że nie skończy się tylko na pojedynczych morderstwach przeciwników politycznych i aktach wandalizmu w kościołach. Pan Inaki, mój szofer, był Baskiem, chciał, żeby można było mówić po baskijski, nie chciał powrotu króla, biskupów nie lubił i uważał, że świątynie należy zostawić w spokoju. Nowa władza patrzyła na to przez palce, podobnie jak na ataki na więzienia i areszty, z których anarchiści wyciągali swoich towarzyszy, często skazanych za coś więcej niż politykę. Był tu niezły bałagan, choć na promenadzie i w hotelu nie dało się tego odczuć, wyglądało jednak na to, że cały czas wrze, aż w końcu zagotuje się tak, iż cały ten hiszpański kocioł się rozpułknie jak balon.

Nie miałem szans na przekroczenie granicy, tkwiłem więc na stacji w San Sebastian i cierpliwie czekałem; w końcu zapowiedzieli, że pociąg z Francji doszedł do stacji w Irun i za jakieś trzy kwadranse dotrze do celu.

Pociąg wjechał w obłokach pary, która buchała z lokomotywy, a zawiadowca nawoływał do odsunięcia się od torów. Ni w ząb nie rozumiem hiszpańskiego, ale jestem pewien, że facet z lizakiem i gwizdkiem krzyczał to, co wszyscy kolejarze na każdym peronie tysięcy dworców całego świata w chwili, kiedy pociąg wjeżdża na stację, a czekający na niego ludzie kłębią się jak przekupnie na bazarze i niebezpiecznie zbliżają do torów. Uczylem się przez pewien czas w kolejówce przy Chmielnej i wiele się nasłuchałem o wypadkach i rozjechanych ludziach, ale sam uległem dworcowej hysterii i ruszyłem do przodu, po chwili jednak odskoczyłem w tył, bo z daleka było więcej widać.

W końcu zobaczyłem ją, mignęła mi w przedostatnim wagonie, po dłuższej chwili stanęła w drzwiach, wysiadła jako jedna z ostatnich, ubrana w pepegi, pumpy, sportową marynarkę i kaszket.

– Łap bagaż, Don Juanie! – krzyknęła i wypchnęła przed siebie walizkę niezbyt dużą, ale chyba wyładowaną ołowiem. Dopiero wtedy, gdy ją odebrałem i postawiłem na peronie, skoczyła prosto w moje ramiona i zaczęliśmy się całować jak szaleni, dzięki czemu przekonałem się, że Baskowie raczej rzadko oglądają takie przedstawienia.

– Wystarczy – powiedziała – bo będziesz musiał założyć płaszcz, żeby nie wzbudzać sensacji, no i jeszcze mi cię aresztują za obrazę moralności.

Fakt, podnieciłem się jak sztubak.

– Spokojnie, wiesz, jestem niedysponowana, więc na razie nic z tego. – Zaśmiała się.

Można powiedzieć, że uszło ze mnie powietrze. Ale tylko na moment, bo przytuliłem ją serdecznie i poczułem w sobie jakąś miękkość, wzruszyłem się jak jasna cholera. Znaliśmy się cztery lata i mniej więcej tyle czasu ze sobą sypialiśmy, bawiliśmy, roztawialiśmy i schodziliśmy. Lubiliśmy się, a nawet coś więcej, ale nie mogła to być miłość, nie wspominając już o małżeństwie. A już ślubowaniem przed samym Bogiem w pierwszej kolejności. Aldona uważała się za kobietę nowoczesną, wyzwołaną, nieuznającą nie tylko Kościoła, ale i istnienia Siły Wyższej. U mnie Bóg się pojawiał i znikał, częściej to drugie, uczucie do Aldony podobnie, choć w innych proporcjach.

To, że nic nie można było z nią planować, że była moją kochanką, która prowadziła osobne życie i pozwalała mi na skoki w bok. Wygodne, przyjemne i niepozwalające wpaść w rutynę. Chciała, żebyśmy rozmawiali o tym, co się dzieje między naszymi spotkaniami, wyjazdami, igraszkami w łóżku; mnie to nieco krępowało, a bardziej chodziło o to, że byłem zazdrosny o jej inne przelotne miłości.

„Ty jesteś wyjątkowy” – mówiła, a ja zapewniałem ją o tym samym, lecz kiedy tylko ta wariatka wyjeżdżała, co zdarzało się jej często, wtedy ja szybko zajmowałem miejsce zwolnione przez Mariana

Leszczyckiego i przejmowałem jego obowiązki małżeńskie. W pewnym momencie była w tym wszystkim także moja tancerka z kabaretu, Anastazja, marzyłem też o powrocie do Stefanii Rostockiej, wciąż jak zadra tkwiła we mnie przygoda z Marią Walewską. Teraz jednak byłem pewien, że po tych wszystkich latach i przygodach jest tylko ona, Aldona Glock.

Ni stąd, ni z owąd, kiedy szliśmy przez dworzec w kierunku postoju taksówek, zatrzymałem się, położyłem na ziemi walizkę i ująłem jej dłoń.

– Kocham cię! – powiedziałem.

Patrzyła, jakby nie wsłuchiwała się w moje słowa, a w komunikat, że za chwilę odjedzie pociąg do Bilbao, w dodatku wygłoszony po baskijsku.

– Co to było? – zapytała.

– Ogłosili, zdaje się, że odchodzi pociąg do Bilbao. – Nie byłem tego pewien, rozumiałem tylko słowo „Bilbo”, czyli po baskijsku „Bilbao”. – Albo że pociąg przyjdzie stamtąd... – Straciłem cały rezon.

– Ale punktualnie czy może się spóźni? – zapytała, jakby nie słyszała tego, co powiedziałem.

Co ją napadło z tym komunikatem o pociągu do Bilbao? Czemu ją to tak bardzo zajmowało, czyżby nic a nic nie obeszło jej moje wyznanie? Sprawiała wrażenie, jakby niczego nie słyszała... A może wcale nie wymówiłem tych słów?

– Może się spóźni, nie wiem – odparłem i poczułem się lekko skołowany.

– A może... – wbiła we mnie wzrok – ...to ty się spóźniłeś! Nie myślałeś o tym, że powinieneś to powiedzieć wcześniej?

Zdębiałem! Całkowicie!

– Myślałem, że dla ciebie to nic zobowiązującego, że chcesz związku otwartego... że nie wierzysz w miłość!

– Ile lat temu to było? – przerwała mi. – Cztery! – Pokazała liczbę na palcach. – Wystarczająco dużo, żeby coś się zmieniło! Czy nie zauważyłeś, że od dwóch lat nie spotykam się z nikim innym?

Nie zauważyłem. Niby skąd, skoro nie mieliśmy rozmawiać o swoich kochankach?

– Może po prostu miałam ci wyznać miłość, a potem ci się oświadczyć – zaakcentowała słowo „oświadczyć”, i to dubeltowo, bo i głosem, i wbijając mi w tors palec.

Byłem wobec tych słów bezradny.

– Zawsze mówiłaś, że kobiety powinny być samodzielne, decydować o sobie, że w teatrze życia męczyzna nie ma monopolu na odgrywanie głównej roli, że kobieta jeśli zechce...

Nie dokończyłem, bo raz jeszcze, tym razem jeszcze mocniej i boleśniej, wbiła mi palec w pierś.

– A ja, wyobraź to sobie, chciałam, żebyś mi to w końcu powiedział! To naprawdę było takie trudne? A może jesteś nieśmiały?

I wtedy po jej policzkach, policzkach kobiety niezależnej, zapatrzonej w Krzywicką i Boya, biorącej od życia to, co jej się żywnie podobało, niezważającej na konwenanse i różniącej się od mężczyzny tylko pewnymi szczegółami anatomicznymi, pociekły łzy. Zawisła mi na szyi, wpiła mi się w usta, walizka wyrzuciła się, jakaś dama coś krzyknęła po baskijsku, wtórował jej jegomość wyglądający na grabarza albo księdza po cywilu, ktoś inny gwizdnął, jakby był na futbolowym meczu, dwie panny biły brawo. Aldona szepnęła namiętnie, że mnie kocha, i nagle, jak to ona, wyrwała w kierunku wyjścia ze stacji. Jak zwykle potrafiła mnie zaskoczyć.

– Co tak stoisz jak słup soli, chcesz się kochać czy nie?

– Ale...

– Co „ale”? – Pociągnęła mnie za sobą. – Chcesz czy nie?

– Mówiłaś...

– Mówiłam i nie kłamałam, są sposoby!

Faktycznie były.

## ROZDZIAŁ XIV

**W którym zwiedzamy kurort, miejscowi żyją kolarską fiestą, dostają list od nieznannej ciotki, Aldona bawi się w śledczą i przesłuchuje mnie, skutkiem czego przechodzimy mały kryzys, a moja flota topnieje jak francusko-hiszańska armada pod Trafalgarem**

Następnego dnia zeszliśmy na śniadanie inaczej niż kiedyś. Zajęło nam to niemal cztery lata! Poszliśmy na spacer, tuliliśmy się do siebie, zapewnialiśmy o miłości i w pewnym momencie, kiedy brodziliśmy po kolana w morskiej wodzie, zapytałem:

– Wyjdiesz za mnie?

– Kocham cię, ale nie mam zamiaru być twoją niewolnicą, może jeszcze wieszysz sobie ślubu kościelnego?

Stałem jak ciężki frajer, a ona podeszła do mnie i pocałowała mnie, po czym patrząc w oczy, powiedziała:

– Kochaj mnie. I nie pal papierosów, tyle wystarczy. No i nie zdradzaj mnie, żadnych tam tancerzek czy prezesowych. Ślub do tego nie jest potrzebny!

– Ty też palisz.

– Bo ty palisz. Od dzisiaj nie palimy!

I tak się stało, przestaliśmy palić, ale reszta została po staremu: szaleliśmy i przez to, że przestaliśmy palić, nie mieliśmy tęgiego kaca.

Można powiedzieć, że w San Sebastian prowadziliśmy niezwykle uporządkowane życie: plaża, łóżko, w którym kochaliśmy się na zabój, wyprawy do knajp, upijanie się winem, znów miłość, spanie do południa. Patrzone na nas, niekiedy z zaciekawieniem, bywało, że ze zgorzeniem, ale i zazdrością, kiedy to po szalonej nocnej kąpeli morskiej przyszliśmy na śniadanie, stając się większą atrakcją od jajek w koszulkach, serów, bułeczek i rogalików. No i obowiązkowo zwiedzaliśmy miasto, po tygodniu znaleźliśmy je całe oraz okolice.

Aldona, jak w każdym miejscu, do którego wcześniej przyjeżdżaliśmy, wiedziała wszystko. Że San Sebastian wielokrotnie zdobywano i palono, że kiedy u nas było powstanie styczniowe, to tu, zupełnie jak w Krakowie, a przede wszystkim jak w Paryżu, rozbierano mury obronne. Miasto rozwijało się błyskawicznie. Wpływ na jego rozkwit miała rywalizacja z nieodległym Biarritz, z którego za krótkich rządów swojego męża, Napoleona III, cesarzowa Eugenia urządziła morski kurort. Hiszpańscy królowie i grandowie zapragnęli tego samego. Za panowania Alfonsa XIII (swoją drogą to niezła krewa, mieć króla alfonsa) jego żona Maria Krystyna Austriaczka postanowiła, że tu powstanie letnia siedziba dworu. Władca musiał więc sięgnąć głęboko do kieszeni, opłacić architektów, budowniczych i kogo tam jeszcze trzeba, po czym w roku 1883 stanął Pałac Miramar.

Skoro latem hiszpańska monarchini miała swoją siedzibę nad Zatoką Baskijską, to i innym wypadało się tam pobudować. Wokół rezydencji zaczęły wyrastać wille, kamienice i hotele, bo za Marią Krystyną ścigała cała ta banda darmozjadów i cwaniaków, która wchodziła w tylek małżonkom w Madrycie. Zjechali też ambasadorowie, artyści i, ma się rozumieć, służba, oraz wczasowicze, którzy chcieli spędzić parę dni w blasku nie tylko słonecznym, ale i królewskiego majestatu. Jednym słowem towarzystwo, na którym można niezłe zarobić. Specjalnie dla nich pobudowano wielkie kasyno, gdzie częściej tracono wielkie fortuny, niż się ich dorabiano. Kasyno zamknięto z dziesięć, a może i więcej lat temu, bo zabroniono hazardu, a do budynku przeniesiono ratusz.

Tak czy inaczej pieniądze wyciągano od przyjezdnych na inne sposoby, takie lunaparki jak u nas na Pradze w San Sebastian były trzy, z czego jeden na wzgórzu Igueldo, które wznosi się nad plażami Concha i Ondarreta. Można tam wejść na piechotę albo wjechać autem czy specjalną kolejką. Rozciągał się stamtąd piękny widok, warto było zapłacić i za kolejkę, i za knajpę, również odpowiednio droższą. Ale jeszcze lepiej wydanym pieniądzem okazał się zakup biletu do Pałacu Morskiego. Znajdowało się tam oceanarium, w którym pływały ryby, żółwie, rekiny i ośmiornice.

Mimo że Aldona dawno zerwała z Kościołem, to jednak świątynie jak zwykle ją interesowały. Poza tym ukochana uraczyła mnie wykładem o współczesnej sztuce, o wszystkich tych kubistach, którzy z Kubą nie mieli nic wspólnego, o wielkich Hiszpanach, Picassie, Dalim i Miró, i że musimy jechać do Barcelony, bo tam i w okolicach, no i oczywiście w Paryżu, wszyscy ci artyści tworzyli. Właśnie pisała o nich jakąś rozprawę, dlatego jej walizka była taka ciężka. Wszystko, co miała do ubrania, przywiozła na siebie, bo zabrała mnóstwo książek.

Poznałszy San Sebastian całkiem dobrze, nawet wyczuliśmy rytm miasta. Wtedy zaczęło się dziać coś szczególnego. Nie wiedziałam co, ale to się czuło w powietrzu. Zapytałem więc kelnera w naszym hotelu, młodego, nieco roztrzępanego pana Gaizkę, co jest grane. Do tej pory był nieco nieśmiały, lecz teraz cały się rozpromienił.

– *Juna, senior, sir!* – wykrzyknął w trzech językach, po czym przeszedł na niezbyt dobry angielski. – Przecież jutro wtorek dziewiętnastego maja, wielkie święto!

Spojrzelśmy z Aldoną po sobie i pewnie ona myślała to samo, co ja. Może mają dzień miejscowego świętego i odpust, bo przecież dekorowano ulice.

– Jutro w naszym mieście finiszuje Vuelta!

Za cholerę nie wiedziałem, kim lub czym jest ta Vuelta, Aldona też nie.

– Państwo nie wiedzą, co to Vuelta? – strapił się Gaizka, ale zebrał myśli i zaczął tłumaczyć: – Francuzi mają swój Tour de France, wielki wyścig kolarski, a my mamy naszą Vuelte. To już druga edycja, przed rokiem pojechali czternaście etapów, razem prawie trzy i pół tysiąca kilometrów – mówił z ogniem w oczach, jaki do tej pory widziałem u bywalców kasyn i torów wyścigowych oraz entuzjastów futbolu. – Wystartowało pięćdziesięciu kolarzy, dojechało tylko dwudziestu dziewięciu.

Tylko! Byłem pewien, że góra kilku, co i tak było dla mnie jakimś cudem. Ile oni musieli grzać na tych rowerach, chyba dzień i noc!

– Pierwszą nagrodę wziął Belg, Gustaaf Deloor. Przejechał trasę w sto dwadzieścia godzin i siedem sekund. Drugi był nasz, to znaczy reprezentant Hiszpanii, ale nie Bask, ale i nie Hiszpan, tylko Katalończyk. Mariano Cañardo stracił do Belga trzynaście minut i dwadzieścia osiem sekund!

Sympatyczny Gaizka, który czasem o czymś zapominał i wszystko musiał notować, kiedy mówił o kolarzach, pamiętał każdą sekundę!

– W tym roku Cañardo miał odbić dla Hiszpanii pierwsze miejsce, ale stała się tragedia!

Pomyślałem, że dzielny kolarz przewrócił się i wyciął głową o bruk. Przy prędkości to finito, bo kolarzka czapeczka chroniła go najwyżej przed słońcem.

– Zginął? – Aldona zrozumiała podobnie jak ja.

– Nie – kelner machnął ręką – ale leżał, i to na pierwszym etapie! Co za pech, pan sobie wyobrazi, że pies wskoczył mu pod rower. Jeśli był bezdomny, to rakarze powinni go złapać i zgładzić, a jeśli czyjś, to ja bym tego właściciela... – Nie dodał już nic więcej, za to pokazał ruchem dłoni, że najchętniej poderżnąłby mu gardło. – Przez tego kundla się potłukł. Dalej jedzie w wyścigu, ale już nie ma szans na wygraną.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale kierownik sali patrzył na niego wilkiem, więc uklonił się grzecznie i w podskokach poleciał obsługiwać inne stoliki.

Następnego dnia pół miasta wyległo na ulice, by patrzeć na kolarzy. Przez radio podali, że na trasie były ulewy, więc coś zmieniono na trasie; ludzie ekscytowali się, że peleton poszedł przez Tudeli, cokolwiek by to miało znaczyć. Tak czy owak dojechali do San Sebastian umorusani błotem, a na mecie

triumfowali Belgowie, jeden z nich wygrał etap, a drugi, ten Deloor, co wygrał poprzednią Vuelte, utrzymał prowadzenie w tegorocznym wyścigu. Ludzie oklaskiwali tych, co wygrali, i tych, co dowlekli się na metę godzinę z hakiem po zwycięzcy.

Po tygodniu szaleństw Aldona wyciągnęła książki i ogłosiła, że pracuje. Wtedy też przypomniało się jej, że ma dla mnie list, który przekazał jej radca Walewski. Dając mi go, zagaiła:

– Beniowski nic do ciebie nie napisał?

– A czemu miałby pisać? – Wzruszyłem ramionami.

Rznąłem głupa, ale ona i tak wiedziała swoje, bo była bystrą kobitką. Nie wiedziała, co robi Julek, ale się domyślała.

– Zawsze miałam o to spytać, ale czy ten twój serdeczny kolega nie jest przypadkiem w defensywie?

Słowo „serdeczny” wypowiedziała z pewnym przekąsem, a „defensywa” z pogardą.

– Absolutnie nie! – zaprzeczyłem gorliwie, bo fakt faktem z defensywą Julek nie miał nic wspólnego.

Defensywą nazywano kontrwywiad cywilny, który siłą rzeczy ścigał także komunistów, a wielu z nich było sowieckimi agentami, stąd jednoznacznie określano Centralną Służbę Śledczą mianem policji politycznej. Rzeczywiście jak trzeba było, to ścigali też Bogu ducha winnych polityków socjalistycznych, którzy bruzdzili Marszałkowi, i wsadzali ich do Berezki Kartuskiej. Zastanawiałem się, po co to wszystko, i doszedłem do wniosku, że nie tylko, żeby zastraszać opozycję, ale i wmówić narodowi, że już dawno Polska byłaby silna i bogata, gdyby nie opozycja, której miejsce jest w obozie. W sumie to Polska już jest silna, bogata i do tego bezpieczna, ale byłaby o wiele bardziej, gdyby nie ci, którzy jej w tym przeszkadzają.

– A mi wygląda na jakiegoś tajniaka, oficera, tylko po cywilu. – Aldona dalej snuła swoje rozważania.

– Bo jest oficerem! – żachnąłem się. – Takim samym jak Broniewski, przecież wiesz, że służyłem u jednego i drugiego.

Nie była do końca przekonana, bo dała mi do przeczytania list, a sama siedziała i pisała coś, przeglądając notatki, miałem jednak wrażenie, że jak skończę, to wrócimy do rozmowy. Koperta nie była podpisana, a list, jak się domyślałem, nie był od Poldka. Był od ciotki Julianny, której nie miałem do tej chwili okazji spotkać. Ja nawet o niej nie słyszałem, za to ona wiedziała o mnie dużo.

Mój drogi siostrzeńcu!

Wiem, że wyjechałeś na wymarzoną podróż naokoło Europy, że będzie ci towarzyszyć piękna panna, kto wie, może się pobierzecie? Muszę ją koniecznie poznać! Słyszałam, że będziesz na berlińskich igrzyskach, to bardzo dobrze, mówią, że będzie to piękne wydarzenie i że polscy sportsmeni nawiożą z Niemiec wiele medali. Baw się dobrze, mój Heniu, jak wrócisz, to mi koniecznie o wszystkim opowiedz.

Julianna Haas z domu Muller

Nie trzeba być orłem, żeby domyślić się, że to Julek do mnie pisał szyfrem. I nie pisał nic dobrego, dawał do zrozumienia, że nie wrócę z Hiszpanii prosto do Polski, tylko mam jeszcze pojechać do Berlina.

– I co pisze? – Była czujna, jak tylko skończyłem czytać list, to wróciła do swojego przesłuchania.

– Żebym się dobrze bawił i takie tam, jak to ciotka, bo to list od mojej ciotki, Julianny Haas, z domu Muller, bo moja rodzina to w połowie niemieccy koloniści.

– Mhm. – Zabrzmiało ta nieprzyjemnie sucho.

Jakoś urwała i miałem nadzieję, że nie wróci do tego tematu. Na próżno.

– Jesteś jej winien pieniądze? – zapytała.

– Słucham?

– Nie rozumiem, jak to możliwe, że nagle w twoim życiu pojawia się jakaś ciotka. Do tego taka ochana ta ciotunia, że prosi o pomoc radcę Walewskiego w MSZ-ecie...

Nie przypuszczałem, że będzie aż tak dociekliwa.

– Naprawdę podróżujesz po Europie, dlatego że dałeś po pysku jakiemuś zupakowi? Mówiłeś, że twoim kompanem był jakiś emerytowany pułkownik. On też się ukrywa, też wyjechał z dnia na dzień, nie sprzedając nikogo? A może popłynęłabym z tobą, pomyślałeś o mnie?

Jak ona zrobiła się zaborcza, żeby nie powiedzieć wścibska! Nie sprzedawałem jej jakiejś odległej od prawdy bajeczki, już pierwszej nocy powiedziałem, że zostałem zaatakowany w knajpie i się bronilem, ale napastnik miał plecy, więc zrobiło się nieprzyjemnie i doradzono mi zniknięcie na jakiś czas.

– Pobitem niewłaściwą osobę...

– Nie mówisz mi wszystkiego!

Tak oto, choć bez ślubów i urzędowych korowodów, zaczęliśmy być jak stare dobre małżeństwo.

– Pamiętasz, jak niedługo po moim powrocie z Ameryki próbowano mnie zastrzelić?

– Powiesz mi kiedyś, co tak naprawdę robiłeś w Ameryce?

Ona mnie przesłuchiwała!

– Ale to nie miało nic wspólnego z tym, co robiłem w Ameryce!

Czułem się, jakby mnie ktoś przypiekał na wolnym ogniu, bałem się, jakim pytaniem dociśnie mnie zaraz śledcza Aldona Glock.

Czekałem w napięciu, a ona czytała i robiła notatki. Nie wróciła do tematu, widocznie, co jej się czego zdarzało, porwała ją praca.

Pierwszy kryzys w naszym nieformalnym małżeństwie... Sytuację uratowała dobra kolacja, libido Aldony i, muszę to nieskromnie przyznać, moja biegłość w sprawach sztuki miłości. Wszystko wróciło do normy, pewnie do kolejnego ataku podejrzliwości mojej kochanki. W najbliższym czasie powinien być święty spokój, bo pracowała tak, że musiałem ją niemal siłą wyciągać na plażę, a jak już poszła, to i tam czytała. Zatracała się w pracy, a ja w nic nierobieniu i czytaniu książek od Poldka.

Pędem przeczytałem *Granicę*, dość odważną powieść Nałkowskiej. Dla mnie dość odważną, a dla salonów, pizspanów i innych jaśnie państwa niemal rewolucyjną i odkrywczą. W sumie nie było tam nic, o czym bym nie wiedział, że ci bogaci z domu i pochodzący z lepszych rodzin za nic mają tych z samego dołu i zawsze ich zgubią albo o nich zapomną i dadzą kopa w tyłek. I oni, czytelnicy z wyższych sfer, też o tym doskonale wiedzą, ale o tym nie mówią, a Nałkowska powiedziała o tym głośnym głosem. I bardzo dobrze, niech przynajmniej przez chwilę się zastanowią, a może nawet parę osób się zmieni. Później sięgnąłem po Doktora Murka tego, pozał się Boże, rajdowca, Dołęgi-Mostowicza. Znow jak w *Karierze Nikodema Dyzmy* bohaterem jest zdegradowany urzędnik, ale ten nie trafia przypadkiem na szczyty władzy, ale sam sobie tworzy własną instytucję zarobkową: gang! Doktor Murek zdegradowany, naprawdę niezła historia!

Jedyne, co mi psuło to byczenie się na hiszpańskiej plaży, to świadomość, że nie wiem, ile to potrwa i co będzie dalej. Niedługo skończy się czas opłacony w hotelu przez Walewskich, a moja flota topniała jak ta francusko-hiszpańska pod Trafalgarem.

## ROZDZIAŁ XV

**W którym jedziemy do Pampeluny, rozmawiając w drodze o żywotach świętych, chcąc nie chcąc zapoznając się z pisarzem Hemingwayem, oglądam wraz z Aldoną sanfermines i jestem świadkiem kolejnej lekcji o tym, że alkohol może szkodzić zdrowiu**

Nasz pobyt w San Sebastian zbliżał się powoli do końca i jak dobry admirał sprawdziłem stan floty przed rejssem powrotnym. Nie był zbyt imponujący, jakoś się spinało, hotel w San Sebastian opłacony, a na trzy dni pobytu w Pampelunie starczy. Na mojej mapie widniała jednak biała plama: pobyt kończył się w sobotę osiemnastego lipca, a igrzyska w Berlinie zaczynały się pierwszego sierpnia. Prawie dwa tygodnie, w trakcie których powinienem się gdzieś podziać. Wymyśliłem, że pojedziemy przez Andaluzję, w końcu zobaczę, jak wygląda moja hacjenda. To będzie niespodzianka, coś ciekawego i zaskakującego, bo plaże i luksusy San Sebastian zaczęły mi się nudzić. Miejscowi, Baskowie, Hiszpanie, nacjonaliści, komuniści, karliści, anarchiści i socjaliści dostarczali pewnych rozrywek, kłócąc się po kawiarniach i na ulicach, rozrzucając ulotki i wszczynając bójki.

Nadszedł czwarty lipca, sobota. Czas najwyższy, by pojechać do Pampeluny na sanfermines, które zaczynało się w poniedziałek. Aldona skończyła pracę, zamknęła temat, zapakowała książki do walizki i z miejsca zaczęła mi opowiadać o tym święcie. Organizowano je na cześć świętego Firmina, który urodził się w tym mieście, może w trzecim, a może czwartym wieku naszej ery. Wiadomo, że był biskupem francuskiego Amiens i że umarł śmiercią męczeńską. W zasadzie tylko tyle.

– Może to i lepiej – podsumowała swój krótki wykład Aldona – bo byli święci, o których życiorysach Kościół wolałby nic nie wiedzieć.

– Maria Magdalena? – rzuciłem.

– Banał, po prostu taki miała zawód. Za to Maria Egipcjanka to była postać! Opisał ją święty Zozyma.

– Zmyślasz! Jest taki święty?

– Nawet był papieżem! Spisał jej słowa, z których wynika, że Maria Egipcjanka nie tylko puszczała się dla pieniędzy, ale przede wszystkim dla przyjemności, bo była nimfomanką. Zanim się nawróciła, założyła się sama ze sobą, że uwiedzie wszystkich pielgrzymów na statku płynącym do Jerozolimy.

– Udało się jej?

– Nie inaczej.

– Kiedyś były małe statki, na Batorym nie dałaby rady – podsumowałem.

– Jakby płynęła ze świętym Stefanem, to postarałby się, żeby na podkładzie zrobiło się luźniej. Jako królowi Węgier nie wystarczyło mu zwykle wygnanie kuzyna Bazylego, który był jego konkurentem. Oślepił go, a później rozkazał zalać uszy ciekłym ołowiem, a jego synów wygnał. Wziąłby jeszcze paru takich świętych i Maria Egipcjanka dałaby radę. Skusiłbyś się?

– Nie wiem, pewnie ten Stefan by mnie ukatrupił.

– Albo ty jego.

– Albo ja jego – zgodziłem się chętnie.

Wyszliśmy z hotelu, przed którym czekał już pan Inaki w limuzynie. Jechaliśmy grubo ponad dwie godziny, a trasa była podobna do tej z Krakowa do Zakopanego, więcej niż sto kilometrów, prawie cały czas pod górę, a na koniec w dół. Dotarliśmy po południu i zajechaliśmy na Plaza del Castillo, gdzie stał Hotel Quintana.



– Czy zastaliśmy pana Quintanę? – Aldona, zwykle nieco oschła, pozująca na chłopczycę, tym razem zaszczębiotała jak pensjonarka.

Recepcjonista powiedział, że jeśli szef nie poszedł do areny, to być może znajdzie dla nas czas, a po chwili, patrząc na wdzięczną, przymilną twarz Aldony, dodał, że z pewnością, i wskazał nam miejsca przy stolicku.

Nie miałem pojęcia, dlaczego chce zobaczyć się z właścicielem hotelu. Zresztą zaraz miałem się o tym przekonać. Pan Quintana okazał się czterdziestoparoletnim, przysadzistym, łysawym facetem o jowialnej twarzy.

– Słucham państwa – powiedział, witając się z nami – czym mogę służyć?

– Zna pan Ernesta Hemingwaya?

Zaczął się życzliwie śmiać.

– Państwo z Ameryki!

– Nie, z Polski, ale czytałam jego powieść o Pampelunie, wiem, że tu mieszkał. Poznał go pan?

– Pani się pyta, czy ja go znam! – Pan Quintana dalej śmiał się serdecznie. – A ja się ośmielę nazwać Ernesta nie tylko moim najlepszym klientem, ale i przyjacielem! Po raz pierwszy przyjechał do Pampeluny... – zamyślił się – ...trzydzieści lat temu! Trochę tego nie pamiętam, bo na początku zatrzymywał się w La Perli, to też przy Plaza del Castillo, ale pod jedyneką. Wszystko zaczęło się od tego, że spotkał Rafaela Hernandeza, wielkiego znawcę korridy. – Juanito Quintana powiedział te słowa z wielkim namaszczeniem. – Senior Hernandez powiedział mu, że nie poznał walk byków ten, kto nie był na San Fermin w Pampelunie. Ernest zawierzył mu, przyjechał i zakochał się w fiescie, a później i w naszym hotelu. Zatrzymywał się u nas sześć razy!

Rozmawialiby jeszcze nie wiadomo jak długo, ale pan Quintana właśnie wychodził, mówił, że przewieziono byki i pójdzie jeszcze za miasto zobaczyć, jak pikadorzy ćwiczą galop. Dla niego byki i korrida były teraz tam samo ważne jak amerykański pisarz dla Aldony. Nawet poczułem się zazdrosny i jakoś zacząłem tracić sympatię do faceta, który napisał bardzo dobrą powieść, bo *Pozegnanie z bronią* było prima sort, czuć, że pisał to weteran, a nie błąd poeta, który wojnę sobie tylko wyobrażał.

Odświeżyliśmy się i szybko poszliśmy zwiedzać, żeby zdążyć przez zmrokiem. Miasto było zbudowane z szarego kamienia, zupełnie niehiszpańskie, gdyby nie potężna biała bryła areny do walk z bykami. Widać było, że mieszkańcy szykowali się na te dni. Przystroili domostwa w girlandy i lampki, no i zmienili przebieg ulic. Te mniejsze, krzyżujące się ze szlakiem gonitwy, zamykano. Robotnicy wbijali słupy, na których montowali bramy. Kiedy ruszą byki i ludzie z nimi igrający, to zamkną je i stworzą coś na kształt wąwozu, z którego nie będzie ucieczki. Zamiatano ulice, tam gdzie trzeba wyrównywano, zmywano wodą ze szlauchów, szykowano się na handel.

Pampeluna ściąga tysiące ludzi, nie tylko dla fiesty, gonitwy i korridy, ale także dla targów bydła i koni. Gdzie jest grubszy handel, jakiś odpust czy święto, to obok wielkich kupców pojawiają się także straganiarze. Niektóre już działały, i to z powodzeniem, podeszliśmy do takiego, który reklamował się, że sprzedaje Anis del Toro, podobno sławną markę likieru anyżowego. Sławną, bo Aldona czytała o niej u Hemingwaya. Przygrzało słońce, polał się alkohol i rozpoczęła zabawa. Ktoś komuś skradł całusa, a dla równowagi ktoś kogoś w pysk strzelił.

Aldona była tym wszystkim strasznie podniecona. Nocą obudziła mnie, chciała się kochać, co mnie mile zdziwiło, bo miałem na to nadzieję. Ulice tętniły jak w karnawale, defilowały mniejsze lub większe orkiestry, lepsze i gorsze, a wszystkie jednakowo głośne. Ktoś się śmiał, ktoś krzyczał, jakieś solo na trąbce i walenie w bęben.

Niedziela zaczęła się leniwie, bo Aldona spała do południa, ale zakończyła niebywałym rajdem po knajpkach, barach i kawiarniach. Zaraz na starcie anyżówka w Tropicana Bar, który mieścił się w Hotelu Quintana. Ostrożnie, by nie pójść w ślady Amerykanina, który – jak powiedział nam boy hotelowy –

upił się tu parę lat temu z dwiema kobietami, a kiedy wyszły, wyszedł i on. W samych majtkach. Obok był Bar Txoko, gdzie zamówiliśmy tort waniliowy z koniakiem. A potem jeszcze Cafe Suiza, Cafe Kurtz i Cafe Iruña.

Musiała zajrzeć wszędzie tam, gdzie choć chwilę spędził pisarz, o którym mówiła, że jest werbalizacją męskości. Kiedy się skończyły knajpy Hemingwaya, zaczęło się wieczorne paseo, które zaczęliśmy jak wielu innych na placu Del Castillo i doszliśmy do końca alei Pablo Sarasate. Myślałem, że znudzi się jej to wychwalanie Hemingwaya, zwłaszcza że miałem już trochę w czubie, bo w każdym z lokali, o których Aldona mówiła, że będą kiedyś nie lada atrakcją i być może stanie w jednym z nich pomnik mistrza, wypilem po kolejce. Postanowiłem coś z tym zrobić i kiedy zawróciliśmy na końcu alei i ruszyliśmy z powrotem na plac, zacząłem się oglądać za wszystkimi młodymi kobietami. Głowę miałem jak na gumce, a usta pełne pikantnych uwag.

– Przystań się za nimi oglądać i komentować – nie wytrzymała wreszcie.

– A ty przestań napawać się męskością tego wąsacza w berecie! – Widziałem tylko jedno zdjęcie Hemingwaya, na którym pod nosem miał wąsiska, a na głowie beret.

– Głupi jesteś! – skarciła mnie. – On nie jest atrakcyjny tak jak ty, atrakcyjne jest jego pisanie, dlatego powiedziałam, że jest werbalizacją męskości, a nie jej ucieleśnieniem. Z kart jego powieści bije pełnokrwisty samiec, to pierwotna emanacja męskości, on ją przelewa na papier, przedstawiając kogoś takiego jak ty!

To już brzmiało całkiem sensownie i dałem sobie spokój z oglądaniem się za innymi tylko po to, żeby zdenerwować Aldonę.

– Poza tym ciebie kocham, a jego nie.

Pocałowała mnie w usta, na co dwóch żandarmów w dziwacznych kapeluszach wydało z siebie ostrzegawcze pomruki. Dokończyliśmy naszą rozmowę w hotelu, bo mogli nas zaarrestować za obrazę moralności.

Nie powiem, że poszliśmy spać grzecznie ani wcześniej, bo sanfermines zaczynało się w południe. Ale i tak ledwie zdążyliśmy na Plaza de Consistorial, gdzie stał ratusz. Alcalde, czyli burmistrz Pampeluny, wystrzelił racę, a wraz z nią otworzono butelki wina musującego z głośnym pyknięciem i zaczęła się zabawa, która trwała do białego rana. Mężczyźni, wielu ubranych było na biało, z czerwonymi chustami na szyjach i szarfami w pasie, polewali się winem, krzyczeli i tańczyli. Kobiety też zachowywały się inaczej niż podczas wczorajszego paseo. Pomyślałem sobie, że gdyby zbadać akty urodzenia mieszkańców Nawarry, to dzięki San Fermin i szaleństwu, które miało miejsce na ulicach Pampeluny, większość z nich przyszła na świat w kwietniu, czyli dziewięć miesięcy po fieście. Zapewne tak dla przyzwyczajenia ślubują we wrześniu i październiku.

Nad ranem gwar nieco ustał, ale po siódmej znów zrobiło się głośno, bo we wtorek, siódmego lipca, punkt o ósmej rano, kolejnym wystrzałem miano dać znać do startu encierro, czyli pierwszej gonitwy. Z zagrody na obrzeżach miasta wypuszczają wtedy stado składające się z sześciu krów i sześciu byków, które po ośmiuset dwudziestu pięciu metrach wybiegnie na Plaza de Toros, gdzie wieczorem na arenie będą walczyć o życie z torreadorami. Zwierzęta poganiane są przez miejscowych kozaków, którzy chcąc się popisać, biegną razem z nimi i tłuką gazetami po tyłkach.

– Dałbyś radę – prowokacyjnie rzuciła Aldona.

– A Hemingway wziął udział w tym maratonie?

– Nie, ale pięknie o tym napisał. Ta scena, kiedy pada zabity...

Huknął strzał. Nie wiem, w jakim czasie przebiegłbym kilometr, ale osiemset parę metrów z zagrody na arenę w Pampelunie z pewnością w okamgnieniu. Jeśli charakter w nogach gdzieś pomaga, to właśnie tam. Charakter w nogach i spryt. A ja byłem szybki i sprytny! Natychmiast zgasilem w sobie tę pokusę i wtedy Aldona zapytała wprost.

– Nie spróbujesz się?

– Ja na wieś to jeździłem tylko latem, byka widziałem przez płot, a w wojsku nie byłem w kawalerii, tylko w piechocie. Jak sobie życzysz, mogę ci pokazać, jak się wskakuje i wyskakuje z tramwaju, jak się jeździ na buforach i jak wleźć na dach. A tego tu nie potrafisz, bo się nie rozeznają na zwierzętach i mieście, tak jak ci tutaj – wskazałem na śmiałków czekających na kolejny bieg – nie znają się na tramwajach, wspinacze i nartach. Pewnie by powpadali pod koła, spadli w przepaść albo połamali nogi.

– Henryku! – Zaśmiała się. – Ależ ja tylko żartowałam!

– Czasem nie wiem, kiedy żartujesz.

Skończyliśmy rozmowę, bo pojawiły się byki i krowy, ale dla mieszczycha takiego jak ja, wszystko, co czarne i z rogami, było bykiem. Zresztą, jak fajtniesz na bruk, to czy przejedzie ci po łbie kopytami ona czy on, będzie bez znaczenia. Sporo śmiałków bieгло, szturchało i klepało rozpędzone bydło po zadach zrolowanymi gazetami, jakby to były psiaki, a nie potężne, kilkusetkilogramowe olbrzymy. Niektórzy zmęczeni wskakiwali za bariery, ktoś inny dołączył się do biegu, a tłum dopingował ich do wysiłku i popisów.

Kiedy byli jakieś trzydzieści metrów od nas, jeden ze śmiałków się przewrócił. Tłum jęknął, ale najwyraźniej to nie był jeszcze jego sądny dzień, podniósł się szybko i wskoczył za drewnianą osłonę. Tłum znów jęknął, tym razem nie ze strachu, lecz wyrażając ulgę. Wtedy rozległ się gwizdek, dwóch gwardzistów ruszyło na środek ulicy, bo zaplątał się na niej jakiś pijaczek, jeden z mundurowych przewrócił się i zamiast wiać, zaczął szukać tego ich dziwnego kapelusza.

Nie zastanawiając się, wyskoczyłem i ruszyłem nie do niego, tylko do jego kolegi, który ledwie dawał sobie radę z pijakiem. Udało się, zdążyliśmy, ale kiedy targaliśmy go za drewnianą zasłonę, ten drugi gwardzista, który już się pozbierał, jęknął:

– ¡Madre de Dios!

Kiedy my ratowaliśmy brawurowego pijaka, na ulicę wytoczył się drugi. Chciał pomóc kumplowi, ale ledwie stał, trzymając przed sobą czerwoną płachtę. Ludzie go minęli, byki nie. Pierwszy zmiotł go jak pociąg towarowy, nieszczęśnik poleciał w górę, wprost na rogi drugiego byka. Jeśli po tym pierwszym uderzeniu tliła się w nim resztką życia, to teraz została ugaszona litrami krwi, które bryznęły z jego brzucha. Kawalkada przebiegła, ludzie ruszyli do czegoś, co wyglądałoby jak kukła wytarzana w soku z malin, tyle że z kukły nie wypływają wnętrzości.

Pijany torreador stał się pierwszą ofiarą i pierwszą atrakcją San Fermin, kolejne trupy padną tego wieczoru na arenie. Aldona chciała to zobaczyć, ale teraz przeszła jej ochota, stała blada, jakby odeszła z niej krew. Przytuliła się do mnie, a ja jak ten palant, zamiast powiedzieć coś miłego albo najlepiej milczeć, palnąłem:

– Czy jeszcze chcesz iść na korridę i zobaczyć, jak byk wjeżdża w pikadora na koniu i roznosi ich wnętrzości po arenie?

Nie chciała. Zwolniliśmy miejsce w hotelu i nawet nie straciliśmy pieniędzy, bo od razu byli chętni na nasz numer. Wracaliśmy do San Sebastian, Aldona tuliła się do mnie i zaraz po wyjeździe z Pampe-luny zasnęła.

## ROZDZIAŁ XVI

**W którym staje się jasne, że nic nie będzie już takie samo, polski MSZ prosi o pomoc, Aldona dowiadyuje się, że ma do czynienia z posiadaczem ziemskim, w Barcelonie oglądamy dzień żywych trupów, a Alex Sycowski potwierdza, że jest nie tylko farmazonem, ale i wielkim organizatorem**

Wróciliśmy do zupełnie innego San Sebastian, rozgrzanego sanfermines. Napięcie narastało, mniej ludzi widziało się w dzień na plaży i podczas wieczornego paseo. Poniedziałkowe gazety z trzynastego lipca krzyczały, że w Madrycie falangiści zamordowali porucznika José Castillo, który służył w Guardia de Asalto – Gwardii Szturmowej. Kolejnej nocy przyszedł odwet, ludzie z Gwardii Szturmowej, wspomagani przez cywilną bojówkę, uprowadzili i zabili strzałem w tył głowy monarchistę Calvę Sotela. Oddziałem, nie było co do tego żadnych wątpliwości, dowodził kapitan Fernando Condés, zaufany człowiek władzy. Kolejnym do odstrzału miał być kierownik opozycji parlamentarnej, poseł Gil-Robles. Przyszli po niego, ale nie zastali go w domu, przeżył i skarżył rząd o podsycanie mordów politycznych.

Pan Inaki tłumaczył nam artykuł z miejscowej gazety, gdy na taras wyszedł kelner Gaizka i wywołał mnie do telefonu.

– Tu radca Leopold Walewski, panie Henryku – zaczął bardzo oficjalnie i po angielsku – jako urzędnik MSZ chcę pana poinformować, że zaleca się jak najszybsze opuszczenie Hiszpanii.

Byłem mu niesamowicie wdzięczny, bo jeśli ktoś by go podsłuchiwał, to nie dałoby się racjonalnie wytłumaczyć, że urzędnik z polskiego MSZ-etu dzwoni do Hiszpanii, by ostrzec obywatela Stanów Zjednoczonych. Po chwili jednak Poldek dodał:

– Wiem, że jest pod pana opieką obywatelka Rzeczypospolitej, panna Aldona Glock, upraszam pana o pomoc w odwiezieniu jej za granicę lub do polskiej placówki konsularnej!

Bardzo sprytne!

Spojrzałem na nagłówek gazety z piętnastego lipca i przypomniały mi się słowa kierowcy, które zlekceważyłem: „My tu jesteście jak na beczce prochu”. Poszedłem do Aldony i powiedziałem, że natychmiastowo wyjeżdżamy, bo kto jak to, ale Poldek miał informacje z pierwszej ręki. Wcześniej jednak poprosiłem o rozmowę międzymiastową. Poczekaliśmy niecałe dwa kwadransy, po czym szybko omówiłem sprawę i wróciłem do Aldony. Drzemała na leżaku, nie zdając sobie jeszcze sprawy z tego, co się dzieje.

– Jedziemy do Francji! To dwa kroki stąd! – powiedziała, kiedy jej przedstawiłem sprawę.

– Nie, bo znów mogą zamknąć granicę – odparłem.

– Zatem jesteście w pułapce?

– Kierunek Barcelona – zarządziłem – mam tam znajomego Amerykanina, Polak, a w zasadzie Żyd, swój gość i wpływowa postać, taki człowiek na trudne czasy. Już do niego dzwoniłem, załatwił nam miejsce w dobrym hotelu.

– W jak dobrym? – Aldona, jak wiele osób związanych ze sztuką, z przekonania była socjalistką, ale od luksusów nie uciekała.

– Bardzo dobry hotel, spadkobiercy Cesara Ritza to gwarantują! – uciąłem wszelkie wątpliwości, bo nazwisko „króla hotelarzy i hotelarza królów” miało moc przekonywania.

Pan Inaki zawiózł nas na dworzec, zdążyliśmy na nocny Sud Express, rano byliśmy w Madrycie, a tam, mimo protestów Aldony, byłem twardy i powiedziałem żadnego Prado, żadnego zwiedzania, przeflancowaliśmy się do ekspresu jadącego do Barcelony.

Była zła i strugała mi kolki na głowie, więc chciałem ją jakoś udobruchać.

– A ja tu chciałem odwiedzić swoją hacjendę, i co? I nic! – Kiedy to powiedziałem, ugryzłem się w język, ale zaraz pomyślałem sobie, że to zabrzmiało jak żart.

Nie zabrzmiało.

– Co ty mówisz? – Aldona zainteresowała się, tak jak mogą się tylko zainteresować kobiety oraz najlepsi śledczy. Potrafiła czytać między wierszami, nawet jeśli nic się nie miało zamiaru ukrywać.

– Żartuję. – Uśmiechnąłem się.

– Nie żartujesz! – powiedziała stanowczym głosem i włączyła lampkę. Cholera, będzie przesłuchanie. – Spójrz na mnie i mów, co to ma wszystko znaczyć!

– Żartowałem.

– Gdzie masz tę farmę, gospodarstwo, cokolwiek to jest? – Aldona nie dawała się wywieść w pole.

– W Andaluzji – poinformowałem ją, jakbym mówił o tym, że dogadałem się w sprawie wynajmu połówki góralskiej chałupy na najbliższą zimą. – Nazwa miejscowość w pobliżu mojego gospodarstwa nic nie powie.

– A może jednak powie?

– Marbella.

Nie znała. I trudno się dziwić.

Westchnąłem ciężko i zacząłem opowiadać, bez żadnego farmazonstwa i bajeru, jak wszedłem w posiadanie owego „majątku”.

W Madrycie byliśmy zbyt krótko, żeby przyjrzeć się miastu, późne śniadanie zjedliśmy w dworcowej restauracji, ale i tak wyczuwalna była atmosfera pewnej nerwowości. Po peronach i hali dworcowej kręciło się wielu gwardzistów oraz policjantów, przechodziły także grupy robotników w kombinezonach z opaskami organizacji związkowych. Modliłem się w myślach, żeby nie było jakiegos strajku, na szczęście wszystko poszło z rozkładem jazdy.

Wysiedliśmy na pięknym barcelońskim dworcu tuż przed północą, panowało ogromne zamieszanie. Alex, który po nas wyszedł, powiedział, że zbuntowała się część wojska, generał Franco ogłosił z Wysp Kanaryjskich powstanie przeciwko rządowi, który toleruje mordy polityczne.

Dzisiaj będziemy spać w Ritzu, bo nocna jazda do Francji byłaby ryzykowna. Dojechaliśmy do hotelu w niecały kwadrans; mimo że zapadła noc, ulice były pełne ludzi, w lewo i prawo jeździły ciężarówkami z robotnikami i gwardzistami, gdzieś tam rozlegały się strzały. Nie poszliśmy spać, usiedliśmy w barze, by słuchać wiadomości i plotek. Mówiono, że choć Franco był najgłośniejszą postacią pierwszego dnia buntu, to jednak nie on będzie dowodził rebelią. Jedni nazywali to właśnie „rebelią”, inni „powstaniem”, ale większość była zgodna, że dowodzić będzie José Sanjurjo, który już wszczął jeden bunt i przebywał teraz na wygnaniu w Portugalii. Maroko zajęli buntownicy, pokonali w kilka godzin milicję robotniczą w Melilli i Ceucie. Podobno w Maroku stacjonowało ponad sto tysięcy doskonale wyszkolonego wojska, ale dzieliło je od kontynentalnej Hiszpanii morze, a flota była po stronie rządu.

Przypuszczałem, że mój hiszpański przyjaciel, kapitan Alfons Jesus Maria Calderon y Bahamonde, trzymał razem z rebeliantami. Ktoś przy stole bowiem wymienił pełne nazwisko buntownika z Wysp Kanaryjskich: Francisco Paulino Hermenegildo Teóduło Franco y Bahamonde Salgado Pardo. Bahamonde to nazwisko rodowe kapitana, zresztą Alfons był dumny ze swojego kuzyna generała. Na pewno nie była to znajomość, którą warto się chwalić w Barcelonie, tu niemal wszyscy byli za rządem.

Koło trzeciej w nocy poszliśmy spać. Obudził nas dźwięk syren i klaksonów oraz wystrzałów, ludzie wyszli na ulice, związek anarchosyndykalistyczny CNT ogłosił strajk generalny. Domagano się wydania broni, rząd odmówił, więc podobno szturmowano koszary, by zdobyć pistolety, karabiny i amunicję. Do hotelu przyszło dwóch ludzi od Alexa, Pep i Jordi, ten pierwszy mówił po angielsku i wyjaśnił nam, że auto nie może dojechać, bo w wielu miejscach powstały barykady, poszliśmy więc pieszo.

Okazało się, że samochód czekał niedaleko katedry. Postanowiliśmy, że pozbędziemy się nadmiaru bagażu i zabierzemy ze sobą same niezbędne rzeczy – koniec końców targałem walizkę Aldony wypełnioną po brzegi książkami. Dojście do samochodu miało nam zająć mniej niż pół godziny, ale kiedy znaleźliśmy się na szerokiej, zarośniętej drzewami alei de Sant Joan, zrozumiałem, żezejdzie nam dłużej. Przed strzelistym kościołem z czerwonej cegły kłębił się tłum.

– To zwłoki?! – wykrzyknęła Aldona.

Stały w resztkach białych szat, oparte o ścianę przy wejściu do świątyni, jedna przy drugiej, kilkanaście mumii z pustymi oczodołami i wytrzeszczonymi zębami. Wszystkie miały złożone dłonie, okrycone różańcem, jedna z nich straciła głowę. Ludzie podchodzili blisko, zaglądali w oczodoły, komentowali. Było to straszne, ale działało hipnotyzująco, podeszliśmy więc bliżej, jakby nas przyciągał jakiś magnes.

– To ciała zakonnic – powiedział po angielsku nasz przewodnik Pep. Jego towarzysz Jordi mówił tylko po katalońsku i hiszpańsku, ale szybko wywiedził się od gapiów co i jak. On opowiadał, a Pep tłumaczył.

– Jak tylko przyszła wiadomość, że armia się zbuntowała, to ci, którzy są za Frontem Ludowym, wyszli na ulice. Ludzie byli wściekli, chcieli zemsty, a z wrogów najbardziej pod ręką był kościół. Anarchiści nie skończyli na okrzykach, przyszli tu, do Parròquia de Sant Francesc de Sales, włamali się do kościoła i zaczęli go bezcześcić. Wyciągnęli z grobów trupy zakonnic, i teraz ludzie oglądają je jak manekiny w sklepie.

– Chodźmy stąd – szepnęła Aldona.

Nie powiedziałem nic, dałem znać przewodnikom, że idziemy dalej. Zatrzymaliśmy się w pół kroku. Jordi krzyknął i wskazał na niebo, coś płonęło, kłęby czarnego dymu szły w górę.

– ¡Sagrada Família! – krzyknęli obaj, niemal równocześnie.

Potężna budowla ledwie co wyzierała spod gęstego, smolistego dymu. Otaczał nas gwar, gniewne okrzyki wznosiły się ku niebu, syreny wyły, oddawano pojedyncze strzały. Zrozumiałem, że jak tylko poleje się krew, to szerokim strumieniem, po czym wybuchnie wojna, dokładnie tak okrutna jak to wszyscy zapowiadali na murach.

Dwie ulice dalej stało auto zorganizowane przez Alexa. Pięć godzin później byliśmy we Francji.

## ROZDZIAŁ XVII

**W którym dojeżdżam do olimpijskiego Berlina, gdzie nic nie jest takie, jak się wydaje, do lokali wraca jazz, a Żydzi są bezpieczni, najlepszymi biegaczami w Polsce są dziennikarze, a PZPN potrafi sobie strzelić w stopę i z Berlina wracamy bez złota**

Skoro dałem radę w Kraju Basków, to i wytrzymałem w Budapeszcie, bo tam nas rzuciło przed Berlinem. Szło się dogadać bez bólu rąk, lepiej niż gdziekolwiek indziej, bo Madziarowie, przynajmniej ci z Budapesztu, dobrze mówią po niemiecku. Taki spadek po austro-węgierskiej monarchii, w której wiodło się im całkiem nieźle. Tęsknią za tamtymi czasami, mówią o traktacie z Trianon i są przepelnieni gniewem. Aldona nie doceniła piękna ich stolicy, szybko pojechała do Polski, za co jej nie ganię, w końcu była ze mną ponad dwa miesiące, nieformalnie mąż i żona, stare dobre małżeństwo.

Kiedy wyjechała, zrobiło mi się jakoś lyso i zacząłem tęsknić. Trzydzieści dwa lata na liczniku, zrobiłem się sentymentalny, normalnie starzeję się. Obiecała, że może dojedzie do Berlina, choć obiecywała sobie, że jej noga tam nie postanie, póki panoszyć się będzie tam Hitler ze swoją bandą. Ale igrzyska to igrzyska, nie tylko sport, za sztukę też dają medale. Aldona uważała, że rzeźbiarz Józef Klukowski, który cztery lata temu w Los Angeles wziął złoty medal za rzeźbę *Wieńczenie zawodnika*, może także wygrać w Berlinie, do którego pojechał z *Piłkarzami*. Stawiała też na Ostoję-Chrostowskiego za jego grafiki reklamowe. Ja tam byłem pewien, że Kusy wróci z medalem i że tak samo jak w Los Angeles będzie to złoto.

W Berlinie czekał na mnie Julek, który nie przyniósł dobrych wieści; na razie wciąż miałem szlaban, a forsy coraz mniej. Miecio Kosiorek operował w Warszawie moimi oszczędnościami, płacił czynsz za Prudential oraz za Juratę, ale to nie były wysokie koszty. Fortuna szła na moje podróżnicze życie, do którego dopłacali przez prawie dwa miesiące Walewscy i do którego mocno dokładał się Julek. Już nie będzie Batorych i najlepszych hoteli, trudno, co zrobić. Będą pewnie za to robotki, jakoś trzeba na siebie zarobić. Ta w Berlinie, żadne wielkie halo, nie ma czego wspominać, bywało ciekawiej, po prostu rutynka, ale pewnie jakbyśmy z Poldkiem znów napisali powieść i by się to wyłożyło tak minuta po minucie, jak było, to nikt by nie uwierzył.

Berlin wyglądał lepiej, niż myślałem, chociaż i tak upaprany hitlerowskimi flagami ponad miarę. Julek był tu prawie od miesiąca i powiedział, że wszystko zmieniło się dosłownie na oczach. Ulice wysprzątane jak nigdy, objechali domy świeżą farbą, urządzili nowe klomby i skwery, puścili za bezcen mieszkania w najem, żeby nie stały puste i nie straszły gości, a przy wszystkim zaiwaniali więźniowie. Podobno są ich tysiące, kiedyś pracowali na widoku, a im bliżej olimpiady, to flancowali ich dalej od głównych ulic, potem dalej od miasta, a wreszcie od głównych dróg. Największa zmiana nastąpiła w hitlerowskiej propagandzie; owszem, flag wisiało w cholere, ale zniknęły antysemityczne hasła, Żydzi mieli spokój, podobno był zakaz bicia, szarpania i dokuczania, żadnego tam wybijania szyb w sklepach i innych świństw, a z toalet i miejsc publicznych zniknęły napisy: „Nie dla psów i Żydów”. Formalnie Wersal!

Z pobyków i przejazdów berlińskich pamiętałem gabloty z gazetką „Stürmera”, teraz ich nie było. O ile Żydów na widoku, to z Berlina wywieziono Cyganów i umieszczono ich w obozie, potraktowano jak włóczęgów i prostytutki – rozplnili się w powietrzu. Boją się, żeby jakieś nadgorliwe łachudry nie nasrały im w laurkę i nie robiły wstępu sportowcom, więc przydzielono do zagranicznych ekip niemieckich wojskowych. Julek uważa, i ja się z nim w zupełności zgadzam, że to raczej chodzi o szpiegowanie zagraniczników, żeby za dużo nie zobaczyli i usłyszeli. Powołali też Młodzieżową Służbę Ho-

norową, czyli kolejną bandę hitlersynków, która ma stać na świecy i kablować. Bez dwóch zdań, są dobrze zorganizowani, przekonaliśmy się o tym pierwszego sierpnia, w dniu otwarcia.

Kiedy jechaliśmy na stadion, zauważyliśmy gigantyczne białe sztandary olimpijskie i szwabskie czerwone ze swastykami zwisające wzdłuż kolumn Bramy Brandenburskiej, do tego zawieszono pod stropem złote, dębowe wieńce. W mieście wszędzie były sztandary ze swastykami i herbami niemieckich miast oraz kordony partyjnych bojówek ubranych w brązowe mundury, a także policjanci i żołnierze. Jakby wszystko w tym mieście, nie tylko dom, ale każdą kolumnę, latarnię, słup, drzewo i człowieka trzeba było ozdobić nazistowskimi barwami. Z głośników, niemal na każdym rogu, grzmiały muzyka i komunikaty, wzmagając echo, tworząc jakiś posępny efekt, nawet kiedy rozległ się głos „Wir grüssen den Jugend der ganze Welt!”.

– Boję się ich, a strachliwy przecież nie jestem – powiedział Tolek Wojciechowski, kumpel Julka, nasz człowiek, który doskonale znał Berlin i świetnie dawał sobie radę za kółkiem. – Nie o siebie się boję, ale o to, że oni podpalą świat.

– Nie ma czego – uspokoiłem – to pajace, a największy z nich to ten sztywniak, co parodiuje Chaplina.

Wypowiedziałem to w złym momencie, z głośnika huknęło: „Es lebe unser Führer Adolf Hitler!”, a tłum odpowiedział rykiem, powtarzając słowo w słowo: „Es lebe unser Führer Adolf Hitler!”.

– A podobno kanclerz Hitler nie lubi sportu, ale go przekonał minister propagandy Goebbels, który, o ironio, jest kaleką i też za sportem nie przepada, ale wie, jak to wszystko propagandowo rozegrać. Niestety, moim zdaniem trafili w dychę, już zimowe igrzyska w Ga-Pa były sukcesem, a te tutaj, w Berlinie... – Julek z niesmakiem pokręcił głową. – A wszystko to zasługa poprzedniego rządu i Republiki Weimarskiej, na którą tak plują. Masz, przeczytaj to. – Wyciągnął z kieszeni złożoną stronę gazety.

Narodowy socjalizm jako idea rzucił czar na cały świat – mówił Goebbels – jednak cudzoziemiec nie będzie mógł poznać narodowosocjalistycznych Niemiec, jeśli nie odwiedzi Berlina. Niech wszyscy zagraniczni goście tego miasta w rytmie jego życia, w tempie jego pracy i w entuzjazmie, z jakim oddaje się ono Adolfowi Hitlerowi i jego idei, pochwycają powiew ducha, jakim natchnione są nowe Niemcy.

– No i tak robią! – rzucił Julek. – Mówi się, że jakoś wpłynęli na barona de Coubertina, ale jak przekonali Theodora Lewalda?

– Poldek, wyjaśnij mi, kto zaczął?

– To jeden z przedstawicieli Niemiec w Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim. Żyd! A jednak Hitler go nie wyrzucił, choć zewsząd usuwa Żydów, a i sam Lewald to wszystko firmuje. Może go szantażują? Zawsze przecież można wyłudować w obozie, nasza Bereza to przy każdym z ich Konzentrationslagerów jest jak zakład uzdrowiskowy. Mają metody, skurwysyny.

– Kto jest gorszy? Szwaby czy ruskie?

– Warte siebie skurwysyny. Niby igrzyska, czas pokoju, a jedni i drudzy z makaroniarzami od Mussoliniego pchają się w sprawy Hiszpanii.

Nagle przerwał, na stadion wbiegł sportowiec ze zniczem.

– To jest nowość, sztafeta z ogniem olimpijskim. To ich podnieca, ogień, tłumy i sama nazwa „sztafeta” też. Ich bojówkę, a teraz policję policji i zakon w jednym, nazywają Sztafetami Ochronnymi, Die Schutzstaffeln, czyli SS. To w ich stylu, ale świat to kupi. Biegną tak z tym ogniem z Grecji przez Jugosławię, Węgry, Czechosłowację, aż zapalą tutaj, naprzeciwko Grobu Nieznanego Żołnierza.

Biegacz pokonywał ostatnie metry wśród ogłuszającego dopingu, tłum wyciągał ręce w hitlerowskim pozdrowieniu, rozlegało się: „Deutschland, Deutschland über alles!”. Buchnął ogień, wypuszczono białe gołębie, choć pewnie bardziej pasowałyby czarne orły, bo niebem wstrząsały armatnie salwy.

Igrzyska w Berlinie otwarte!

– Spójrzcie na Włochów! – zawołał Tolek.



Popatrzyłem, szli marszowym krokiem i, tak jak tysiące Niemców, wyciągali przed siebie prawe ramiona.

– Pozdrowienie rzymskie... – odparł Julek.

– Ale że Francuzi machają tak łapami! – Tolek pokręcił głową.

– Dziwisz się? Francuzi dadzą się posiekać dla mody, a tu jest modne właśnie to, więc są en vogue – skwitowałem.

– Żeby z tej mody nie zapomnieli, że Niemcy dyszą chęcią rewanżu – prorokował Julek.

My kwękamy, ale miejscowej publice to się podoba, drą się wniebogłose, kobiety, jakby ogłoszono, że będą za darmo rozdawać szminki i kredki do oczu, a faceci, jakby się zorientowali, że nie defilują sportowcy, tylko aktorki i girlaski z kabaretu, i do tego wszystkie gołe. Ale dopiero kiedy weszła kolumna poprzedzana tabliczką „Öesterreich”, stadion oszalał na dobre.

Widzowie wstali z miejsc, dziesiątki tysięcy chorągiewek załopotano, Hitler podszedł do brzegu łoży, pozdrowił po swojemu austriacką ekipę, a jej chorążych uniżenie pokłonił się temu gamoniowi sztandarem.

– *Es lebe Deutschösterreich!* – ryczał tłum, a austriaccy sportmeni byli z tego powodu nadzwyczaj zadowoleni.

Dalej szły inne reprezentacje, ale wydawało mi się, że trybuny wciąż pozdrowiały Austrię, powiewając chusteczkami, machając kapeluszymi i wyciągając przed siebie ramiona. Oni wciąż byli w austriackiej ekstazie, aż w końcu po Peru i Filipinach weszła Polska. Nasi ubrani byli na czerwono-biało, bardzo podobnie do Kanadyjczyków, jakby się jedni z drugimi udali do tego samego krawca. Czerwone kurtki i białe spodnie wyróżniały te reprezentacje, bo reszta była z reguły ubrana na granatowo albo niebiesko-biało. Czasem były oryginalne nakrycia głowy, zamiast zwykłych kapeluszy Amerykanie mieli słomkowe, a Hindusi turbany.

– Teraz pójdziemy do klubu posłuchać muzyki i potaćczyć – powiedział Julek – bo taka okazja, żeby się pobawić przy jazzie, szybko się w Berlinie nie powtórzy, na olimpiadę nawet czarną muzykę przywrócili.

Obejrzałem tyle boksu, ile się dało, Julka ciągnęło zaś na piłkę. Naszym szło nawet niezłe, choć niespecjalnie znam się na futbolu, to pamiętam parę nazwisk i właśnie jedno z nich, a dokładnie jego brak w polskiej drużynie zwrócił moją uwagę.

– Czy mi się wydaje, czy nie ma w składzie Wilimowskiego? – zapytałem.

– Fiu, fiu! – Julek gwizdnał. – To ty znasz takich ludzi?

– Ze słyszenia. Mietek Kosiorek kupuje „Przegląd Sportowy”, co prawda interesują go tylko koniki, ale jak się rozpędzi, to czyta od deski do deski, głównie po to, żeby ponarzekać, że cały sport jest gównowarty.

– Faktycznie nie ma go – stwierdził niechętnie, jakby z bólem.

– Chory, urwali mu nogę czy bez formy?

– Za szybki, żeby mu złamali nogę, formę ma jak złoto, w ostatnich sparingach przed igrzyskami był na placu i jak zwykle błyszczał, ale... zaraz potem w kolejnym meczu pokazowym drugoligowa Cracovia zbiła Ruch dziewięć do kółka i się zrobił skandal. Mówiono, że część zawodników z Hajduk Wielkich grała pod gazem, i to dość poważnym. Coś w tym musiało być, bo to niemożliwe, żeby takie asy dały się Pasom aż tak zabawić. Wypucował ich redaktor z „Polonii”.

– Z Polonii Warszawa? – zdziwiłem się.

– Nie, z dużej śląskiej gazety. Sto tysięcy nakładu, a właścicielem jest Korfanty. W każdym razie osunęli Wilimowskiego od gry i to nas może drogo kosztować.

I miał rację. Przegraliśmy półfinał i mecz o trzecie miejsce, mogliśmy być mistrzami, a wróciliśmy z niczym. Nie wystąpił Wilimowski i nie pobięł Kusociński, z innych rzecz jasna powodów. „Kusego”, mistrza olimpijskiego z Los Angeles, murowanego kandydata do złota, położyła kontuzja i do Berlina pojechał jako doradca i dziennikarz. Jego wielki konkurent, też warszawiak, tramwajarz Józef Noji nie dał rady, był dopiero czternasty, bo podobno objadł się na dzień przed startem.

Końcówkę igrzysk oglądaliśmy z Aldoną, która przyjechała zobaczyć, jak nagradzają naszych artystów. Kiedy wracaliśmy ze stadionu, pociągnęła mnie za rękaw.

– Zobacz, zatrzymali Żydów! – zaalarmowała.

Faktycznie, trzech esesmani zatrzymali dwóch amerykańskich sportowców o semickich rysach. Jeden z esesmanów gwałtownie sięgnął do kieszeni i... wyciągnął notatnik, żeby prosić o autografy.

– Nie wierzę – powiedziała Aldona – kiedy tu byłem ostatnim razem, prześladowali Żydów, nazywając ich podludźmi. Bałam się, że i mi coś zrobią, bo odkryją, że mam żydowskiego dziadka...

– Szopka trwa – powiedziałem. – Zobaczysz, że świat będzie zachwycony, jak ci głupi francuscy sportowcy pozdrawiali wszystkich nazistowskim gestem, przemysłowcy ogłoszą, że warto, a nawet trzeba robić interesy ze szwabami, a parę głupich gwiazdek będzie po gazetach pisać z zachwytem. A kto napisze inaczej, będzie zakrzyczany, bo ludzie chcą albo bardzo dobrych wiadomości, o wielkich wydarzeniach i gwiazdach, a taką jest teraz Hitler, albo o wielkich tragediach, a tu nic takiego się nie stało. Wyważone głosy, że wyglądało dobrze, ale na drugim planie działo się złe, zostaną zlekceważone.

– Odnieśli sukces wszędzie, gdzie się dało! – zachnął się Julek. – Nie tylko propagandowo, Niemcy byli lepsi od Amerykanów, Włosi też wypadli doskonale, a my? Żadnego złota! Dziewiętnaste miejsce, nie tylko za Austrią czy Czechosłowacją, ale i Egiptem, Argentyną, Estonią i Szwajcarią. Ani razu nie grali *Mazurka Dąbrowskiego!* Bo nie mamy Kraft durch Freude! Ten szwabski KdF, „Siła przez Radość”, to machina do usprawniania społeczeństwa. Dostęp do boisk, basenów i sal gimnastycznych za symboliczne pieniądze... Nawet od Hitlera można się czegoś nauczyć, zamiast paść Ligi Kolonialne, można by dać pieniądze na organizowanie imprez sportowych i kluby, na powszechność kultury fizycznej! – Julek kręcił głową.

– Albo na kulturę – wtrąciła Aldona. – Nasi artyści wypadli lepiej niż sportowcy! I byłoby złoto w literaturze, Parandowski powinien je dostać za *Dysk olimpijski*, ale tu, w Berlinie, polski pisarz nie miał prawa wygrać, skończyło się na brązie. Za to Niemcy, żeby mieć więcej medali, dołożyli do Konkursu Sztuki i Literatury alpinizm i przyznali sobie złoty medal za ekspedycje w Himalaje, które się odbyły jeszcze przed poprzednimi igrzyskami!

– Zobaczycie, niedługo nikt nie będzie miał prawa z nimi wygrać, tak to zorganizują, że nie będzie już żadnych Żydów i nie trafi się żaden Murzyn jak Owens, który będzie szybszy od germańskich nadludzi. I nie chodzi tylko o sport. Wierzcie mi albo nie, Sowietci mają taki sam plan!

Takimi złowrogimi uwagami Julek zakończył igrzyska. On wrócił do Warszawy, a ja wciąż nie mogłem się do niej zbliżyć, na szczęście Aldona mogła zostać ze mną w Berlinie jeszcze przez parę dni.

## ROZDZIAŁ XVIII

**W którym po objechaniu paru miast osiadłem na sopockiej mieliznie, zamiast dobrych informacji dostałem propozycję nie do odrzucenia, dogłębnie poznałem stosunki amerykańsko-sowieckie, a na koniec podpadłem Aldonie**

Był koniec października, od igrzysk w Berlinie minęło dwa i pół miesiąca. W Hitlerowie posiedziałem jeszcze dwa tygodnie, Aldona wytrzymała tydzień, bo zaraz po zgaszeniu olimpijskiego ognia Niemcy wrócili do swoich ulubionych zajęć, to znaczy aresztowań każdego, kto wyglądał im na komunistę, czyli każdego, kto nie popierał Hitlera, oraz do gonienia Żydów. Z knajp zniknął jazz, z kiosków obce gazety, a w gablotach i na słupach ogłoszeniowych zawisły propagandowe gazetki i plakaty.

Wróciłbym z nią, gdybym tylko mógł, ale musiałem czekać na nowe pomysły Julka. Nie miałem wyjścia, bo z kasą było krucho, byłem na jego garnuszku, zatem to on określał miejsca, w których się melinowałem. Najczęściej tam, gdzie miał swoich ludzi i biura. Pierw pomieszkowałem w Pradze, gdzie było przedstawicielstwo przykrywkowej firmy handlowej. U Czechów odwiedziła mnie Aldona i posiedziała parę dni, ale już we Wrocławiu spędziłem samotne dwa tygodnie. A później Finlandia, Viipuri, jak mówili jedni, albo Viborg, jak głosili drudzy, gdzieś przy sowieckiej granicy. Ustaliłem z Julkiem, że dobieję tam do Aldony, która pojechała oglądać nowoczesną bibliotekę i rozmawiać z jej projektantem. Było, ale się skończyło, a od trzech tygodni gniłem w Wolnym Mieście Gdańsk.

Mieszkałem w pensjonacie Miramar przy Wäldchenstrasse. Nazwa ulicy – Gajowa – nic nie mówiła o lokalizacji, bo willa była położona pierwszorzędnie, na wydmach. Czas wypełniały mi spacer, lektura, z przymusu angielskich i niemieckich książek, wyprawy do kina przy Seestrasse, restauracje. I Polska blisko, choć na bezpieczną odległość. Do granicy było mniej niż pół godziny na piechotę, a z mola widziałem Orłowo i Hel. Blisko i daleko zarazem.

Aldona była zajęta i zła o coś, ja wkurzony monotonią, do tego nie czułem się klawo, żyjąc na koszt Julka. Modliłem się więc, a częściej kłąłem, na czym świat stoi, żebym mógł już skończyć to wczasowanie. Pogoda robiła się coraz gorsza, sztormy zastąpiły końcówkę pięknej jesieni i tak naprawdę chciało się wyc wyc wraz z rozszalałymi falami.

W końcu pojawił się promień nadziei. Zadzwonił Julek, żebym podjechał do Gdańska. Ucieszyłem się, bo dawno go nie widziałem, poza tym miałem nadzieję, że obwieści mi koniec mojego wygnania.

Wsiadłem w kolej, szybko dojechałem do Gdańska, wysiadłem na Dworcu Głównym i poszedłem w kierunku Motławy. Na Breitgasse wszedłem do knajpy Der Lachs, długo szukałem Julka wzrokiem, aż go wypatrzyłem. Zmienił się, ledwo go poznałem, ogorzały, zarosnięty, z lekko przydługim włosom, no i wąsami, zupełnie jak nie on.

– To dobrze, że ktoś, kto mnie zna od lat, miał kłopot, żeby mnie rozpoznać! – Julek uśmiechnął się zawadiacko. – Nie lubią mnie tutaj, choć nie tak jak Janka Żychonia. – Podniósł kieliszek goldwassera i spojrzał mi w oczy. – Prosit!

Wypiliśmy, a ja miałem ochotę pociągnąć go za te wąsiska.

– Są prawdziwe? – zapytałam.

– Jak najbardziej. Ale to akurat przypadek, zarosłem podczas wyprawy na Huculszczyznę, taki męski, traperski wyjazd. Też wolałem zniknąć z Warszawy. Jedni szukają azylu na Batorym i ciepłych moczach, a inni w Karpatach.

– Ale nie spotkaliliśmy się, żeby porozmawiać o turystyce? Wyczuwam grubsze kłopoty. – Spojrzałem badawczo na kapitana, a ten szeroko rozłożył ręce, robiąc przy tym niewinną minę. – Czyli nie mogę wrócić do Warszawy? – zapytałem pro forma.

– Zdecydowanie nie. Wielki kipisz w Dwójce, rotmistrz Sosnowski trafił do tajnego aresztu w Pałacu Saskim, nie ma kontaktu z rodziną i adwokatem, sprawa jest tajna. Wszyscy z Referatu Zachód są na cenzurowanym, ze mnie chcą zrobić zdrajcę i przestępcę, z Żychonia defraudanta i konfabulanta, a ty, mój przyjacielu, masz być naszym gwoździem do trumny.

– Aż tak źle?

– Heniu, idziemy na dno.

– Czyli też uciekasz?

– To by było przyznaniem się do winy, nie tylko mojej, ale i kilku innych osób. Nie mogę tego zrobić, choć to by było najłatwiejsze. Ale odpowiadam za moich ludzi, nie zostawię ich na pastwę losu. No i szkoda pracy, tylu lat ciężkiej roboty, budowania siatki, którą może zniweczyć jakiś palant. A może szpieg? – zamyślił się. – Bo Rój-Kordyjewicz swoim uporem i ambicją pomaga obcym służbom. Nie wiem, okaże się, tyle że nieprędko. Wciąż mam nadzieję, że idziemy na dno, ale nie jak dziurawa łajba, ale okręt podwodny. Pod kontrolą i z szansą na wynurzenie.

– A jakie są te szanse?

– Pół na pół. Major Rój-Kordyjewicz udaje, że to nie on stoi za intrygą, chociaż wiadomo, że raport, który teraz krąży po dwójce, napisał jego przydupas, porucznik Witek. Z kolei kapitan Rachoń, prawa ręka majora, który gra dobrego śledczego, wpadł na pomysł, żeby o naszych losach zadecydował ktoś absolutnie niezależny. Widocznie jest pewny, że materiały, które zebrał, i raport, który sporządził, są na tyle mocne, że nawet ktoś spoza układów wyciągnie z tego korzystne dla nich wnioski.

– Istnieje ktoś niezależny, kto nie jest w żadnej koterii?

– Jeszcze niedawno nie wiedziano, że istnieje okapi. – Julek się zaśmiał. – Pewnie, że są i tacy. Już nawet wybrano takiego do zbadania sprawy.

Pokiwałem głową, bo wojsko jak każda instytucja gromadzi ludzi dobrych i złych, o własnych niezachwianych przekonaniach, i takich, którzy są jak chorągiewka na wietrze.

– A czy ten niezależny, uczciwy oficer nie uzna czasem, że wyjeżdżając z Polski... – zacząłem.

– Wyjechałeś! – powiedział z uśmiechem Beniowski. – Wyjechałeś, ale nie uciekłeś! Jesteś światowy człowiek i wyjechałeś, bo mogłeś, czemużby nie? Bo masz amerykański paszport i kochasz podróże, bo jesteś wolnym człowiekiem. Oczywiście starają się robić z tego ucieczkę, ale ja i moi zaufani ludzie robią, co mogą, by dyskretnie połączyć wszystko z bijatyką w hotelu Victoria. Z dnia na dzień powoli dociera do coraz większej grupy, że obileś mordę kapitanowi Orłowskiemu, nad którym czuwa dobry wujek major Rój-Kordyjewicz. Wiceminister Wroński też robi swoje. Sprawa rozwodowa jego córki Zuzanna z tym osłem Orłowskim to jeden z przebojów tej jesieni na plotkarskiej giełdzie.

Wypiliśmy po kieliszeczku machandla, zaostrażając sobie apetyt przed posiłkiem. Czułem, że Beniowski miał mi coś jeszcze do powiedzenia. Nie myliłem się.

– Potrzebuję, żebyś pojechał do Moskwy.

Aż mnie zatkało.

– Mhm, a nie jesteś pewien, że nie rozchodzi się czasem o Irkuck albo Władywostok? – powiedziałem, kiedy dotarło do mnie, czego naprawdę Beniowski oczekuje.

– To będzie wycieczka turystyczna na pięć dni do stolicy, wiza na zakładkę dwutygodniową. Wszystko zorganizowane, legalne nawet. Wyjazd z Rygi pociągiem, sypialny pierwsza klasa, w Moskwie pierwszorzędny Hotel Moskwa, nowiutki, z łazienkami i restauracją dla cudzoziemców, zwiedzanie miasta z przewodniczkami. Nawet truchło Lenina będziesz mógł sobie obejrzeć, wszystko opłacone, załatwione i nagrane, bo to oficjalna wycieczka, którą za grube dolary kupuje się w biurze Intourist. Wielu Amerykanów z tego korzysta, niektórzy jadą, bo ich niezdrowo podnieca komunizm, inni,

bo jeszcze równie niezdrowo są uzależnieni od pieniędzy. Moskwa to teraz miasto otwarte na kapitalistów!

– Mówisz... – dalej zachowywałem dystans.

– Mówię.

– Dopiero się rozkręcasz, bo pewnie przypadkiem, jak już będę w stolicy Czerwonego Raju, to mam się z kimś spotkać, zrobić jakąś kasę, a może nawet zakręcić się za mokrą robotą.

– Ty nie jesteś od mokrej roboty!

– Zatem po co tam jadę? Mam zrobić dla dwójki raport o moskiewskich hotelach i innych atrakcjach? Jedź po konkretach!

– Masz tylko zawieźć dokumenty pewnej pannie, Amerykance, sympatycznej nawet, i do tego pomóc jej się ubrać...

Skrzywiłem się, bo co za przyjemność ubierać sympatyczną pannę?

– A potem, mój ty amancie – Julek nie mógł nie skomentować mojej kwaśniej miny – wsadzić ją do pociągu, który odejdzie do Helsinek, a ty sobie wrócisz elegancko do Rygi. Stoi?

– Jak nie przez Ząbki, to w porządku, bo malujesz ten wyjazd, zupełnie jakby to była praca kierownika wycieczki w szkole powszechnej!

– Za nic nie odpowiadasz, to znaczy, za niewiele, za tyle, ile ci powiedziałem.

– Pięknie, tylko co będzie, jeśli tę pannę dupną na granicy!

– To już nie twój interes, zresztą jak ci mówiłem, ona do Helsinek, a ty do Rygi.

– Oczywiście, że nie, dopóki nie powie, że dokumenty ma ode mnie!

– Jak ją będą przesłuchiwać, będziesz już daleko.

– Tak sądzisz?

– Tak sądzę.

– Czemu sam nie pojedziesz?

– Bo mógłbym nie wrócić – wyznał z całą bezczelnością – to za duże ryzyko.

– A ja, jak najbardziej?!

– Tak, bo to nieoficjalna akcja, a ja staram się nie robić nic, co by obciążało wywiad. To, że jeden skurwysyn chce mnie zniszczyć, nie oznacza, że mam mieć w dupie całą służbę! Ty nie jesteś pracownikiem dwójki, poza tym jako Amerykanina mogą cię zupełnie inaczej potraktować.

– Nic już z tego nie rozumiem. Z jakiej racji mamy pomóc jakiejś pannie? Kim jest, że się zaangażowałeś tak mocno, że skoro sam nie możesz, to pchasz do Sowietów właśnie mnie!

– Gra – westchnął – a może inwestycja w przyszłość? Nie wiem, jak to nazwać. Poznałem pewnego Amerykanina, wiesz, jak to jest, trafił swój na swego, co w przypadku Amerykanów jest prawie niemożliwe, bo ich wywiad leży. W Europie ich nie ma, więc to, że go poznałem, było bardzo misterną sprawą, jakbyś ktoś robił na szydełku.

– Kto szydełkował?

– Pewien Szkot, kolega po fachu. Zaaranżował to wszystko, tak że Amerykanin uderzył do mnie z konkretną propozycją. Chce pomóc przyjacielowi wpływowego przyjaciela...

– Brata siostry, szwagra syn... – znów zadrwiłem.

– Bądź poważny! Tak, to jest pewien łańcuch powiązań. Na jego końcu jest właśnie jakiś brata siostry, szwagra syn, który ma córkę. Żadna tam pierwszorzędną, wpływowa rodzina, żadna córeczka tatusia, raczej bratanica dobrego wujaszka. Wujaszek był bezdzietny, traktował ją jak córkę, pomógł w edukacji, a ona nie tylko nie skończyła studiów, ale i została socjalistką. Zaczadziła ją Rosja Sowiecka i zamiast na kolejny semestr na Harvard czy inny Princetown, wyjechała do Rosji.

– Jak wyjechała, to niech wraca.

– Chciałaby.

– Amerykanie nie mogą jej wyciągnąć?

– To nie takie proste... – zaczął Beniowski. – Po pierwsze, zabrali jej paszport. Zwabili do urzędu, że coś muszą sprawdzić, zweryfikować, jakieś tam papierkowe sprawy. Jak położyła paszport na ladzie, tak urzędniczka wzięła do ręki, a później dała jakiś blankiet do wypełnienia. Jak Amerykanka wypełniła, to chciała paszport z powrotem. Nie dostała. Bo mieszka w ZSRR, pracuje dla ZSRR, a jak chce paszport z powrotem, to niech pisze podanie. Z urzędu wyszła z jakąś bumagą, która potwierdza jej tożsamość, ni to zamiennik paszportu, ni sowieckiego dowodu osobistego. Moim zdaniem chcą ją zmusić do przyjęcia obywatelstwa, a amerykański paszport będzie służył ich szpiegom.

Pokiwałem głową, że przyjąłem do wiadomości, choć nadal nie usłyszałem odpowiedzi. Beniowski zauważył moją nieszczególną minę.

– To dłuższa historia – westchnął – musisz wysłuchać jak audycji w radio, dopiero później będziesz pytać, dobrze? – powiedział, a ja przytaknąłem. – Tam ciężko wjechać, ale jeszcze trudniej wyjechać, mają mnóstwo tajemnic, którymi dzielą się tylko ze swoimi współpracownikami i sojusznikami. Oczywiście wpuszczają prasę, ale reporterzy nie mogą się po tym rajku swobodnie poruszać. Pilnują ich, słodząc i karmiąc kawiozem, pojąc zmrożoną wódką i ormiańskim koniakiem. Wożą jak dzieci, konwojują jak więźniów, śledzą i przekupują. Tego, który napisał nie po ich myśli, więcej nie wpuszczają, a takiego, który się sprawdził, czynią arystokratą, który opływa w luksusy nieznanne dziennikarzom z Europy i Ameryki. Taki Jones, Brytyjczyk, który napisał prawdę o głodzie na Ukrainie, rok temu, podczas pobytu w Mongolii, przepadł bez wieści. Rzekomo porwali go bandyci, i coś mi mówi, zresztą nie mnie jednemu, że byli to bandyci z NKWD. Dał głowę za pisanie prawdy o zbrodniach czerwonych, a z kolei Duranty, też Brytyjczyk, siedzi u nich w kieszeni. Żyje sobie w Moskwie, opływa w luksusy, stał się jednym z nich. Zaprzeczał wszystkim artykułom Jonesa, a sam słodzi Sowiетom, i to tak, że w trzydziestym drugim dostał za reportaże o Kraju Rad Nagrodę Pulitsera! – Musiałem zrobić odpowiednią minę, bo kapitan szybko mi objaśnił: – Pulitser to taki amerykański Nobel dla dziennikarzy, bo wiesz, wielu ludzi na Zachodzie wierzy w Związek, wielu czekało na takie dyrdymały.

– I rząd amerykański też uwierzył? – Wbrew temu, o co prosił Julek, przerwałem jego wykład.

– Dokładnie tak! Uwierzył, bo amerykański przemysł chciał w to uwierzyć. Kryzys jest jak cholera, nie muszę ci tłumaczyć, wielu Amerykanów wbrew polityce rządu, albo przy cichej aprobacie władz, od dawna handlowało z Sowiетami. Obustronna korzyść, Sowiетci potrzebują technologii i maszyn, a Jan-kesi taniej żywności. Import-eksport i wszyscy szczęśliwi, a najbardziej pan Henry Ford. On nie ma oporów, jemu się podoba i Hitler, i Stalin. Nie wiem, co myśli o nim Stalin, ale Hitler na pewno go ceni, a za co? Znow prasa się kłania, otóż Ford jest właścicielem gazety nomen omen „Independent”, która drukowała serię artykułów „Międzynarodowy Żyd. Najważniejsze zagadnienia wszechświatowe”. Na bank pomogło mu to w działalności w Niemczech, może nawet Hitler uznał go za męczennika, bo po tym, jak przegrał proces, który mu wytoczyli Żydzi, musiał zamknąć swoją gazetę.

– W Rosji też ma swoje fabryki?

– Sprzedał im licencje, pomógł zbudować fabryki, dzięki temu z kopyta ruszyli z produkcją ciężarów-  
wek i aut osobowych. Większość nowoczesnych fabryk to obce projekty, nawet czołg mają z Ameryki! Wszystko można sprzedać i wszystko można kupić, jeśli pieniądź się zgadza. Jeszcze parę lat temu rząd grzmiał, a przemysł robił swoje, i to mimo braku stosunków dyplomatycznych. Amerykanie założyli w Moskwie swoje biuro handlowe, a Sowiетci w Nowym Jorku Amtorg.

– Niby się brzydzą, a jednak interesy robią...

Julek się tylko uśmiechnął.

– Wiesz co podobno powiedział Lenin?

– Że jest synem kozy? – zażartowałem, bo Lenin zawsze kojarzył mi się z kozłem.

– Głupi jesteś. – Beniowski zaśmiał się i machnął ręką. – Lenin powiedział, że kapitaliści są tak chciwi, że sprzedadzą sznur, na którym później zawisną. A że wyglądał jak cap to inna sprawa. I kapi-

taliści naprawdę handlują, Amerykanie robią biznes, a ta ruska misja to przy okazji taka wielka szpiegowska machina.

– Wiesz, o czym mówisz. – Uśmiechnąłem się.

– Pewnie, że wiem! Mamy w różnych krajach swoje biura i przykrywkę, ale to, co robią Sowietci... Idą na kilka frontów, nasze placówki to manufaktury, a ich to fabryki. Do tego mają setki uchodźców politycznych, którzy zostali do tego delegowani przez wywiad, akcja Trust... – Pokręcił głową.

Była w tym i bezradność, i gorycz po klęsce europejskich wywiadów w starciu z Sowietami, ale też coś na kształt uznania. Bo rzeczywiście, to był majstersztyk. Rosjanie zbudowali fałszywą organizację monarchistyczną, która rzekomo miała obalić w Rosji komunizm, tymczasem posłużyła ona do dekonspiracji tysięcy opozycjonistów oraz agentów, w tym brytyjskiego asa Reilly'ego.

– A teraz odpowiem ci, dlaczego nie podpieram się naszymi ludźmi na miejscu. Bo się boję! Nie ufam Referatowi Wschód, który jawnie walczy z Referatem Zachód, bo ludzie, którzy mimo ostrzeżeń dali się wtedy wykiwać Moskwie, wciąż pracują w Dwójce. Co ci będę więcej tłumaczyć, sam wiesz, że tej sprawy nie ma, a góra Referatu Wschód chce naszej kompromitacji i szczuje na tyle skutecznie, że musisz żyć za granicą. Amerykanie są tam ślepi i głusi, zaś do Brytyjczyków nie mam podejścia. Za mało czasu, a gdyby nawet, to nie ryzykowaliby dla jakiejś amerykańskiej pannicy.

– Francuzi?

– Biorą do buzi – odparł niespodziewanie Beniowski tekstem, jakiego nie powstydziliby się apasz z przedmieścia. – Chyba tylko Niemcy mają tam jakąś siatkę szpiegowską.

– To czemu pchasz mnie w to bagno?

– Bo tylko ty dasz radę.

– Ale czy na pewno chcesz?

– Musisz. Masz zamrożone pieniądze w Juracie i Prudentialu, na razie na tym łapy nie położyli, ale nie wiadomo, co będzie. Na tym interesie zarobimy obaj, ja wdzięczność, a w przyszłości jakąś przysługę, a ty poważny pieniądź.

– Ile? – westchnąłem ciężko.

– Marszałkowski rok... Tyle, ile będzie pobierał za dwanaście miesięcy Śmigły-Rydz, jak go za parę dni zrobią marszałkiem.

– Pytałem: ile?

– Dwa razy tyle co generał dywizji, trzy razy tyle co generał brygady. Trzydzieści sześć tysięcy złotych.

– Pięć tysięcy dolarów z haczykiem. – Skrzywiłem się. – Powiedz temu panu, że marnie sobie ceni siostrzenicę.

– Dołożę jeszcze generalskie dwanaście tysięcy. Dobra, niech będzie marszałek i generał dywizji razem wzięci.

– Szkoda, że nie tyle co prezydent...

– Jak już zarabiać, to tyle, co prezes Lewiatana. – Julek zaśmiał się, ale była w tym gorycz. Nic dziwnego, to nieosiągalne marzenia, prezydent brał miesięcznie dwadzieścia jeden tysięcy, a szef Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów kasował za miesiąc trzydzieści sześć tysięcy złotych. – Filantropi! – dodał na koniec.

– Filantrop jest to człowiek, który publicznie zwraca bliźniemu drobną cząstkę tego, co mu ukradł prywatnie... – zacytowałem Tuwima.

Chwilę posiedzieliśmy, nic nie mówiąc, a potem wstaliśmy od stolika, Julek zapłacił i poszliśmy nad Motławę, tam dokończyliśmy naszą rozmowę.

– Potrzebuję pieniędzy, moja flota starcza na drobniaki, a mi są potrzebne konkrety. Listopad idzie, a jadę nie do Monte Carlo, tylko do Moskwy, muszę kupić jakąś ciepłą kaptotę – powiedziałem. Podeszliśmy do brzegu rzeki i przyglądaliśmy się statkom i barkom.

– I śniegowce, żebyś sobie nie zniszczył tych eleganckich trzewików – dodał Beniowski.

– Cholernie zabawne!

– Gdzieżbym żartował – kapitan z politowaniem pokręcił głową – serio mówię. Buty pierwsza klasa! Bez śniegowców szlag je trafi, a z tego, co wiem na temat Moskwy, to po pierwsze, pogoda może być całkiem do dupy, a po drugie... – ściszył głos i przysunął się do mnie, jakby chciał przekazać mi jakąś tajną informację – ...to nie Paryż ani nawet nie Warszawa, więc jak ci się buty rozpadną, to nowych nie kupisz i będziesz zasuwał jak wielka armia Cesarza Francuzów. W szmatach albo na bosaka!

Miał sukinsyn gadane i poczucie humoru! Sukinsyn... Jego matka nie była zdzirą, ale to była straszna kobieta, choć piękna – pomyślałem, wspominając inżynierową Beniowską. Pani Narcyza była kobietą nieszczęśliwą, bo niespełnioną. Cholera wie, czego oczekiwała od życia, jak je sobie wyobrażała. Jej narzeczony Ludwik był fantastycznym facetem, świetnym inżynierem, który zrobiłby w Rosji wielką karierę, ale zakochał się w niej i osiadł w Warszawie. Zarabiał dobrze, był elegancki i mądry, ale nie był jej kochankiem z marzeń. Znalazł się za to czaruś, który okręcił ją sobie wokół palca. Zakochała się po uszy w bajeranckim typie, farmazonie i dziwkarzu, któremu w końcu ktoś roztrzaskał łeb kamieniem. Policja powiedziała jej, że mogła to być zemsta za długie, uwiedzenie żony albo oszustwo. Ale ona nie dopuszczała do siebie prawdy, nie potrafiła uwierzyć, że jej narzeczony był łobuzem, tak jak nie potrafiła docenić inżyniera Beniowskiego. Zamiast korzystać z możliwości i rozkwitać, pograżała się rozmyślaniami o niespełnionych marzeniach. O apartamentach, willach i powozach, Paryżu i francuskiej riwierre, całym tym światowym życiu, które obiecał jej niedoszły mąż. Farmazon i łotr był jej miłością, a solidny inżynier Beniowski tylko ostatnią deską ratunku przed grożącym jej staropanieństwem. Żółć sączyła się z niej nieustannie i z dnia na dzień coraz bardziej nienawidziła ludzi. Zwłaszcza takich jak my – Wcisłowie z Woli, hołota, która nauczyła się czytać i pisać, miała aspiracje, i o zgrozo, dzięki jej mężowi je spełniała.

– Coś się tak zamyślił? – zapytał Julek.

– Wspominałem twoich rodziców.

– Chyba bardziej ojca. – Uśmiechnął się, po czym cierpko dodał: – Wiem, matka była żołą, ale...

– Się wie, matka to matka – odparłem.

Mimo wszystko zapanowało krępujące milczenie, które przerwał Julek.

– Twoja była inna, to była dobra kobieta... Ale obie zginęły przez bolszewików!

Tyle że każda inaczej. Narcyza Beniowska, która po śmierci męża nie tylko nie potrafiła znaleźć sobie miejsca w życiu, ale i roztrwonila niemałe oszczędności, wprowadziła się do służbowego mieszkania Julka na Cytadeli. To było lokum na czas budowy pięknego Domu oficerskiego w Ogrodach Czerniakowskich, tyle że jego matka trafiła zupełnie gdzie indziej – 13 października 1923 roku Warszawą wstrząsnął potężny wybuch. W powietrze wyleciała prochownia na Cytadeli, zginęło prawie trzydzieści osób, kolejnych niemal sto odniosło rany. Wśród nich byli także cywile, kobiety i dzieci z rodzin wojskowych. I choć na liście ofiar nie widniała Narcyza Beniowska, to zapłaciła ona cenę najwyższą. Matka Julka oszalała i wylądowała w zakładzie dla nerwowo chorych. Za wybuch odpowiadali komuniści, co jasno określiło to, co żywił wobec nich Julek. Stał się łowcą czerwonych i wszystkich innych szpiegów, a do tego... Moja mama też zginęła z ręki sowieckiego agenta, który na dodatek był moim przyjacielem, którego wciągnąłem do akcji prowadzonej przez Beniowskiego.

– Wiadomo, że zrobił to Antek Bożyczko, ale czy wiadomo, kiedy przeszedł na ich stronę?

Julek wziął głęboki wdech, jakby chciał się skoncentrować, by po raz kolejny powiedzieć to samo, ale trochę inaczej, żeby nie wyszło na wyuczoną formułkę, a jednocześnie by w opowieści nie pojawiło się coś, co mógłbym uznać za ściemę. Długo nie mogłem uwierzyć w tę zdradę, obarczając winą innego znajomego i uczestnika akcji, szemranego Frania Wcisłę.

– Moim zdaniem – powiedział to, mocno akcentując każdą głoskę – najpierw chciał nas okraść, później zabił twoją matkę, a następnie uciekł do Sowietów. To nie jedyny taki przypadek. Pamiętasz tę sprawę z 1931 roku, kiedy włamywałeś się dla mnie i komisarza Strasburgera do kasy przy Bagateli? Po-



dejrzewaliśmy wtedy Leszczyckiego i sowiecki wywiad, tymczasem okazało się, że to był splot okoliczności, a nade wszystko osobista zemsta jednego człowieka. Poszedłby na szafot, ale uciekł pod sowiecką protekcję, uratował głowę, bo oni przyznali się do niego i wymienili go na jednego z naszych agentów. W przypadku Antosia pierw okazała stworzyła złodzieja, później chęć dokończenia tej sprawy za wszelką cenę doprowadziła do zbrodni, zaś na koniec chodziło o ratowanie skóry i sprzedaż jej jak najkorzystniej. Pomógł sowieckiej agentce w ucieczce, podczas przeprawy przez granicę zamordował ją, przejął jej dokumenty, powiedział też Sowiecom o naszej akcji. Dlatego nie przyniosła ona spodziewanego sukcesu, a Sowiecom dała Antoniego Bożyczkę, wiernego, gotowego na wszystko agenta. Robię wszystko, co w mojej mocy, by go dopaść, robiłem to, zanim uwierzyłeś w jego winę, to ja rozwiąłem wątpliwości. Wystąpiłem o ekshumację i przeprowadziłem ją, czyż nie?

Przyznałem mu rację, w istocie tak było, długo nie wierzyłem w jego winę.

– Może go spotkam w Moskwie?

– Lepiej nie, dla ciebie byłoby zdrowiej, gdybyś go dopadł na neutralnym gruncie. Uważaj tam na wszystkich i na wszystko, tam nikt i nic nie jest tym, czym się wydaje. To może być jedna wielka iluzja, wielostopniowa konstrukcja. Kiedy ich akcja Trust wpadła w ślepą uliczkę, uwiarygodnili się osobą Wasilija Szulgina. To nie był byle kto. Współtworzył Rząd Tymczasowy „białych”, a później w czasie wojny domowej służył u generała Piotra Wrangla. Był kierownikiem grupy wywiadowczej „Azbuka”. Bolszewicy wiedzieli, że choć wszyscy uznali jego syna za zmarłego, to Szulgin ludził się, że on żyje, więc wykorzystali to i ściągnęli go do Moskwy. Tam wsadzili go w kokon doskonalszy od tego, w który pakują dziennikarzy, naukowców i delegatów na wszelkie kongresy i wyjazdy naukowe. Stworzono dla niego chwiejące się Sowiety, w których co drugi napotkany człowiek był spiskowcem, rzecz jasna na etacie w sowieckiej partii lub wywiadzie. Stworzono iluzję, przy której Houdini ze swoimi sztuczkami to pętał, a Metropolis to dzieło gimnazjalisty.

Beniowski trafił, pewnie pamiętał, że film Fritza Langa uważałem za arcydzieło, a wszystkie tricki i obrazy życia w przyszłości za nieskończenie doskonale osiągnięcie kina.

– Wyreżyserowali to perfekcyjnie, otoczyli go aktorami statystami, przygotowali nawet cerkiew, w której odbyła się msza, żeby się przekonał, że system pęka, a rozmodleni Rosjanie nic nie robią sobie z władzy Stalina i komunistów. Biała Rosja zdawała się odzyskiwać rząd dusz i miała jak nie jutro, to pojutrze wrócić do rządzenia, usuwając Sowiety w cień. To było niesłychane przedsięwzięcie, to nie był kilkudniowy wyjazd, ale trzymiesięczna podróż obejmująca Kijów, Petersburg i Moskwę. Musieli w to zaangażować setki ludzi, a scenariusz napisał jakiś geniusz!

Julek powiedział to z pełnym przekonaniem, po czym zapalił papierosa, a po chwili zmytygował się i podsunął mi papierosnicę.

– Sowieci tak go otumanili, że jeszcze o tym wyjeździe napisał książkę, którą oni sfinansowali. To znaczy biała opozycja, tyle że wszyscy byli podstawieni. Cała ruska emigracja zaczytywała się w jego *Trzech stolicach* i przebierała nogami, kiedy wybuchnie bunt. Wtedy Sowietci wystali kolejnych prowokatorów i kręcili korbę jeszcze mocniej i skuteczniej. Jak ja ich nienawidzę, mój Boże! – powiedział, bezradnie kręcąc głową. – Ale powiem ci jedno, to geniusze wywiadu, dezinformacji i prowokacji. To kolejna odsłona Ochrony, tyle że mogąca liczyć na międzynarodową, rewolucyjną agenturę.

Czekała mnie niełatwa sprawa za duże pieniądze na wrogiej ziemi, gdzie mogły mnie spotkać różne niespodzianki. Pierwsza niespodzianka dopadła mnie już tego wieczora, i była bardzo namiętna. W Sopocie, w pensjonacie Miramar, czekała na mnie Aldona. Było cudnie, a później strasznie. Przyjechała tu na tydzień, a rano dowiedziała się, że tylko na dwie noce.

– Skoro tak, to na jedną! – powiedziała i błyskawicznie się spakowała.

– Miałas być tydzień!

– Muszę wracać dzisiaj! – ucieła.

– Czemu jesteś taka stanowcza?

– Bo specjalnie dla ciebie odwołałam ważne spotkanie, ale widzę, że spokojnie mogę cofnąć tę decyzję.

Skwitowała wypowiedź namiętnym pocałunkiem, ale kiedy chciałem ją objąć, odepchnęła mnie. Delikatnie i stanowczo zarazem, bo była kobietą wielu sprzeczności.

– To był pożegnalny pocałunek – wyjaśniła – następny będzie w Warszawie! Nic mnie to wszystko nie obchodzi, masz z tym skończyć!

Nie pozostało mi nic innego, niż odprowadzić ją na pociąg, a zamiast szalonej nocy w Zoppot i wyprawnej kolacji była kawa w dworcowym lokalu. Zazdrościłem jej, że za pół godziny będzie w polskim Tczewie, a wieczorem w Warszawie.

Poczułem, że coś się skończyło, że mogę już jej nie zobaczyć. Nie mogłem żywić do niej pretensji, do Beniowskiego również nie, bo już dawno temu wybrałem sobie takie, a nie inne życie, które wciągało mnie jak wir. Tak po prawdzie lubiłem to, gdyby nie było nowych kłopotów, to pewnie sam by je znalazł. One szukały mnie, a ja ich.

## CZĘŚĆ III: MOSKIEWSKIE KURANTY

*Śmierć rozwiązuje wszystkie problemy –  
nie ma człowieka, nie ma problemu.*

Cytat przypisywany Józefowi Stalinowi,  
Anatolij Rybakow, *Dzieci Arbatu*

## ROZDZIAŁ XIX

**W którym Ryga okazuje się całkiem przyjemnym miastem, Fin jest Szwedem, podróż zapowiada, jak może wyglądać państwo robotników i chłopów, Moskwa cierpi na deficyt mydła, a tramwaje radzą sobie bez torów**

Ryga była miastem przesiadki oraz obiadu. Kuchnia miejscowa to śledź. Mieli i minogi, ale dla warszawiaka te rzeczne robale to atrakcja niespecjalna. Kartę trzeba czytać uważnie i do końca, a jak coś nie tak, to pogadać z „panem starszym”. Kelner okazał się pomocny i doświadczony, po paru zdaniach doradził mi do wyboru gulasz z dziczyzny, jagnięcinę po kurlandzku, kotlety wieprzowe albo placki ziemniaczane z łososiem. Placki przyjąłem na przystawkę, a dopchałem pod pokrywkę jagnięciną.

Dworzec był prawie taki jak w każdym byłym mieście gubernialnym. Skład, który miał iść do Moskwy, wyglądał trochę jak dziecięca zabawka powiększona do naturalnych rozmiarów. Takich wagonów nie widywało się już w Polsce, błyszczących, czerwonych, z mosiężnymi okuciami i zdobieniami, jakby wyciągniętych z poprzedniej epoki, kiedy Łotwa, tak jak Polska, była częścią Imperium Rosyjskiego. Lokomotywa też pewnie pamiętała czasy cara Mikołaja, widywałem podobne w warsztatach przy Chmielnej. Trochę się na tym znałem, w końcu byłem niedoszłym kolejarzem.

Mają tu wciąż ruski dworzec i pewnie tego prędko nie zmieniają, bo najważniejsze jest to, co związane z morzem. I nieprędko też pewnie będą się przestawiać z szerokich torów na zwykłe, a już na pewno nie na trasie do Moskwy. Do stolicy Sowieków jest prawie tysiąc kilometrów, z czego mniej niż trzysta na terenie Łotwy. Ten czas miałem spędzić, jadąc w przedziale ze zwalistym Skandynawem.

– Björn Jansson – przedstawił się – obywatel Finlandii, ale Szwed, jak wielu z nas – dodał z dumą.

Wyglądał na gadułę, ale jak tylko pociąg ruszył, położył się i błyskawicznie zasnął. Zalatywało od niego alkoholem, więc pewnie miał ciężki dzień. Zdarza się.

Powiedzieć, że łotewski pociąg jechał powoli, to nic nie powiedzieć. Telepał się ten zabytek, czasem przyspieszał, ale tylko po to, by się niespodziewanie zatrzymać. Na postoju wychyliłem się, żeby zobaczyć, co się dzieje z lokomotywą. I oniemiałem, bo jechaliśmy kominkiem, a nie porządną maszyną parową! Zwykle kotły lokomotyw opalane były węglem, a tu niespodzianka! Zatrzymaliśmy się, by do tendera załadować drewniane kłody! Co kraj, to obyczaj. W takim razie co nas spotka u Sowieków?

– Następny postój to już chyba na granicy – odezwał się mój współpasażer, który właśnie się obudził. – Tam odczepią łotewski wagon restauracyjny i będziemy aż do Moskwy jechać z sowiecką kuchnią.

Podniósł się i stał, jakby czekał, że i ja wstanę. Wyraźnie chciał mnie wyciągnąć do wagonu restauracyjnego, choć czułem się najedzony.

– Uważa pan, że powinienem coś zjeść, bo później stracę na to szansę?

– Z głodu pan przy mnie nie umrze, bo jestem przygotowany, mam wałówkę. Jeśli pan nie wziął ze sobą jedzenia, to radzę przekąsić coś przed granicą, bo później może być krucho, a do Moskwy daleko...

Zatem nie ma wyjścia, trzeba iść do wagonu restauracyjnego. Poszliśmy, zajęliśmy miejsca przy stoliku i zaczęliśmy przeglądać kartę dań.

– Pan to bywalec? – zapytałem, bo zobaczyłem, że Fin spojrzął na menu tylko tak pro forma.

– Nie raz i nie dwa robiłem tę trasę – powiedział z dumą weterana – ale częściej jeżdżę do Leningu i Moskwy z Helsinek.

– Dla przyjemności pan jeździ? – Nie wyglądał na człowieka interesu.

– Nie wszystkie kobiety są tam piękne – zrobił minę konesera – ale zdarzają się doprawdy panie cudowne, trzeba się tylko dobrze rozejrzeć, to samo tyczy się jedzenia i rozrywek, ale jeżdżę przede wszystkim robić interesy. Handel – wyjaśnił szybko. – Oni tam mają towar bardzo różny, za to tani, a do tego potrzebują niemal wszystkiego. Są głodni zagranicznych produktów i walut, a już najbardziej amerykańskich dolarów!

– Mówi pan, że potrzebują wszystkiego...

– No może trochę się tam poprawiło, zlikwidowali właśnie sklepy dolarowe i nie ma już kartek na żywność. Z roku na rok robi się tam coraz lepiej, chociaż robi się też trochę tłoczno, jak na mój gust, rozumie pan, konkurencja. – Skrzywił się. – Ale wciąż dla kogoś takiego jak ja jest tam miejsce. Jestem elastyczny, mam swoje kontakty i... – uśmiechnął się pod wąsem – ...potrafię z nimi rozmawiać, czuję ich, w końcu mieliśmy niedawno tego samego Mikołaja, dla nich cara, a dla nas Wielkiego Księcia. A pan?

– Trochę z ciekawości, trochę w interesach. Na razie rozpiera mnie ciekawość, zupełnie obcy świat, do niedawna wrogi, a teraz ponoć wielkich możliwości. Muszę to wszystko zobaczyć na własne oczy. Różne rzeczy słyszałem, o biedzie, strachu, kolejkach po wszystko, które się ustawiają już o świcie, o ludziach czekających na mrozie za chlebem i opalem. Mówi pan, że już nie ma sklepów dolarowych, że zlikwidowali reglamentację...

– Kartek nie ma, ale kolejki zostały. Brakuje rzeczy, które kojarzą się z burżuazyjnym luksusem.

– Produkty luksusowe? Tym się pan zajmuje?

– W pewnym sensie, bo tam luksus zaczyna się od zupełnie innego poziomu. – Zaśmiał się. – Cokolwiek z Paryża, Berlina czy nawet Warszawy to jest nie lada jaka atrakcja. Każdy, kto tam jedzie, ma pewne oczekiwania, ale to, co widzi na miejscu, i tak go zaskakuje. Pan oczywiście pod czujną opieką Intouristu? – zapytał, a ja przytaknąłem. – W jakim hotelu pan mieszka, jeśli można spytać?

– W Hotelu Moskwa.

– W Moskwie... Fiu, fiu! A wie pan, że ja też! – Pstryknął na kelnera. – Wódki pan chyba nie odmówi, co?

Lubię się napić, ale nie codziennie i nie z każdym. Ochotę miałem taką jak w wojsku na kaszę, kiedy byliśmy w odwrocie. Paskudna była, ale trzeba było, z rozsądku. I z fińskim Szwedem też trzeba było się napić, bo wypadalo. W końcu jechaliśmy tym samym pociągiem, mieszkaliśmy w tym samym hotelu, a ja potrzebowałem przewodnika, choćby takiego jak on.

Obyło się na szczęście bez pijaństwa, bo jak powiedział mój nowy kompan, trzeba zachować jasny umysł na spotkanie z żołnierzami rewolucji. Wróciliśmy do przedziału i nawet udało mi się usnąć. Nagle pociąg zatrzymał się, a wagony stuknęły.

– Tak czy owak musiałby się pan obudzić – podsumował Björn – jesteśmy na granicy, popatrz pan, jak nas wita Związek Sowiecki.

Uchylił zasłonki i otworzył okno. Była noc, a ja zobaczyłem zbitą z drewna wielką bramę, która stała nad torami. Widziałem bardziej udane luki triumfalne, ten wyróżniał się za to czerwonym kolorem. Na szczycie widniały sierp i młot, poniżej hasło zapraszające proletariata całego świata do rajów otoczonych zasiekami z drutu kolczastego.

Konduktor otworzył drzwi i do wagonu weszli żołnierze. Soldaci wyglądali i pachnieli lepiej niż ci, których widziałem w 1920 roku, mieli jednak na ramionach te same mosiny, a na ich lufach długie, graniaste bagnety – szaszłyki do nabijania kiedyś wrogów cara, teraz zaś burżujów i kontrrewolucjonistów. Musieli się trochę nakombinować, żeby nie porysować sufitów i nie wydlubać komuś oka.

– Patrz pan, będą konfiskować! – powiedział fiński Szwed w podnieceniu, jakby miał oglądać jakieś widowisko.

– A co konfiskują? – zapytałem z głupia frant.

– Wszystko, co wywrotowe. – Björn Jansson się zaśmiał.

– Czyli...?

– Wszystko! – Szwed powiedział to konfidencyjnym szeptem. – Dosłownie wszystko!

Niby o tym wiedziałem, ale co innego wiedzieć, a co innego doświadczyć. Patrzyłem, jak Sowietci w mundurach, wojskowi, policja polityczna, straż graniczna, a może celnicy, nieważne, pies ich jebał, strofowali jakies amerykańskie małżeństwo, które dla kogoś, a może po prostu dla zabicia czasu, wiozło ze sobą stosik tygodników. On ją uspokajał, ona była bardziej wyrwana i goniła bolszewika, który wyglądał jak majdaniarz w mundurze, bo targał ze sobą górę gazet i magazynów. Na wierzchu przewieszony był „Newsweek”, ale to nie z powodu tego tygodnika zażywna Amerykanka goniła Sowietę.

– „Variety” i „Silver Screen”, nie zdążyłam przeczytać! – krzyczała za ruskim.

Ten nic sobie z tego nie robił, szedł, jakby był umówiony z laryngologiem, bo właśnie dopadł go atak głuchoty. Kobieta zorientowała się i zawołała:

– Panie oficerze!

Dość grzecznie piszczała, ale przenikliwy dźwięk okazał się niemiły uszom bolszewika.

– Młeczaj! – ryknął i kobieta stanęła jak wmurowana.

Była przerażona, bo głos, a przede wszystkim twarz oficera mówiły wszystko to, czego ta paniusia do siebie nie dopuszczała – pociągi dojeżdżały na Syberię, a jeśli ktoś miał pecha, to bolszewicy oszczędzali na transporcie i rozstrzeliwali wrogów ludu tam, gdzie było im najwygodniej.

Z początku rewizja mojego bagażu wydawała się zabawna. Patrzyłem, jak się uwijają i szukają na cztery ręce, niczym dwaj biegli pianiści; pierwszemu, o twarzy smutnego konia – nadałem nazwisko Wałachowicz, bo na Ogierowicza żadną miarą nie wyglądał. Wałachowicz pracował dłońmi zamaszycie i z namaszczeniem, jakby grał *Jeziro łabędzie*. Drugi, chyba ważniejszy w tym duecie – tawariszcz kamandir, przypominał susła z wąsami i okularami wieńczącymi niezbyt okazały, za to mocno czerwony nos; jego także przechrzcilem odpowiednio: Susłow. Pomyślał swoimi pulchnymi serdelkowatymi palcami, jakby jego niewidzialny instrument miał wydawać dźwięki ragtime’u albo szalonego jazzu. I nagle ten niemy koncert został przerwany pytaniem, które zadał człowiek o koniowatej twarzy.

– Szto eta? – zapytał Wałachowicz, wyjmując z torby śniegowce.

Rznąłem głupa, który nie znał ruskiego, wzruszyłem więc tylko ramionami, bo co radzieckiej władzy mogły zaszkodzić śniegowce. A może w Moskwie nakładanie na buty śniegowców było zbyt burżuazyjne albo w sowieckim rajku nie było mowy o tym, by buty mogły się uwalcać błotem lub śniegiem?

– *What is this?* – z pomocą Wałachowiczowi przyszedł Susłow, ze swoim mało zrozumiałym angielskim.

– *Snow boots* – powiedziałem, ale nie takiej odpowiedzi oczekiwali.

Po chwili dotarło do mnie, że nie chodzi im o śniegowce, tylko o gazetę, w którą owinięte były gumowe pantofle. Przez moment pomyślałem, że to może jakaś faszystowska szmata, ale zaraz się uspokoiłem, bo to było „Danziger Volksstimme”.

– Socjaldemokraci – powiedziałem, a widząc, że nie łąpał moich słów ani smutny koń, ani czerwono-nosy susel, dodałem: – „Danziger Volksstimme”. – Wskazałem palcem nazwę gazety i zjechałem poniżej, gdzie była informacja o tym, że jest to dziennik socjaldemokratów.

Nagle załapali, pękając ze śmiechu. Zaraz potem zasycieli z oburzenia. Socjaldemokraci to zdrajcy, nie wszyscy, ale większość, liczy się tylko komunizm! Gazeta zmieniła właściciela, śniegowce zostały bez opakowania.

– A to? – zapytał Wałachowicz, wyjmując z mojej walizki damską sukienkę.

Uniósł ją, rozpostarł, oglądał ze wszystkich stron, jakby był w sklepie i zastanawiał się, kupić, nie kupić, ładna, warta swoich pieniędzy?

Gdyby mówił po angielsku, powiedziałbym, że się nie przepakowałem po pobycie w Rydze i w walizce zawieruszyły mi się rzeczy narzeczonej. Tak bym to sprzedał; małe nieporozumienie damsko-mę-

skie. Ale on nie pytał po angielsku, a ja udawałem, że ni w ząb nie rozumiem po rosyjsku. Wytrzeszczałem więc oczy, otwierałem usta, wykonywałem rękoma bezradne gesty.

– Co to? – zapytał, wyciągając damskie ubrania, pończochy, buciki i kapelusik.

– Nie panimaju, ja nie rozgawariu pa ruski! – Te słowa miałem prawo znać, co niespecjalnie go zdziwiło, dlatego przeszedł na rosyjski dla cudzoziemców.

– Co to?! – Wałachowicz zapytał głośniejsze i w zwolnionym tempie; jakby pytał na piśmie, to by pewnie napisał do mnie wielkimi literami, jakby zmiana małych na wielkie rozjaśniła w głowie nieznaną rosyjskiego.

– *What is this?* – zapytał Susłow, najwyraźniej zniecierpliwiony, że jego podkomendny nie otrzymał odpowiedzi.

– Sukienka! – odpowiedziałem z uśmiechem ulgi, że w końcu coś zrozumiałem.

– *Is it yours?* – Niepewny swej angielszczyzny Susłow wzmacnił swój przekaz, pokazując palcem to na mnie, to na damskie fatalaszki.

– *Yes!* – odparłem z entuzjazmem.

– Wy gomoseksualist? – zapytał Susłow, po czym obaj się zaśmiali.

– Może być tak, szto ani oba piedierasty! – Wałachowicz wskazała na Janssona i znów się zaśmiali.

– Małczik i dziewczynka, panimajesz? – I znowu salwa śmiechu.

– Eto suwenir! – powiedziałem, jakbym wyłowił na środku morza koło ratunkowe. – Suwenir! – potwórzyłem, jakby to było słowo klucz do otwarcia sezamu.

– Chyba nie pedał, nie wygląda – dowódca zwrócił się do asystenta – za mało tego ma, żeby zarekwirować.

– Oclimy, tawariszcz kamandir? – zapytał Wałachowicz.

Przysłuchiwałem się temu z kamienną twarzą, by nie wyszło na to, że rozumiem, o czym gadają.

– Też mało – odparł kamandir Susłow z wyraźnym żalem w głosie – ma prawo do prezentu.

– Ciekawe dla kogo! – zachnął się Wałachowicz.

– Dla dziewczyny, która rozłoży przed nim nogi. – Kamandir-suseł zarechotał.

– Przydałoby mi się, z taką sukienką... – rozmarzył się Wałachowicz – ...dwie ma! – dodał szybko, licząc na jakąś pomyślną dla siebie puente.

– Na nic ci się nie przyda, durak i pacan z ciebie, stuknij się w ten pusty koński łeb – zganiał go dowódca Susłow – nic nie poderwiesz, tylko suwenira stracisz, więc dobrze ci radzę, zwał sobie konia! Za to ja mam żonę w domu – oświadczył, składając letnią sukienkę i bezceremonialnie wpakował ją sobie do raportówki. – Dwie – pokazał na palcach – o jedna za dużo. Za dużo!

– *Too much, tawariszcz mister, too much.* – Wałachowicz wyrecytował tłumaczenie jak papuga, która wyrzuca z siebie wyuczone zdania, czuć było, że język Szekspira jest mu tak samo obcy jak mnie mowa Zulusów.

Zrobili urzędowe miny i poszli sobie, a ja odetchnąłem; strata jednej, do tego letniej sukienki, to nic, ważne, że Margaret będzie miała ubranie, w którym znów będzie wyglądała jak cudzoziemka, a jeszcze ważniejsze, że nie wzbudziłem podejrzeń. W przeciwnym razie podczas rewizji mogliby znaleźć paszport, z którym dziewczyna opuści ZSRR.

– Zabrali gazetę, chociaż socjaldemokratyczna – udawałem zdziwienie jak prawdziwy przybysz z USA, dla którego Sowiety są jedną wielką niespodzianką.

– A pan myślał, że socjaldemokracy coś tu znaczą? – śmiał się Björn Jansson. – Są *démodé!*

– Przejechaliśmy, możemy zatem iść na wódkę. Zapraszam!

Poszliśmy, tym razem wagon restauracyjny był zapełniony, patrząc po ubraniach i wyglądzie podróżnych, była to wycieczka amerykańskich biznesmenów i kilka grup robotników z całego świata, co

można było poznać po urodzie, karnacji skóry, ubraniach i językach. Słyszałem angielski, włoski, francuski i parę innych, których nie potrafiłem rozpoznać.

To, co podano w wagonie restauracyjnym, trudno było nazwać jedzeniem, kurczaka ubito poprzedniej zimy i opalono w płonącym, starym tłuszczu, ale nie na tyle dokładnie, by ptak pozbył się wszystkich piór. Björn Jansson tylko się zaśmiał na mój widok, pewnie wyglądałem tak, jakbym za chwilę miał dostać torsji.

– Przedsiónek sowieckiej Rosji! Pan da spokój, ja wiedziałem, że tak będzie, tylko chciałem, żebyś pan popróbował tych specjalów! Mam w przedziale chleb i słoninę, teraz ja zapraszam!

W kuferku Fina znalazła się także butelka wódki.

Trochę popiliśmy, on był już po pracowicie przepitym poprzednim dniu, więc spocił się, a jego pyzata twarz nabrała kolorów. Dla mnie było tego w sam raz, by łatwo zasnąć i obudziłem się dopiero, jak zrobiło się jasno, a pociąg zwolnił. Wjeżdżaliśmy do Moskwy.

Dworce kolejowe nie mają szczególnie korzystnego zapachu; tu tradycyjny bukiet złożony ze smarów, dymu z opalanej węglem lokomotywy, woni pary i moczu uzupełnił smród stęchlizny i potu.

– Ktoś na nas czeka? – zapytałem Janssona.

– Powinna być na peronie przewodniczka z Intouristu, ale może będzie czekać w hotelu. Idziemy na postój, a walizki daj bagażowemu.

Jak z podziemi wyrosli tragarze ubrani w waciaki, które znałem już z Warszawy. Te łachy nosili repatrianci, którzy przyjeżdżali do Polski ze Wschodu.

– Ile im się daje napiwku? – zapytałem.

– Im nic, ale kelnerom zawsze trzeba coś dołożyć – wyjaśnił.

Wyszliśmy przed dworzec. Przez ulicę niemal bezszmerowo jechał autobus, który na dachu miał pałąk, jakby był tramwajem. A więc to musiał być trolejbus! Jeździły podobno w Poznaniu, ale kiedy tam byłem, jeszcze w latach dwudziestych, to nie widziałem ani jednej takiej maszyny. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że nad ulicą rozpięta jest cała sieć przewodów, żeby ta elektryczna krzyżówka tramwaju z autobusem miała z czego ciągnąć prąd. Nie powiem, niezła ciekawostka, pewnie będzie ich tutaj więcej, oby tylko takie.



## ROZDZIAŁ XX

**W którym zatapiając się w moskiewskiej szarzyźnie, poznaję Wierę Abramówną, patrząc na Mauzoleum Lenina, myślę o Piłsudskim, pobieram wykład o Kremlu, gonię po muzeach i teatrach oraz nie wiadomo który raz przekonuję się, że życie potrafi zaskakiwać**

Wyszedłem z dworca i poczułem, że jestem w innym świecie, niby nowoczesnym, ale... trudno mi określić, to chyba przez ubrania ludzi i ich twarze. Przypomniało mi się, jak wróciłem do Warszawy z powstania śląskiego i zobaczyłem miasto w kryzysie. Biedne, szare stroje, dużo drelichów, jakichś mundurówych przeróbek. Wielu przechodniów w Moskwie nosiło ni to wojskowe, ni to robociarskie stroje. Wielu z nich miało buty z cholewami. Może dlatego, że koszule i kurtki pościągali pasami. Zwłaszcza ci w jaśniejszych kurtkach i płaszczach kojarzyli mi się z carskim wojskiem i żandarmerią. Dużo ludzi w waciakach, przywodzącymi mi na myśl z Polaków wracających ze Wschodu po Wielkiej Wojnie. Widziałem i elegantów, i elegantki, ale mimo wszystko bardziej to była Warszawa Wileńska niż Główna. Albo i Gdańska.

Te widoki przywołały w mej wyobraźni obraz dawnej Warszawy, zwłaszcza tej wojennej, z pierwszego roku, kiedy od żołdatów i urzędników się wprost roiło. Ale brakowało tu chałatów, tłumu Żydów ubranych w tradycyjne stroje, którzy napływali do Warszawy, uciekając przed frontem zbliżającym się od strony Prus, Łodzi i Kielc. Ani wcześniej, ani później nie widziałem w śródmieściu tylu tradycyjnie ubranych Żydów. Owszem, było czymś zwyczajnym, że co trzeci warszawiak to Żyd, ale w tym czasie był nim chyba co drugi mieszkaniec miasta. Czy w Moskwie wcale nie mieszkali Żydzi? A może po prostu nie nosili się w starym stylu?

Nie było też księży, ale w końcu Rosjanie są prawosławni, lecz nie spotkałem ani jednego popa. I żadnej zakonnicy, żadnego braciszka w habitcie. Symbole religijne! W Niemczech Hitlera niewiele, tak jakby skurczyła się liczba duchownych, za to w Rosji Stalina wcale, w końcu religia była tu zakazana albo zepchnięta w kącie.

Byli za to młodzi ludzie z czerwonymi chustami, często dzieci, co przywiodło mi na myśl stolicę Niemiec. Owszem, w Warszawie widziało się skautów, ale nie w tej liczbie, nie na co dzień. Za to w Berlinie i Moskwie istniała jakaś potrzeba wciśnięcia młodzieży w uniformy na podobieństwo wojskowych mundurów. I ta wszechobecna czerwień!

Afisz, transparenty i ogłoszenia kreślono w Berlinie gotyckim krojem czcionki, w Moskwie zaś cyrylicą. U fastzów biel i czerni swastyk; komuniści też stosowali kolor biały, żeby jakoś odznaczyć pięcioramienną gwiazdę, dochodziła też żółć dla sierpa i młota. Czułem się trochę jak podczas strajku albo pochodu pierwszomajowego.

Chociaż już nie chciałem wpadać w szpony tego gaduły Janssona, to dałem mu się dogonić i zapytałem, czy zawsze tu tyle czerwieni.

– Tylko nieco mniej – uśmiechnął się – troszeczkę mniej, ale z dnia na dzień będzie tej czerwieni i zdobności jeszcze więcej.

Zawiesił głos, żebyśmy zapytał dlaczego, więc żeby nie przedłużać pauzy, zapytałem.

– Dlaczego?

– Bo tu jest komunistyczny kalendarz liturgiczny – zaśmiał się – tu nie ma Wielkanocy i Bożego Narodzenia, tylko pierwszy maja, urodziny Lenina i Stalina, no i rocznica śmierci tego pierwszego, to jest najważniejszy dzień w roku!

Znów celebrował kolejne zdanie, które miało być popisem jego tajemnej wiedzy na temat Kraju Rad.

– Siódmego listopada, wedle obowiązującego kalendarza juliańskiego – uniósł palec, żeby podkreślić powagę słów, które miały nastąpić – przypada niemal okrągła, bo dziewiętnasta rocznica Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, bo ta wydarzyła się jeszcze za czasów, kiedy obowiązywał tu stary kalendarzowy porządek! Dwudziesty piąty październik dał jej przydomek październikowej, ale po zmianie kalendarza wszystkie obrzędy, pochody, czerwone msze i pielgrzymki odbywają się w listopadzie. Z dnia na dzień będzie coraz większe podniecenie, coraz goręcej, nawet jeśli spadnie śnieg, co się zdarza, jeśli będzie lodowaty wiatr, to i tak pójdzie defilada, będą marsze i cała Moskwa utonie w czerwieni sztandarów i transparentów. A to tuż-tuż, mamy przedostatni dzień października, piątek, a za tydzień i jeden dzień, w sobotę siódmego listopada, przypada święty dzień dla komunistów!

– I może jeszcze Lenin ożyje? – zapytałem.

– Nie musi – odparł z pełną powagą Jansson, po czym jego jowialne oblicze rozświetlił uśmiech – bo wódz rewolucji, Włodzimierz Iljicz Lenin, jest wiecznie żywy!

Zaśmiał się i poklepał mnie po plecach jak dobrotny wujek, który właśnie wyjawiał jakąś pożyteczną prawdę o życiu. Nagle przestał, zaczął machać w kierunku jakiegoś człowieka w skórzanej kurtce i kaszkiecie, który stał przy czarnej limuzynie.

Nie do wiary, zajęchano po nas lincolnem! Mój towarzysz podróży wyjaśnił mi, że dziesięć lat temu Intourist kupił całą flotyllę takich maszyn, by wozić po Moskwie zagranicznych gości. Auto było lekko sfatygowane, ale lincoln to lincoln. Planowałem jednak przesiąść się na dorożkę, a w zasadzie bryczkę, bo chciałem lepiej obejrzeć Moskwę. Tragarz, który niósł nasze walizy, wsadził je do bagażnika, a ja dałem mu pięć rubli. Nawet nie wiedziałem, czy to dużo, czy mało.

– Jaki powinienem dać napiwek? – zapytałem po fackie.

– Mówiłem, że żaden, tragarze nie biorą napiwków od cudzoziemców, przecież w Kraju Rad nie ma służby. Zresztą Intourist za wszystko płaci, sam się pan przekonasz. Do dyspozycji przewodnik, zwiedzanie galerii i muzeów, bilety do teatru i opery. Prawie cały czas masz pan zapełniony, żebyś się pan nie zawieruszył, żebyś pan tylko widział, co pan masz zobaczyć. Bierz pan dorożkę, a ja będę czekał w hotelu.

Drynda była mała, jednokonna, a wierzchowiec nosił dziwaczne chomąto, jakie kiedyś z rzadka widywałem w Warszawie, w rosyjskich bryczkach. Perszeron miał nad sobą strzelisty łuk, do którego były przymocowane dyszle.

– Hotel Moskwa – rzuciłem i ruszyliśmy.

Spojrzałem z wysokości dryndy na moskiewskie ulice, mnóstwo ludzi, ubranych skromnie albo ubogo, zatem to nie sprawa jakiegoś zbiegu okoliczności, godziny nędzy, która spowodowała, że o jednej porze zjechali się do Moskwy ludzie z najnędźniejszych prowincji Sowietów. Mało tu się nosi kapeluszy, kobiety mają na głowach chustki, a mężczyźni czapki, jakbym był u nas na warszawskim przedmieściu, ale raczej na jednym z tych biedniejszych, tylko tam nie ma tylu ludzi, tak wielkich gmachów. Wszędzie ogonki, kolejki, ludzkie łańcuszki czekające pod sklepami i piekarniami, zatem niedostatek; i znów mam skojarzenie z naszą powojenną nędzą, bo nawet obecny kryzys nie wygląda tak źle jak sowiecki dobrobyt.

Smutne to wszystko było, ale Janssonowi to nie przeszkadzało, stał przed hotelem zadowolony i uśmiechnięty, jakby otaczał nas kolorowy, słoneczny świat sytych i szczęśliwych ludzi.

– Jaki jest kurs? – zapytałem, bo tak pyta każdy turysta.

– Zależy czego, kto pyta i gdzie pyta. Poza Rosją rubel sowiecki, kosztuje panni, ore, centy, fenigi i te polskie, jak im tam, no grosze. Za to tutaj wszystko jeden do jednego: czyste złodziejstwo! Na szczęście są waluciarze, którzy dzielnie próbują walczyć z państwowym monopolem!

– A kontakty ze zwykłymi ludźmi, jak to wygląda? – zagadnąłem tak z głupia frant, bo Julek mnie dokładnie poinstruował, dał też książeczkę Słonimskiego i jego podróży do Rosji i opracował strategię, jak bez budzenia podejrzeń skontaktować się z Margaret.

– Sowieckie władze boją się tego jak diabeł święconej wody. Jak jest takie życzenie, to zaaranżują, jak wziętę w cyrku albo teatrze. To też można mieć w programie: hotel robotniczy, dom dla rodzin z dziećmi, wzorcowe osiedle... No chodź pan, idziemy do recepcji, widzę, że czeka na nas Wiera Abramowna Majska, nasza opiekunka.

Była szara jak wszystko wokół, może i zgrabna, kto wie, z tym że ubranie było brzydkie, kostium organizacji Intourist może i wyszedł od dobrego krawca, ale nijaki kolor i jakość materiału czyniły z elegancji tej kreacji sprawę przegraną. Pantofle przyciężkawe, grube pończochy, lecz w końcu było zimno. Za to twarz całkiem interesująca, w jej rysach o przewagę walczyli Żydzi z Tatarami, włosy miała czarne, ściągnięte do tyłu.

– Witam, obywatele, proszę się pospieszyć, zaczynamy zwiedzanie – powiedziała zaskakująco twardą angielszczyzną. Minę miała zaciętą, jakby za chwilę miała dodać: „Ruchy, ruchy! Nie przyjechałście tu dla przyjemności!”.

Odświeżyłem się, łazienka była czysta, bo nowa, okno pokoju wychodziło na plac Czerwony. Spojrzałem na Kreml i wielki, kamienny ni to kiosk, ni to to piramidę, w której leżał Lenin. Ja, obywatel USA Henry Haas, stałem pośrodku miasta, które zawsze mi się źle kojarzyło. W końcu urodziłem się jako Heniek Wcisło na przedmieściu Warszawy, która była wtedy nie stolicą Polski, a miastem gubernialnym Imperium Rosyjskiego, w Cytadeli stacjonował ruski garnizon, porządku w mieście pilnowali stójkowi i policmajstrzy, co grubszymi sprawami zajmowała się Ochrona, napisy były pierw w cyrylicy, a później po polsku, chodziłem do szkoły z wykładowym rosyjskim, obowiązkowo śpiewaliśmy Boże chroń cara. Za jakiś polityczny figiel lądowało się w areszcie, a za coś poważniejszego zsyłano w głąb Imperium. Jak carscy ruscy poszli precz w piętnastym, to zaraz wrócili jako Sowieci, a ja, choć miałem szesnaście lat, tłukłem ich na tyle dobrze, że dostałem Krzyż Walecznych. I teraz byłem tu, w Moskwie, mieście carów i bolszewików, symbolu wszelkiego zła.

Dzisiaj trafił mi się jak ślepej kurze ziarno narożny pokój w hotelu, taki, o który zabijali się miejscowi zatrzymujący się w Hotelu Moskwa. Marzyli o nim, bo był z widokiem na plac Czerwony, Kreml i Mauzoleum Lenina. Miałem to kompletnie w tyle, więc jakby na przekór wyróżniono mnie tą wątpliwą miejscówką, żebym mógł podziwiać kamienny budynek, w którym trzymano truchło pierwszego spośród bolszewików. Podobno ciało Lenina było zabalsamowane i leżało za szkłem, jak nie przymierzając Królowna Śnieżka, tyle że nie czatowało przy nim siedmiu krasnoludków, lecz krasnoarmiejcy.

Trzeba mieć nierówno pod sufitem, pomyślałem, ale od razu mi się przypomniało, że jesteśmy niewiele mądrzejsi od Sowietów. Marszałka też zмумifikowano i podzielono. Mózg Wodza Narodu trafił na wileński uniwersytet, a serce wsadzono do kryształowej urny i ustawiono w Belwederze przy trumnie. Później serce pojechało do Wilna, gdzie przeprowadzono ekshumację matki Marszałka, po czym razem pochowano ich, matkę i syna, w nowej trumnie. Tak zrobiono, bowiem jak mówią, Marszałek z wrodzoną sobie skromnością powiedział: „Niech dumne serce u stóp dumnej matki spoczywa”. Matka i serce syna, tak stoi napisane na pomniku, a gdzie ojciec? Jakoś niewiele się o nim mówi, o tym... no właśnie, jak ojciec największego z Polaków miał na imię? Kim był, gdzie został pogrzebany, i choć bohater oraz powstaniec, to jakby wstydliwie pomijany. O ojcu nic, za to każdy wie, że jego syna pochowano na Wawelu, i to wbrew Kościołowi, dla którego był bezbożnikiem. Biskupi się jednak złamali i dali pochować obok królów byłego socjaliste, rozwodnika i protestanta, w którego legionach brakło miejsca dla kapelanów.

Farmazoni i cwaniacy wykorzystali sytuację i zaczęli handel „oryginalnymi i jedynymi prawdziwymi kawalkami trumny Marszałka”. Frajerów nie brakowało, więc pewnie z tych drzazg marszałkowskiej trumny można byłoby zbudować trzy nowe. Z tego wszystkiego zimą tego roku spalono komisyjnie trumnę i wydano oświadczenie, że nie ma i nie będzie żadnych trumiennych relikwii. Jak znam życie, to pewnie teraz handel jest dyskretniejszy, ale ceny wyższe, bo są to „cudem ocalałe od spalania szczątki trumny Wodza Narodu”.

Chętnych pewnie nie brakuje, bo tłumy, jakie wałą na Wawel, żeby zobaczyć Marszałka w szklanej trumnie, są podobno nieprzeliczone. Podobnie jak plotki na temat stanu jego mumii. Jedni mówią, że

butwieje mundur, drudzy, że Marszałek szerniał, że czuć niemiły zapach. A jeszcze inni, że owszem, mundur butwieje, facjata Wodza wygląda nieszczególnie, ale zapach bierze się stąd, że jest kupa spocynych ludzi, a ten i ów chce sobie gołnąć z pamięć i duszę Marszałka, a do tego waniają wieńce i kwiaty, które są tam znoszone tonami.

Nieźla szopka, pomyślałem i przestałem się aż tak bardzo dziwić ruskim.

Zabrałem się do roboty. Damskie ciuchy do szafy, na prezent. Dolary ukryłem za tapetą i listwą, oczywiście nie wszystkie. Trochę pieniędzy schowałem pod podszewką walizki, tam na pewno będą szukać i jak trafią na banknoty, to uznają, że znaleźli skrytkę i że przechrzyli amerykańskiego imperialistę. Mogę być imperialistą frajerem, któremu buchną banknot albo dwa, ważne, żeby nie uznali mnie za szpiona, bo będzie po mnie. Zamknąłem drzwi, przeszedłem obok etażnej, która rezydowała na końcu korytarza jak więzienny strażnik i pewnie zaraz poinformuje kogo trzeba, że wyszedłem. Przy windzie wpadłem na Janssona.

– I jak wrażenia? – zapytał.

– Niepowtarzalne, nowiutki hotel, łazienka i widok na Lenina!

– Oj tak, poprawiło się. – Björn wyszczerzył zęby. – Kiedyś nie było pokoi z łazienkami, dopłata kosztowała, wyobraź to pan sobie, piętnaście dolarów dziennie. Razem dwadzieścia! Dwadzieścia dolarów za ekstra luksus! Zresztą bez łazienki też było drogo, pięć dolarów za norę, i to bez szafy, za to z wielzakiem na ścianie, a każdy pokój wyglądał jak rupieciarnia. Ale żarty żartami, gońmy, córka rewolucji na nas czeka!

Spóźniliśmy się dwie minuty, co Wiera Abramowna przyjęła z niesmakiem. Nie słuchając naszych żarliwych usprawiedliwień, pogoniła nas na plac Czerwony. Stanęliśmy na jego środku, a ona zaczęła opowiadać o gwieździe na Baszcie Spasskiej, która zapłonęła przed rokiem, stając się symbolem Moskwy.

– Zbudowano ją ponad czterysta lat temu, w roku 1491, a zaprojektował ją włoski architekt Pietro Solari. Jej wysokość wynosiła sześćdziesiąt siedem i trzy dziesiąte metra, a od 24 października 1935 roku, kiedy zamontowano czerwoną gwiazdę, siedemdziesiąt jeden metrów. W ten sam sposób udekorowano także pozostałe wieże, Troicką, Nikolską, Borowicką i Wodowzwodną, ale to na szczycie Baszty Spasskiej znajdują się słynne kuranty, które wygrywały różne melodie, ale od czterech lat tylko *Międzynarodówkę* – wyrecytowała z szybkością kulomiotu. Po ułamku sekundy zrozumiałem, czemu się tak śpieszyła, kuranty zaczęły bić *Międzynarodówkę*.

Kiedy wybrzmiały, Wiera Abramowna zaczęła kolejną część swojego popisu.

– Upadek caratu zapowiadała legenda! W XII wieku zamordowano ostatniego kapłana pogańskiego boga Jaryły. Konając, rzucił klątwę na tych, którzy w świętym miejscu chcieliby czcić innych bogów. Odtąd na Moskwę spadają różne nieszczęścia: zarazy, pożary i obce armie, to wszystko ustało, kiedy Wielka Rewolucja Październikowa obaliła rządy tyranów. Religia to opium dla mas, wreszcie przestała dręczyć chłopów i robotników!

Miałem na te tematy inny pogląd, ale nie przyjechałem się tu wyklócać z młodą komunistką, więc grzecznie poszedłem zwiedzać Kreml, rozpoczynając trzydniową gonitwę po muzeach i galeriach, a także po budynkach – symbolach sowieckiej Rosji. W piątek, trzydziestego października, obskoczyliśmy domy kolektywne. Miało być jak w raju, a wyszło nieco lepiej niż w jakimś warszawskim pekinie, zobaczyliśmy takie dwa, po czym zjedliśmy późny obiad. Wieczorem kino, które mieściło się w gmachu dawnego cesarskiego konserwatorium. Grali tam tegoroczny przebój, *My z Kronsztadu*, film, który – jak głosił plakat – poświęcono bohaterskim marynarzom z położonej przy Petersburgu twierdzy.

Słyszałem o Kronsztadzie, kojarzył mi się z buntem marynarzy przeciwko władzy sowieckiej, to było w jakimś 1921, może w 1922 roku, w każdym razie na pewno był to ruch, który bolszewicy krwawo stłumili. Zdziwił mnie więc tytuł tego filmu i byłem ciekawy tego, jak w kraju cenzury i kłamstwo wybrną z opowiadania o czymś, co nie było dla nich wygodne. Wybrnęli w prosty sposób, bo było to o maryna-

rzach z Kronsztadu, o walce, poświęceniu i buncie, o krwawej daninie, ale nie w roku 1921, a w 1919, kiedy to matrosy z Kronsztadu były się z Białymi. Spryciarze, pomyślałem.

Po kinie wódeczka, ja od razu uderzyłem w kimono, nie dałem się wyciągnąć Janssonowi na dziwki, Julek ostrzegał, że z reguły w takich miejscach jak Hotel Moskwa są one uszami NKWD. Jansson albo nie miał takiej wiedzy, albo uważał, że i tak wszystko jedno, o czym dobitnie świadczyły odgłosy zza ściany. Nie mogłem spać, ale nie dlatego, że był hałas, moją głowę zaprzętało to, co się stanie we wtorek. Tego dnia miałem pójść do mieszkania Margaret przy ulicy Bolszaja Sadowaja 10. Niby banał, jednak czułem, jakby świecące na czerwono gwiazdy z kremłowskich baszt patrzyły na mnie, nie tylko widząc każdy mój krok, ale i odczytując najskrytsze myśli.

W sobotę ciąg dalszy rajdu po muzeach, a do tego nowoczesna architektura. Musieliśmy zobaczyć dumę Moskwy, gmach „Narkomfinu”, którego projektu, jak mówiła Wiera, nie powstydziliby się sam Corbusier. Kim był i jakie emocje w świecie artystycznym wzbudzał, wiedziałem dzięki niezawodnej w tych sprawach Aldonie. Jeśli jeszcze coś do mnie czuje i się spotkamy, to opowiem jej o budynku zaprojektowanym przez architekta Ginsburga. Przed domem wydeptana łączka i parę drzewek. Gmach przypominał wielki okręt. Na każdym piętrze rzędy okien, jedno przy drugim, na dachu taras widokowy. Wiera zachwala, że lokatorzy nie tracą miejsca na kuchnię, bo kuchnia jest kolektywna, tak jak pralnia, stołówka, świetlice. Przy wejściu czar pryska, wielkie szyby brudne, widać, że wszystko niestaranne wykończzone.

Trafiiliśmy na obiad; do okienka, które wydaje talerze, obowiązkowa kolejka, szara, ma się rozumieć, w ubraniu i kolorze twarzy. Na talerzach wykwint jak na kolei, albo jakbym widział kuchnię polową podczas odwrotu w 1920. Boję się, że mnie zechcą poczęstować, na szczęście proponują oglądanie paru mieszkań. W mieszkaniach, trzeba przyznać ładnych, dwupoziomowych, także brudne szyby, meble jak z Pocijowa czy innej tandety.

– Mieszkają tu robotnicy? – zapytałem, choć znałem odpowiedź, grube ryby spotkać można raczej gdzie indziej.

– Pracownicy Narodowego Komisariatu Finansów – odpowiedziała, a ja sobie pomyślałem, że to jednak szczy, nie pierwszorzędne, ale nie szeregowi robotnicy. Jak na pracowników umysłowych niezłe fleje i rupieciarze.

Potem zobaczyliśmy prawdziwego Corbusiera, Centrosjoz, biurowiec jego autorstwa, który zupełnie nie przypadł mi do gustu. To po trosze tłumaczyło, dlaczego słynny architekt przegrał konkurs na projekt Pałacu Rad, który ma stanąć w miejsce wyburzonej Cerkwi Chrystusa Zbawiciela.

Sobotę zamknęliśmy spektaklem w teatrze, MChAT-u, czyli Moskiewskiego Akademickiego Teatru Artystycznego. Jansson ucieszył się, że zobaczył *Wiśniowy sad* Czechowa, ale żeby nie denerwować Wiery, jeszcze przy śniadaniu powiedział mi, że najchętniej to zobaczyłby to, co błyskawicznie zdjęli z afisza: *Zmowę świętoszków*. Zabronili, choć publiczność zabijała się o bilet! Autor, jakiś Bułhakow, czy Bułgakow, bardzo to przeżył, a najmocniej to, że zaszczuto jego utwór, kiedy po siódmym przedstawieniu dziennik „Prawda” opublikował nieprzychylną recenzję. Podobno rozchodziło się o to, że pokazując życie w czasach Moliera, autor pokazał Moskwę lat trzydziestych, w której o tym, co się da osiągnąć, także w sztuce, decyduje umiejętność poruszania się po dworze i wchodzenie w tylek wpływowym towarzyszom.

*Wiśniowy sad* mi się podobał, bo Jermołej Łopachin nie był takim mięczakiem jak Wokulski. O tym nie mogłem porozmawiać po spektaklu, bo skąd niby mister Hass z Ameryki miał znać jakąś *Lalkę* Prusa? Znow wódeczka, bezsenność, bo to już pojutrze, i na koniec ćwiczenia Janssona, którego jęki i sapania, jak również jego partnerki, dochodziły do mnie zza ściany.

W niedzielę, pierwszego listopada, we Wszystkich Świętych, Bolszaj, oczywiście z *Jeziorem łabędzim*, co zniosłem dzielnie, bo mikre tancerki, walące o deski sceny baletkami jak kopytami, trochę mnie rozbałyły. W przerwie Wiera pouczyła mnie, że to nie są zwykłe baletki, a pointy, mają specjalnie wzmocnione czubki. Ona chyba wiedziała wszystko o miejscach, po których oprowadzała, zupełnie jak Aldona

o sztuce. No, prawie wszystko, bo Wiera nie wiedziała, czemu baletmistrze sprawiają wrażenie, jakby mieli gigantyczne przyrodzenia; czy faktycznie tak jest, czy też ich rajtki są specjalnie skonstruowane?

Podirytowało ją to pytanie, za to Björn Jansson bił mi brawo, a potem, jak to on, opowiedział kilka świńskich dowcipów, ale to już było poza teatrem, kiedy siedzieliśmy w jakiejś pierwszorzędnej, podobno, knajpie, która mogłaby się nazywać Wyjątkowe Nic Szczególnego, a on zapijał wódeczkę i dokazywał. Następnego dnia mieliśmy pójść na Kreml i do Mauzoleum Lenina, ale Björn powiedział, że już dwa razy był, a ja udalem niedyspozycję, powiedziałem, że boli mnie gardło, na co rzecz jasna Jansson zarządził leczenie przypadłości podwójnymi dawkami alkoholu. Wiera grzmiała, bo komsomolcy, czyli młodzi komuniści, walczą z picciem, a Björn tylko się z tego śmiał i polewał. Ze zwiedzania mauzoleum musiałem się wykić, nie miałem ochoty oglądać mumii, chyba że bym mógł na nią napluć, a tego nie przewidywał program żadnej z wycieczek. Jansson powiedział, że już tam był, ja, że mam już dość chodzenia, mimo że przede mną jeszcze dzień wolny, ostatni przed wyjazdem.

Wiera się zdenerwowała, ale co Björn zapytał, co w takim razie zrobi. Pójdzie na milicję czy do NKWD, czy za odmowę zwiedzania pojedziemy na Sybir, czy może skończymy jak Zinowiew i Kamieniew? Był w doskonałym nastroju, bawił się jej kosztem.

– A ja słyszałem taką historię. – Twarz Fina była zaczerwieniona od wypitego alkoholu. – Od Polaków słyszałem – dodał jakby ostrzegawczo, co Wiera przyjęła z lekkim niepokojem. – Polak wybierał się do Moskwy i przed wyjazdem rozpytał się, co warto w stolicy Rosji zobaczyć!

– W stolicy Związku Radzieckiego! – Wiera była czujna i poprawiła Fina.

– No tak, tak, w stolicy Związku Radzieckiego. – Machnął lekceważąco ręką, po czym zrobił poważną minę. – W sumie to macie rację, Wiero Abramowna, bo cały pic właśnie polega na tym, że to Związek Radziecki, a nie dawna Rosja! – Śmiał się do rozpuku.

Wiera, jakby przeczuwając, że to, co usłyszysz, jej się nie spodoba, zacietrzewiła się i zacisnęła wargi.

– Ten Polak usłyszał od kolegi, że ma pójść na balet do teatru Bolszoi, tyle że tam bilety są zawsze sprzedane – kontynuował z zapałem Fin – warto też pójść na Kreml, ale od czasu, kiedy odszedł dyrektor Iwanow, a dyrektor Klein został aresztowany, to już zupełnie inne miejsce, strzeżone, wpuszczają tylko nielicznych – głos Fina stała się dramatyczny – ale najtrudniej będzie z Mauzoleum Lenina, bo tam stoi tłum, chętnych tyłu, jakby to było za dopłatą.

Fin się zaśmiał, a Wiera Abramowna zrobiła zniesmaczoną minę.

– Polak pojechał, pobyl, wrócił do Warszawy, poszedł z kolegą na kielicha, a ten go odpytuje.

– *I jak, byłeś w Bolszoi?*

– *Byłem, a jaki to problem? Kupiłem bilet na czarnym rynku!*

Fin mówił to z lekkim uśmieszkiem, twarz przewodniczki była jak z kamienia.

– *A Krem?* – kontynuował rolę pytającego.

– *Krem! Zalatwił Intourist!*

Tu Wiera się nawet lekko uśmiechnęła.

– *A Mauzoleum Lenina?*

– *Stary, poszedłem ze skrzynką wódki i zagrychą do strażników, popiliśmy, polubiliśmy się i na koniec przychodzi do mnie ich dowódca i mówi: „Te, Paljak, chcesz, żebyśmy cię zaprowadzili do Lenina, czy mamy ci go tutaj przynieść?”*

Śmiałem się, bo musiałem udawać, że nie znam tego kawału, ale za bardzo nie mogłem, żeby nie dokuć przewodniczce.

– *Chcesz, żebyśmy cię zaprowadzili do Lenina, czy mamy ci go tutaj przynieść?* – Fin powtórzył, bijąc się dłońmi po udach.

– *Do czego zmierzacie?*

Kto się pyta, się dopyta, pomyślałem, a Fin aż podskoczył z radości, że Wiera zainteresowała się bardziej tą historią, bo bardzo na to liczył.

– Pójdziemy go zobaczyć, czy przyniesienie nam pani tego Lenina do hotelu, Wiero Abramowna?

Fin ryczał ze śmiechu tak, że pół restauracji za nami się oglądało, a Wiera milczała. W końcu, po dłuższej chwili, wstała od stolika i powiedziała:

– Przekonaliście mnie, że nie jesteście godni, by oglądać Mauzoleum Włodzimierza Iljicza Lenina! Zamiast was pójść tam ci, którzy na to liczą, pionierzy, żołnierze, robotnicy i chłopci!

To dramatyczne wyznanie jeszcze bardziej rozśmieszyło Fina, który był bliski tego, by osunąć się na posadzkę restauracji i zacząć się turlać i podrygiwać w paroksyzmie szaleńczego śmiechu. Wiera nie czekała, co będzie dalej, wstała od stolika i wyszła z restauracji.

– Za każdym razem to odgrywam! – Fin ze łzami w oczach rozlał wódkę do kieliszków.

– To znaczy ile?

– Piąty raz, bo za pierwszym razem, jak tu byłem, nie znałem tego kawału!

– Czegoś nie rozumiem – powiedziałem, biorąc do ręki szkło – jak to możliwe, że dają się na to nabierać. Ile jest tych przewodniczek, że coś takiego się między nimi nie rozędzie?

– One nawet piszą raporty, ale czegoś takiego nie mogą tam umieścić. Nie mogą też nikomu powiedzieć, bo za rozpowszechnianie kawałów politycznych można stracić pracę albo i gorzej! A nawet jeśli słyszały, to udają, że pierwsze słyszą, bo przecież przed nami się nie przyznają, że znają imperialistyczne dowcipy!

Chyba rozumiałem, co mógł mieć na myśli, a on zaraz to potwierdził.

– Przecież każdy z nas może być prowokatorem!

– A nie jesteś? – zapytałem mrożącym głosem.

Fin aż zastygł, wyglądał jak wielki zając, który stanął w słupek.

– Zdemaskowałeś mnie – powiedział grobowym głosem – towarzysz Beria każe mnie rozstrzelać. – Po czym wybuchł śmiechem i wychylił kieliszek wódki, a ja zaraz po nim.

Położyłem się spać i dotarło do mnie, że dzisiaj jest nie tylko niedziela, ale i pierwszy listopada, Wszystkich Świętych, a za chwilę, bo dochodziła północ, Dzień Zaduszny. Nie będę na grobie mamy... Może byłem blisko jej mordercy, tego zdraycy i kawałka gówna, jakim okazał się Antek. Przysnąłem, mając przed sobą oblicze, które mógłbym pociąć nożem, wdeptać obcasem w bruk, potraktować wiertłem... Kto wie, co by mi jeszcze przyszło w trakcie tego snu, ale jak poprzednich nocy obudziły mnie odgłosy z pokoju Janssona, znów stękanie, jęki, miłosny skowyt.

Wytrącony ze snu nie zasnąłem tym razem, więc kiedy po pół godzinie usłyszałem, jak otwierają się drzwi w jego pokoju, szybko podbiegłem, uchyliłem swoje i wyjrzałem, by zaspokoić ciekawość. O mało nie padłem, pokój Janssona opuszczała wierna córka rewolucji, opiekunka pamięci Lenina i innych świętych Sowietów, Wiera Abramowna. Bez dwóch zdań, życie potrafi zaskakiwać. Czym mnie zaskoczy jutro, a czym pojutrze, kiedy się spotkam z Margaret, by dać jej paszport i ubranie?

## ROZDZIAŁ XXI

**W którym nie mogę spać, bo Sowietci jadą na wojnę, mój sąsiad zmusza mnie do zabawy w prywatnego detektywa, jeżdżę metrem, smakuję moskiewskiego życia w kolejce, a chcąc zapalić, kupuję arbuza i prosto z Łubianki trafiam na budowę**

Rano obudził mnie straszliwy ryk silników. Rzuciłem się do okna i niemal usiadłem z wrażenia. Na plac wjeżdżała kolumna czołgów, którą poprzedzała czołówka kilkudziesięciu motocyklistów. Silniki motocykli warczały jak osy, czołgowe dudniły głębokim basem, a gąsienice szczykały, tocząc się po bruku. Dalej było jeszcze więcej czołgów, a za nimi ciężarówki ciągnące armaty. Kiedy już myślałem, że to koniec, do odgłosów pojazdów dołączył dźwięk podkutych butów. Ilu było tych żołnierzy? Setki? Nie, już tysiące!

Wojna? Zamach stanu? Co to w ogóle jest?!

Patrzę na kalendarz, poniedziałek 2 listopada 1936, czyżbym, po raz drugi w tym roku, był świadkiem wybuchu wojny?

W głowie kłębiły mi się myśli, kiedy przez ścielącą się mgłę spalin i kurzu, dojrzałem kolejkę w oczekiwaniu na wejście do mauzoleum. Ten ogonek był stałą częścią krajobrazu, od bladego świtu aż po zmrok rozciągał się jak gruba glista. Widziałem w życiu różne kolejki, najdłuższe te w czasie wojny za chlebem i te w czasie kryzysu do pośredniaka, ale kupa narodu, która się ustawiała każdego dnia w ogonku po nieświeżego Lenina, to było coś poza wszelką konkurencją.

Sterczą jak gdyby nigdy nic, czekają na godzinę dziesiątą, kiedy otworzą się drzwi tego osobliwego Sezamu i będą mogli sobie oglądnać swojego zasranego wodza rewolucji. Zatem się nic nie dzieje, żadna wojna, rewolucja, tylko... w końcu doznałem oświecenia! Siódmego listopada mają święto rewolucji, więc pewnie szykują się do defilady. Ale że już teraz?

Patrzyłem z hotelowego okna na to widowisko i brakowało teraz tylko King Konga na kremłowskiej wieży i eskadry samolotów. Wielka małpa się nie pojawiła, ale samoloty przeleciały.

Zasnąłem zasłony i się położyłem. Nie usnąłem, nie tylko z powodu hałasu, ale i natłoku myśli. Pojutrze miałem wyruszyć z Margaret do Helsinek. To był moment, w którym zaczęły narastać we mnie wątpliwości, najpoważniejsze były związane z moim towarzyszem podróży. Wiadomość o tym, że Jansson wraca tego samego dnia, i jakby inaczej, tym samym pociągami, coraz bardziej mnie niepokoiła. To, że mógł mnie śledzić, to chyba sobie wymyśliłem. Nawet jeśli nie będziemy jechać tym samym wagonem, to co będzie, jeśli spotka nas na peronie? Jak zareaguje? Na pewno się zdziwi, tylko czy dyskretnie, czy głośno? A jeśli nas podkabluje? Tyle że po co miałby to robić? Mówił o Sowietach źle albo bardzo źle. Czy nie za bardzo się przede mną otwierał?

Brat łąta, gawędziarz, bywalec w Kraju Rad. Niewątpliwie był gadułą, miłym, ale nieco nachalnym. Ten typ tak ma. Skoro Jansson znał Sowiety i ostrzegał przed wieloma sprawami, to czemu sam był taki nieostrożny? Zaufał mi, to jasne, ale czy nie za mocno, zbyt ostentacyjnie? Rozglądał i pocił się ze strachu, kiedy mnie wprowadzał w szczegóły sowieckiego świata. Był niezwykle naturalny w tym, co robił, bo jednocześnie ekscytował się swoją wiedzą i śmierział tchórzem. Był prawdziwy czy bajerował mnie od początku?

Rozmyślenia o tym po prostu mnie wyczerpały.

Próbowałem zasnąć, zebrać siły, żeby przemyśleć to wszystko, ale zamiast tego zerwałem się, bo usłyszałem, że Jansson wychodzi z pokoju.



Szybko się ubrałem i zbiegłem za nim na śniadanie, w sali go jednak nie znalazłem. Wskoczyłem do hallu i zobaczyłem, jak wychodzi na ulicę. Bez śniadania? Może jest umówiony, może pójdzie do innego hotelu dla obcokrajowców? Nieważne, w tej chwili byłem kompletnie w tyle, bo nie miałem na sobie wierzchniego okrycia, a na dworze było zimno i wiał wiatr. Przechodząc przez hall, ściągnąłem z jednego z siedzeń wełniany szalik, a sprzed łazienki, w której majstrował hydraulik, buchnąłem wataną kurtkę; dopełniłem komplet kraciatą czapką od jakiegoś Anglika, który czekał w kolejce do recepcji.

Ubrany byłem od Sasa do Lasa, ale to mi tylko pomogło na moskiewskiej ulicy. Buty się wyróżniały, lecz tylko do czasu, aż po parunastu metrach ubłocily się i nie było widać ich zagranicznego szyku. Za to Jansson wyróżniał się na całego, jasne palto i futrzana czapa pomagały mi nie stracić go z oczu. Jeszcze wygodniej śledziło się go w metrze, bo Fin wszedł do kamiennego budynku stacji i zjechał ruchomymi schodami na peron. Z góry odcinał się od szaroburych pasażerów, więc dalej mogłem trzymać bezpieczny dystans, a on widoczny był jak na dłoni. Nadjechał żółtooliwkowy skład, który jechał w kierunku Sokolnik, Jansson zapakował się do niego i teraz zobaczyłem, że ma przy sobie swój mały kuferek. Wsiadłem do sąsiedniego wagonu i nie musiałem długo czekać, wysiadł na kolejnej stacji, która była nazwana na cześć kierownika CzeKa „Dzierżinska”.

O ile Jansson mnie nie zaskoczył, zrobili to pasażerowie, którzy wzięli szturmem wyjście, musiałem się więc przepchnąć przez tłum, pomagając sobie słowami: *Pardon, pardon madame, pardon monsieur, pardon mademoiselle!* Chyba już zapomnieli o Napoleonie i pożarze Moskwy, bo pomogło. Stacja nazywała się Dzierżinska i tak jak inn, była wysoka, jasna, w stylu podziemnego pałacu. Jansson szedł bardzo szybko, prawie biegł, poruszał się żwawo jak na jego tuszę, ale nie zgubiłem go w tłumie, choć cały czas starałem się trzymać dystans.

Nie wiem, czy było to potrzebne, bo najwyraźniej czuł się bezpiecznie, nie oglądał się za siebie, nie stosował żadnych trików, by sprawdzić, czy nie jest śledzony. Kiedy wszedł na schody ruchome, przestał się spieszyć, dojechał spokojnie na górę, tam spojrzął na zegarek i już dostojnym krokiem sunął przed siebie.

Na ulicy udał się w kierunku przyciężkawej, zdobnej kamienicy, a ja podążałem za nim. Im bliżej celu byliśmy, tym mocniej łomotało mi serce. Ten budynek wyróżniał się: może był urzędem, ministerstwem, gmachem centrali handlowej? Najpierw dostrzegłem dwie kamienne rzeźby strażników, a po paru krokach także dwóch ludzi w mundurach. Tabliczka wisząca na ścianie mnie zmroziła. To była siedziba Komisariatu Ludowego Spraw Wewnętrznych ZSRR, mówiąc krótko NKWD.

Nie wejść za nim, nie można było tam wejść z ulicy ot tak. Ale i nie można pod takim gmachem wystawać. Milicji nie było tutaj dużo, jednak kilku tajniaków pewnie się kręciło w pobliżu. Lepiej było nie przyglądać się przechodniom, a wmieścić się w tłum. Tylko jak? Miałem chodzić wokół placu? Nie było tu kawiarni, w których można by zasiąść przy stoliku, zamówić cokolwiek i udając zainteresowanie gazetą, kontrolować wejście do siedziby NKWD.

Zatem pozostawało przejście naokoło placu. Był wielki, więc po prostu ruszyłem nie za wolnym i nie za szybkim krokiem; minęło dziesięć minut i z powrotem byłem przy stacji metra. Zatem finito, koniec, kłapa, kiła mogiła. Kolejne kółko? W końcu zwróć czyjąś uwagę.

Nie potrafiłem wymyślić nic sensownego i wtem przyszło wybawienie: tuż przy wejściu do stacji metra stanęła ciężarówka. Momentalnie podbiegli do niej ludzie, zjawili się nie wiadomo skąd, wprost wyrosli z podziemi. Zrobiło się lekkie zamieszanie, jakiś milicjant gwizdnął i ludzie karnie ustawili się w ogonku. W pierwszej chwili zgłupiałem, ale przez tych parę dni w rajach chłopów i robotników przekonałem się, że brakuje tu wszystkiego, a jeśli coś się pojawi, cokolwiek, to ludzie gromadzili się w kolejce odruchowo. Stałem więc i ja, wsadziłem ręce do kieszeni, postawiłem kołnierz i ustawiłem się tyłem do wiatru. Po chwili ze zdziwieniem zauważyłem, że już nie jestem ostatni w kolejce, a gdzieś w środku.

Ze strzępków rozmów usłyszałem, że „coś rzucili”, ale co, tego nikt nie wiedział. Plandeka była zaciągnięta, a w środku tajemniczy towar. Minęła minuta, potem kolejne, tłumek się niecierpliwił, ale kierowca i jego pomagier miel jeszcze sprawę do załatwienia. Palili papierosy i chcieli je w spokoju dokończyć, przez uchylone szyby kabiny wydobywał się dym, podobnie jak i z rury wydechowej auta.

W końcu wysiedli i obciągnęli watowane kurtki, jakby były frakami, a oni byli artystami, którzy właśnie weszli na scenę. Ale mieli prawo tak się czuć, zresztą wyglądali jak Pat i Patachon, tyle że nie zachowywali się jak komicy. Były w nich tajemniczość i milczenie grabarzy, którzy obcowali z wielką tajemnicą i stanowili część misterium. Jeden został na dole, a drugi zgrabnie wskoczył na pakę i kurtyna poszła w górę.

Plandeka odsłoniła coś, co było widoczne dla ludzi, którzy stali na przodzie. I oni, i cała reszta postąpili naprzód, ale mistrz ceremonii delikatnie ich odepchnął, bo inaczej zostałby zdeptany. Ogonek zafalował, jakby był wężem, a od jego głowy, jak w zabawie w głuchy telefon, poszła wiadomość.

– Arbuzy! Że z Gruzji chyba.

– Zawsze przed świętem można liczyć na jakiś rarytas – zachwalała paniusia, która przed wiatrem zasloniła się chustką.

– I arbuzy dobre – zgodziła się z nią dama w pocerowanym ubraniu, które było wspomnieniem po dawnych, dobrych czasach.

To zapewne chodziło o tę rocznicę rewolucji, o której wspominał Jansson. Minuty mijały, a ja modliłem się, żeby mnie nikt nie zaczepił, nie zagadał. Na szczęście ktoś powiedział coś dwuznacznego, że władza ludowa dba o ludzi, drugi, żeby sobie nie żartował, trzeci, że on tak na poważnie, czwarty, żeby dali spokój, bo komu to potrzebne, takie rozmowy, kiedy się grzecznie stoi za arbuzami na placu Łubiańskim. Wtedy milicjant, zamiast pochwalić, skarcił tego ostatniego, mówiąc, że to nie żaden plac Łubiański, tylko Dzierżyńskiego. To dało ludziom do myślenia, przymknęli się i kolejka czekała w milczeniu. Teraz co innego zaczęło mi chodzić po głowie, bo chociaż kolejka szła powoli, to jednak byłem coraz bliżej burty ciężarówki. Co zrobię, jeśli już kupię arbuza, a Jansson dalej będzie w środku?

Póki co gotowałem się do zakupu. Żeby się nie afiszować z zagranicznym akcentem, odliczyłem odpowiednią ilość rubli. W sklepie, w którym był asortyment ograniczony do jednego produktu, do tego deficytowy, nie było miejsca na gadki szmatki, żadnego „czego sobie szanowna pani, szanowny pan winszuję, a może jeszcze to i tamto, rączki całuję i zapraszamy w nasze progi”. Nie było progów, tylko krawężnik, nie było odprowadzenia do drzwi, wszystko odbywało się jak na fabrycznej taśmie.

W końcu stałem się właścicielem dwóch arbuzów. Stałem teraz z nimi jak pacan, trzymając je pod pachami, bo nie mogłem kupić jednego! Dają po dwa, brać dwa! Dają po pięć, to pięć, brać, ile się da, nawet dziesięć, jeśli trzeba. Kręciłem się z tymi arbuzami pod stacją metra, bo i jeszcze parę osób się kręciło, jakby na kogoś czekali. Nagle zrozumiałem, że ci ludzie chcą opchnąć te arbuzy albo wymienić na jakiś inny towar. Ogonek był długi, a arbuzów ledwie kilkadziesiąt, więc ci, co stali w połowie, mieli już marne widoki na świąteczne rarytasy, a ci z końca żadnych. Dlatego zaczęła się giełda, w której chcąc nie chcąc i ją wziąłem udział.

– Sigarety? – powiedziała do mnie kobieta w średnim wieku, może nawet i młoda, sądząc po sylwetce, ale jej zmęczona twarz otulona była chustą, jak u babuleńki.

Pewnie że tak, zrobiliśmy interes i zamiast dwóch arbuzów, miałem paczkę papierosów, jakieś bielomory. To były te niemiłosiernie śmierdzące fajki, w których prawie czarny tytoń został zawinięty w bibułkę cienką jak kawiarniane serwetki. Peta osadzono w kartonowej fifce, którą miejscowi profilowali w szczególnie sposób. Po dokonaniu transakcji mogłem kupić kolejne minuty, bo mogłem sobie zapalić. Wyciąganie amerykańskich papierosów byłoby aż nadto zauważalne.

Całe szczęście, że w wojsku paliłem, co się dało, także machorkę. Kogoś nieprzyzwyczajonego do takich mocy mogło zatkać jak dzieciaka, który podkrađa papierosa ojcu, a potem zalicza debiut, po którym idą z oczu łzy, brakuje tchu, a czasem następują mdłości. Mimo wszystko oczy mi się lekko zaszklily, lekko kaszlnąłem, ale kolejne zaciągnięcia papierosem sprawily mi nawet przyjemność, bo były

jak powrót do szczenięcych lat. Stałem więc na moskiewskim placu, paliłem i wspominałem pierwsze papierosy, draki i przygody na warszawskiej Woli. I przypomniałem sobie Antosia Bożyczkę, serdecznego przyjaciela, charakternego chłopaka, którego dziadek nauczył mnie, jak się prowadzi tramwaj. Kochałem skurczybyka jak brata, a on zdradził mnie i zabił moją matkę. Gdyby wyszedł z tego gmachu, pewnie zatłukłbym go gołymi rękoma, zanim by mnie kropnęli. Tak nienawidziłem skurwysyna.

Ale zamiast Bożyczki w drzwiach ukazał się Jansson, który jak gdyby nigdy nic wszedł na chodnik i zaczął iść w moją stronę. Odwróciłem się tyłem, podszedłem do śmietnika, żeby zgasić papierosa i wyrzucić niedopałek. Fin minął mnie i zszedł do metra. Jansson ustawił się na peronie, z którego mógł wrócić do hotelu. Nadjechał pociąg, wraz z masą pasażerów wcisnąłem się do środka i jadąc, zastanawiałem się co dalej. Przede wszystkim nie będę mógł wejść do hotelu w kurtce hydraulicznej, bo wzbudzę sensację. Co dalej z Janssonem, którego tajemnicę poznałem niespełna godzinę temu?

Pociąg zatrzymał się na naszej stacji, Ochotnyj Riad, więc wysiadłem, ale okazało się, że Jansson pozostał w pociągu. W ostatniej chwili wbilem się do środka, narażając się na klątwy współpasażerów.

Kolejna stacja, Biblioteka Lenina. Byłem czujny, ale na próżno, Jansson został w środku, zatem kolejna stacja, ze spisu wynikało, że nazywała się Arbacka. I tam też wysiadł agent.

Co dalej? Na Arbacie były podobno knajpki, może się tam umówił? Nic z tych rzeczy, Arbat był na przeciwko wyjścia ze stacji, która zajmowała parter budynku, a Jansson skręcił w prawo. Weszliśmy w szeroki prospekt, który, jeśli wierzyć tabliczkom na budynkach, nazywał się Bulwarem Nikitskim. Musiałem zwolnić, bo enkawudzista szedł powoli, minął skwer, na którym stał pomnik Gogola, i jeszcze bardziej zwolnił przy małym domu, przed którym stała wycieczka szkolna. Z tabliczki wynikało, że tam właśnie mieszkał kiedyś Gogol.

Miałem wrażenie, że i on tam przystanie, ale podszedł do kolejnego gmachu, dopiero w trakcie budowy, o wiele większego niż dom Gogola, bo w najwyższym punkcie mógł mieć nawet siedem kondygnacji. Ku mojemu zaskoczeniu Jansson wszedł do środka przez tymczasowe zbite z desek drzwi.

## ROZDZIAŁ XXII

**W którym zwiedzanie budowy prowadzi do zaskakujących zdarzeń, sprawy, zupełnie niepotrzebnie, nabierają przyspieszenia, dowiaduje się wielu interesujących rzeczy, a pewien tajemniczy nieznajomy straszy mnie Polikarpem Iwanowiczem**

Sklepienia jak w renesansowych albo rzymskich budowlach, czyli w stylu neoklasycystycznym, powie-działem w myślach, jakbym był studentem powtarzającym wykład. Bo rzeczywiście było to powtarza-nie jednego z niezliczonych wykładów Aldony Glock, która non stop mówiła o sztuce i architekturze. Kiedy kochaliśmy się w jakimś nowym miejscu, przy okazji oglądała sufit i nigdy nie omieszkała opisać fachowym słowem tego, co widziała. Może i dziwne, ale mówią, że podobno doświadczone mężatki w takich sytuacjach zadają sobie pytanie: „Pomalować czy nie pomalować?”.

Klatka schodowa była kwadratowa, z szybem windy obudowanym siatką. Kabina już gotowa, ale lin jeszcze nie zamontowano. Skórzane podeszwy współpracownika NKWD słychać było bardzo dobrze, więc skradałem się po cichutku w swoich butach na gumie, która skutecznie tłumiła odgłosy kroków. Jak na swoją tuszę i wygląd wujaszka Jansson radził sobie bardzo dobrze, szedł dość szybkim, a co naj-ważniejsze równym krokiem i nie łapał zadyszki. Pierwsze, drugie, trzecie piętro i... Jego obcasy prze-stały stukać, usłyszałem za to skrzypienie drzwi. Drzwi do mieszkań były pootwierane, jakby zapra-szały, żeby sprawdzić, czy ściany są równo otynkowane, czy podłogi równie wykwintne jak te w wej-ściowym hallu.

– Koniec zwiedzania, panie Haas, ręce w górę! – usłyszałem głos Janssona i poczułem ucisk na ple-cach. – Idziemy dalej na górę, no już!

– To nieporozumienie! Jakaś tragiczna pomyłka!

– Nie rozśmieszaj mnie – uciął Jansson. – Odwróć się i idź powoli na górę, tylko bez numerów!

Doszliliśmy na sam szczyt. Lufą pistoletu wskazał mi lokal, do którego miałem wejść. Nie było drzwi, więc odpadał numer z przytrzaśnięciem mu ręki. Wszedłem do dużego jasnego pokoju, z którego roz-pościerał się widok na Moskwę.

Stanął tak, żeby spojrzeć przez okno, jakby kogoś albo czegoś wyglądał.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Dobrze wiesz.

– Nie pytam się, na kogo masz dokumenty, tylko kim jesteś.

– Henry Haas, obywatel USA, Niemiec z pochodzenia. Dużo tu jest teraz Niemców i Amerykanów, nie jestem kimś wyjątkowym.

Jansson tylko pokręcił głową i się uśmiechnął, jakby chciał powiedzieć: „Bądźmy poważni, mój drogi”. Zamiast tego zapytał:

– Powiedz mi, proszę, od kiedy mnie śledziłeś? – Na jowialnej twarzy Fina pojawiło się zatroskanie, jak u wychowawcy, który chce z upartego urwisa wyciągnąć szkolną tajemnicę. – Od hotelu?

Nie powiedziałem nic, co on przyjął za zgodne milczenie.

– Nawet jeśli jesteś Henrym Haasem, to masz na sobie cudze ubranie. Coś mi się wydaje, że albo je nielegalnie kupiłeś, albo... – zawiesił głos i zrobił zatroskaną minę – ...ukradłeś!

– I jest ci z tego powodu przykro? – zapytałem.

– Można to tak nazwać – powiedział, zerkając za okno – bo wyroki za kradzieże są surowe, a za szpiegostwo... Ajajajajaj! – Pokręcił głową.

– Znalazłem te ubrania! – zaprotestowałem.

– I nie odniosłeś do biura rzeczy znalezionych? Niedobrze, bardzo niedobrze, ale może się jakoś dogadamy, prawda?

– Może się dogadamy, skoro jesteś tak miły.

– Nas zawsze na szkoleniach uczą, żeby być miłymi – powiedział, zbliżając się do mnie.

– A uczą was tego? – zapytałem.

– Czego? – powiedział kpiącym głosem.

– A tego!

Złapałem go za nadgarstek, on pociągnął za spust, ale broń nie wystrzeliła. Twarz jego wyrażała zdziwienie, a po chwili już nic sobą nie prezentowała, bo prawym prostym wyprowadziłem precyzyjny cios prosto w jego kinola. Chlusnęła jucha, Jansson zatoczył się, puścił broń, przejąłem pistolecik i uderzyłem Fina w czerep. Nie, żeby zabić albo pozbawić przytomności, ale żeby zadać ból, oszłomić i pozbawić woli walki.

Tak się stało. Jansson osunął się na ziemię, a ja, żeby nie pozostawić wątpliwości co do sposobu konwersacji, która się za chwilę zacznie, trafiałem go ze szpica w żebra. Chyba trochę za mocno, bo zaskomlał.

– Wiesz, czego cię nie nauczyli na szkoleniach? – rzuciłem.

Zajęczał coś pod nosem i spróbował się nieco podciągnąć, tak by usiąść i oprzeć się o ścianę.

– Wytłumaczę ci coś – powiedziałem, obracając w dłoniach broń – każdy jeden pistolet ma bezpiecznik. – Wskazałem palcem na miniaturową wajchę, która chroniła przed niekontrolowanym wystrzałem. – A ty go nie opuściłeś. To był błąd, a zaryzykowałem, bo nie zawsze nabój jest w komorze. Nie było, a to twój kolejny błąd.

– Powiedzmy... – stęknął Jansson.

Kiedy już się wygodnie usadowił i otarł chusteczką krwawiący nos, zaczął się usprawiedliwiać.

– To pistolet TK, bardzo poręczny, oficerska broń, taki nasz radziecki Walther PPK, tylko ma swoje wady, niewielkie, ale trzeba pamiętać, by był zawsze zabezpieczony, bo może wystrzelić w kieszeni. Naboju do lufy wprowadzać nie można, bo grozi wypaleniem.

Minę miał nieszczęśliwą, jak chłopiec chwalący się przed kolegami latawcem, który wygląda, jak trzebla, ale nie lata, bo jest zmontowany z żelaznych rurek.

– Pewne wady... – Uśmiechnąłem się, słuchając, jak tłumaczy beznadziejność radzieckiego cudu techniki. – Gównu mnie to interesuje. Zaczniemy od tego, jak się naprawdę nazywasz, bo chyba nie Björn Jansson...

– Paavo Virtanen – wystękał, krzywiąc się z bólu, bo pomogłem mu w zeznaniu, trącając go czubkiem buta. – Przestań, bo mi połamiesz żebra!

– Nie łżesz?

– Naprawdę jestem Finem.

– Zdrajca!

– Mściciel – odpowiedział tonem bardzo spokojnym i pewnym siebie.

– A za co ty się możesz mścić?

– Gównu wiesz o Finlandii – powiedział gniewnym tonem, kompletnie nieprzystającym do jego powierzchowności, wcześniejszego zachowania i przede wszystkim położenia – była u nas wojna domowa, podczas której ludzie ginęli nie tylko na froncie. Biali i Niemcy rozstrzeliwali naszych...

– Niemcy? – zdziwiłem się. Faktycznie gównu wiedziałem o Finlandii.

– Niemcy weszli do Finlandii w czasie Wielkiej Wojny i walczyli po stronie białych. To nie była zwykła wojna, wycinane były całe wsie, zabijano cywilów siekierami, zagajniki i lasy pełne były wisielców. Tak skończyła cała moja wioska, ja przeżyłem, bo byłem gdzie indziej.

– Na początku 1918 czerwoni zdławiili opór reakcjonistów, padli zabici, jak to w czasie rewolucji – powiedziałem, Fin to wyraźnie bagatelizował, ale ja oczyma wyobraźni widziałem, jak robią porządek z obszarnikami i inteligentami.

– Odpowiedź białych była niewspółmierna! – powiedział oskarżycielskim tonem. – W lutym zaczęli masowe mordy, wykończyli z dziesięć tysięcy ludzi, niewinnych cywilów, kiedy weszli do Wyborga rozwalali wszystkich jak leci. Ktoś dał rozkaz, żeby rozstrzeliwać każdego, kto nie mówi po fińsku, bo każdy taki to rosyjski komunista. Zabijali także Polaków, którzy wcześniej się bili po ich stronie.

– Słuchałem tego z uwagą, bo nie słyszałem nigdy o rzezi w Wyborgu.

– Tak po prostu weszli do miasta i rozstrzeliwali?

– Tak, po prostu weszli rankiem pewnego kwietniowego dnia i każdemu, kogo spotkali, zadawali parę pytań po fińsku. Kto choćby kaleczył fiński, ten był pędzony na dworzec kolejowy, a stamtąd na zamek. Nikt nie wrócił.

– Dlaczego udawałeś Szweda? – zmieniłem temat.

– Z przekory. – Uśmiechnął się pod wąsem. – Do 1809 byliśmy pod szwedzkim panowaniem, a kiedy przeszliśmy pod rządy Rosji, dostaliśmy autonomię, nastąpiło przebudzenie narodowe, a później poczuliśmy świadomość klasową! Przeszliśmy ewolucję od szwedzkiej niewoli, przez narodową emancypację, aż do socjalistycznej wolności!

Pokiwałem głową, bo zaczęło się od zemsty i patriotycznej gadki, a skończyło na komunistycznej propagandzie. Coś z nim trzeba było zrobić. Tylko co? Nie mogliśmy tak tkwić w tej ruderze w nieskończoność, zwłaszcza że Fin ukradkiem zerknął na zegarek, wcześniej, kiedy trzymał mnie na muszce, co jakiś czas wyglądał przez okno.

– Z kim się tu umówiłeś?

– Z nikim.

– Kłamiesz. Po co tu przyszedłeś?

– Żeby obejrzeć swoje mieszkanie.

– Słuszaj, mienia Paavo – nagle przeszedłem na rosyjski – składałam bukwy jako tako, więc widziałem tabliczkę, to ma być Dom Polarnika, a nie enkawudzisty czy fińskiego handlarza.

– Taki dostałem przydział! – powiedział w sposób niezwykle przekonujący.

Może ktoś inny by się nabrał, ale nie ja. Jeśli był sowieckim szpiegiem na Zachodzie, to tylko skończony idiota puściłby go wolno. Co teraz zrobić? Zdekonspirowałem agenta, a i on się do mnie przykleił.

– Dlaczego mnie śledziłeś? Po jaką cholere, żeś się do mnie przyssał? – zapytałem, tak na koniec, z ciekawości.

– Nie wiem – wzruszył ramionami – w pociągu wydałeś mi się... Nie wiem czemu, instynkt mi podpowiedział, a on mnie rzadko kiedy myli. Wygląda na to, że miałem rację. A ty kim jesteś?

– Jestem...

Miałem już ochotę mu na koniec powiedzieć, tak jak to się robi w powieściach i filmach, wyznać wrogowi co i jak, żeby go dobić. Ale na filmach po takim wyznaniu jest jeszcze ostatnia walka, jakaś dogrywka, dodatek, żeby udramatyzować i przedłużyć seans.

– Jestem twoim ostatnim wspomnieniem – powiedziałem, wałąc go kolbą w głowę.

Osunął się na ziemię bez przytomności. Wyjąłem dokumenty z jednej kieszeni, obejrzałem pozostałe, znalazłem pęk kluczy i bilety do Helsinek, notes oraz piętnaście tysięcy dolarów, dychę ściśniętą gumką i piątką w koperce, z monogramem P.I. Zabrałem wszystko, co milicji utrudni identyfikację, choć na pewno po ubraniu zorientują się, że to cudzoziemiec. Wziąłem go pod ramiona i chciałem wy-

pchnąć przez okno, ale szybko zrezygnowałem, bo człowiek spadający na ulicę narobiłby niepotrzebnej sensacji. Wyciągnąłem Janssona na klatkę schodową i postanowiłem skorzystać z tego, że na ostatnich piętrach nie założono jeszcze osłon na szyb windy.

Przepchnąłem go przez barierkę. Przedtem sprawdziłem, czy jest nieprzytomny. Był to kawał skurwysyna, ale jakoś nie potrafiłem zadać śmierci w ten sposób, by świadomie przeżywał lot. Był nieprzytomny, więc bez skrępowań wypchnąłem go przez barierkę. Runął bezwładnie, obijając się o poręcze i schody, później sunął z łoskotem wzdłuż siatki szybu windy, odbił się i trafił głową niemal prosto w środek kabiny. Rozległ się nieprzyjemny trzask pękającej czaszki i dachu kabiny, w górę poleciały drzazgi, kurz i czerwony obłoczek krwi. Uderzenie było tak silne, że Virtanen przebił dach kabiny i jego pogruchothane szczątki leżały na podłodze windy.

W kronikach kryminalnych napisaliby „zmarł, nie odzyskał przytomności”. Nie cierpiał, nie miał świadomości lotu w dół, dobre i to, pomyślałem, bo nie byłem specem od mokrej roboty, wysyłanie ludzi na tamten świat nie jest tym, co lubię.

Musiałem go wysłać na tamten świat, bo wiedział za dużo, a raczej to ja za dużo wiedziałem. Agent, który został zdekonspirowany, nie zostawi cię w spokoju. Trzeba było wiać, odruchowo wziąłem jego torbę i zacząłem zbiegać po schodach. Z każdym krokiem zbliżałem się do swojej ofiary; nie było to nic przyjemnego zobaczyć człowieka, któremu zmiażdżyło się głowę. Dotarło do mnie, że skoro był tu umówiony, to może dojść do spotkania, którego wolałbym uniknąć.

Ruszyłem spod windy w kierunku głównego hallu, byłem już na ostatniej prostej, z półpietra do sieni, i wtedy pojawił się przede mną cieć. Przystanął i to był jego błąd, bo ja nie zwolniłem tempa i wykorzystując różnicę wysokości, runąłem na niego. Impet był silny, a on nieprzygotowany, więc padł na posadzkę i przydzwonił o nią głową, tak że już się nie poruszył. Fina zabiłem, bo musiałem, a tego chciałem tylko przewrócić, co najwyżej znokautować.

Wtedy zobaczyłem biegnącego do mnie człowieka w szarym palcie i zmiętej cyklistówce. Kulał na lewą nogę, był krępy jak zapaśnik, wąsaty, chyba Cygan. Zabrakło mu dwóch metrów, stanął jak wmurowany, bo zobaczył w moich rękach broń. Skierowany w jego pierś pistolet, jeszcze parę minut temu należący do Fina, uratował mi życie.

– Ruki wierch! – krzyknąłem po raz pierwszy od 1920 roku, kiedy braliśmy do niewoli sowieckich jeńców. Dwa słowa, w których akcent nie zdradził, że mogę być cudzoziemcem.

Kulejący typ patrzył na mnie spode łba, ale karnie wykonywał polecenia, które dawałem mu łufą pistoletu. Położył się na ziemi, a jak zaszedłem go od tyłu i rozejrzałem się za czymś, czym mógłbym mu skrepować ręce i nogi. W zasięgu wzroku nie było jednak ani sznura, ani kabla.

– Pożałujesz – syknął po rosyjsku, próbując podnieść głowę i spojrzeć w moim kierunku, ja na to przyłożyłem mu łufę i docisnąłem głowę do posadzki. Zrozumiał, że nie warto się ruszać, ale nie przestał syczeć.

– Polikarp Iwanowicz ci tego nie daruje, nie daruje!

Przeklinał, wygrażał, a ja krok po kroku oddalałem się w kierunku drzwi, przed wyjściem na ulicę schowałem pistolet i poprawiłem czapkę. Nie wiem, czy ten kulawy typ w cyklistówce próbował mnie gonić. Skręciłem w jakąś bramę, pokonałem jedno podwórko, drugie, wyszedłem na szeroki prospekt i wmiszałem się w tłum.

## ROZDZIAŁ XXIII

**W którym jestem w cyrku, ale wcale mi nie do śmiechu, Wiera się niepokoi, kluczę po moskiewskich ulicach, dokonuję zakupu z ogłoszenia, dowiaduję się, co znaczy „komunałka”, poznaję park Patriarsze Prudy, rozmawiam z zagubioną dziewczyną i czuję, że wpakowałem się w poważne kłopoty**

Kropnąłem setkę dla spokoju i dla efektu. Nie do końca pomogło, najchętniej zrobiłbym się na perłowo, ale nie miałem z kim, a do lustra nie piję. No i nawet gdybym miał z kim wypić, to nie ze zwyčajnym kimś. Obrócenie flaszki miało sens tylko w przypadku zrobienia tego z kimś zaufanym, prawdziwym kumpłem, któremu mógłbym opowiedzieć, co się stało. W Moskwie takiego nie było, była za to Wiera Majska, która wyciągnęła mnie z pokoju, bo przecież było dziś wyjście do cyrku. Zawlekła mnie tam, choć nie miałem najmniejszej ochoty na popisy treserów, akrobatów i klaunów. Ale musiałem, to miał być wieczór jak każdy inny, jak gdyby nigdy nic. Prawie jak każdy inny, bo wiedziałem, że po sztuce nie pójdziemy z Janssonem na wódeczkę, a potem Fin nie przeleci towarzyszki przewodniczki.

Cyrk jakoś przeżyłem, zmęczyłem uzbeckie wielbłądy, ussuryskie tygrysy, francuskie pudle, akrobatów z Rostowa, dżygitów na koniach i klaunów-burżujów, dałem radę, bo w bufecie podawali wódkę, więc wałnałem w przerwie kolejeczkę. Wierę Abramowną to oburzało, choć nie tak bardzo jak nieobecność Janssona.

Miałem spokojniejsze noce w życiu, ale i parę gorszych. Zabicie nawet kogoś takiego jak Fin nie zdawało się codzienne i zostawiało trujący ślad. Nie wypilem dużo, ale rano czulem się fatalnie, kwadrans po dziewiątej zszedłem na śniadanie i usiadłem przy pustym stoliku. Wiera dosiadła się natychmiast.

– Spóźniłście się! – powiedziała z wyrzutem.

– Jak dla mnie to wstałem w sam raz. – Uśmiechnąłem się.

– Wypiliście wczoraj za dużo! – oburzała się dalej.

– Nie da się ukryć. – Skrzywiłem się i dodałem z entuzjazmem: – Nakryła mnie pani, bardzo przepraszam!

– Czy rozmawialiście z Janssonem?

– Nie, pukałem do jego pokoju przed zejściem na śniadanie, myślałem, że już tu jest.

– Nie ma – odparła sucho.

Była zdenerwowana, bo mogła zdawać sobie sprawę z tego, że zawieruszył się już wczoraj. Jeśli znów przyszła do pokoju, żeby się z nim trochę pokotłować, to pocałowała kłamkę. Ciekawe, co było ważniejsze, zazdrość kochanki, że może przygruchał sobie inną, czy strach opiekunki z Intouristu, bo zgubiła „innastrańca”. Z pewnością miała nie tylko oprowadzać po atrakcjach Moskwy, ale też kontrolować. Gdzie indziej, owszem, zmartwiono by się, ale bez przesady, tak bardziej pro forma, a tu zaczęły się nerwowe ruchy. Kto powinien zgłosić jego nieobecność władzom, kto był bardziej odpowiedzialny? Wiera jako opiekunka, która w teorii nie spędzała nocy w hotelu, etażnaja, która śledzi całe piętro, czy może recepcjoniści, bo oni są czujni jak strażnicy w garnizonie. I pewnie jest jeszcze ktoś, jakiś agent, detektyw hotelowy. Kto z nich w oczach władzy będzie winien? A może wszyscy jak leci?

Wiera zrobiła aferę, zapanowało zamieszanie, pojawiła się milicja i faceci wyglądający na tajniaków.

– Wy wyjeżdżacie w czwartek? – zapytał mnie tajniak. Kaleczył angielski, ale mówił w miarę wyraźnie.



Przytaknąłem. Popytał jeszcze o jakieś pierdoły, potem dał mi spokój, a ja, korzystając z zamieszania, wyszedłem z hotelu, za godzinę miałem spotkać się z Margaret. Bagaż nie był ciężki, a z mapy wynikało, że na Wielką Sadową 10 będę szedł nie dłużej niż pół godziny. Miałem obawy, że mogą mnie śledzić. Postanowiłem więc, że nieco skomplikuję sobie przejazd. Zamiast do taksówki wsiałem do dorożki i kazałem się wieźć do Biblioteki Lenina.

Dorożka ruszyła, a ja sięgnąłem do prawej kieszeni, w której nosiłem lusterko. Poprawianie sobie fryzury w dorożce było syzyfową pracą, bo fiakier nieźle się rozpędził, ale cel został osiągnięty. W lusterku zobaczyłem, że spod hotelu ruszyły w tym samym kierunku dorożka i auto osobowe. Mógł to być oczywiście przypadek, to się dało łatwo ustalić. Najpierw przyjrzałem się autu, które było rosyjskim bratem Forda A w kolorze przybrudzonej czerni. Na szczęście miał lekko puknięty prawy błotnik, więc miałem jasność, że go rozpoznam.

Nie byłem zawodowym szpiegiem, ale byłem kiedyś zawodowym kasierzem, konspirowałem za dzieciaka dla POW i kolejny raz w życiu udawałem kogoś, kim nie byłem, miałem więc doświadczenie i byłem wyczulony na różne sprawy. To, co było absolutną oczywistością, to nieufność wobec hotelowej obsługi, dozorców, taryfarzy i dorożkarzy. Nawet jeśli nie współpracują z policją, to z racji swojej profesji znają adresy i nazwiska, dlatego śledczy zawsze wałą do nich na spytki, a niekiedy czynią z nich informatorów, czy to za pieniądze, czy inne przysługi, nie mogłem więc zamówić dorożki czy taksówki pod adres Margaret. Nie chciałem też sprawdzać, czy ford z walniętym błotnikiem jedzie za nami specjalnie, czy też tylko przypadkiem. Ale na to byłem przygotowany.

– Stój, stój! – krzyknąłem do dorożkarza, choć do gmachu biblioteki był jeszcze kawalek.

Zapłaciłem, wysiadłem z dorożki i zamiast do biblioteki, poszedłem do stacji metra. Wmieszałem się w tłum zmierzający do podziemnej kolejki. Miałem szczęście, bo właśnie nadjechał pociąg, było mi wszystko jedno w jakim kierunku, akurat trafił się kurs na Sokolniki. Przejechałem nim jak wczoraj na Łubiankę, a stamtąd już pieszo udałem się na Wielką Sadową. Jeśli mnie śledzili, to zgubiłem ich, jeśli mnie nie śledzono, tym lepiej.

Szedłem sobie spacerkiem trzy kwadransy, aż doszedłem pod interesującą mnie kamienicę, która lata świetności, tak jak wiele innych moskiewskich budynków, miała już za sobą. Teraz najważniejsza rzecz, wyjąłem z kieszeni złożoną gazetę, na której było ogłoszenie zakreślone ołówkiem, a na marginesie wypisane po angielsku tłumaczenie. „Sprzedam wachlarz chiński, M. Azajewa, Wielka Sadowa 10/34, przed południem”. Była to przykrywka dla podtrzymania wrażenia, że nie mówię po rosyjsku, no i miałem gotowe wyjaśnienie, co sprowadza cudzoziemca do zwykłego sowieckiego domu. Samego, bez przewodnika czy tłumaczki. Wymyślił to Julek, któremu pomysł podsunął Antoni Slonimski. Pisarz na wycieczce w Moskwie wybierał z gazety ogłoszenia, a później szedł niby to kupować, a tak naprawdę zapuścić do środka żurawia i zorientować się, jak wyglądało prawdziwe sowieckie życie.

Stanąłem przed drzwiami numer 34 i już wiedziałem, że jest źle. Obdrapaną klatką schodowa mówiła wystarczająco dużo, zapach kapusty mieszkający się z innymi woniami, których pochodzenia wolałem się nie domyślać, dopowiadał swoje. W jednym mieszkaniu było teraz co najmniej siedmiu lokatorów, jak głosiła bowiem kartka:

Iwanowa dzwonić raz  
Bałuszenko 2 razy  
D.W. Tabuładze 3 razy  
Azajewowie 4 razy  
Truszkiny 5 razy  
Karpin 6 razy  
Raian 7 razy

Raian to musiała być Margaret, Margaret Ryan! Tyle że ja miałem dzwonić do Azajewów, bo to oni dali ogłoszenie o sprzedaży wachlarza. Nadusiłem cztery razy elektryczny dzwonek i czekałem. Bardzo szybko rozległy się kroki, usłyszałem, jak trzeszczy podłoga, dobiegł mnie też jakiś metaliczny odgłos.

Drzwi otworzyły się i buchnął smród poprzedzający pojawienie się zwalistego typu w podeszłym wieku, ubranego mimo chłodu w podkoszulę, który być może kiedyś był biały. Na kremowoszarej materii odznaczały się plamy informujące o spożywanych przez to indywidualium posiłkach. Niektórych nawet dość dawno, bo ślady po pomidorze zawierały w sobie pestki, tak mocno wysuszone, jakby od konsumpcji minęły miesiące.

– Czego? – rzucił po rosyjsku.

– Wy Azajewa? – zapytał rosyjskim dla mocno początkujących cudzoziemców.

– Ja jestem Azajewa – rozległo się po rosyjsku i zobaczyłem, jak zza typu wylania się drobna, skromnie ubrana pani. Miała może siedemdziesiąt lat, była drobnej budowy i biła z niej jakaś godność. – Nikołaju Aleksandrowiczu, ten pan najwyraźniej do mnie, pewnie z ogłoszenia.

– Jak do was, skoro do mnie! – zabulgotał typ.

– Bo były cztery dzwonki, a cztery dzwonki to znak, że przyszedł ktoś do nas, do mojego męża Tymofieja Nikołajewicza albo do mnie.

– Sześć było! Sześć jak do Karpina, a Karpin to ja! Ile razy dzwoniliście? – Typ nie ustępował, wbił mi brudny paluch w pierś.

W innej sytuacji złamałbym mu ten paluch, a potem sprzedał fangę w nos albo kopa w jaja. Teraz musiałem zgrywać głupka.

– *Ja nie gawrju pa ruskii, ja innastraniec* – wyrecytowałem z najgłupszym możliwym akcentem.

– Cudzoziemiec! – rozpromieniła się pani Azajewa. – Czy wy się spodziewaliście cudzoziemca, Nikołaju Aleksandrowiczu?

– A co to ja nie mogę znać jakiegoś tam innastranica? Co ja gorszy, czy jak?

– *Chez qui es-tu venu?* – zapytała pani Azajewa.

Francuskiego nie znałem, więc zupełnie naturalnie wybałuszyłem oczy.

– Taki to innastraniec – Nikołaj Aleksandrowicz Karpin się zaśmiał – jak z koziej dupy trąba. Kto ty, kurwa, jesteś i co dla mnie masz, gadaj, bo mnie biesiadę przerwałeś! – Mówiąc to, z zainteresowaniem zerkał na paczkę, którą miałem pod pachą.

– *I don't understand.* – Pokręciłem głową.

– Anglik! – ucieszyła się pani Azajewa i dodała w mowie Szekspira: – Mówię po angielsku, choć dość słabo!

Mówiła bardzo dobrze, a po francusku jeszcze lepiej, jakby przyjechała prosto z Paryża.

– Jestem Amerykaninem – odparłem.

– Do kogo pan przyszedł?

– Z ogłoszenia do Azajewej, pani, panny, w każdym razie w sprawie wachlarza.

– Co jest kurwa? – Z niepokoju Nikołaj Aleksandrowicz przeszedł w stan wzburzenia. – Dawaj, co tam masz dla mnie, bo nie mam czasu – rzucił, po czym złapał mnie za kłapy palta, po chwili puścił, ale tylko po to, żeby wyrwać mi paczkę.

Zrobiłem unik, a on rozczarowany gniewnie warknął.

– Nikołaj! – rozległo się z czeluści korytarza. – Wracaj tu, na dupie siedź, bo znowu przyjdzie milicja!

Typ zamarł, po chwili zrobił się mniejszy, a po kilku sekundach skarłał, zdawał się zapadać w sobie z każdym uderzeniem brudnej ściery, którą okładała go krępa kobieta ubrana w ni to szlafrok, ni to fartuch, o bliżej nieokreślonym kolorze, w każdym razie w kwiatki.

Karpin wycofał się w głąb korytarza, droga wolna!

– Przepraszam pana za mojego sąsiada i z góry za warunki, które pan tu napotka, witam w komunalce, tak się teraz mieszka w Moskwie. Kiedyś to był dobry adres, Kamienica Pigita, pokoje odnajmowano uczelni Wyższych Kursów dla Kobiet, mieszkali też lekarze i artyści, jeszcze niedawno nawet jeden literat, Michaił Afanasjewicz. Z tego wszystkiego nie przedstawiłam się, przepraszam, gdzie ja po-

działam głowę? Maria Azajewa, Maria Stanisławowna – dodała, jakby chciała podkreślić, że jej ojciec nosił polskie imię.

Ruszyliśmy przez korytarz zastawiony pudłami, koszami i walizami, jakimiś częściami od maszyn. Na ścianie wisiał sportowy rower z jednym kołem, a na podłodze stał dziecięcy z dwoma, ale i jemu brakowało kluczowej części, bo to był – w teorii – trójkołowiec. Weszliśmy do kuchni, z której rozchodził się zapach jedzenia, jakiego nie tknąłbym, choćbym miał zdechnąć z głodu. Parujących garnków było kilka, każdy stał na innej maszynie spirytusowej.

– Każdy ma własny prymus – wyjaśniła Maria Stanisławowna. – Bałuszenko gotuje kartofle, państwo Tabuładze jakiś gulasz, a Truszkiniowie... oni gotują jakieś pranie, doprawdy nie wiem, jakiego proszku używają.

Przez dawny salon, który był podzielony kotarami na oddzielne pokoje, doszliśmy do pokoju Azajewów.

– Mój mąż, Fiodor Eduardowicz, śpi teraz.

Wskazała na łóżko. Twarz mężczyzny była pergaminowa, on sam wysuszony, oddech miał świszczący, ale siwe włosy przyczesane.

– Mąż choruje – wyjaśniła coś, co było absolutnie jasne, nie dodała jednak, że przewlekłe, nie musiała.

Podeszła do ściany i zdjęła z niej wachlarz, był naprawdę piękny, chyba hiszpański, a może portugalski. Przy okazji omiotłem wzrokiem ściany, które były zabudowane półkami uginającymi się pod ciężarem książek. Kim byli? Nauczycielami, naukowcami, prawnikami? Nie pytałem, wyciągnąłem z kieszeni pieniądze.

– Jest piękny, kupuję!

– Nie spytał pan nawet o cenę. – Kobieta się uśmiechnęła.

– Kosztuje sto dolarów, prawda?

– Nie... – odparła niepewnym głosem.

– A ja wiem, że tak. To rzeczy dla Margaret, proszę jej przekazać. – Podałem jej paczkę.

– Margaret zajmuje część salonu, jej nazwijmy to pokój to środkowa część, ale spotka się z panem na Patriarszych Prudach, niech pan będzie przy wejściu, wyjaśnię panu, jak tam trafić.

Zapamiętałem słowa Marii, podziękowałem i miałem już wyjść, lecz stanąłem w drzwiach i zapytałem:

– Nie chcą państwo stąd wyjechać?

– Nie możemy już, wszystko stracone, przegapiliśmy ten moment, Fiodor myślał... – W jej oku zakręciła się łza. – Potem rozchorował się, teraz nie przeżyłby podróży.

Wręczyłem jej sto dolarów i pożegnałem się, zapominając o wachlarzu.

Po pięciu minutach byłem na Patriarszych Prudach, w małym parku, który otaczał staw. Wokół znajdowały się stare kamienice, słońce pięknie świeciło, więc było trochę jak na obrazach impresjonistów, niektóre szczegóły się zamazywały, inne błyszczały, ginęła część moskiewskich niedostatków.

I wtedy nadeszła ona, niczym szczególnym się nie wyróżniała, poza oczami, niezwykle niebieskimi. Podeszła do mnie i nagle cała siła i tajemniczość, która była w jej spojrzeniu, zamieniły się w płacz.

## ROZDZIAŁ XXIV

**W którym pierw przechodzę załamanie i brakuje mi pomysłu, jak wyjść z opresji, po czym pogrywam tak, jakbym był Zagłobą, w którym o palmę pierwszeństwa biją się umysły kupców starozakonnych i ormiańskich, a na koniec dostaję propozycję szybkiej i wygodnej podwózki**

Staliśmy na Patriarszych Prudach, a Margaret płakała. Nic nie mówiłem, dałem jej dojść do siebie.

– Musisz być ze mną, boję się...

– To twój paszport! – Wyjąłem dokument dla dziewczyny.

– Schowaj go natychmiast, ktoś może śledzić mnie albo ciebie.

– Musisz jechać sama – powiedziałem twardo – masz bilet, na poniedziałek, do Helsinek, lepszy kierunek niż Polska, pokażesz paszport...

– Ja się ich boję, mam powody...

– Mam bilety na inny pociąg, tak było umówione, przyjechałem tu tylko dać ci paszport i ubranie.

– Proszę, zrób coś!

W normalnym kraju trzeba by było próbować przebukować bilet, ale Sowiety nie były normalnym krajem. Chwała Bogu, jeśli w ogóle nad Sowietami mógł czuć jakiś bóg. Teraz musiałbym pójść na dworzec kolejowy, żeby stanąć w ogonku, tym krótszym, bo do kasy pierwszej klasy i dla pociągów ekspresowych oraz międzynarodowych, i tam za stosowną dopłatą dokonać zmiany biletu. Zaraz przypomniały mi się opowieści o pociągach, które odejdą albo i nie. Poza tym jako cudzoziemiec, będący pod opieką agencji Intourist, jestem tak samodzielny jak w Polsce dziecko z ochronki, które chciałoby się z walizką i najdroższym misiem pod pachą udać w daleką podróż.

Kicha, pomyślałem, ale przecież bywało gorzej i jakoś spadało się jak kot, na cztery łapy. Nie panikować, załączyć kiepełę, wygrać to jak partię brydża, w której ma się słabe karty.

– Masz tu jakichś przyjaciół, kogoś... kto mógłby się dla ciebie poświęcić?

– Tylko jednego, ale mieszka w Leningradzie.

– Kim jest?

Zaczęła opowiadać, z każdą kolejną minutą historia robiła się coraz bardziej interesująca, tylko co mi z niej przyjdzie? Kiwałem głową, zbierałem fakty, robiłem dobrą minę do złej gry, w zasadzie minę zadowolonego z siebie idioty, który idzie na szafot i przekonuje innych, że właśnie robi wielką karierę, bo za chwilę zostanie ścięty na oczach tysięcy widzów, a jutro napiszą o tym wszystkie gazety.

Pożegnałem się z Margaret i obiecałem, że wszystko będzie w porządku, a ona z wdzięczności pocałowała mnie w policzek. Poszedłem do hotelu i snując się noga za nogą, zastanawiałem się, jak wybrnę z tej sytuacji. Pomyśl wpadł mi do głowy, kiedy zobaczyłem wielki transparent z napisem: „1917 XIX годовщина Великой Октябрьской Революции 1936”. Dziewiętnasta rocznica Wielkiej Rewolucji Październikowej, przetłumaczyłem sobie w myślach.

Nie ogarnąłem jeszcze, jak działa moskiewska komunikacja, a chciałem się dostać do hotelu w dwie minuty, a nie w dwadzieścia. Myśli tłukły mi się po głowie, zdawało mi się, że każda sekunda jest droga, więc nie kombinowałem, stanąłem przy krawężniku i machnąłem zielonym banknotem. O mało nie doszło do wypadku, bo kierowca, który chciał zarobić, zawrócił na jezdni. Wskoczyłem do szoferki licencyjnej ciężarówki forda i powiedziałem, gdzie jechać.

Kierowca wyglądający na południowca mówił jakimś połamanym rosyjskim. Jechał jak szatan, a swój rajd komentował, jakby pracował w radiu i sprawozdawał z Pola Mokotowskiego Wielką Warszawską. Szczęśliwie dojechaliśmy pod hotel, kierowca z namaszczeniem schował banknot do kieszeni i krzyknął: „Nakhwamdii!”, albo coś w tym rodzaju. Mam nadzieję, że było to „do widzenia”, a nie jakieś „spieprzaj”.

Ruszyłem w kierunku recepcji, gdzie siedziała moja znajoma.

– Wiero Abramowna – zagadnąłem grzecznie i dworsko, zupełnie nie po proletariacku, zdejmując kapelusz i chyląc przed nią czoło – mam poważny problem!

Spojrzała na mnie jak ktoś, kto jest na środku pustyni i napił się chętnie szklanki wody, a pytająco o to, czy nie ma aby zimnego szampana.

– Słucham was – odpowiedziała umęczonym głosem – mam dość kłopotów przez pańskiego przyjaciela z Finlandii.

– To żaden mój przyjaciel – zaprotestowałem.

– Czyżby?

– Po prostu przypadkowy towarzysz podróży! Towarzyszko Wiero, chciałem zostać w Moskwie o kilka dni dłużej... Chciałem jeszcze pozowiedać, pokazała pani bardzo wiele, ale czuję niedosyt, miasto jest takie ogromne!

– Ciekawe, co takiego chcielibyście jeszcze u nas zobaczyć. Mam nadzieję, że jakiś ważny i uzasadniony – powiedziała, wbijając we mnie przenikliwy wzrok – jeżeli liczycie na to, że w te dwa dni uda wam się jeszcze zobaczyć Borysa Godunowa, to nadzieje na to są mniejsze niż na to, że imperialiści i burżuje obalą radziecką rewolucję.

Pokręciłem głową.

– Ja, Wiero Abramowna, chciałbym zobaczyć... Lenina i paradę z okazji święta rewolucji!

Tak właśnie powiedziałem i pomyślałem sobie, że na taki fortel mógłby tylko wpaść im pan Zagłoba, który odkrył w sobie żydowską krew i ormiańską krew, po czym rozkręcił największy interes między warszawskimi Nalewkami i Ormiańską we Lwowie. Bo mój bajer naprawdę był mocny.

– Mówicie poważnie?

– Wiero Abramowna – westchnąłem ciężko – jestem z natury kawalarzem, ale gdzież bym śmiał...

Kiwała tylko głową, nic nie mówiła, wargi miała zacisnięte, a ja postanowiłem połączyć skruczę ze szczerością, którą śmiało można by nazwać psychicznym ekshibicjonizmem.

– Nie chcę popełnić błędu, nigdy bym sobie tego nie wybaczył. Kiedyś dostałem cynk, w jakiej kolejności przyjdą konie na wyścigach. Gdybym wtedy posłuchał i postawił dziesięć tysięcy dolarów, to stałbym milionerem! Do tego, będę szczery, zrozumiałem, że jeśli wrócę do Chicago, to wszyscy mnie będą pytać o Lenina. I co ja im wtedy powiem? Że nie byłem ciekawy? Że choć mogłem, to nie zobaczyłem, że wyjechałem tuż przed świętem rewolucji? W końcu Chicago to miasto pierwszego pochodu majowego!

Zabiłem jej ćwieka. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, zagлуzyłem tę czekistkę z Intouristu skuteczniej, niż mogłem to sobie wyobrazić. Stała kompletnie rozbita i zdezorientowana, jakby właśnie Radio Moskwa oddało głos Stalinowi, który uroczystym głosem oświadcza: „Towarzyszki i towarzysze, myliłem się! Bóg istnieje i jest miłością!”.

– Muszę przyznać, że mnie zaskoczyliście, piszcie więc podanie o przedłużenie pobytu i podajcie jego powody – powiedziała to jednak bez entuzjazmu. – Macie wizę ważną jeszcze przez tydzień, zatem najważniejszy warunek jest spełniony, ale... będzie to wymagało dopłaty... wysokiej dopłaty – dodała z pewnym zażenowaniem, jakby wstydyła się za Intourist, który wyciąga dewizy od cudzoziemców, którzy chcą zbliżyć się do Wodza Wielkiej Rewolucji Październikowej.

– Oczywiście dopłacę, ile będzie trzeba – zapewniłem gorliwie, jakbym się już do tej partii zapisał i przyszło do płacenia składek.

- Należy dopłacić do biletu...
- Do pociągu, który jedzie do Helsinek, bo tam mam interes do załatwienia. – Spojrzałem błagalnie w oczy przewodniczki.
- To się da załatwić, ale przede wszystkim musimy was przeprowadzić z Hotelu Moskwa – wyjaśniła.
- Wiero Abramowno, nie trzeba, mi tu było bardzo dobrze!
- Wszystkie pokoje są już tutaj zarezerwowane, może będzie coś wolnego w Metropolu, to niedaleko stąd – mówiła to jednak z nieszczególną miną.
- Ale to przyzwoity hotel, ten Metropol? – zapytałem.
- Jak najbardziej! – powiedziała z dumą, jakby państwo robotników i chłopów było od tego, by oferować luksusy. – Tylko będziecie musieli się do niego wprowadzić wieczorem, już na tę noc. Pamiętajcie, to nic pewnego tak na ostatnią chwilę.
- Na ostatnią chwilę, być może moją i tej biednej Margaret Ryan.

Poszedłem do pokoju i czułem, że prędzej zdechnę, niż doczekam się odpowiedzi od Wiery. Bałem się, że powie, że to niewykonalne, a nawet jeśli? Miałem jakiś paraliż umysłowy. Moskwa działała na mnie źle, bałem się, że będzie mi grobem. Albo załatwi mnie jakiś kolejny Jansson z NKWD. Było mi duszno.

Włączyłem radio, muzyka pomaga, nawet jeśli mieliby śpiewać o miłości do Lenina i Stalina. Niech śpiewają, bo Rosjanie robią to pięknie. Przekręciłem galkę i oczywiście żadnego jazzu i swingu, nie było też chórów, tylko wykłady, odczyty i przemówienia. Robotnicy wrócili z fabryk, więc muszą się uczyć. W końcu zasnąłem na jakiejś lekcji z postępowej literatury, za to wybudził mnie wrzask aktywisty, który wył w uniesieniu o nadchodzącym święcie rewolucji.

– *Bładź!* – warknąłem po rosyjsku.

Myślałem o jakimś krótkim spacerku, żeby nie skisnąć.

Wyszedłem z hotelu. Piękny wieczór, słoneczny i lekko mroźny. Mimo że nastąpiła uwielbiana przez artystów złota godzina, to i tak dominowała szarość. To przez ludzi, zmęczonych i wystraszonych. Sam byłem w nie lepszej kondycji, bo udzielał mi się nastrój tego miasta, a do tego czułem, że dokumenty, które mam w kieszeni, palą mnie jak ogień. Paszport Margaret to betka, gorzej, że miałem papiery, które zabrałem Janssonowi. Najpierw byłem dumny z tego pomysłu, bo utrudni to identyfikację zwłok, które nie miały twarzy, no i było tam jego zdjęcie, dla Julka i wywiadu to były bezcenne informacje.

Znów wydało mi się, że jestem śledzony; idąc Twerską w stronę bulwaru, próbowałem wypatrzeć ogon w odbiciu sklepowych szyb. Od razu zauważyli, że ich sprawdzam, bo kto się zatrzymuje przed pustymi witrynami! Ktoś, jakby spłoszony, zmienił kierunek. A może to tylko złudzenie? Co rusz zatrzymywałem się przy jakichś ogłoszeniach i kioskach. Ale nikogo podejrzanego nie wypatrzyłem. Dopiero przy wózku z kwasem dostrzegłem dwóch mężczyzn, na moje oko wywiadowców. To było tak oczywiste, że aż niemożliwe – to miała być dyskretna obserwacja? A może dyskrekcja wcale nie była potrzebna?

Nagle mężczyźni ruszyli w moją stronę. W tej samej chwili zatrzymał się przy mnie samochód, ford z wgiętym prawym błotnikiem, drzwi od strony pasażera się otworzyły. Z gabloty wysiadł ponadczterdziestoletni mężczyzna o siwych, bardzo krótkich włosach. Jego twarz nie zapowiadała nic dobrego.

– *Gaspadin Amerykaniec, priglaszaju was w awtamaszину, nam nada niemnożka porazgawariwać!* – Uśmiechał się, ale jego niebieskie oczy i szrama na policzku nie miały w sobie nic wesołego.

Nie miał broni, a w tej chwili już trzech mężczyzn, bo także uliczny sprzedawca arbuźów okazał się jednym z agentów, zagrodzili mi drogi ucieczki.

Co można było wymyślić, mając przeciwko sobie trzech uzbrojonych przeciwników? Trzech na jednym w środku miasta, którego nie znałem, w którym nie miałem żadnej meliny, znajomych. Odwagi i brawury nie należy mylić z samobójstwem, nie można popełniać ryzyka, które jest równoznaczne

z przyjęciem kulki w łeb, jeśli były jeszcze jakieś szanse. A ja uznałem, że były, czułem to podskórnie, a może tylko jak skazaniec oszukiwałem, że przełożą moją egzekucję.

– Porozmawiać ludzka rzecz – odpowiedziałem po rosyjsku. – Z kim mam przyjemność?

– To nie jest w tej chwili istotne, mojemu szefowi zależy na tej rozmowie, więc i wam, Henryku Władysławowiczu, powinno na niej zależeć.

Uchyliłem grzecznie kapelusza i wsiałem do samochodu. Kierowca miał gołą głowę i był rudy jak mała Leopoldyna Walewska i... cholera, nie znałem dziadka, męża babci Gertrudy Muller, ale mama mówiła mi, że dziadek Johann był rudy! Że też teraz musiałem sobie o tym przypomnieć.

## ROZDZIAŁ XXV

**W którym porwanie upraszcza wiele spraw, w czasie pierwszego przesłuchania dowiaduję się, co to znaczy wor w zakonie, walczę o życie, negocjuję dobrą cenę, niespodziewanie rozwiązuję problem, spotykam panów Iwanowa i Jesienina oraz dostaję bilet na procesję**

– Nie jesteście ciekawi, dokąd idziemy? – zapytał rudy szofer, którego ochrzcilem w myślach Ryżym.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – odparłem.

– Wy nie Amerykaniec, wasz rosyjski jest za dobry, no i to przysłowie! Ja je znam, z tiumry, od Polaka znam!

– Jestem Amerykaninem – powiedziałem z pełnym przekonaniem, choć wiedziałem, że gra nie ma większego sensu, tą gadką po rosyjsku się zdekonspirowałem. – Do Ameryki przyjechałem z Polski, ale moi przodkowie to Niemcy.

Moskwy nie znałem, ledwie parę ulic, błyskawicznie straciłem orientację, zwłaszcza że robiło się coraz ciemniej. Przejechaliśmy jakieś tory, trochę nierówności i wtoczyliśmy się pod jakiś magazyn oświetlony żarówką, która nie rozproszyłaby mroków psiej budy. Dostałem lekkiego kuksańca w plecy, żebym się ruszył i nie gapił. Jakiś zbir w skórzanej kurtce otworzył drzwi, zwolniwszy potężną sztabę. Szliśmy ciemnym korytarzem, kolejny cerber pilnujący przejścia, a za nim...

Zobaczyłem coś, co przypominało antykwariat. Ludwiki i biedermeiery, kandelabry, porcelana i szkło, może i kryształy, portrety przodków, ale raczej nie człowieka, który siedział na fotelu. Żyłasty, w marynarskiej koszulce i marynarskiej kapocie sprawiał wrażenie króla przestępczego światka. Nie inaczej, nad dekoltem dojrzałem kreski grubego więziennego tatuażu. Łysa głowa poznaczona była bliznami, nos przestawiono kilka razy, na policzku szrama od noża.

– Polikarp Iwanowicz? – zapytałem, bo już wiedziałem, że nie ma co iść w zaparte. Miałem przed sobą zawodowego bandytę, a nie oficera tajnych służb, a z bandziorami czasem można ugrać coś szczerością.

– Skąd wiesz?

– Słyszałem od Fina – powiedziałem tak, by nie wrabiać człowieka z Domu Polarników, który groził słowami: „Polikarp Iwanowicz ci tego nie daruje, nie daruje!”.

– Zuch, maładiec. – Polikarp Iwanowicz się skrzywił. – A teraz do rzeczy, zabiłeś mojego człowieka.

– Waszego człowieka? A to dopiero, nie wyglądacie na facetą z milicji albo z NKWD! Żaden z was nie wygląda na czekistę lub psa. – Zaśmiałem się i pożałowałem, bo pięść wylądowała na mojej twarzy, a ja runąłem na ziemię.

– To żona, jakiś obcy cwel – powiedział jeden z kilkunastu oprychów w sali. Skąd oni się tu wszyscy wzięli, do cholery?

– Zamknij mordę, Zurab! Mocny jesteś, ale żaden z ciebie akademik, a ja to wor w zakonie.

Wor w zakonie, czyli stary kryminalista, ktoś z najwyższej kasty. Morderca, ale z zasadami, oczywiście wobec milicji i siebie, dla frajerów bezwzględny, jak wszyscy kryminaliści.

Podnieśli mnie, posadzili na krześle.

– Obraziliście nas, całą bratwę, nieładnie, nieładnie, mister Amerykaniec... – powiedział Polikarp Iwanowicz. – A dobrze mówisz po rusku, nawet bardzo!

– On Paljak! – rzucił Ryży. – Henryk Władysławowicz Haas.



– Panicz! – Wor w zakonie się zaśmiał.

– Troszku Giermaniec, troszku Poljak, troszku Amerykaniec, prosta czelowiek – oznajmiłem.

– O tym, kto jest człowiekiem, a kto nie, decydują inne sprawy.

Trafiłem kulą w plot, ludźmi dla kryminalistów są tylko oni sami, reszta to frajerzy.

– Wiem, kim był Fin. – Nie rezygnowałem z wyjaśnienia sprawy i przejęcia inicjatywy w rozmowie.

– To opowiadaj, co wiesz. – Głos wora w zakonie był lekko znudzony, nonszalancki.

– Poznałem go w pociągu, jakiś był śliski, ja mam oko na takie sprawy, można powiedzieć, że choć nie jestem jednym z was, to zdarzało mi się robić interesy, które się nie podobały psom. Jestem kasiarzem, ale tu przyjechałem w innej sprawie.

Wydawało mi się, że pierwszy raz poczułem coś na kształt sympatii, przynajmniej u szefa, i tak to był teatr jednego widza, reszta klaskała albo buczała tylko wtedy, kiedy on tego chciał. Tylko ten Zurab się wyrwał, próbował mieć inne zdanie, co mnie kosztowało ból szczęki i kości policzkowej oraz lekkie oszołomienie.

Opisałem w skrócie, co się wydarzyło, aż do momentu, w którym zobaczyłem go wchodzącego, a następnie wychodzącego z gmachu przy placu Łubiańskim.

– Mówisz, że wchodził na Łubiankę?

– Wchodził. Dlatego musiał zginąć.

– Bo wszedł na Łubiankę?

– To nie wystarczy?

Zapadła cisza, wor w zakonie szukał jakiegoś zdania, którym by podsumował moje rewelacje, a ja czekałem na chwilę, by wyciągnąć ostatniego asa z rękawa.

– Co ty pierdolisz – powiedział Zurab.

Staliśmy naprzeciw siebie, sytuacja była jasna, on przeciwko mnie, sprawa honorowa i tyle. Boss patrzył i nie wnikał w nasz spór. Przypominał dawne sądy Boże, ten, kto wygrywał, miał rację, niezależnie od prawdy. A on musiał mieć rację, bo inaczej zapłaciłby życiem. Zbyt mocno gardłował, by nie było jasne, że coś go z Finem łączyło. Jego i kulawego gościa, który próbował mnie zatłuc gazurką, a potem krzyczał, że Polikarp Iwanowicz mi tego nie daruje. Za dobrze znałem ten świat, napatrzyłem się na podobne typy w Warszawie, by nie zrozumieć tej sytuacji.

– Byłeś jego alfonsem, sprowadzałeś mu dziwki, handlowałeś walutą, a później wprowadziłeś do towarzystwa? – zapytałem i z miejsca zrozumiałem, że trafiłem w dychę, bo twarz tamtego stężała, a po melinie przeszedł szmer niepokoju. – Dałeś cynk na złotą kurę, ale nie miałaś pojęcia, że tak naprawdę jesteś pajacem, bo spiknąłeś z ferajną agenta NKWD! Mam jego dokumenty – powiedziałem i chciałem sięgnąć do kieszeni, chciałem go sprowokować.

– Łesz... – syknął. – Kurwi syn, milicyjna szmata, peda!

Wor w zakonie milczał, przyglądał się z zainteresowaniem.

– Frajer – odparłem krótko i zacząłem odpinać kieszeń – zaraz ci to udowodnię.

Błysnął nóż, z gardła Zuraba dobieł się ryk. Byłem szybszy o ułamek sekundy, kopnąłem go w kolano, ten zachwiał się, wtedy poprawiłem ciosem w tułów. Padł na ziemię, ale nie wypuścił noża. Tym razem zmiażdżyłem mu obcasem nadgarstek, co potwierdziło niemile chrupnięcie. Teraz nie tylko puścił nóż, ale i zawył, ale po chwili wyłączyłem tę ludzką syrenę, oczywiście kopniakiem, bo tak było wygodniej. Głowa odeskoczyła jak piłka, stracił przytomność, ale chyba go nie zabiłem. Może powinienem, bo jeśli się ocknie, to będzie przegrany na wielu frontach, nigdy już nie będzie miał sprawnej prawej ręki, jego honor został zbrukany, a reputacja nadszarpięta i wreszcie, najważniejsze, wyszło na jaw, że dał się oszukać agentowi NKWD.

Zapanowała cisza, słychać było tylko oddechy i rżenie bandziora. Nie celebrowałem wygranej walki, obciągnąłem tylko koszulę, sprawdziłem, czy nie mam krwi na butach, poprawiłem krawat.

– To nie on wprowadził Fina do obiegu. – Wor w zakonie przerwał milczenie. – Zrobił to Tamar Zeznik, brat Zuraba. Gdy Tamar poszedł siedzieć, Zurab przejął ten kontakt.

– Spotkałem jeszcze jednego, podobnego do Zuraba, kulejącego. Szedł na spotkanie z Finem. To też brat Zuraba?

– Zgadza się, to trzeci z nich, Niko. Opowiadaj, jak tam z nim było.

Wyśpiewałem wszystko jak na spowiedzi.

– I ja mam wierzyć ci tylko na słowo? – zapytał wor w zakonie.

Wyciągnąłem z kieszeni dokumenty Fina i rzuciłem na stół.

– Nie mogłeś tak od razu? – upomniał mnie boss. – Zabierzcie go. – Wskazał na Zuraba.

– Do rzeki? – zapytał ktoś.

– W bezpieczne miejsce, jeszcze się zastanowię, co z nim zrobić. Waniuszka, Carewicz, Saszka, Tola, Griszka i Dynamo, zaopiekujcie się nim, Ryży i Rebe zostają, będę jeszcze chciał... trochę porozmawiać. – Uśmiechnął się tak, jak kaci na myśl o przystąpieniu do egzekucji.

Ludzie z ferajny zrozumieli, że zabierając Zuraba, mają się przy okazji wynieść i zostawić nas w węższym gronie. Wraz z Polikarpem Iwanowem zostało trzech starszych bandytów, Ryży (a więc trafiłem przewzisko szofera!), gość o wyglądzie goryla, i Rebe, o skromniejszej posturze, zapewne księgowy tego przedsiębiorstwa.

– Jansson naprawdę miał tam mieszkanie – powiedział wor w zakonie.

– W Domu Polarnika?

– Tak, w Domu Polarnika. A czemużby nie? Jego żona, Natalia Fiedorowna Simonian, ukończyła studia geologiczne i bierze udział w badaniach arktycznych.

– Miał tu żonę?

– A czemużby nie? – zapytał znów Polikarp Iwanowicz. – Miał też żonę w Finlandii.

– A ta dziewczyna, przewodniczka?

Rozległ się gromki śmiech.

– On ją po prostu rucha, Henryku Władysławowiczu! – Bandziory rechotały, a wor w zakonie powiedział: – Ona komsomółka, ale zakochana w nim, bo dawał jej prezenty. Komunizm kończy się tam, gdzie zaczynają się kanfiety, frukty i suweniry!

– Tyle że to mało zabawne, jak już się wie, dla kogo pracował...

Polikarp Iwanowicz przestał się śmiać, spoważniał.

– No właśnie, mamy kłopot.

– Mogliśmy mieć większy, gdyby mnie zabił albo wydał NKWD, to dalej byście go używali jako swojego kuriera.

– Kto wie, może nawet do końca życia.

– To z pewnością, ale nie wiadomo, jak długo by ono potrwało – skwitowałem.

Pokiwał głową, trochę z uznaniem dla mojego refleksu i zgrabnej gadki.

– Mówił, że choć Fin, to pracuje w centrali handlu zagranicznego, dla oddziału w Helsinkach, że handluje tym i owym. Każdy jakoś dorabiał na boku, więc przy jakiejś okazji, panienki, wódeczka, powiedzieliśmy mu, że byłoby głupio, gdyby jego familia z Finlandii dowiedziała się, co robi w delegacjach, rozumiecie? – Spojrzał na mnie znacząco, a ja kiwnąłem głową, że nie musi mi tłumaczyć, iż próbowali go zaszantażować. – A on nic nie spękał! Powiedział, że żona pewnie też używa, a co do tego, że miałby coś dla nas wozić, to tylko kwestia ceny! Chytrus i cwaniak, ale dobry kurier, szkoda, że przestanie dla nas pracować, będziemy stratni, więc musimy się jakoś porachować...

Porachować, powiedział... Za dobrze poznałem naszych i amerykańskich gangsterów, by nie zrozumieć, o co chodzi. Ten skurwysyn w jednej chwili zapomniał, że robił interesy z tajniakiem i że uchronił jego i całą bandę przed katastrofą.

– Ile? – zapytałem, bo wiedziałem, że Polikarp domaga się rekompensaty.

– To, co miał Fin. – Spojrzał na mnie i dodał: – To wszystko była nasza forsa, i procent za straty.

Fin miał przy sobie niemały majątek, piętnaście tysięcy zielonych. Ile z tego należało do Polikarpa i jego bandy? Koperta, w której było pięć tysięcy, miała monogram P.I., zatem... Polikarp Iwanowicz? Nie inaczej!

– Siedem tysięcy pasuje... – Zachowałem kamienną twarz, ale moja radość trwała krótko.

– Dziesięć i jesteście kwita! – Kierownik moskiewskich bandytów wbił we mnie wzrok, a ja zrobiłem minę, jakbym był kupcem z Kercelaka, któremu Tasiemka wyznaczył wysokość haraczu.

Wyciągnął rękę na zgodę, przybiliśmy. Każdy z nas był zadowolony, bo każdy z nas, jakby na to nie patrzeć, zarobił po piątce!

– Przyjemnie się z tobą robi interesy. Kochajmy się jak bracia, liczymy się jak Żydzi, prawda, Rebe? – zapytała, a księgowy zgodził się z bossem. – A teraz pytam po bratersku, nie jak burżuj. Mogę ci jakoś pomóc?

– Potrzebuję dwóch biletów do Helsinek.

– Na kiedy?

– Jutro, może pojutrze...

– Mogę kogo chcę i kiedy chcę wysłać do Pitra, choćby jutro, pasuje?

– Pasuje – powiedziałem – chociaż była to ślepa uliczka.

– Dam ci parę adresów, może ktoś z Pitra zgodzi się przeprowadzić was przez granicę. To będzie droższe niż dwieście dolarów, które zapłacisz za pociąg, znacznie droższe i ryzykowne. Kilkadziesiąt kilometrów przez las i bagna, a w razie wpadki zostajesz na lodzie, tak to tam wygląda.

Musiałem mieć nietęgą minę, choć starałem się pokazać, że wszystko mi zwisa. Byliśmy ustawieni, wypiliśmy po wódeczce, a teraz musiałem szybko jechać do hotelu, żeby Wiera nie zaczęła mnie przypadkiem szukać, a po drodze jeszcze wpaść do Margaret.

Pojechałem z młodym gościem, Carewiczem. Prowadził równo, bez zrywów. Z samego rana stanęliśmy pod domem, w którym mieszkała Margaret, poszedł jej przekazać co i jak. Zrobił to szybko, tylko chwytając za kierownik auta, syknął z bólu.

– Co się stało?

– Twardą szczękę miał ten typek. – Zaśmiał się.

– Karpin?

– Ten sam! Też mu dałeś w mordę?

– Nie, ale miałem ochotę.

– No to dobrze, dostał ode mnie dwa razy!

Przed pół do dziewiątej byłem w hotelu.

Wiera czekała na mnie i wyglądała źle, bardzo źle, to znaczyło, że wiedziała już, iż jej podopieczny i kochanek nie żyje. Chciałem jej położyć rękę na ramieniu, ale zadrżała, zrobiła krok do tyłu.

– Bierzcie rzeczy, samochód zawiezie was do Metropolu, wypijcie się, niech nie jedzie od was alkoholem, jest szansa, że odwiedzicie Lenina. Pośpieszcie się, za godzinę do waszego pokoju wprowadzi się delegat z Francji.

Spakowałem się i przeniosłem do drugiej oazy zachodniego życia, o ile może być takowe w środku Moskwy, między teatrem Bolszoi i placem Czerwonym, jakieś pięć minut od Łubianki. Piękny pała-

cowy gmach, zaprojektowany i zbudowany specjalnie pod hotel, mniej więcej w tym samym czasie, co nasz warszawski Bristol. Sowietom tak się te luksusy spodobały, że zaraz po rewolucji urządzili w Metropolu swoją administrację. Po dwunastu latach przenieśli gdzieś te swoje barachły i od sześciu lat znów jest tutaj hotel. Niezły, a na Moskwę nawet bardzo dobry, ale daleko mu do tego, co na Zachodzie!

W hotelu przywitali mnie milicjanci. Było ich trzech. Mundurowy został przed drzwiami, a ubrani po cywilu śledczy, Iwanow i Jesienin, rozgościli się w moim pokoju. Kto raz widział poetę Siergieja Jesienina na fotografii, ten kojarzył to nazwisko z młodym człowiekiem z falą jasnych włosów nad czołem i mądrym spojrzeniem. Tymczasem ten Jesienin wyglądał jak stary, lysy szympan, ubrany był jak czekista, w buty z cholewami i skórzany płaszcz, a na głowie miał czapkę z daszkiem. Z kolei wyglądający niczym student Iwanow pasował jak ulał do wizerunku poety, który niedługo po trzydziestych urodzinach powiesił się w hotelowym pokoju. Mówiono, że Siergiej Jesienin nie wyhuśtał się sam, że zrobił to z pomocą sowieckich agentów, bo wisielec wyglądał tak, jakby przed śmiercią stoczył bójkę. Znalaziono go w hotelowym pokoju, ale nie w Moskwie, tylko w Leningradzie, co było dla mnie pewnym pocieszeniem.

– Panie Haas, kiedy ostatni raz widział pan Janssona? – zapytał piękną angielszczyzną Iwanow.

– W hotelu, parę dni temu. Znaleźliście go?

– Owszem.

– Bogu dzięki! Gdzie?

– W Domu Polarników.

– Możecie mi powiedzieć, co się stało? Wpadł w cug?

Obaj milczeli, Jesienin się uśmiechał, a Iwanow wyciągnął paczkę papierosów.

– Pali pan?

Przytaknąłem, po czym wziąłem papierosa, zapaliliśmy.

– Obecnie Björn Jansson przebywa w instytucie medycyny sądowej...

– To znaczy? – Mam nadzieję, że byłem autentyczny.

– Został zamordowany.

– Kto, dlaczego?

– To właśnie staramy się ustalić – odparł Iwanow. – Zatem, panie Haas, kiedy ostatni raz widział pan Janssona? Proszę dokładne szczegóły.

Odpowiedziałem, że przy śniadaniu. Potem pytali, jak się poznaliśmy, co robiliśmy w Moskwie i tak dalej, i tak dalej.

– Tak naprawdę to go nie znałem i niespecjalnie mnie to interesowało. Wiecie, panowie, to był dobry kompan i do tańca, i do różańca.

Iwanow przyjął słowa ze zrozumieniem, natomiast Jesienin uśmiechnął się pod nosem i burknął po rosyjsku.

– Założę się, że razem chodzili na dziwki i na pewno brali udział w nielegalnym biznesie.

– Robił tu jakieś interesy? – zapytał prosto z mostu Iwanow, tyle że po angielsku.

– Wyglądał na dobrze zorientowanego, sprzedawał, kupował, pośredniczył... Ja też przyjechałem tu się rozejrzeć, może kiedyś coś tu zainwestuję, kto wie?

Ta odpowiedź nie do końca ich zadowalała, obaj się uśmiechnęli, jakby z lekkim politowaniem.

– Mam na myśli nielegalne interesy – doprecyzował Iwanow.

– Był wylewny, ale nie aż tak, żeby mi się z tego zwierzać.

– Nie spotykał się tutaj z kimś?

– To taki typ, który wydaje się znać wszystkich – odparłem.

– Urodził się pan w Rosji... – nagle zmienił temat, pewnie, żeby mnie zaskoczyć.

– Zgadza się – nie dałem się zbić z pantałyku – wtedy w Rosji, teraz napisaliby w Polsce, ale w moim przypadku nie ma to najmniejszego znaczenia. Ich bin Deutscher! – powiedziałem hardo. – Urodziłem się w niemieckiej rodzinie pod Warszawą, opuściłem Polskę w czasie Wielkiej Wojny, a później wyemigrowałem do USA.

– Kiedy pan wyjeżdża? – zapytał, choć byłem pewien, że doskonale wiedział.

– W niedzielę, czekam na paradę na placu Czerwonym w sobotę.

– To na razie wszystko. – Iwanow się uśmiechnął. – Wiemy, gdzie pana szukać, jeśli będziemy czegoś jeszcze potrzebować.

## ROZDZIAŁ XXVI

**W którym po ciężkim poranku słyszę dobrą nowinę, spotykam meksykańskiego celebrycę, biorę udział w pielgrzymce do Grobu Pańskiego, poznaję Hiszpana, który mówi po angielsku, i obiecuję mu tyle, ile chce usłyszeć, a na koniec zyskuję opinię błagiera**

Zszedłem na śniadanie i już z daleka zobaczyłem Wierę. Wyglądała jakoś inaczej niż zwykle, jej usta nie były ściągnięte, nie przypominały nitki, były pełne i uśmiechnięte. Na mój widok aż podskoczyła, po czym podbiegła i rzuciła mi się na szyję z radości.

– Udało się – nieomal krzyknęła – będziecie mogli zobaczyć Włodzimierza Iljicza Lenina!

Objąłem ją, nie żebym się cieszył z tego, że pójde oglądać truchło Lenina, bo wiedziałem o nim swoje jak o każdym komuniście. To byli szkodnicy, z których największym i najbardziej zepsutym był wódz rewolucji. Dlatego podobala mi się, nie mnie jednemu zresztą, powieść Ossendowskiego. Ten wspinał się podróżnik, awanturnik i pisarz nakreślił postać Lenina jako fanatyka, człowieka, który jak maszyna, zakonnik i wynalazca w jednym, pracuje nad swoją ideą i ustanowieniem rządu, w których będzie dyrygentem, nieomal bogiem, a raczej diabłem.

– Jak się to pani udało? – zapytałem z podziwem, żeby jej sprawić przyjemność. Wiera pierwszy raz nie była żandarmem, tylko całkiem zgrabną i w końcu uśmiechniętą dziewczyną.

– Jako Intourist pomagamy w obsłudze delegacji z Hiszpanii. Zarezerwowaliśmy dla nich tuzin miejsc, ale dwóch towarzyszy nie przyjechało... – Zawiesiła głos i dodała w żalu i zadumie: – Pochłonęła ich walka przeciwko faszystom. To piękni ludzie, bojownicy z Frontu Ludowego, to zaszczyt iść z nimi. Niestety, idziemy z nimi tylko do mauzoleum, bo delegaci z Hiszpanii dostali zaproszenie na Kreml – oznajmiła, jakby dostali bilecik od świętego Piotra na zwiedzanie nieba. – Szkoda, że tam nie możemy iść, to będzie spotkanie ze Stalinem!

– Trudno, co zrobić – powiedziałem, jakbym żałował, że nie mogę się wbić do czerwonego nieba, by wypić herbatkę z facetem, który zagłodził parę milionów Ukraińców.

– Jest zimno, napijcie się ciepłej herbaty – zaordynowała.

Nagle poczułem się jakoś dziwnie. Jakoś sobie tego wszystkiego nie wyobrażałem. Tłum ludzi zamknięty w ogonku, zwłaszcza w długim i darmowym, to szczególnie, miotany bardzo silnymi emocjami organizm. Jest połączony upływającym czasem, poświęceniem i wkurzeniem, staje się wspólnotą, można powiedzieć partią albo zakonem, któremu przyświeca jeden cel: dotarcie do celu i sprawienie sobie przyjemności. Widziałem fotki z tłumem, który tłoczył się do wileńskiej Ostrej Bramy i muzułmanów przy swoim Czarnym Kamieniu w Mekce. Tu było podobnie, ludzie, którzy czekali na spotkanie z mumią Lenina, wyglądali bardziej na pielgrzymów fanatyków niż na gości spragnionych darmowej rozrywki.

Kiedy przechodziłem obok, to widziałem twarze tych ludzi, czułem energię tego tłumu, który byłby za tego trupa w szklanej trumnie gotów zabić albo przynajmniej skopać tyłek jakiemuś kapitaliście. A dzisiaj, po paru godzinach stania na mrozie, bez żarcia i picia, wtryni się przed nich delegacja hiszpańskich komunistów. Bez kolejki, milusio i elegancko, jakby byli rodziną króla, która zajechała na korydę.

Dumając nad tym, jak się może toczyć śledztwo w sprawie Fina, postanowiłem wypić przedpołudniową kolejkę. Machnąłem na kelnera, ale ten mnie nie zauważył, więc poszedłem wprost do baru. Kiedy dopływałem do jego brzegu jak samotna łódź do przystani, Wiera wyłoniła się nagle niczym

wrogi okręt podwodny. Zastąpiła mi drogę, zabroniła mi zamawiania alkoholu, na co ja odparłem, że nie będę zamawiać, tylko pić.

Narobiła rabanu, niewiele brakowało, by się tam położyła jak Rejtan u Matejki, a na koniec wygłosiła apel do towarzyszy barmanów, żeby tego klienta nie obsługiwać, z żarliwością godną żony mężczyzny, który stawał się kawałem pijaka i łobuza.

– Troszkę tylko, dla rozrzewki! – Złożyłem ręce w proszącym geście.

– Możecie pójść do pokoju i jeszcze coś na siebie założyć! Mamy jeszcze pięć minut, biegniecie na górę – zarządziła.

– Spoczę się, a jak wyjdę na dwór, to się przeziębnię – nieomal załkałem.

– Możecie się napić – powiedziała w końcu ugodowo.

– Trzeba było tak od początku. – Zaśmiałem się z ulgą.

– Herbaty gorącej możecie się napić! – rozwiła moje nadzieje.

Zapaliłem i tym samym skapitulowałem, nie chciało mi się już z nią droczyć. Wciąż myślałem o organizacji alternatywnej ucieczki z Moskwy. Nic mi nie przechodziło do głowy. Zniecierpliwiona Wiera popukała palcem w szkiełko zegarka.

– Idziemy! – popędziła mnie.

No to poszliśmy. Weszliśmy na plac Czerwony, po czym dołączyliśmy do jednej z grup. Była całąkiem spora, zdziwiłem się, bo przecież tych Hiszpanów miała być garstka. Nie znalazłem hiszpańskiego, ale domyśliłem się, że mają tu jakieś czerwone rekołeksy. Okazało się, że oprócz Hiszpanów byli tu także komuniści z Ameryki Południowej i Afryki, a nawet Filipińczycy – tak szepnęła mi na ucho Wiera.

Pewnie jeszcze by coś dodała, ale właśnie pojawił się celebans. Był to jakiś kieszonkowy matadorek, mały brunecik z fryzjerskim wąsikiem, studenciak. W Moskwie i okolicach mieli takie czerwone uniwerski, na których każda komunistyczna partia miała swój kurs wojskowy i propagandowy. Komunistyczny Uniwersytet Mniejszości Narodowych Zachodu imienia Marchlewskiego i Międzynarodowa Szkoła Lenińska uczyły przyszłych agentów kominternu, bo każdy z tych studentów był równocześnie członkiem bolszewickiej partii, której podlegał i służył jak wierny pies. Hurtem szkolono tam zawodowych rewolucjonistów.

– Witam towarzyszy walczących z faszystowską w Hiszpanii! – zaczął w języku Cervantesa matadorek.

Wiera wszystko mi tłumaczyła, szepcząc dyrdymały, które miał do przekazania mistrz ceremonii.

– Nazywam się Alejandro Gutierrez i należę do Meksykańskiej Partii Komunistycznej. W Moskwie kształcę się w Szkole Lenińskiej.

Poszedł zwykły w takich sytuacjach szmerek uznania, a Alejandro, dobrze wyszkolony mówca, odczekał momentik i po chwili rewolucyjnego wzmożenia uderzył w melancholijne tony.

– Serce Wodza Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, Włodzimierza Iljicza Uljanowa Lenina, przestało bić 21 stycznia 1924 roku. Wielki przewodnik ludzi pracy, Przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych i przywódca partii zmarł w Gorki pod Moskwą, a przyczyną była choroba serca...

Mały rewolucjonista się zapowietrzył. Tak jak matadorkowi z Meksyku z trudem udało się powstrzymać łzy, tak ja ledwo opanowałem się, by nie ryknąć ze śmiechu, bo wiadomo, że Lenin wykorkował na syfilis czy inną kiłę. Czytałem Ossendowskiego, gapa nie jestem.

– Przed pogrzebem powołano specjalną komisję, na czele której stanęli towarzysze Stalin i Dzierżyński. – Matadorek lypnął okiem po zebranych, coś czułem, że w tej komisji to i Trocki był, ale jego nazwisko obecnie skrzętnie się pomija. – Widząc, jakie nieprzebrane tłumy gromadzą się przy trumnie wielkiego Lenina, zdecydowano, że przewodnik postępowej ludzkości zostanie pochowany w mauzoleum, w szklanej trumnie!

Znów pauza, ekscytacja rewolucjonistów.

– Towarzysze! – podjął z namaszczeniem matadorek. – Pogrzeb Lenina odbył się 27 stycznia 1924 roku, w uroczystościach wzięli udział delegaci z całego Kraju Rad i z najdalszych zakątków globu. Wódz rewolucji spoczął w tymczasowym mauzoleum, wzniesiono je podług projektu wybitnego architekta, towarzysza Aleksieja Wiktorowicza Szczusiewa. Było mniejsze niż to obecne i wzniesiono je z drzewa sosnowego, budowla i dwa pawilony dla warty zostały postawione w jeden dzień – powiedział to z taki uznaniem, jakby wyczyn czerwonych mołojców mógł się równać z którymś z co bardziej kozackich numerów z Biblii, jak na przykład wskrzeszenie Łazarza, rozstąpienie się Morza Czerwonego albo pokaz z krzewu gorejącego.

Słowa o błyskawicznej budowie zrobiły wrażenie na zebranych, rozległ się szmer uznania, brakowało tylko oklasków albo odśpiewania jakiejś pieśni, na przykład *Międzynarodówki*.

– Jeszcze w tym samym 1924 roku wzniesiono drugie drewniane mauzoleum, większe od pierwszego, ale wciąż mniejsze niż obecne, kamienne. – Meksykański matadorek kontynuował wątek, a ja pomyślałem sobie, że to pierwsze, sklecone w pośpiechu i na chybyka, musiało być niemożliwą tandetą i pewnie dach przeciekał, na wieko się łało, waliło zgnilizną, a wokół szklanej trumny biegały tłuste szczury. – Kolejne tymczasowe Mauzoleum Wodza Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej zbudowano z drewna dębowego i znów podług architektonicznego zamysłu Szczusiewa. Projekt był zbliżony do dzisiejszej bryły, a towarzysza architekta inspirowały Piramida Schodkowa Dżesera oraz grobowiec króla perskiego Cyrusa II Wielkiego – mówił to bez mrugnienia okiem, bez jakiegokolwiek zażenowania, jakie powinno wywołać łączenie Lenina ze starożytnymi despotami.

Niezła ciekawostka, pomyślałem, ale w końcu robią z Lenina kogoś na kształt świętego albo boga. Zamiast do kaplicy, cerkwi albo kościoła musieli go spakować do piramidy.

– Wewnątrz stanął sarkofag zaprojektowany przez Konstantina Stiepanowicza Mielnikowa – ciągnął meksykański mówca. – W 1929 roku przywódca partii i narodu, Józef Wissarionowicz Stalin, podjął decyzję o budowie kamiennego mauzoleum. – Niewielu duchownych potrafiło powiedzieć tak pięknie „Najjaśniejsza Panienska” jak ten Meksykanin wymówił imię obecnego władcy ZSRR. – Sześć lat temu, w rocznicę Wielkiego Października, stanęło to oto marmurowe dzieło, będące efektem współpracy Aleksieja Wiktorowicza Szczusiewa z Izydorem Aronowiczem Francuzem. Projekt ten wybrano spośród stu siedemnastu, które nadeszły z całego Kraju Rad i ze wszystkich zakątków postępowego świata. Imponujące dzieło ma podstawę wielkości pięciu tysięcy ośmiuset metrów kwadratowych, a do budowy użyto porfiru, czerwonego i czarnego granitu oraz trzech rodzajów marmuru, a także dwóch rodzajów labradorytu!

Codziennie miejsce to odwiedzają tysiące chłopów i robotników, żołnierzy Armii Czerwonej i dzielnych funkcjonariuszy NKWD, zachodzą tu studenci i uczniowie, artyści i inżynierowie, to cel podróży dla ludzi z całego świata. – Latynos powiódł wzrokiem po zebranych, patrzył i mówił tak, żeby nie było wątpliwości, że dochodzimy do punktu kulminacyjnego. – Można śmiało powiedzieć, że już około czterech milionów kobiet i mężczyzn przyszło w to miejsce, by oddać hołd wielkiemu Leninowi, a od dzisiaj będziecie się liczyć także i wy, towarzysze!

Napięcie sięgnęło zenitu, matadorek o mało się nie zesrał, a w cyrku orkiestra zagrałaby fanfarę, ale tu stało się coś ważniejszego. Zabawne było to wszystko, całe to podniecenie, nabożne skupienie, tyle że w grupie wyznawców Lenina byłem też i ja.

– Towarzysze, nasza kolej!

Matadorek dał nam sygnał i ruszył, a my za nim. Zmarznięci ludzie stojący w kolejce patrzyli na nas z zazdrością, ale w pewnym momencie trudy oczekiwania umiliła im niespodziewana atrakcja.

– Towarzysze! – Nasz kieszonkowy przewodnik zatrzymał się nagle, stanął przed frontem kolejki i odezwał się do oczekujących, tym razem po rosyjsku: – Towarzysze z kolejki! Delegacja komunistów z Hiszpanii, kraju, który jest na pierwszej linii walki z faszyzmem, idzie odwiedzić wielkiego Lenina! – Matadorek uniósł pięść i zawołał: – ¡No pasarán!



– *¡No pasarán!* – krzyknął kolejkowy tłum. – *¡No pasarán!* – powtórzył, po czym rozległy się oklaski i wiwaty.

Hiszpanie i cała reszta była wzruszona i dumna, a ja cały byłem rozbawiony.

– Zachowajcie powagę – szepnęła Wiera.

– Ależ ja się po prostu cieszę na spotkanie z Leninem i czuję dumę, że idę z tymi wszystkimi dzielnymi ludźmi! – odpowiedziałem Wierze, po czym uniosłem zaciśniętą pięść i ryknąłem: – *¡No pasarán!* *¡No pasarán!*

Znów rozległo się skandowanie, aż milicjanci i strażnicy grobu dali znaki, żebyśmy przestali się drzeć, tylko w spokoju i ciszy stanęli w mauzoleum.

Już za chwileczkę, już za momentik, delegaci tłoczyli się w nabożnym skupieniu jak wierni w kolejce po hostię. Wierni się modlą, organista przygrywa, a tu byłaby, gdyby nie ten trajkocący po hiszpańsku przewodnik, kompletna cisza. Chyba by popuścił z żalu, gdyby musiał na dłuższą chwilę zamilknąć. Przed samym wejściem wyszeptał nam jeszcze instrukcje, jak się zachowywać, żeby się nie odzywać, zachować powagę i takie tam inne. Czekałem, aż powie, żeby nie płakać, nie rozdierać szat, nie kłaść się na trumnie i przed wejściem koniecznie wyrzucić papierosy. O tym ostatnim nie musiał mówić, bo wokół chodzili soldaci z metalowymi koszami na niedopalki.

Wtedy też zorientowałem się, że są równi i równiejsi. Otóż do Lenina były dwie kolejki, jedna po byku dla czerwonego pospólstwa, druga króciutka dla czerwonej arystokracji i ich wasali. Tam nas właśnie ustawiono, z czego nikt nie śmiał robić sensacji, to normalne, że czerwony car ma swoich ważnych urzędników i gości.

Było pięknie jak na pogrzebie, brakowało tylko orkiestry grającej marsza żałobnego. Przed samym wejściem straż ustawiała pielgrzymów w podwójną kolumnę. Nikt się nie rzucał, wszyscy grzeczni i cisi, wychylić się tutaj byłoby świętokradztwem pierwszej klasy, więc jedni ze strachu, a drudzy ze szczerego przekonania, niemal wstrzymując oddechy, wchodzili do środka.

Jeszcze trochę i zobaczę czerwonego czorta, któremu najchętniej naplułbym w twarz albo w inny sposób zbecześcił zwłoki. Zbliżałem się krok po kroku, a każdy z nich obserwowali żołnierze, którzy stali co kilka metrów. W pierwszej chwili myślałem, że to rzeźby, ale to jednak byli żywi ludzie, tylko zastygli, nieruchomi i wyprostowani jak struny, lypiący dookoła i gotowi na ukrócenie każdego wybryku. Ledwo zachowywałem powagę, patrząc na natchnione twarze gawiedzi oświetlone czerwonymi, burdelowymi lampami.

Szklaną trumnę obchodziło się z trzech stron, Lenin był zakryty prawie pod brodę, wystawały mu jeszcze dłonie. Wódz zaciskał te swoje krecie łapki na kapie, którą go przykryto, jakby był pensjonariuszem noclegowni dla bezdomnych, i bał się, że ktoś mu buchnie koc.

Przesuwało się to towarzystwo w milczeniu, jakby byli ludzkimi automatami, nagle jednak ktoś się wylała; starowinka prowadząca za ręką małego wnusia pociągnęła malca w dół i uklękła, a dzieciak obok niej, i wtedy oboje wykonali zamaszysty, prawosławny znak krzyża świętego.

W końcu wyszliśmy na zewnątrz. Od razu zapaliłem i, co mnie zdziwiło, Wiera też poprosiła o papierosa. Zaciągnęła się amerykańskim wyrobem z przyjemnością.

– To mój jubileusz – wyznała, a ja domyśliłem się, że chodzi o mauzoleum.

– Dziesiąty raz? – zapytałem.

– Setny! – odparła z dumą.

Zachowałem kamienną twarz, ale kiedy zapytała mnie o wrażenia, odpowiedziałem:

– Mrugnął do mnie!

– Myślicie, że to dobry temat do żartów? – powiedziała oburzona, czujnie rozglądając się na boki.

– Gdzieżbym śmiał, przecież Lenin wiecznie żywy! – Darłem łacha w najlepsze i chyba Wiera zaraz by mi dała po pysku, ale na szczęście pomogli mi Hiszpanie.

Słyszeli, jak się drę *¡No pasarán!*, więc zaczęli do mnie pytać po swojemu. Wiera wyjaśniła, że jestem towarzyszem z Ameryki, ja nie protestowałem, tylko dalej się doskonale bawiłem. Na biegu powołałem jakiś Komitet Antyfaszystowski w Chicago i obiecałem, że będziemy pomagać w wysyłaniu ochotników do Hiszpanii. Po paru minutach trajkotania został już tylko jeden rozmówca.

– Oscar Trejo, sekretariat zagraniczny komitetu madryckiego Komunistycznej Partii Hiszpanii – przedstawił się po angielsku.

Był akademikiem, w partii od niedawna, i aż się sam dziwił, że tak szybko awansował i pojechał z delegacją do Moskwy. Biegło mówił po angielsku, więc w sam raz nadawał się do kontaktów z zagranicą.

– To chyba rosyjski lepszy? – starałem się, żeby pytanie nie zabrzmiało prowokacyjnie.

– Nie wszyscy mówią po rosyjsku, idealnie byłoby, gdyby w każdej delegacji byli ludzie mówiący po angielsku, francusku, niemiecku i rosyjsku. Tamtymi językami całkiem nieźle władam, rosyjskiego dopiero się uczę.

Zatrząkotał coś, co jego zdaniem było mową Gogola. Kaleczył słowa strasznie, a akcent miał przeza-bawny. Pewnie uczył się tylko z podręczników i nie do końca łapał wymowę.

– Znakomicie – pochwaliłem go jednak.

– Aaa! – Doktor Trejo uśmiechnął się szeroko. – *Wy gawarycie pa russski?*

– Nie, nie mówię – skłamałem, po czym kłamstwo uczyniłem dubeltowym. – Ale wydaje mi się, że jakbym słuchał miejscowego, ale nie z Moskwy, tylko z Gruzji.

– Ach tak. – Hiszpan zmartwił się, ale zaraz powiedział cały w skowronkach: – Stalin jest Gruzinem! To wielki człowiek i nasz sojusznik, nasze rezerwy złota są w Moskwie i pod jego opieką są bezpieczne!

– Naprawdę? – zapytałem głośno, bo byłem bezgranicznie zdziwiony, nie wiedziałem bowiem o tym, że złoto Hiszpanii jest w Sowietach, a jeszcze bardziej zdziwiło mnie, że ktoś może uważać, iż w rękach Stalina może być bezpieczne.

– Zgadza się! – potwierdził z entuzjazmem Trejo. – W drugą stronę pojechali radzieccy instruktorzy i sprzęt wojskowy.

Myślałem, że to koniec tej konwersacji. Ja miałem wiać z Moskwy, a on zaraz po święcie Matki Boskiej Rewolucyjnej miał wrócić do Hiszpanii. Większe były szanse na to, że wkrótce kogoś z nas szlag trafi, niż to, że się kiedykolwiek jeszcze spotkamy.

– Pomóżcie nam, zróbcie coś dla nas, towarzyszu z Ameryki. – Spojrzał mi głęboko i z nadzieją w oczy. – Załatwcie jakąś broń!

W tej sytuacji mogłem im obiecać wszystko, nawet Kolumnę Zygmunta i numery, które wyciągną podczas najbliższego losowania Polskiej Państwowej Loterii Klasowej, a nawet, że przywiozę im tanki i karabiny.

– Zrobię wszystko, co będę mógł – powiedziałem, ściskając dłoń komunisty z Madrytu.

Ten miał chyba jeszcze ochotę pogadać, ale podszedł do niego jakiś smutny typ i zaterkotał coś po hiszpańsku, brzmiało to jak ponaglenie, bo faktycznie wycieczka szła w kierunku Kremla. Pewnie idą pocałować w dupę Stalina i nie mogą się spóźnić. Lenin sztywny i nigdzie nie ucieknie, a jego następcą może nie czekać, tylko uda się do innych obowiązków lub przyjemności; zje obiad, podpisze parę wyroków śmierci albo utnie sobie drzemkę. Trejo nie był zbyt wysoki i mocny, a tamten, jak na Hiszpana całkiem spory, pociągnął go za rękaw, na mnie natomiast spojrzął spode łba.

– Czekam na was w Madrycie! – krzyknął jeszcze na odchodnym Oscar.

– *Hasta la vista* – powiedziałem, po czym zacisnąłem dłoń w pięść i ją uniosłem.

– *¡No pasarán!* – rzuciliśmy chórem.

Stałem i machałem, aż doktor Trejo został wchłonięty przez hiszpańską grupę. Spojrzałem na Wierę i zobaczyłem w jej oczach jakąś groźną moc.

– Jak mogliście?! – niemal krzyknęła. – Jak mogliście coś takie zrobić!

Po raz pierwszy przejąłem się tym, co o mnie myślała. Do tej pory mnie to nawet bawiło, ale teraz ubodło. Bo nie jestem farmazonem, nie obiecuję gruszek na wierzbie, nie oświadczam się pannom po to, żeby je zaciągnąć do łóżka, bo ja w ogólności porządny i honorowy chłopak jestem, ale teraz stało się, co się stało, i już tego nie cofnę. Naobiecowałem biedakowi, że nakręcę pomoc, wyszę tanki i samoloty, a pewnie na koniec sam przyjadę walczyć. Teraz pomyślałem sobie, że ten naiwniak to wszystko lyknał.

Wróciliśmy do hotelu w milczeniu, podziękowałem Wierze za wycieczkę do mauzoleum, a ona pożegnała się ze mną bez słowa. Nie zależało mi na opinii jakiejś nawiedzonej, młodej komunistki, ale mimo wszystko wychodzić na bajeranta i świnię nie jest klawo.

## ROZDZIAŁ XXVII

**W którym przeżywam gwałtowny romans i przerywam go, gdyż się spieszę, wypijam strze-  
miennego, mając duszę na ramieniu, trafiam do ruchomego składu futer, i słucham długiej  
opowieści, która powoduje, że ciężko jest zasnąć i strach się obudzić**

Mówi się, że Rosjanie, a zwłaszcza Sowieci, to bałaganiarze, ale na pewno nie tyczy się to Polikarpa Iwanowicza i jego gangu. Wszystko przygotowali w najdrobniejszych szczegółach. Taksówka miała najpierw przejechać Margaret, ale nie spod domu, tylko z Patriarszych Prud, następnie kurs pod hotel, punktualnie na siódmą wieczór. Ja minutę przed siódmą opuszczam hotel i wsiadam do taryfy prowadzonej przez samego Carewicza. Oprócz Margaret mieli z nami jechać Polikarp Iwanowicz oraz Miszka alias „Niedźwiedź”.

Było za dziesięć siódma, kiedy sięgałem po palto. Wtedy usłyszałem pukanie do drzwi. Cholera, kto to?!

Na progu stała Wiera. Wyglądała jakoś inaczej, lekki makijaż? Czyżby? Zapach perfum!

– Pani wybaczy, mam pilne spotkanie!

Zamiast mnie wypuścić, weszła do środka, kołysząc biodrami i rozpinając marynarkę. Nie da się ukryć, był w niej niebezpieczny seksapil.

– Przyszłam odebrać nagrodę za Mauzoleum Lenina...

Rozpięła ostatni guzik marynarki, po czym sięgnęła prawą ręką za siebie, a po chwili szarpnęła głową i ukazała się burza rozpuszczonych włosów. W mojej głowie grali larum.

– Jestem żonaty – podjąłem rozpaczliwą próbę opanowania jej apetytu.

– Nie jesteś. Widziałam twój paszport. – Teraz rozpięła pierwszy guzik w bluzce.

– A etażnaja? – To już był ostatni argument.

– Zajęta, coś jej w zamian dałam, zawsze tak robię...

– Z wieloma mężczyznami? – zapytałem, sądząc, że jakoś ją to zbije z tropu.

– Nie, tylko z takimi, którzy mi się podobają. – Zaczęła zdejmować marynarkę. – Wy mi się podobacie, a ja wam nie?

Nie mogła się nie podobać, jak poruszając biodrami, ruchem doświadczonej striptizerki rzuciła w kąt marynarkę, po czym zdjęła okulary. A to nie był koniec, rozpięła do końca bluzkę, odsłaniając wcale pokaźny i krągły biust, godny bliższego poznania.

– Podoba mi się pani, ale...

Nic już więcej nie powiedziałem, bo położyła mi palce na ustach, tymczasem druga dłoń powędrowała zupełnie gdzie indziej. Spojrzałem kątem oka na zegarek, różne cuda się zdarzają, ale nie seks trwający pół minuty i liczenie na to, że mnie po wszystkim wypuści z pokoju. Musiałem działać błyskawicznie, bo palce zostały zastąpione przez jej usta, a poniżej mojego pasa błyskawicznie dochodziła do punktu, w którym będzie to droga bez odwrotu. Wziąłem ją w ramiona, po czym rzuciłem na łóżko, padła i jęknęła. Z oczekiwanej rozkoszy, a nie z bólu, bo materac był w porządku.

– Pokażę ci, jak to robią amerykańscy imperialiści.

Zdjąłem pasek i związałem jej ręce, po czym przyczepiłem do wezglowia łóżka, następnie zdarłem z siebie koszulę i... zakneblowałem ją. W pierwszym odruchu nie zrobiła nic, próbowała popiskiwać, kiedy wyszarpnąłem spod niej prześcieradło i skrępowąłem nogi, przywiązując dodatkowo do łóżka.

Teraz mogłem poprawić knebel, rzuciłem się do szafy po drugą koszulę, wrzuciłem na siebie marynarkę i palto, spakowałem po kieszeniach najpotrzebniejsze rzeczy, po czym szepnąłem do niej:

– Wybacz, ale to wszystko się stało o dzień za późno, a Jansson to oszust, miał jedną żonę w Helsinkach, a drugą w Moskwie, sprawdź w Domu Polarnika, nazywa się Larina Fiedorowna Simonian – wyrecytowałem nazwisko, które usłyszałem od Polikarpa Iwanowicza. – Żegnaj, Wiero!

Rzuciła się na łóżku, ale bez efektu, co upewniło mnie, że jest dobrze przywiązana. Szkoda mi było dziewczyny, ale są sprawy ważne i ważniejsze. Wyjrzałem z pokoju, etażnaja była, ale spała, chrapała jak nosorożec. Na stoliku stała szklanka, nie sądzę, by była w niej woda, bo przechodząc obok, dało się wyczuć zapach alkoholu. Zatem Wiera specjalnie nie przeplącała za spokój i dyskrecję. Zapewne razem zeznają, jedna, że jej nie było, druga, że nikt do mnie nie przychodził, bo wyszedłem z pokoju i nie wróciłem.

Zbiegłem na dół, taksówka stała na włączonym silniku, w środku byli już Margaret i Polikarp Iwanowicz.

– Nie tak się umawialiśmy! – rzucił gniewnie, a ledwie mój tyłek wylądował na siedzeniu, auto ruszyło.

– Miałem pewne problemy, nieproszonego gościa, którego musiałem cierpliwie znieść.

– Nie było żadnej afery?

– Ależ skąd! – zełgałem, po czym szybko zmieniłem temat. – Z którego dworca odjeżdżamy?

Cisza. Jakbym zadał nieestosowne pytanie.

– Po prostu chciałbym wiedzieć, jak pojedziemy.

– Jak to jak? – zachnął się. – Bezpiecznie! – powiedział to i po raz pierwszy się uśmiechnął. – Nie martw się, Amerykaniec, *wsio budiet w pariadkie*, będziecie zadowoleni.

Kaci pewnie też tak mówią, kiedy skazaniec kładzie głowę na pieńku.

– Wypijmy przed podróżą – rzucił i dał znać Niedźwiedziowi, który mimo tłoku panującego w aucie uwinął się jak kelner i wyczarował flaszkę wódki i dwie musztardówki. – Brawo! *Gaspadar Amierikaniec kulturnyj człowiek*, nie będzie pił z gwinta, kulturalni ludzie piją ze szklanek! – Zaśmiał się upiornie i połał po pół szklanecki.

Wzięliśmy szkło w ręce, a on patrzył na mnie uważnie; w mig zrozumiałem, o co mu chodzi.

– Po pierwszym nie pijam – wyjaśniłem, a on wysoko uniósł swe krzaczaste brwi.

– Gieroj!

– Whisky ma taką samą moc – odparłem.

– Tyle że to spiryt! – Zaśmiał się, a ja wiedziałem, że nie mogę się wycofać.

Spojrzął na mnie badawczo i wyjął kosę, po czym pstryknął na Niedźwiedzia. Ten postawił na stole jakieś zawiniątko. Otworzył zatłuszczony papier, w środku był kawałek słoniny, z namaszczeniem ukroił dwa plasterki i jeden z nich podał mi na czubku noża.

– *Saló* – powiedział z powagą i dostojeństwem, jakby był księdzem podającym hostię. – Nie ma nic lepszego pod spiryt.

I faktycznie nie było, ale repetę przyjąłem bez entuzjazmu, choć starałem się grać konesera picia spirytusu.

– *Saló i agurcy!* – Twarz bandyty była teraz wręcz uduchowiona i nie pasowała już do wyobrażenia sił piekielnych, a do wizerunku świętego mnicha. – *Agurcy...* – dodał, a Niedźwiedź podsunął słoik z ogórkami.

Dwie kolejki to było aż nadto, czułem, że przy trzeciej wyparują mi przelyk i płuca, a żołądek zmieni się w rozżarzony kociołek.

Samochód stanął przy jakichś magazynach, wysiedliśmy, powiał mroźny wiatr; i bez niego było to miejsce, w którym ciarki wędrowały po całym ciele.

– Było miło – powiedział po drugiej kolejce i brzmiał w tym wyraźny żal. – Szkoda, że to już koniec... – Zawiesił głos.

Ta pauza trwała przejmująco długo, spojrzałem na Margaret, ale ona jakby nie zdawała sobie sprawy z moich obaw. Bandyta spojrział mi w oczy i powiedział:

– Wszystko musi mieć swój koniec. Żeby wasz koniec nadszedł... – Znow zawiesił głos, a ja poczułem, że pot płynie mi po plecach.

Patrzył na mnie swymi straszonymi oczami, po czym postąpił w moją stronę i nagle objął mnie, i jak z dubeltówki pocałował w oba policzki.

– ...żeby wasz koniec, Henryku Władysławowiczu, nadszedł w innym miejscu niż Moskwa, musicie z niej wyjechać! Szkoda, bo pewnie niejednego byśmy tu razem dokonali.

Znow mnie uściskał i wziął w rękę butelkę. Z jednej strony poczułem ulgę, z drugiej zaś w środku wszystko zaczęło mi się kotłować. Porzygam się, jak nic!

Na szczęście dał mi butelkę w rękę i powiedział:

– Macie na drogę, Henryku Władysławowiczu! – I po chwili dołożył mi słoik z ogórkami.

Podziękowałem, nadal nie wiedząc, w jaki sposób, oprócz tego, że bezpiecznie, mamy się dostać do Leningradu. Nie pytałem jednak, nie chcąc psuć idyllicznej atmosfery.

– *Zuch, maładziec!* – wykrzyknął i znow mnie wyściskał. – To będzie długa, choć nie najdłuższa podróż, w końcu kilkanaście godzin do Pitra to nie kilkanaście dni na Sybir – rzucił, a jego kamraci zanieśli się śmiechem. – Do tego nie na kilka lat obozu! I nie w takich luksusach, będziecie mieli do dyspozycji, można tak powiedzieć, cały wagon!

I tak było, w wagonie przewożono futra poupychane po skrzyniach. Na podłodze leżało siano, nie pierwszej świeżości, ale jeszcze nie jechało zgnilizną. Nasz skład ruszał bowiem z dworca Moskwa-Towarowa przy placu Komsomolskim, a do wagonu doprowadziła nas rozstawna sztafeta opłaconych ludzi.

Kolejarze, robotnicy, a nawet strażnik z karabinem, na którego lufie był długi, graniasty bagnet, powiedli nas między rampami, magazynami i bocznicami, gdzie stały dziesiątki składów. Wskazali nasz pociąg, otworzyli wagon, wsadzili do niego i zamknęli wrota, zostawiwszy nam butelkę wody, pół chleba i słoik.

– A ten słoik to na co? – zapytała.

Z jak największym spokojem odparłem, że do sikania, a ona nagle zaczęła się śmiać.

– Bądź cicho! – upomniałem ją.

– Masz mnie za idiotkę. Musisz tak uważać!

Nic nie powiedziałem, bo jakoś trudno mi było zaprzeczyć. Trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby uwierzyć w komunizm, i to tak, by sprowadzić się do Związku Sowieckiego. Westchnęła ciężko, w tym momencie wagon ruszył, a ja w ciemnościach zobaczyłem jej twarz – padł na nią snop światła z latarni, koło której przejeżdżaliśmy. To trwało moment, ale zobaczyłem, jak po jej policzku spływa łza.

– Tak, jestem idiotką, wielokrotną, nieuleczalną, gdyby nie to, nie wpakowałabym się w to wszystko!

Po drodze nie było już żadnej latarni, ale wiem, że płakała, nie widziałem łez, słyszałem za to jej łkanie. Przynuliłem ją do siebie.

Popłakała jeszcze chwilę, myślałem, że usnie, bo dzień był pełen emocji, do tego miarowy stukot kół był lepszy od jakiegokolwiek kołysanki. Ona chciała mi jednak opowiedzieć o całym swoim dwudziestotrzyletnim życiu.

– Urodziłam się na Manhattanie, konkretnie w Nolicie – zaczęła. – Znasz Nowy Jork i Manhattan? – zapytała, ja kiwnąłem głową. – Nolita to północna część Małej Italii – wyjaśniła – niedaleko katedry Świętego Patryka, kawalek od Katz’s Delicatessen, żydowskiej knajpy z kanapkami. Tam pracował ojciec mojej koleżanki Estery. Od niej się to wszystko zaczęło, jej komunizm zakręcił w głowie, zapisałyśmy się do Klubu Przyjaciół Związku Radzieckiego. Dlaczego? Na złość rodzicom, Żydom, nieortodoksyjnym, ale chodzącym do synagogi, i moim, Irlandczykom i Włochom, którzy przestrzegali zasad z kraju przodków. A Związek Radziecki pachniał buntem i wolnością, dawał wszystkim równe szanse, także kobietom.

Zapisałyśmy się na naukę rosyjskiego, Ester złapała później posadę w radzieckim przedstawicielstwie handlowym. Zazdrościłam jej, bo ja się nie załapałam, byłam gorsza z rosyjskiego. Tak naprawdę nie potrzebowałam, bo mój wujek, z pochodzenia Włoch, jest bogaty i nie może mieć dzieci, a mnie nieba by przychylił. Ojciec, Irlandczyk, powiedział, że nie chce brać od makaroniarza, ale opłacenie studiów na Harvardzie to inna sprawa. Tyle że na to ja się nie godziłam, nie chciałam pieniędzy zarobionych poprzez wyzysk innych.

Poza tym miałyśmy razem z Ester jechać do Kraju Rad! Ona wszystko zorganizowała. Odłożyłam na bilet, a kiedy skończyłam dwadzieścia jeden lat, byłam gotowa tam pojechać. Miałyśmy się udać w tę podróż razem, ale ona zaszła w ciążę! Myślałam, że z którymś z Rosjan, ale okazało się, że z chłopakiem z sąsiedztwa! Straciła głowę, zapomniała o buncie, wyszła za niego. Poczulałam się zdradzona, samotna, nie chciałam oglądać ich pod baldachimem, słyszeć *mazel tow!* Popłynęłam do Europy sama, a później pociągami do Moskwy.

– Sowietci sfinansowali ci ten wyjazd?

Odpowiedziała śmiechem.

– Chyba dawno nie byłeś w Ameryce albo jesteś bajecznie bogaty! Związek Sowiecki w Ameryce miał ponad sto tysięcy podań o pracę! Kryzys sprawił, że Kraj Rad stał się ziemią obiecaną. Mogli mieć każdego bezrobotnego inżyniera, majstra, specjalistę. Mogli robić casting jak w Hollywood, i to na parę miejsc na krzyż. Nie musieli szukać, bo amerykańskie firmy wysyłały całe ekipy, które budowały fabryki i wdrażały produkcję. Ja sama zainwestowałam w wyjazd, bo nauczyłam się rosyjskiego i zapłaciłam za bilet.

– To były pieniądze na studia?

– Tak, bo pomyślałam, że studia trwają parę lat, a w Sowietach odmięnię swe życie w jednej chwili.

– I poznałaś księcia z bajki...

– I poznałam księcia z bajki – odparła smętnym głosem, po czym energicznie dodała po rosyjsku: – *Bljadź*, ależ bym zapaliła.

– Palenie to mamy z głowy aż do Leningradu – dodałam na wszelki wypadek.

– To, że się w to wszystko wpięprzyłam, nie oznacza, że jestem idiotką – ucięła.

– Masz cukierka – powiedziałem, wyciągając z kieszeni pudełko z landrynkami, poświeciłem nawet latarką, żeby mogła się poczęstować. – Mów dalej, czas szybciej zleci.

Pracowała w agencji TASS, najpierw tłumaczyła zagraniczne depesze, a później pisała po angielsku. Okazuje się, że świat chętnie kupuje od Sowietów propagandowe bzdury. Na potańcówce poznała chłopaka, zakochała się, a on obiecał jej piękne życie i mieszkanie w domu nad rzeką.

– Dom na nabrzeżnej to jakby osobne miasto w mieście, potężny gmach, w którym mieszkają wszyscy najważniejsi ludzie w Kraju Rad! Tylko chyba sam Stalin tam nie mieszka, ale już jego dzieci tak. I Beria, i Rykow, nawet marszałek Tuchaczewski, artyści też! I luksusy jak w Ritzu albo u Rockefellerów. Pięćset mieszkań, o których marzy każdy, bo najmniejsze mieszkanie dla kawalerów albo pary ma czterdzieści metrów, a te największe po trzysta, w nich była nawet pokoje dla służby. Każde wysokie na prawie cztery metry, każde z kuchenką gazową, telefonem i radiem, centralne ogrzewanie, toalety. Oczywiście windy, portiernie, własna straż, pralnia, żłobek i przedszkole...

Westchnęła ciężko jak za utraconym skarbem.

– *No ale diela poszli płocha...* – wyrwało się jej po rosyjsku. – Kola wyjechał gdzieś do nowej fabryki, chciał, żebym za nim pojechała. Ale ja nie miałam ochoty. Zaczęły się dziać złe rzeczy, zwolnili mnie z agencji, zabrali paszport. Do ambasady nie wpuszczali, bo nie miałam paszportu. A on pisał, pytał. Raz przyszedł jakiś jego kolega, jakby mnie sprawdzał, czy z kimś jestem, co robię. Pracę dostałam w magazynie, mieszkanie miałam podłe, ale uparłam się, żeby z Moskwy nie wyjeżdżać. I w międzyczasie dowiedziałam się, że mój Kola jest czekistą...

– Jak jechałaś do Sowietów, to nie wiedziałaś, że jest w NKWD?

– Jakoś na to wtedy inaczej patrzyłam. Pewnie przed wyjazdem bym się cieszyła, że wybierze mnie czekista, chłopak z sowieckiej elity. Dopiero na miejscu zobaczyłam inny świat, niepojęty. Znikają ludzie, do więzień trafiają zasłużeni komuniści, w sierpniu był proces szesnastu, na ławie zasiadli Zinowiew i Kamieniew, prawdziwi bohaterowie, legendy rewolucji. Rozstrzelano ich za spisek i zdradę, ich, rozumiesz? I ja wiem, że ten mój Kola przyłożył do tego wszystkiego rękę. I ja pewnie też, pisząc w depeszach te wszystkie bzdury i propagandowe kłamstwa...

Pomyślałem sobie, że o ile domyślałem się, co nas może czekać w razie wpadki, to teraz brakowało mi wyobraźni. Margaret położyła mi głowę na kolanach, pociąg miarowo stukła, pokonując kolejne kilometry, była noc, ale ja nie potrafiłem zasnąć.

W końcu usnąłem, obudziło mnie gwałtowne szarpnięcie drzwi, metaliczny hałas i snop światła, który wtargnął do środka. Do wagonu wskoczył człowiek z karabinem, pomyślałem, że to koniec.

– Co się tak gagicie? Zbierać się, póki można!

Kamień spadł mi z serca, ale bałbym się spojrzeć w lustro, by nie zobaczyć, że osiwiłem ze strachu.

Tak jak w Moskwie, i tu wszystko było zorganizowane na medal: wyprowadzono nas z dworca, wsadzono do furgonetki i powieziono nie wiadomo dokąd. Przez szparę w plandece widziałem, że przemierzamy jakieś tereny przemysłowe, potem wjechaliśmy do miasta, pokonując wiele mostów, w końcu stanęliśmy w jakimś podwórku. Zaprowadzono nas do jakiejś meliny, czegoś, co wyglądało jak stróżówka.

– Możecie tu być tylko dwa dni, później musicie się zwiijać – rzucił zarośnięty typ w waciaku i czapce uszatce – ale póki tu jesteście, macie co jeść i pić. – Wskazał na stolik, na którym znajdowały się bochenek chleba, kawałek słoniny, bańka mleka i butelka wódki. – Coś jeszcze?

– Dajcie kartkę papieru i ołówek – poleciała Margaret, a on spełnił jej prośbę. – Piszę do niego – powiedziała do mnie i dodała: – jak mnie kocha, to nas stąd zabierze.

Napisała coś i podała dziadowi.

– Zanieście ją pod ten adres.

– Tego nie było w umowie.

– A to było? – Dałem mu dolara. – Drugi, jak przyniesiesz odpowiedź. I wiesz, że nasz przyjazd załawali poważnie ludzie, z worami w zakonie nie można zadzierać.

Dziad zniknął, Margaret spała, a mi po głowie chodziły złe myśli. Za ile mógłby nas sprzedać?

Czas mijał, ja się rozklejałem. Zmierzchało, na podwórko wjechało z impetem auto, zrobiło się jasno od światła reflektorów. Bronić się czy uciekać? Wziąłem do ręki nóż, który leżał na stole. Decyzję podjąłem za późno. Nie zauważyłem, że drzwi otwierają się do środka, dostałem fangę w ryja, potem poprawili pięścią – wszystko zgasło.



## ROZDZIAŁ XXVIII

**W którym okazuje się, że skoro poznało się Polikarpa Iwanowicza, to można jeszcze poznać dwóch Polikarpowów, historie opisane w tanich romansach nie są mocno przesadzone, sowiecka awiacja jest sztuką, którą uprawiają samobójcy, a słowo „ładowisko” może mieć bardzo wiele znaczeń**

Ocknąłem się z bólem głowy i jeśli jeszcze miałem jakieś nadzieje na happy end, to z miejsca prysły jak bańka mydlana. Byłem związany jak baleron. Gówniane sowieckie porządki, zakląłem po cichu, mając na myśli w pierwszej kolejności fakt, że nie założyli mi kajdanek, tylko związali sznurkiem, a po chwili dodałem do tego stan dróg. U nas nie było malinowo, jak mawiał Miecio, ale takich dziur się nie spotykało; auto podskoczyło, spadło, a ja wałnąłem o coś głową tak mocno, że aż zawyłem.

– Wołodia, zatrzymaj się! – usłyszałem głos Margaret.

Auto stanęło, po chwili Margaret była przy mnie, za moment wyłonił się zza niej typ wyglądający na małopolda, na głowie miał furażerkę. Widziałem różnych lotników, ale nigdy tak wielkiego i tak brzydkiego.

– Przepraszam, głupio wyszło – skrzywił się – chciałem jak najszybciej spotkać Margaret, więc tak mocniej pchnąłem te drzwi, wy staliście za nimi, nóż zobaczyłem... A potem nie było czasu, trzeba było jechać, więc was związałem. Wołałem, żebyście się nagle nie ocknęli i nie narobili rabanu. Wybaczcie! – powiedział, po czym uwolnił mnie z pęt.

– Bo żeś jak durak napał, one się otwierały do wewnątrz, a ty je wyrwałeś z futryną, zabić mogłeś – ofuknęła go Margaret.

– To z miłości wielkiej, maleńka, ja na ciebie pół roku czekałem, a tak po prawdzie rok, bo wtedy cię pierwszy raz zobaczyłem i...

– Gdzie my jesteśmy? Nie powinniśmy zmieniać planów – odezwałem się zaniepokojony.

Jak na zawołanie zawyły silniki, taki charakterystyczny ryk mają tylko motocykle. Pięknie, staliśmy na środku szosy! Wołodia wepchnął z powrotem do auta Margaret.

Leżałem z tyłu i nasłuchiwałem, motocykle stanęły blisko auta, wyłączono w nich silniki, a po chwili usłyszałem:

– Milicja, dokumenty do kontroli! – Pomyślałem, że to koniec, ale po chwili usłyszałem: – Przepraszam, towarzyszu sierżancie. – Głos ze służbowego stał się przyjacielski, milicjant musiał się zorientować, że kierowca jest wojskowym. – Może w czymś pomóc?

– Nic się nie stało, sikałem, tak mnie napałło na pęcherz, wiecie, towarzysze, jak to jest.

Rozległ się rubaszny śmiech, a po paru sekundach milicjanci odjechali. Może ten Wołodia wyglądał jak małopold, ale kiepeł i refleks miał nie od parady.

Wieczorem dojechaliśmy na lotnisko. Potem poszliśmy spać w hangarze, ja w średnio komfortowych warunkach, nie chodziło nawet o materac i zapaprany smarem koc, tylko o odgłosy regularnego rżnięcia na wszystkich możliwych dystansach. On był przeszcześnieśliwy, ona też była niezmiernie zadowolona.

Ja szybciej usnąłem, niż oni skończyli. Rzadko kiedy bolał mnie łeb jak o poranku w Petersburgu, ale rzadko kiedy przytrafia się strzał w czaszkę drzwiami wyrwanymi z futryny, i to na lewą stronę. Popa-

trzyłem na nich, siedzieli przytuleni, on nawet jakoś szlachetniej wyglądał, ona cała promieniała.

Bałem się zapytać, co dalej, bo wyglądali tak, jakby nie chcieli się nigdzie ruszać, szczęśliwi tu i teraz. Był dla nas ostatnią szansą, liczyłem, że może zamelinuje nas w Petersburgu na jakiś statek albo inną metodą przetrzuci przez granicę. Nie ma chyba dłuższej granicy w Europie niż ta między Sowietami i Finami.

– Co robimy? – zapytałem.

– Jak to co? – ożywił się Wołodia. – Jemy śniadanie! Świąteczne, dzisiaj siódmy listopada, dziewiętnasta rocznica Wielkiej Rewolucji Październikowej! – Zaśmiał się i podsunął mi kubek kawy zbożowej z mlekiem i kiełbasę.

– Jedz, Henry, bo następny posiłek w Helsinkach.

O mało się nie udławiłem.

– Jakim cudem?

– Wołodia chce wyjechać ze mną za granicę! – powiedziała i pocałowała go w policzek.

– Jak to zrobimy?

– Polecimy. – Zaśmiał się tak, że zadrżały ściany.

– Ukradniesz samolot?

– Nie, lekko zejść z kursu. – Dalej się serdecznie śmiał, po czym spojrzał na zegarek. – Uch ty, *bljadź!* Pospieszmy się, zaraz start, pół Leningradu na nas czeka, musimy się pięknie pożegnać, w końcu mamy przelecieć nad defiladą z transparentem „Октябрьская Революция 1917–1936”.

Wołodia przebrał się raz-dwa w lotniczy kombinezon z futerkiem. Margaret miała podobny, ja byłem w palcie.

– Zabierzcie koce, wszystkie, jakie tu są, inaczej zamarzniecie – poinstruował mnie.

Zabrałem całą stertę koców i ruszyliśmy do samolotu. Zacząłem się zastanawiać, czy ktoś za chwilę nie wyleci z karabinem, w końcu to lotnisko.

– Możemy tak sobie chodzić? – zapytałem.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział tubalnym głosem Wołodia. – Każdego innego dnia, ale nie dzisiaj. Bo dziś się świętuje, ludzie na defiladach i wiecach, a my w powietrzu, maszyna czeka! – Wskazał na dwupłatowy samolocik, po czym pomógł mi wrzucić koce do środka. – To mój samolot – uśmiechnął się – bo to maszyna Polikarpowa, a ja też jestem Polikarpow! Z tym że ten konstruktor nazywa się Nikołaj Nikołajewicz, a ja Władimir Władimirowicz!

– A czemu tu jest napisane U-2? – zapytałem.

– Bo oficjalnie to samolot *uczebnyj dwa*, znaczy się do nauki. Albo po prostu *kukuruźnik*, to po naszymu oznacza taką konstrukcję, na której suszy się kukurydzę.

Zajrzałem do kabiny i się zdziwiłem – w moim mercedesie było więcej przyrządów!

– To wszystko? – nie potrafiłem się powstrzymać od beznadziejnego pytania, bo przecież wiadomo było, że nic już tam nie przybędzie.

– Siła prostoty – zaśmiał się – drążek i trzy zegary, włącznik zapłonu i iskrownik rozruchowy, no i to! – W dłoń trzymał gumowany przewód.

– Co to jest? – zapytała Margaret.

– Ucho! Zobacz, co z tym zrobie! – Włożył przewód do pilotki, a potem oświadczył: – Tą drogą kontaktują się w trakcie lotu instruktor i kursant, on zawsze siedzi z tyłu, ale dzisiaj to ja będę na miejscu dla kursanta. *Nu wot technika!* A teraz, panie Amerykaniec, zakręćcie śmigłem!

Chcąc nie chcąc, wyskoczyłem na ziemię i stanąłem przed samolotem. Musiało to wyglądać komicznie, bo słabiakiem nie jestem, ale do wszystkiego trzeba mieć wprawę. W końcu silnik zaskoczył i wdrapałem się do środka.

Samolotik podkołował, a potem długo rozpędzał się po trawiastym pasie. Wreszcie wystartował, po czym zadziwiająco szybko zaczął się wspinać. Po parunastu minutach nadlecieliśmy nad miasto, a Wołodia darł się ze swojej kabiny:

– Z prawej Aurora, Twierdza Pietropawłowska, z lewej Ermitaż, Pałac Zimowy, Admiralicja i pomnik Piotra Wielkiego, żegnaj, Leningradzieeeee!

Potem wlecieliśmy nad wodę i Wołodia Polikarpow przeleciał na twierdzą Kronsztad, a potem nad zatoką w kierunku Helsinek. Mimo że byłem pod kocami, to bez wódki nie dałbym rady, samolot wznosił się wyżej i wyżej, było coraz zimniej, szczękałem zębami.

Silnik, który do tej pory równo pracował, stęknął, zakrzuszył się i stanął. Zaczęliśmy tracić wysokość. Wpadłem w panikę. Spojrzałem na Margaret, która spała, i pomyślałem, że jest szczęściarą. Ostatnią noc różnęła się z Wołodią na okrągło, miała świadomość, że ucieka z tego sowieckiego gówna, a za parę minut zupełnie nieświadoma zejdzie z tego świata. Chwyciłem za „ucho” i krzyknąłem do mikrofonu:

– Spadamy!

– Nie, nie spadamy – odezwał się Wołodia, który chyba miał mnie za głupka.

– Spadamy!

– Nie, nie spadamy – wyjaśnił niewzruszenie, na ile można to spokojnie zrobić w świszczącym powietrzu i mając świadomość, że to wszystko dupnie – my szybujemy!

– Co?

– Ten samolot może szybować, nabrałem wysokości i teraz szybujemy. Tak musialem, bo zasięg na styk, a z paliwem różnie, raz jest lepsze, a raz gorsze. Dzisiaj z tych nie najlepszych, ale spokojnie, już parę razy lądowałem w ten sposób – oświadczył, jakbyśmy jechali autem, a nie lecieli samolotem.

Wyrzałem na zewnątrz, pod spodem było już widać miasto, parę kilometrów, i port. Byłem w Helsinkach i rozpoznałem katedrę luterzańską. Lecieliśmy wzdłuż nabrzeża, powoli tracąc wysokość i szybkość, weszliśmy w lekki huk i zaczęliśmy wpasowywać się w główny bulwar. Miałem wrażenie, że rozbijemy się o ścianę domu. Sądziłem, że zaraz usłyszę huk, że cała ta konstrukcja z desek, płótna i paru rurzek pacnie w któryś z gmachów jak mucha w ścianę, ale zamiast tego usłyszałem odgłos kręcących się kół.

Wołodia natomiast posadził samolot, złapał kontakt kołami tak delikatnie, że Margaret się obudziła, jakby ktoś ją lekko trącił w ramię. W tym momencie maszyna stanęła, zapanowała cisza, a wkrótce rozległy się ludzkie głosy.

– Państwo wybaczą, ale ja swoje zrobiłem, jestem umówiony! – rzuciłem.

Całowali się namiętnie, kiedy wyskakiwałem z maszyny. Mijałem zaskoczonych ludzi, którzy najwyraźniej nie wzięli mnie za pasażera, a tym bardziej za lotnika. Szedłem do Hotelu Kämp, pod którym zaparkował Władimir Polikarpow. Nie dotarłem do drzwi, gdzie powinienem zameldować się parę dni temu, bo spotkałem Julka Beniowskiego. Nie był sam, szedł z dwoma mężczyznami, żadnego z nich nie znałem, oni mi się przyrzekli, ale nie zwalniając kroku, poszli w kierunku samolotu.

– Spóźniłeś się – powitał mnie, mocno ściskając dłoń.

– A ty chyba dawno w mordę nie dostałeś. – Jakoś nie stać mnie było na bardziej wyszukany żart.

– Chyba chcesz się odświeżyć?

– Zawsz podziwiałem twoją przenikliwość, dlatego jesteś oficerem wywiadu!

Zaśmiał się, klepnął mnie po plecach i poszliśmy do hotelu. Kolejną godzinę przeleżałem w wannie z gorącą wodą.

## CZEŚĆ IV: KORRIDA

¡Arriba España! – Naprzód, Hiszpanio!

Pozdrowienie frankistowskie, fragment piosenki Cara al Sol (Twarzą ku słońcu), hymnu hiszpańskiej falangi

¡No pasarán! – ¡No pasarán!

Hasło republikańskie, fragment przemówienia Dolores Ibárruri Gómez

*¡No pasarán! Es preferible morir de pie que vivir de rodillas!*

(Nie przejdą! Lepiej umierać, stojąc, niż żyć na klęczkach!)

## ROZDZIAŁ XXIX

**W którym w Helsinkach czeka wiza do Polski, ale via koniec Europy, Julek wraz nowym kierownikiem przekonuje mnie do szaleństwa i opowiada o ludziach, za którymi chciałoby się pójść w ogień**

Wymoczyłem się w wannie, dostałem nowe ciuchy, bo moje – po podróży wagonem, nocach w melinie i hangarze oraz locie, podczas którego byłem zawinięty w śmierdzące koce – nadawały się już tylko do wyrzucenia.

– Kupiłem już wcześniej, na polskie złote to zainwestowałem w ciebie ze dwie stówki! – powiedział Julek.

– Potrącisz mi z honorarium – odparłem. – Gadaj lepiej, co z dziewczyną i pilotem.

– W porządku, Brytyjczycy ich przejmą.

– Brytyjczycy?

– Amerykanie w tej sprawie pękają, Roosevelt nie chce drażnić Sowieców, jak ci mówiłem, wywiad u nich leży, a Brytyjczycy działają na kierunku sowieckim mocno, wiedzą co i jak, więc chętnie wezmą do siebie ludzi, którzy coś tam wiedzą o Sowieciech. Oto pieniądze – wyłożył na stół pękatą kopertę – i będzie jeszcze premia od przyjaciół szpiegów.

– W dupie mam szpiegów, głodny jestem.

Usiedliśmy w hotelowej restauracji, gdzie z menu wybrałem tatara i pulpety w sosie z ziemniakami.

– Mielone z mielonym? – zdziwił się Julek.

– Siekane z siekanym – odparłem. – Czy to już koniec, czy teraz już jesteśmy kwita? – wypowiedziałem te słowa nieuprzejmie, może nawet wręcz opryskliwie. Włożyłem w to dużo serca.

Nic nie mówił, więc znaczyło to, że jest jakaś nowa kabałka, kolejny włam dla Rzeczypospolitej, otwarcie nowej szkatulki, wewnątrz której będzie następna, a po niej kolejna, jak ruskie matroszki, tyle że bez końca.

– Ja się z tego wypisuję – powiedziałem twardo, uprzedzając propozycje i zachęty – choćbyś obiecywał złote góry.

– Chciałem, żebyś pomógł nam w Hiszpanii – wypadły z niego te słowa, jakby był przygotowany na moja odmowę i kompletnie nic sobie z tego nie robił. Co tu dużo gadać, był z niego kawał bezczelnego typu.

– Nam?

– Mnie i mojemu kierownikowi.

Kapitan Beniowski dał znak ręką i do naszego stolika podszedł wysoki, lekko szpakowaty mężczyzna, poznałem w nim jednego z ludzi, z którymi szedł w kierunku samolotu.

– Major Wincenty Sokołowski – powiedział niskim głosem, który dobywał się niczym z jakiejś tuby, a nie z ludzkiego gardła. Miałem wrażenie, że ten głos gdzieś już słyszałem, a majora widziałem, tylko gdzie... – Wiele o panu słyszałem, panie Henryku. Myślę, że łączą nas wspólne interesy, na tym, co panu zaproponuję, skorzystają wszyscy, każdy z nas, a najbardziej polscy robotnicy. Wie pan, że dręczący nas straszne bezrobocie?

Nie tego się spodziewałem! Polska, ojczyzna, honor, a może nawet i Bóg Ojciec oraz

Przenajświętsza Panienska, co Jasnej Góry broni i jest w Ostrej Bramie. Obowiązek, a przy okazji, czemuż by nie, pieniążki i zemsta. A on o robotnikach i bezrobociu. Co to jest, do kurwy nędzy? Międzynarodówka, zebranie związków zawodowych czy może mi się to wszystko przysniło? Ale przecież facet przedstawił się jako major i wyglądał na oficera, a na pewno nie na związkowca. Inna insość, że ci, których ja znalazłem, to były niezłe oryginały. W Polsce Tata Tasiemka i Doktor Łokietek, a w Ameryce John „Dingbat” Oberta. Tak z grubsza to nosili się jak stróże w Boże Ciało, a Sokołowski był ubrany elegancko, poza tym nie wyglądał na gangstera, bo trzech moich znajomych związkowców było przy okazji regularnymi gangsterami.

– Zagał pan jak związkowiec – zacząłem pół żartem, pół serio.

– Mógł pan odnieść takie wrażenie – odpowiedział z pełną powagą. – Otóż w Hiszpanii, w której ma pan posiadłość i jest pan ustosunkowany, wybuchła właśnie wojna domowa. Obie strony potrzebują broni, ale Liga Narodów zabroniła eksportu. Szkoda, bo my ją mamy, nasze magazyny wojskowe i fabryczne są pełne, więc zakładom zbrojeniowym grozi postój, a w jego konsekwencji zamknięcie fabryk, zwolnienia. – Musiałem mieć obojętną minę, więc na koniec dodał: – Ludzie pójdą na bruk! Tak się sprawy mają.

– Mój Boże, zabraknie im amunicji i nie będą mieli się czym zabijać? – powiedziałem z ironią, ale chyba jej nie zrozumiał, bo tylko żarliwie pokijał głową. – Tylko co ja mogę zrobić?

– Pan może pomóc nam w sprzedaży polskiej broni do Hiszpanii.

– Pan żartuje!

– Nie żartuję, za to nie do końca precyzyjnie się wyraziłem. Muszę pana uspokoić, że nie musi pan szukać nabywcy, rynek zbytu wchłonie każdą ilość broni, zresztą kontrakt został już zawarty, jest kupiec, są pieniądze, duże pieniądze, i jest polska broń, trzeba ją tylko przewieźć. Kapitan Beniowski ma biuro handlowe, inni nasi ludzie organizują transport i obieg dokumentów, żeby to był eksport do Ameryki Południowej. W grę wchodzi miliony dla Polski, mi-lion-y – wysylabizował. – W tej poważnej sumie jest także marża dla dostawców, którzy dyskretnie dostarczą ładunek, czyli także i dla pana.

– Szanowny panie – przerwałem. Zamiast mówić dalej, westchnąłem ciężko, po czym nie zwracając uwagi na konwenanse, nalałem sobie wódki i wypilem. – Znam faceta, pan też go pewnie zna, z gazet i słyszenia. Nazywa się Cichocki, Stanisław Cichocki, lepiej znany jako Szpicbródka albo Król Kasiarzy. Zgubiła go pazerność, chciał zarabiać więcej, wpakował się w kłopoty. Ja swoje chcę liczyć, już nie mnożyć, na pewno nie tak. Nawet jeśli jest to warunek mojego powrotu do Polski, to ja to serdecznie chrzańnię.

Pokiwali ze zrozumieniem głowami. Jak gdyby się nie przejęli, wiedzieli, że tak powiem, chociaż Julek jakby się zapowietrzył i zrobił to samo co ja przed chwilą. Westchnął, nalał wódki, ale nie tylko sobie, także do kieliszka Sokołowskiego i mojego, wzniosł swój i goliął. I ja goliąłem na drugą nóżkę, zaś major tylko się przyglądał.

– Heniu – podjął jakby z trudem, widocznie kieliszek wódki nie wywołał w jego umyśle żadnego oświecenia – droga wolna, możesz nie wracać, jak wiesz, pan... nazwijmy go Smith, czyli wujek Margaret, jest ci dozgonnie wdzięczny, ma niezłe możliwości, a my... – Rozłożył ręce. – My, dopóki nie wyprostujemy sytuacji, niewiele w Polsce znaczymy, chyba że wykonamy z powodzeniem hiszpańską misję. Twój udział w tym przedsięwzięciu pomógłby nam wszystkim. Ale nie na siłę, bo masz pełne prawo mieć tego wszystkiego dość. Jeśli chcesz, jedź do Ameryki. Mówię poważnie. To silny człowiek, może wiele, a jeśli nie do USA, bo się boisz tej szalonej Robinson, jej rodziny i federalnych, to wujek Margaret widzi cię jako szefa swojego przedsiębiorstwa na Kubie. Wywczas non stop!

– No to ja się pakuję i jadę na tę Kubę! – zapowiedział stanowczo.

Sokołowski nic na to nie powiedział, a Julek aż się zaniósł śmiechem.

– Bądźmy szczerzy, masz to serdecznie i głęboko w dupie, bo ja cię znam i wiem, że w Ameryce ani nigdzie indziej nie zaznasz spokoju. W Polsce też nie.

– Do Polski i tak nie mam wjazdu.

– To się może zmienić – powiedział Sokołowski. – Dla kapitana Beniowskiego i pana to rodzaj egzaminu, sposób na udowodnienie wartości...

– Prawda jest taka – odezwał się Julek – że ci z dwójki, którzy pode mną kopią dołki, uważają, że się wysypimy. Jakby co, zwalają wszystko na nas, rozumiesz?

– Pan też będzie przegrany. – Spojrzałem na Sokołowskiego i jego twarz mówiła, że tak. – Na co to panu? Bo rozkazy się wykonuje?

– Zgłosiłem się na ochotnika, bo tak mi kazało sumienie. Sprawę zaaranżowano tak, że dowody przeciw wam wydawały się porażające, ale żeby wszystko było w białych rękawiczkach, komentarz do raportu miałem napisać ja. Wróciłem po paru latach do Polski, w nic nie byłem zaplątany, żadną koterię czy grupę towarzyską. Pod nikogo nie jestem podwieszony, więc obiektywnie mogłem sprawę podsumować. Całość prowadziła i tak do przesłuchania pana, czyli powrotu do kraju, a wtedy mieliby jakiegoś asa w rękawie, brud, który by pana pogrążył. Obszedłem to, pisząc w analizie końcowej, że zarzuty są przesadzone, a panowie są najlepszymi ludźmi do pilotowania transportu z bronią, a na poparcie tych słów zgłosiłem się na kierownika tej operacji. W ten sposób pozostając z czystym sumieniem, a dwójka puszcza w niepamięć wszystkie wątpliwości dotyczące waszych osób. *Pecunia non olet*, bo prowizja nie idzie do jakichś obcych firm, tylko prosto do dwójki. Czy teraz pan rozumie?

Pokiwałem głową.

– A gdybym jednak nie chciał wracać? To na co mi to wszystko?

Julek znów nalewał wódki, ale nie unióś kieliszka. W jego przymrużonych, coraz zimniejszych oczach były śmierć i zemsta.

– Może zmienisz zdanie, jeśli powiem ci, że przy armii republikańskiej kręci się Ladislao Novak, Polak z Argentyny, agent sowieckiego wywiadu. Ów Ladislao Novak zostawił po sobie ślad w postaci czeskiego nazwiska...

– No i co z tego?

– Ja wytłumaczę – wtrącił Sokołowski. – Mamy jego zdjęcie – powiedział, po czym teatralnym gestem rzucił na stół fotografię.

Rozpoznałem tego skurwysyna, tego zdrając. Antoni Bożyczko.

– To na pewno on? – powiedziałem z powątpiewaniem, w końcu nie takie numery wycina się w świecie wywiadowców.

– Ten oficer rosyjski ukrywa się pod pseudonimem Resucitado. Czasem mówią o nim Waskriesieński... Ale to nie jest pewne, choć niezwykle logiczne.

– *Waskriesienie*... czyli niedziela – powiedziałem – ale także zmartwychwstanie... Rezurekcja!

– A po hiszpańsku *resurreccion*, zatem towarzysz Resucitado, a nasz Bożyczko, ma za sobą całkiem udane zmartwychwstanie. Czasem i pragmatyczni, wyrachowani ateści ulegają pokusom, by obwieścić światu, że doznali łaski życia wiecznego.

– Panowie, to jest jakaś błaga, mówicie, że ten łotr Bożyczko walczy po stronie Republiki. Inaczej być nie może, to bo sowiecki agent, a Stalin pomaga rządowi w Madrycie, czyż nie tak? – Przytaknęli głowami. – Z kolei nasz rząd nie kryje sympatii dla powstańców i ich wodza, generała Franco, prawda? – Znów przytaknęli. – Zatem do kogo, do jasnej cholery, mamy wieźć broń? Do tych, którym już pomaga Stalin, czy do tych, którym sprzyja polski rząd?

Odkąd okrutne kino dźwiękowe ściągnęło Charlesa Chaplina z tronu najlepszego komika świata, nie udało mu się ubawić publiczności słowem tak, jak ja to przed chwilą zrobiłem. Obaj oficerowie, nawet zachowujący do tej pory pełną powagę major Sokołowski, roześmieli się serdecznie.

– Dobrze! – rzucił major.

– Dobrze? Znakomite! – Julek otarł łzę.

– Tyle że nie z dowcipu, ale z pana się śmiejemy. – Sokołowski patrzył na mnie jak na dziecko, które wciąż wierzy w to, że Święty Mikołaj przynosi prezenty, a dzieci znajduje się w kapuście. – Nasz rząd

jest sercem przy generale Franco, ale portfelem przy republikańskim złocie. Franco nie śmierdzi groszem, zaopatrują go Niemcy i Włosi na kredyt. Polska nie może skredytować tej wojny, zatem sprzeda broń tym, którzy płacą, czyli jak to mówią jedni Republice, a jak mówią drudzy Czerwonym. Ot i cała tajemnica! Sprzedajemy broń Madrytowi, gdzie urządza republikański rząd, a nie Badajoz, gdzie mieści się kwatera Franco.

– Do Badajoz też, ale jakieś resztki, a co do szczegółów, sprawa wygląda tak – ożywił się Julek, który już wiedział, że jestem przekonany – można powiedzieć, że historia kołem się toczy, a nasz przemysł bierze rewanż. Próbowaliśmy sprzedać Hiszpanii, to znaczy poprzedniemu, prawicowemu rządowi, telefony polowe, granaty dla piechoty, tankietki i samoloty, ale przegrywaliśmy, bo konkurencja miała tam swoje filie. Utworzyliśmy spółki z Hiszpaniami, ale to było za mało, nie mieliśmy tam złamanej fabryki, ćwierci warsztatu czy montowni, a poza tym nasz sprzęt nie był tani.

Przed rokiem poprzedni rząd nagle zapalał miłością do naszego sprzętu, w grę wchodziło koło czterdziestu myśliwców, licencje na samolot obserwacyjny RWD-13 oraz maskę przeciwgazową. Negocjacje szły dobrze, zaczęły się w grudniu, ale w lutym był już nowy rząd Frontu Ludowego, który zerwał rozmowy, a teraz chciałby tego wszystkiego, o czym rozmawiali poprzednicy. Dają złoto, nie targują się i negocjują bezpośrednio z pominięciem swojego posła w Warszawie, Francisco de Serrát y Bonastre, bo ten opowiedział się po stronie powstańców. Ale tym razem nasi zwlekali; raz, że Serrát y Bonastre ma dużo przyjaciół w kręgach wojskowych, a dwa, że nie chcą się otwarcie przyznać, iż handlują z czerwonymi antychrystami.

MSZ opóźniał, wymyślano jakieś problemy, ale każdy opór można złamać złotem, a do końca rozwiać dobrą ceną. W grę naprawdę wchodzi miliony! Trzeba się śpieszyć, bo konkurencja nie śpi, zresztą na nich też można zarobić. Czesi i Austriacy wcale nieźle płacą za tranzyt broni, która jedzie pociągami do Gdyni, a stamtąd płynie do Hiszpanii. Niby się kłócimy z Czechosłowacją o Zaolzie, ale pieniądź nie śmierdzi. Udajemy, że my to nie my... Przepuszczamy przez inne porty, bierzemy pośredników, kombinujemy z innymi państwami. Zamieszani są w to dyplomaci z Chin, Grecji, Haiti, Meksyku, Peru, Portugalii i Urugwaju! Kupują od nas broń ci, którzy mają jakieś kabaretowe armie albo znani są z tego, że nie stać ich na zbrojenia. Ale jakoś się kręci.

– To do czego my jesteśmy potrzebni?

– Powiedzmy, że jesteśmy przedsiębiorstwem dwójki, wywiad też chce mieć środki na swoją działalność.

W sumie żadna nowość, Julek był w tym mistrzem.

– Mówiłeś, że Franco też coś opchnęliśmy.

– Specjalnie do tego handlu powstała w Gdańsku firma West Export, która próbowała nawet wysłać nacjonalistom samoloty. Wyobraź sobie, że reprezentujący West Export inżynier Stefan Czarnecki odkupił od British Airways cztery transportowe fokkery. Na papierze stało, że dla Syndykatu Górniczego w Katowicach. Nie wiem, czy miały latać po kopalniach, czy transportować węgiel – Julek się uśmiechnął – bo nawet wożenie zarządu i dyrekcji to by była dęta sprawa, bo wtedy kupiliby awionetki, a nie wielkie trzysilnikowe maszyny. No ale awionetek nie przerobisz na bombowiec, a jak raz taki fokker.

Te samoloty prosto z Anglii wleciały do Hiszpanii. Za sterami usiedli piloci z Polski, nawet doświadczeni, tyle że żaden z nich nie miał wcześniej okoliczności z tak dużymi maszynami. Trochę się podszkolili i polecili niby na Śląsk przez Francję, ale w Bordeaux, podczas międzylądowania, powiedzieli, że kolejnym lotniskiem będzie Braga w Portugalii. Francuzi ich uziemili, bo wyczuli pismo nosem, ale po osobistej interwencji brytyjskiego ambasadora puścili. W międzyczasie zmieniła się pogoda, która nad Zatoką Biskajską bywa podła, wlecieli w burzę i dwa fokkery szlag trafił. Jeden na amen, w Biarritz samolot się roztrzaskał, zginął pilot, kapitan hrabia Lasocki i jego pasażer z West Export. Druga maszyna rozbiła się podczas awaryjnego lądowania w La Rochelle. Pilot ocalał, ale trafił do paki. Trzeci samolot też awaryjnie lądował w Biarritz, i temu nic się nie stało, ale dla powstańców Franco przepadł. Na miejsce doleciał tylko jeden.



– My nie będziemy kombinować z samolotami? – zapytałem na wszelki wypadek.

– Jakby co, to Czerwoni chcieli od Polski tylko myśliwce – odpowiedział Beniowski.

– Ciekawe to wszystko – podsumowałem – panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek, tylko na opak. Co mam robić?

– Na początek przyjąć posadę w firmie kapitana Beniowskiego – wyjaśnił Sokołowski – w zależności od potrzeby będzie pan odpowiadać za ochronę i dezinformację. Bardzo liczymy na możliwości, jakie daje panu swobodne udawanie Niemca albo Amerykanina.

– A można prosić konkrety, bo wydawało mi się, że jak na takie przedsięwzięcie, to nasze siły są stanowczo zbyt skąpe.

– Żadnych pytań, sami potrzebni, wybrani przeze mnie ludzie. Zaufani i sprawdzeni. Będzie pan zadowolony! Mamy na pokładzie niemal komplet, może jeszcze jedna, góra dwie osoby. Przypuszczam, że wszystkich pan zna.

Zerknąłem na Julka, było w jego twarzy coś szczególnego, jakby wykręcił mi jakiś numer i czekał na moją reakcję.

– Do przeszmyglowania broni potrzebny jest nam statek i kapitan – myślałem na głos – w tym świecie nie mam znajomych... Poza tym część morską nie zależy od żadnego z nas. Na pewno potrzebujemy ludzi, którzy mają doświadczenie w handlu bronią.

Julek starał się zachować twarz pokerzysty, ale znałem go zbyt długo, niemal od urodzenia, więc dostrzegłem chochlika w jego oczach.

– Nie mów, że to on!

– Tak, to on! – Uśmiechnął się, jakby to było takie zabawne, że w nielegalnej misji będą ze sobą współpracować mąż-rogacz i kochanek jego żony. – Prezes Leszczycki, mąż niewątpliwie pięknej i znannej ci damy!

– Faktycznie zabawne, dowcip prima sort!

– Spokojnie, pan prezes żyje od paru lat ze swoją sekretarką, którą awansował na stanowisko kierowniczkę biura.

– To może weźmiemy na pokład pułkownika Nowickiego i zajmiecie wspólną kajutę, mielibyście wiele do wspomnienia, najlepiej z czasów, kiedy on miał okoliczność z gospożą, a jego żona chciała uciec z pewnym młodym oficerem?

Major Sokołowski słuchał tego wszystkiego z zainteresowaniem, chyba najlepiej bawił się z nas wszystkich.

– Daj spokój! – Julek się skrzywił. – Emilia Nowicka nie żyje, a co do tamtej sprawy, wszystko sobie wyjaśniliśmy z Nowickim... A co do kabiny, to będziemy ją dzielić w trójkę z majorem, takie tam oficerskie luksusy.

– On też jest w naszej drużynie?!

Sokołowski i Julek skinęli głowami. Ucieszyłem się, bo lubiłem Nowickiego. Na pewno się przyda, mówi biegle po francusku, ostatnie lata spędził w Paryżu, ale przede wszystkim mógł uchodzić za Rosjanina. Tak po prawdzie, to się nim urodził, jako carski wojskowy w trzecim pokoleniu. Był też biegły jak mało kto w sprawach rosyjskiej białej emigracji oraz sowieckich szpiegów. Jako jeden z nielicznych nie dał się oszwabić ruskim, kiedy okręcili sobie wszystkich wokół palca, organizując Monarchistyczny Ruch Centralnej Rosji. Uśmiechnąłem się pod nosem, bo to wszystko zaczynało mi się coraz bardziej podobać. Leszczycki i Nowicki to prawdziwe asy, kto więc kolejny?

– Jadę jako Niemiec czy jako Amerykanin? – zapytałem.

– Jako Amerykanin – odparł Julek.

– To pewnie, skoro mówiliście panowie, że reprezentujemy bardzo międzynarodową firmę, potrzebny będzie do towarzystwa jakiś Niemiec?

– Dokładnie tak! – potwierdził major.

– Znam go?

– I to dobrze, obaj go znamy! – rzucił Julek.

Niemiec, albo ktoś, kto może za Niemca uchodzić, to musi być jakiś kozak.

– Niemożliwe! – krzyknąłem. – Komisarz Strasburger?

Byłem tego pewien, bo kto jak nie on? As urzędu śledczego, który miał konszachty z dwójką.

– Były komisarz Strasburger.

Faktycznie! Coś mi świtało, zdaje się, że został prywatnym detektywem.

– Wydalili go? – zapytałem.

– Wiesz jaki on jest – odpowiedział Julek. – Był zbyt niezależny, kolorowy można powiedzieć, sam podjął decyzję o zwolnieniu.

Widziałem kiedyś jego kochankę, wieczną narzeczoną, Aleksandrę Fuchs. Była to niczego sobie kobitka z charakterem, taka troszkę starsza Zuzanna Orłowska i po trosze Aldona Glock, bo interesowała się sztuką i sportem, rznąła w brydża, a do tego jak szatan prowadziła auto.

– Jak go panowie namówiliście?! Może jego firma detektywistyczna nie przynosi wielkich dochodów, ale przecież żyje z rentierką!

Julek sięgnął po butelkę wódki, krzywiąc się lekko, bo widocznie nie była tak zimna jak się spodziewał, mimo wszystko wyjął korek i zaczął nalewać do kieliszków.

– Wyobraź sobie, że nie chciał żadnego honorarium tylko... – Uśmiechnął się.

– ...przysługi, gdyby była taka potrzeba – dokończyłem. – Są sprawy warte więcej niż pieniądze!

– I właśnie dlatego z nami jest – major wszedł w słowo kapitanowi.

Uniósł kieliszek, dając tym samym sygnał do wypicia kolejki. W końcu on był majorem, a Julek kapitanem, ja zaś podoficerem rezerwy, a że sprawa była państwowa i wojskowa, to jakiś porządek musiał panować.

– Brakuje nam tylko dobrego kierowcy, a przy okazji jeszcze takiego, który potrafi dać w mordę – powiedział Julek. – Tolka Wojciechowski go poznałeś w Berlinie, świetny jest, ale tym razem nie wchodzi w grę, ma inne obowiązki.

– Znam takich dwóch, ale jednego nie puści żona, a drugi musi pilnować interesów w Lizbonie.

– Tak czy owak damy radę. – Porucznik rozlał wódkę do kieliszków.

– Za pomyślność naszego przedsięwzięcia! – powiedział major, wznosząc kieliszek po raz wtóry.

Dla dobrego towarzystwa jeden Cygan dał się powiesić, i to było właśnie takie towarzystwo. Ja też myślałem o wieszaniu, ale nie siebie, tylko Antosia Bożyczki.

## ROZDZIAŁ XXX

**W którym statek buja, ale płynie, port w Bilbao mówi nam, że ta wojna to nie żarty, Miecio prowadzi rozmawiania lingwistyczne, oglądam dziwny most, wywodzę wyższość bazyliki na Kamionkowskiej nad katedrą w Bilbao i kościołem Sagrada Família, a na koniec staje się coś nieplanowanego**

Wpłynęliśmy na Zatokę Biskajską, niby blisko brzegu, ale zabawa była jak w Lunaparku na Pradze, tyle że tam, czyli między Wisłą, Świętym Florianem, cerkwią i ogrodem zoologicznym panują takie porządki, że jak ktoś się porzyga, to kończy zabawę, a nawet jakby chciał jechać dalej, zachwycony wypuszczeniem na wolność egzotycznego ptaka z wielkim, barwnym ogonem, to i tak grzecznie odmówią dalszej jazdy. A jeśli jakiś klient w Lunaparku wygra walkę z pawiem, który chce koniecznie wzbudzić sensację, to mając trochę oleju w głowie, zawija się do domu. Szkoda czasu i atlasu, jeśli biletowana impreza nie tylko przestaje cię bawić, ale zaczyna porządnie męczyć.

Co innego na morzu. Ja się jakoś pozbierałem, choć lekko nie było, inni radzili sobie różnie, można powiedzieć, że byłem w połowie stawki. Otwierał ją, jak przystało na szefa, Sokołowski, który chyba nie miał żołądka i mógłby spać niczym nietoperz, zamykał ją zaś potężny organizm, który znów dał o sobie znać, dobywając ze swoich wnętrzności odgłos na miarę możliwości sieci kanalizacyjnej sporego miasta. Birbant, smakosz, mistrz walki na pięści, koneser wyścigów, a na sam koniec znakomity kierowca i mój przyjaciel, Mieczysław Kosiorek, zabalgotał:

– Co mię podkusiło, w mordę, co mię podkusiło! A mówiła Gieniuchna, że głupio robię.

Kiedy w Helsinkach powiedziałem, że znam dwóch kierowców, którzy przy okazji potrafią się bić, miałem na myśli Heńka Hojdę i Miecia Kosiorka. Obaj byli nie do wyjęcia, Hojda musiał pilnować firmy w Lizbonie, Mietek był pod pantoflem. Kiedy Julek zajechał do Kosiorka pro forma, spodziewał się, że będzie musiał szukać dalej, ale ku jego zdziwieniu Miecio aż podskoczył z radości. Kiedy wychodził z domu, Genowefa krzyczała, żeby więcej się nie pokazywał. Teraz tego żałował. Morze mu nie służyło.

Ja też czułem się nie najlepiej, ale z innego powodu – bałem się łodzi podwodnych. Niemcy i Włosi mieli ich pod dostatkiem i choć pocieszano mnie, że te wody patrolują Anglicy, bo nie chcieli bałaganu na trasach żeglugowych, to jednak w mojej głowie od czas do czasu pojawiał się obraz płynącej ku nam torpedy.

Dziesiątego marca dotarliśmy do portu przeznaczenia, czyli do Bilbao, bo San Sebastian padło w październiku. Na pierwszy rzut oka Bilbao nie zachwyciło, ale i tak pokochałem to miejsce. Bo wybujało nas okrutnie, a na koniec Miecio powiedział, że Neptun jest starym, pieprzonym naciągaczem, gdyż on mu spłacił daninę z nawiązką, a ten drań, co figuruje na wszystkich oficjalnych portretach z widłami od gnoju, co i rusz wysyłał swoich komorników.

Na masztach na lądzie powiewały dwie flagi, czerwono-żółto-fioletowa Republiki Hiszpańskiej i... brytyjski Union Jack, tyle że z czerwonym tłem, białym krzyżem świętego Jerzego i zielonym rusztem świętego Andrzeja. Port położony był, podobnie jak stary port w Gdańsku i ten w Rydze, w ujściu rzeki.

Spędziłem ponad miesiąc w San Sebastian, ale nadal niewiele rozumiałem z baskijskiego, parę słów jednak chwyciłem. Mieszkańcy pokazywali na niebo i mówili hegazkinak, domyśliłem się więc, że cho-

dzi o samoloty. Wspomagani przez Niemców i Włochów nacjonaliści nekali wojska republikańskie bombami, ślady ich wybuchów było widać w porcie.

Oglądaliśmy zniszczenia i zastanawialiśmy się, jak może wyglądać taki nalot, tylko Mietek miał inne problemy na głowi, ni stąd ni z owąd, być może pod wpływem wyczerpania po wyjątkowo nieudanej, morskiej podróży, mój przyjaciel szofer zajął się lingwistyką.

– Jakby nie mogli jak reszta świata mówić jakoś po ludzku, aeroplany, awiacja czy jak te Hiszpany: aviones. Wtedy każdy jeden zrozumie, a nie jakieś tam węgierskie gadanie. – Kosiorek kręcił z niesmakiem głową, jakby znów miał oddać daninę Neptunowi. – Dobrze, że chociaż bomba mówią po ludzku, to znaczy Hiszpanie całkiem normalnie, ale te Baski przekreślają na bonba.

– A jak my, Polacy, mówimy „samolot”, to kto to zrozumie? – zapytał pułkownik Nowicki.

– Przynajmniej Rusczy, Czechosłowacy, Jugosłowiany – odparł Mietek i zaciągnął się papierosem. – Zresztą, szanowny panie pułkowniku, ja mówię „aeroplan”, poza tym ja się z każdym dogadam, w końcu szofer jestem i muszę.

– A rower? – włączył się niespodziewanie w dyskusję Strasburger.

– Jaki rower? – Kosiorek się skrzywił, bo nie považał tego środka transportu. – Daj mnie pan spokój, ja ledwo stoję!

Mietek przysiadł na skrzyni, bo gdyby tego nie zrobił, mógłby się osunąć na ziemię.

– Chodzi mi o to, że nazwa „rower” jest znana tylko w Polsce.

– Może tak być, ale ja tego słowa nie używam, chyba że widzę automobil angielski marki Rover, to już inna inszość.

– A jakby jakiś Bask był pana pasażerem? – zapytał Julek.

– Wie pan, panie kapitanie... – uśmiechnął się, rozmasowując pięść – ...ja bym tak do niego zagadał, że wszystko by mi wyśpiewał!

Zakończyliśmy rozmowy, bo pojawili się miejscowi notable, którzy mówili też po francusku i angielsku. Ktoś z rządu republikańskiego i miejscowego baskijskiego, byli wojskowi w przeróżnych mundurach. Część żołnierzy miała na rękawach opaski w kolorach Republiki, część naszywki z baskijską flagą.

Wszystkie glejty, papiery, kwity, cała papierkowa partanina spadła na pułkownika Sokolowskiego i prezesa Leszczyckiego, ale na nogach byli prawie wszyscy, tylko każdy inaczej. Ja, teoretycznie amerykański pośrednik, podpisywałem dokumenty, a Julek Beniowski, Mietek Kosiorek, Strasburger i Nowicki pilnowali porządku.

Z przerwami trwało to cały dzień, aż do wyciągnięcia z ładowni ostatniej skrzyni, ale przynajmniej spaliliśmy już na spokojnej wodzie, oczywiście jeśli któryś z nas nie miał wtedy wachty, bo dopóki sprzęt nie został pokwitowany, wciąż był pod naszą opieką. W końcu rozładunek się skończył i pojechaliliśmy do Bilbao, tam mieliśmy dokończyć misję, czyli dogadać się z Republiką na kolejne dostawy.

Nie był to koniec wodnej podróży, bo z portu do miasta udaliśmy się podstawioną specjalnie dla nas motorówką. Droga wiodła między przedmieściami, do których bramą była gigantyczna konstrukcja, jakby zawieszony nad ujściem rzeki wielki dźwig portowy. Opierała się ona na dwóch ażurowych, stalowych wieżach, które łączyła zawieszona na linach kładka. Żadnego podparcia od spodu, wszystko narężały stalowe liny, które o dziwo zwiślały także pod mostem.

Zaniemówiłem, gdy od jednego z brzegów oderwał się jakby duży wagonik, coś, co płynęło w powietrzu zawieszona na linach zaczepionych pod kładką. Inżynier Leszczycki uprzedził moje pytanie.

– To Most Biskajski, jak mówią miejscowi Bizkaiko Zubia, a w reszcie Hiszpanii Puente de Vizcaya, konstrukcja niezwykła, sama szerokość przeprawy mniej niż dwieście metrów, kiedy Golden Gate ma niemal trzy kilometry! Wysoka na jakieś pięćdziesiąt, góra sześćdziesiąt metrów. To tak jak porównać naszego Prudentiala z nowojorskim Empire State Building...

Leszczycki wiedział, że byłem w Ameryce i mieszkam w Prudentialu, zdawałem więc sobie sprawę z różnic wysokości: nowojorczyk miał trzysta osiemdziesiąt metrów wysokości, a nasz drapacz chmur

sześćdziesiąt sześć.

– Ale i tak jest niezwykle...

– Bo to tak naprawdę kolej linowa, ściśle prom napowietrzny, albo jak kto woli, most gondolowy, który zabiera kilka aut, z pewnością mniej niż dziesięć, może osiem, oraz kilkudziesięciu rowerzystów i pieszych. Kurs co dziesięć minut, można też wjechać windą i przejść kładką.

O dziwo, polubiliśmy się z Leszczyckim, ale o Irenie nie mówiliśmy. Musiał o mnie wiedzieć, nie był gamoniem.

– Z Eifflem mi się kojarzy i z Golden Gate – powiedziałem. – Niedawno byłem w Lizbonie i widziałem windę, którą zbudował uczeń Eiffla.

– A dokładnie Portugalczyk Raoul Mesnier du Ponsard. Z kolei ten most zaprojektował Bask, Alberto de Palacio y Elissague, także uczeń wielkiego Gustave’a Eiffela. To nie lada jaki konstruktor! Jego są londyński Crystal Palace i madrycki dworzec Atocha, może będziemy go mieli okazję zobaczyć?

– A może jednak nie? – burknął Kosiorek. – Do hotelu bym najpierw dał się zawieźć i wyspałbym się jak człowiek, a nie jak małpa na huśtawce w zoologu. I zjadłbym przy stole, który nie jeździ i nie skacze, na porządnym fajansie.

Mietek rozgadał się, znaczy jutro rano będzie jak nowy!

Przeplynieliśmy pod mostem, który stał już w mocno zabudowanej okolicy, wciąż jednak były to tereny leżące między portem Bilbao a właściwym miastem. Inżynier powiedział, że most łączy miejscowości Portugalete i Getxo.

– Pan to chyba nie jest tu pierwszy raz – zwrócił się do Leszczyckiego Mietek, który był coraz bardziej ożywiony.

– Trudno, żebym nie był, to obok Barcelony najbardziej uprzemysłowiony region w Hiszpanii, a gdzie przemysł, tam i fabryki broni, gdzie broń, tam i ja – odpowiedział Leszczycki.

Płynęliśmy dalej rzeką, która wiała się jak wąż. I właśnie za jednym z tych zakrętów były dwa miasta, najpierw w pierwszym zakolu wyrastało Bilbao z dwudziestowieczną architekturą, wysokimi kamienicami, jakby to były nasze Aleje Jerolimskie, a w drugim Bilbao ze starymi kamieniczkami, wieżami kościołów, podobne do Gdańska i Rygi.

Zatrzymaliśmy się przy miejskiej przystani, tam czekały na nas dwie taksówki, zapakowaliśmy się do nich i po paru minutach byliśmy pod wejściem do hotelu Carlton. Wyglądał jednocześnie na twierdzę, czym zresztą był, ponieważ zajmował go baskijski rząd. Obwieszony flagami i obstawiony wojskiem robił nie lada wrażenie.

Rozgościliśmy się w pokojach, dwójkę wzięli pułkownicy, Sokołowski i Nowicki, oraz Leszczycki, reszta, czyli Kosiorek, Strasburger, Julek i ja mieliśmy się pomieścić w trójce z dostawkami. Lekką cianotę wynagradzał widok z okna. Hotel stał na pięknym, okrągłym placu, na którym zbiegło się osiem ulic.

Kiedy się odświeżyliśmy, zeszliśmy do restauracji. Na hotelu odciskały się lata kryzysu i niepokojów i prawie rok wojny, ale nadal luksus był górą, jego ślady dominowały nad niedostatkami, kelnerzy, choć nieco zabiedzeni, trzymali poziom i z nonszalancją właściwą obłudze najdoskonalszych lokali zbierali zamówienia i dbali o gości. Byli uczynni i dworscy, ale nie nadskakiwali, mieli klasę.

– Niedaleko jest morze, więc obawiałem się, że będziemy jeść jakieś robactwo opakowane w pancerze, a tu niespodzianka, kielbaski, mięsko. – Mietek Kosiorek był na dobrej drodze do normalności, a w obżarstwie dzielnie wspierał go pułkownik Nowicki.

Pojedliśmy i popiliśmy, ale nie wszyscy, ponieważ Sokołowski, Leszczycki, Julek i pułkownik poszli na spotkanie z Hiszpanami. Ja zostałem, bo choć wszystko było zapisane na moją firmę, to i tak byłem słupem i nie miałem upoważnienia do rozmów. Mogłem zrobić to co reszta, czyli uderzyć w kimono. Nie byłem jednak tak skonany i nie wypilem tyle wina, by zasnąć w pokoju, po którym rozchodziło się chrapanie Mietka Kosiorka. Strasburger też w końcu zasnął, więc postanowiłem pójść na spacer.

W recepcji znali angielski i niemiecki, dlatego podpytałem, co warto zobaczyć. Powiedzieli, że stare miasto i katedrę Świętego Jakuba, że niedaleko, wyjść z hotelu, skręcić na placu w pierwszą ulicę w prawo, dojść do dworca kolejowego, przejść wzdłuż niego, później przez most na drugą stronę rzeki i prosto do katedry. Dali mi karteczkę z wypisanym zdaniem Bilboko Santiago katedrała, że jak się zgubię, to każdy mi wskaże drogę. Nie zgubiłem się i nikt mnie po drodze nie zaczepiał. Miałem silną bumagę, którą wystawili nasi hiszpańscy partnerzy, ale wojna to wojna, ludzie dostają małpiego rozumu, zwłaszcza w mieście, które bliskie było oblężenia.

Po dwudziestu minutach spacerkiem doszedłem do świątyni. Katedra jak katedra, gotyk albo neogotyk, portyk, rozeta... Aldona mogłaby być ze mnie dumna, czegoś się przy niej nauczyłem. Oryginalne było to, że świątynia stała na małym placu, stykając się z innym domem. Ale w końcu w Barcelonie też tak było i u nas na Starówce też. Nie to co bazylika na Kamionkowskiej, która sobie pięknie stoi i jest skończona, w przeciwieństwie do tej Sagrady Familii z Barcelony.

Do kościoła nie wszedłem, zająłem tylko, przepychając się w wejściu, bo tak był nabity ludźmi. Ciekawostka, mówili, że republikanie to bezbożnicy, a już największe antychrysty to żołnierze! A więcej niż połowę wiernych stanowili żołnierze, nie wszyscy zmieścili się w środku i stali przed katedrą. W końcu w San Sebastian mówili mi, że są tradycjonalistami, ale Republika daje im autonomię.

Pokrążyłem jeszcze trochę po ciasnych uliczkach i uznałem, że trzeba wracać do hotelu, powoli już zmierzchało i pewnie jest tu jakaś godzina policyjna, lepiej się nie szwendać. Po paru minutach byłem na moście. Kiedy wlałem na sam środek, ktoś za mną krzyknął.

– Senior Haas! – usłyszałem i na plecach poczułem ciarki, to było tak absurdalne, wprost niemożliwe.

Uznałem, że mi się wydawało, nie zatrzymałem się, szedłem dalej w kierunku brzegu.

– Senior Haas!

Głowski towarzyszyły bardzo szybkie kroki, ktokolwiek to był, zaraz mnie dogoni, poza tym lepiej nie było wzbudzać sensacji, jacyś mundurowi patrzyli na mnie uważnie, obróciłem się więc i...

## ROZDZIAŁ XXXI

**W którym spotykam człowieka poznanego w innym świecie, dostaję zaproszenie na przejażdżkę, po raz nie wiadomo który przekonuję się, że kumple to grunt i że nawet kumple nie pomogą, kiedy front pęka, dowiadujemy się o tragedii, która nas nie martwi, i pakujemy walizki**

Stałem na ulicy w Bilbao i patrzyłem na człowieka w skórzanym płaszczu i okrągłej wojskowej czapce, o której mówiło się w Polsce „angielka”. Widziałem go kiedyś, w jakimś innym świecie, chociaż wszystko poza ogarniętą wojną Hiszpanią było innym światem. Przede mną stał smutny typ, wyrośnięty i barczysty, który odciągał ode mnie Oscara Trejo.

– *No hablo español* – tyle umiałem powiedzieć.

– Mówię po angielsku – odparł, choć wtedy, na placu Czerwonym, nie sprawiał takiego wrażenia. – Co pana do nas sprowadza?

– Tak jak mówiłem na placu Czerwonym, broń dla Republiki.

– To dobrze, bardzo dobrze, bo nam jej brakuje.

– Kim pan jest?

– Kapitan Victor Paredes z Armii Ludowej Republiki.

– Niezwykle spotkanie – powiedziałem i już się miałem zamyślić – za chwilę godzina policyjna, mam dokumenty z waszego sztabu, ale wolę nie ryzykować. – Pewnie, że nie chciałem ryzykować, bo ten facet po prostu mi się nie podobał, nie miałem ochoty z nim gadać.

– Ja jestem waszą przepustką! – spoufalili się po sowiecku, bo jakby inaczej, byle kto nie jeździ do Moskwy na święto rewolucji.

– Jakby co, to mieszkam w hotelu Carlton – poinformowałem, choć miałem dziwne przeczucie, że doskonale wie, gdzie mieszkam. – Chyba nie będziemy rozmawiać bez wódki, po paru dniach abstenencji na statku napiłbym się czegoś.

– No to idziemy – zarządził.

Szliśmy w kierunku dworca kolejowego, on mówił, ja słuchałem.

– Bijemy się dzielnie, choć broni mało, liczymy, że będzie jej więcej, żeby starczyło na nacjonalistów, karlistów, włoskich faszystów i nazistów z Niemiec. Nie będzie litości, wiecie, co zrobili w Badajoz? W połowie sierpnia zdobyli miasto i wzięli odwet za rewolucyjną postawę ludu. Zgonili na miejscową arenę tysiące ludzi. Tam jeszcze nie tak dawno walczył wielki Belmonte! – podkreślił to bardzo mocno, a ja zrozumiałem, że chodzi o najsylniejszego torreadora w Hiszpanii. – Zdawało się, że arena w Badajoz będzie czymś w rodzaju obozu jenieckiego, ale kiedy już ją zapęnlili, to o czwartej nad ranem zaczęli pruć z kulomiotów. Wybili wszystkich, piasek areny nie przyjmował już krwi, mówią, że ci, którzy na nią weszli, broczyli w niej po kostki. Dlatego wybijemy ich co do jednego, a na koniec trockistów!

– Kim są trockiści? – rznąłem głupa.

– Nie udawajcie, że nie wiecie, to zdrajcy komunizmu, rozpanoszyli się w Hiszpanii. Są groźni, choć nie tak jak piąta kolumna. Wiecie, co to piąta kolumna? Cztery atakują miasto, piąta, zdradziecka, dywersancka, wbija nóż w plecy. Ale poradzimy sobie. A jakichś szpiegów nie poznaliście?

To pytanie wzbudziło mój niepokój, miałem wrażenie, że to wszystko zmierza w złym kierunku. Zanim odpowiedziałem, usłyszałem auto, było chlapnięcie zieloną, matową farbą. Stało przy nas, z lewej

strony wysiadł żołnierz, pewnie kierowca, pomyślałem, ale w chwilę później pokazał się drugi. Szeroko otwarte drzwi wcale nie zachęcały do zajęcia miejsca.

– Wsiadajcie – uprzejmość, twarda, ironiczna, nie bardzo mi przypadła do gustu.

Szedłem powoli jak skazaniec na ścięcie, kupując czas, licząc na jakąś złotą myśl. Byłem już przy aucie, położyłem rękę na dachu, jeszcze się zawahałem, jak gwiazda ekranu, która wsiada do limuzyny, już-już jest w środku, ale jeszcze na chwilę przystaje, odwraca się i macha do gapiów, operatora kamery i fotoreporterów.

– Heniuuuu! – nagle w środku Bilbao usłyszałem charakterystyczny głos i pomachałem, jakbym był Marleną Dietrich albo Clarkiem Gable'em.

W moją stronę zmierzał Miecio, nie był zresztą sam, szli z nim Strasburger i pułkownik Nowicki, ten ostatni wygrał sytuację.

– *Towarzystwi Ispancy! Biericie nas s sabjom, nam toże nużna paguliać!*

Trzech ludzi i jeden mówiący po rosyjsku jak rodowity Rosjanin to było za wiele.

– Co on powiedział? – zapytałem, podtrzymując o sobie opinię, że nie znam rosyjskiego.

– Żeby nas ze sobą zabrał! – wyjaśnił Nowicki.

– Po jakimu oni mówią, po polsku? – zdziwił się Paredes.

– *Yes*, ponieważ broń jest polska, a ja jestem pośrednikiem. Urodziłem się w Polsce, jestem z Niemców, ale paszport mam amerykański.

Chciałem dodać, że towarzysze z Moskwy o tym wiedzą, ale zdałem sobie sprawę, że wiedzą także o tym, że zniknąłem. Lepiej nie kusić losu, gdyby Paredes zatelegrafował do Moskwy, byłoby źle. Już było źle, ale mogło być gorzej. Dziwny typ patrzył na mnie jak na zwierzyne, która mu się wymknęła z siidel.

– Zapraszamy do nas, do Carltona! – powiedziałem. – Poznacie ludzi, którzy dostarczają broń dla Republiki – zachęciłem, mając nadzieję, że wcale nie skorzysta z zaproszenia.

– To by się zapowiadało na dłuższą biesiadę! – Uśmiechnął się, jakby planował odroczoną zemstę, zsalutował pięścią po republikańsku, a następnie wsiadł do auta.

– Kto to był? – zapytał Kosiorek. – Bo tak z mordy mi się nie widział.

Od tej pory ustaliliśmy, że nie można chodzić pojedynczo, tylko dwójkami, a najlepiej po trzech. Usiedliśmy przy winie i czekaliśmy na to, co powiedzą Sokołowski, Beniowski i Leszczycki. Póki co spotkaliśmy jakiegoś hiszpańskiego oficera, który z entuzjazmem wyłożył, co się dzieje na froncie.

– Bombardują, ale trzymamy się. Tu, w Kraju Basków, Republikę wspiera PNV, albo jak kto woli EAJ, ten pierwszy skrót to od hiszpańskiego Partido Nacionalista Vasco, drugi znaczy to samo, ale po baskijsku Eusko Alderdi Jeltzalea, czyli Nacjonalistyczna Partia Basków. Miejscowi nacjonałiści i konserwatyści, którzy nie chcą mieć nic wspólnego z nacjonalistami Franco, z falangistami i karlistami, całą tą klerykalno-faszystowską bandą! Wszyscy członkowie i sympatycy PNV chcą bronić sprawy Republiki, bo ta gwarantuje autonomię, a nacjonałiści chcą te prawa utrać, a to budzi wśród Basków prawdziwy, niepohamowany gniew – mówił porucznik z błyskiem w oczach. – Pod koniec września oddziały milicji baskijskich samowolnie podjęły decyzję o ukaraniu nacjonalistów, którzy byli osadzeni na statkach więziennych Cabo Quilates i Altuna Mendi. Weszli na nie i urządzili masakrę więźniów, a po paru dniach powtórzyli atak. Tak samo postąpili po styczniowym bombardowaniu Bilbao, w odwecie ruszyli na więzienia i nie czekając na proces, zgładzili stu zdrajców.

Przypomniała mi się wymiana poglądów, którą widziałem na murach San Sebastian, a potem pierwsze godziny wojny w Barcelonie. Moje przypuszczenia się sprawdziły, oni się będą nie tylko zwyczajnie zabijać na froncie, ale i mordować, gdzie się da.

– *Putas fascistas* nie dadzą nam rady – ciągnął podochocony oficer – zesrają się, bo mamy Żelazny Pierścień.



Była to fortyfikacja, którą zachwalał z takim samym przejęciem, z jakim lżył Franco i jego bandę. Wokół Bilbao rozciąga się bowiem nieomal labiryntowa sieć fortyfikacji, złożona z bunkrów, tuneli i umocnionych rowów komunikacyjnych, wsparta bateriami artylerii. Potem porucznik spotkał jakąś panią, która miała trochę przykrótką sukienkę, za to wysokie obcasy – tlenione włosy, a bladą twarz ubarwiał mocny makijaż. Zdążyłem go jeszcze zapytać, czy zna towarzysza kapitana Victora Paredesa, na co podniecony i bojowo nastawiony oficer skurczył się i szybko wyszedł z prostytutką, niezbyt przekonująco tłumacząc, że pierwsze słyszy.

– Myślę, że jak mu stał, to już mu opadł – podsumował Kosiorek. – Ten Paredes to musi być niezła kurwa, żandarm jakiś?

Posiedzieliśmy jeszcze trochę i mieliśmy już się związać, kiedy nadeszli Sokołowski, Beniowski i Leszczycki.

– Jest słabo, to, co przywieźliśmy, to za mało. Brakuje samolotów, jesteśmy odcięci, musiałyby pójść ofensywa z Madrytu. Z północy idą Baskowie wierni kościołowi i królowi, im nie zależy jak tutejszym na autonomii i Republice. Tymczasem inicjatywę przejął generał Franco – referował Sokołowski. – Jeśli powtórzą bombardowania z początku stycznia, to może dojść do paniki.

– Słyszeliśmy, że Bilbao może się bronić długo, bo ma Żelazny Pierścień – powiedziałem, twarz kapitana przybrała jednak gorzki wyraz.

– Żelazny Pierścień przestał być dla wrogów tajemnicą, tak nam powiedział w zaufaniu jeden z urzędników – włączył się Leszczycki. – W lutym monarchistyczny kret, inżynier Alejandro Goicoechea, który pracował przy tych umocnieniach, zabrał dokumentację i przeszedł na stronę nacjonalistyczną. Teraz już wiedzą o wszystkich słabych punktach, a jest ich niemało...

– Przybył tu Sancho, którego uważają za wielkiego stratega – teraz przyszła kolej na Beniowskiego. – To sowiecki oficer, który wslawił się obroną Madrytu i to na razie jedyna dobra wiadomość.

– Oficjalnie swoją sytuację przedstawiają bardzo optymistycznie – pułkownik Sokołowski wrócił do głosu – ale tak czy owak wyjeżdżamy, bo już wiemy, że nie przeprowadzimy tu żadnych konkretnych rozmów. Zapraszają nas do Madrytu, tam trzymają w rękę finanse.

W mig pojąłem, co ma na myśli.

– Zostawimy ich bez broni?

– My nawet nie jesteśmy pośrednikami, wypełniamy rozkazy Sztabu Głównego, rządu, ministerstwa, prezydenta i kto tam jeszcze jest na samej górze. Pamiętajcie, nie handlujemy z sympatii, w przeciwnym wypadku wozilibyśmy broń dla Franco tylko dla pieniędzy.

Koło dziewiętej szykowaliśmy się do opuszczenia hotelu, wtedy zrobiło się jakieś zamieszanie, w podnieceniu podawano sobie z ust jakąś sensacyjną informację. Zaatakowała piąta kolumna, ktoś dokonał zamachu na kapitana Paredesa, zginął on i dwuosobowa obstawa, każdy dostał kulkę w głowę. Wyszło wtedy, że Victor Paredes był w sztabie Rosjanina Sancho człowiekiem do specjalnych poruczeń, że długo przebywał w Moskwie, gdzie ukończył szkolenia wojskowe.

Po plecach przeszedł mi dreszcz. Jakiś anioł stróż czuwał nade mną i odwalił kawał dobrej roboty.

## ROZDZIAŁ XXXII

**W którym umawiam się pod fontanną, lecąc samolotem, spotykam faceta, wcześniej budzącego moją zazdrość, Ritz zamienia się w kombinat hotelowo-gastronomiczny, a Alex używa swoich kontaktów, by wskazać mi właściwą drogę**

Podróż nie była łatwa, żeby dotrzeć do Madrytu, musieliśmy płynąć do Francji. Kto szuka, ten znajdzie, kto posmaruje, ten pojedzie, a jak odpowiednio grubo, to i polecą. Francuzi nie puszczali przez zwykłe przejścia graniczne, ale widocznie uznali, że nikt nie będzie do Brygad Międzynarodowych leciał samolotem. Julek dowiedział się, że na lotnisku w Tuluzie nie robią problemów, a Leszczycki załatwił za sporą dopłatą bilet w Air France. Wszyscy nie mogli lecieć, ale uznali, że moje sprawy nie mogą czekać, byłem tak nakręcony poszukiwaniem Antka Bożyczki, że dali mi pierwszeństwo i umówiliśmy się na spotkanie za parę dni; jak załatwią sobie wizy i transport, spotkamy się w Madrycie pod Fuente de Cibele, słynną fontanną, do której każdy wskaże drogę. Mam tam przychodzić w południe i o szóstej wieczorem aż do skutku, póki nie pojawi się grupa Sokołowskiego.

Do Tuluzy dotarłem piętnastego marca, przencocowałem i z samego rana udałem się do portu lotniczego, czyli na lądowisko z piętrowym baraczkciem, podobnym do tego, który jeszcze niedawno stał na naszym Polu Mokotowskim. Za to samolot wyglądał poważnie, była to maszyna, jaką jeszcze nie leciałem. Dwusilnikowy górnopłat, którego kadłub, jak to w linii Air France, pomalowany był na białoniebiesko, a dziób i skrzydła miały kolor stalowy. Rozpoznałem w nim Poteza 62, model z ubiegłego roku, choć tak naprawdę nieco starszy, bo Francuzi dokonali przeróbki bombowca.

Wszystkie bilety zostały sprzedane, spośród piętnastki współpasażerów wyróżniał się zwalasty wąż, który zdawał się znać wszystkich towarzyszy podróży. Był Amerykaninem, który złapał lekki rausz, uśmiechał się, zagadywał, wszędzie go było pełno, a dwóch innych Jankesów traktowało go jak gwiazdę. Nie tylko oni, bo był to ulubieniec Aldony, pisarz Ernest Hemingway. Dzięki niej, wizycie w Pampelunie i wreszcie lekturze *Pożegnania z bronią*, czułem, jakbym go znał. Postanowiłem jakoś zagadać.

– *Where is washroom?* – zapytałem.

– *What?* – odparł Hemingway.

– *Washroom!* – powtórzyłem, po czym uśmiechnąłem się i dodałem: – *Restroom!*

– Aaaa, koleś z Chicago! – Ernest się zaśmiał. – Macie te swoje powiedzonka!

Faktycznie, zupełnie nieświadomie użyłem zwrotu typowego dla mieszkańców Wietrznego Miasta. W ten sposób z miejsca się uwiarygodniłem w oczach innego Jankesa.

– Henry Haas – przedstawiłem się – a ty... czy ty nie jesteś przypadkiem Ernest, ten od *Pożegnania z bronią*, byłem na wojnie, doceniam! I za Pampelunę też!

– Za Pampelunę! Byłeś tam?

– Trochę jestem zazdrosny, bo byłem tam z narzeczoną i cały czas o tobie mówiła.

Uścisnąłem mu rękę, a on nagle wykonał ruch, jakby był w ringu i zamarkował cios. Odruchowo przyjąłem postawę, postawiłem gardę i też zamarkowałem dwa ciosy, z których pierwszy był zwodem, a drugi, gdybym chciał, doszedłby do podbródka Hemingwaya.

– Były żołnierz i bokser – zagwizdał z uznaniem – przepraszam, przyjacielu, ale chciałem cię sprawdzić, bo wyglądałeś mi na chłopaka z Chicago, który zna się na rzeczy, i się nie pomyliłem. Gdybym nie był pisarzem i reporterem, to zostałby traperem, żeglarzem albo właśnie bokserem.

– Chodziłbyś w ciężkiej – oznajmiłem ze śmiechem.

– Ale i tak twoja pani kochałaby moje pisanie! Tylko nie mów jej, że przytyłem! – Poklepał mnie po plecach, po czym wydał dyspozycję: – Jak już załatwisz toaletę, tam, drugie drzwi na lewo, wróć do mnie, napijemy się i pogadamy o boksie, wojnie i Pampelunie.

Kiedy wróciłem, zacząłem opowiadać. Ożywił się, gdy wspomniałem o kierowniku hotelu Juanito Quintanie, ale historyjkę o wyjściu przed hotel w samych majtkach, którą mi sprzedał boy, pominąłem. Pewnie, jak się bliżej poznamy, sam się pochwali, ten typ tak ma.

Powiedziałem mu, że walczyłem w 1920, bo miałem powołanie do wojska, a później wyjechałem do Ameryki, ponieważ szukałem tam szczęścia. Znalazłem pieniądze, nie pytał jak, ale chyba się domyślał, że w Chicago zarabiano się nie do końca zgodnie z prawem stanowym i federalnym. Co będę robić w Hiszpanii? Nie wiem, rozejrzę się, jestem awanturnikiem, szukam przygód. Czy się zaciągnę do Brygad Międzynarodowych? Powiedziałem, że jak on to robi, to ja razem z nim. Uśmieł się, nie pytał o więcej, w końcu spowaźniał.

– Handlujesz bronią? – zapytał.

– Istnieje takie podejrzenie – odparłem – różne rzecz w życiu robiłem... – zawiesiłem głos, a on jakby z uznaniem pokiwał głową – ...ale tego jeszcze nie. Tyle że obecnie to coś więcej niż biznes. Spodobała mi się Hiszpania, byliśmy tu też przed wybuchem, na ostatnim San Fermin. Wywoziłem narzeczoną, uporządkowałem sprawy i wróciłem, tak szczerze mówiąc, jeszcze nie wiem po co, ale pomysł z bronią faktycznie chodzi mi po głowie.

– Republika potrzebuje broni – powiedział z powagą.

– Znam parę adresów, gdzie broni zbywa, ale nie chcą się narażać Lidze Narodów.

– Chcesz być przemytnikiem w szlachetnej sprawie?

– Możesz to tak nazwać, ale na razie będę szukał kontaktów, co Republika może dać w zamian. Chcę być pośrednikiem, który znajdzie w Hiszpanii coś, co będzie można wymienić na broń. Taka jest idea, pewnie bardzo daleka od realizacji, ale trzeba próbować.

– Nie będzie łatwo – zadumał się – ale to ma sens, jak będę mógł, to pomogę. Dokąd lecisz?

– Do Barcelony, tam jest w miarę spokojnie, to port, z którego można wywozić i do którego można przywozić.

– Ja do Walencji, słyszałem, że mają tam silne, rewolucyjne władze.

– Ale w Madrycie jest front, rząd i sztab – zdziwiłem się.

– I wszyscy reporterzy, którzy piszą te same relacje. Pojadę w miejsce ważne, ale takie, które nie cieszy się zbytnim zainteresowaniem.

– Sam finansujesz ten wyjazd czy dla kogoś pracujesz?

Zaśmiał się głośno.

– Sądziś, że jak napisałem parę dobrze sprzedających się książek, to stać mnie na taką eskapadę? Mam kontrakt w agencji North American Newspaper Alliance. Po powrocie mam nadzieję stworzyć z zebranych tu doświadczeń coś większego.

– Coś mniejszego, jak ta rzecz o Pampelunie i koleędzie pijaku, czy grubsza sprawa, jak *Pozegnanie*?

– Tego jeszcze nie wiem i ci nie powiem, jeśli tego wszystkiego nie zobaczą. Chyba nas wołają!

Po wylądowaniu jeszcze trochę pogadaliśmy i żałowałem, że się rozstajemy, bo z tego, co mówił, to miał mocne kontakty.

Tym razem nie zamieszkałem u Ritza, bo zaraz po naszym wyjeździe Hotel Palace został przejęty przez FOSIG, to znaczy przez Federación Obrera de Sindicatos de la Industria Gastronómica, i włączony w jakąś bliżej nieokreśloną strukturę. Trudno było tam odróżnić własność prywatną od państwowej, związkowej czy partyjnej. Panował chaos, w którym jeśli ktoś miał drużynę pod bronią, to mógł dyktować warunki.

Palace przejęli związkowcy, uważali oni, że trzeba uspołecznic branżę hotelarską, skończyć z ostentacją i luksusem. Zaczęli od tego, że Ritz Palace dostał nazwę Hotel Gastronómico N.º1. Zupełnie jak u Sowietów, Hotel Gastronomiczny nr 1! Pewnie restaurację zmieniają na stołówkę, a do pokoi wstawiają łóżka piętrowe. Ale to po wojnie, na razie i tak umieszczono tam bank krwi i szpital, a w piwnicy zorganizowano schron przeciwlotniczy. Wszystko tu się teraz porobiło korporacyjno-spółdzielcze, rządzą syndykaty, dlatego taksówki pomalowano na czarno-czerwono, bo to barwy anarchistyczne.

Zamieszkałem więc u Alexa, który nie mógł się nadziwić, że wróciłem.

– A ja nie mogę się nadziwić, że ty nie wyjechałeś! Co za interesy cię tu trzymają?

– Wiesz, że ja chwilowo mam problem robić geszeft, bo moja twarz jest jak wanted poster – zaśmiał się gorzko – a tu jest miejsce na geszeft jak każde inne. Mam tu pewną sprawę do załatwienia... – szepnął, jakbyśmy rozmawiali nie w jego mieszkaniu, tylko gdzieś w środku kawiarni. – Mam umówioną operację. Plastic surgery, you know what I mean? Do tego nowa ketuba i wtedy mogę stąd wyjeżdżać.

No tak, zbyt wielu ludzi naciągnął, może nie na takie sumy, jak opowiadał, bo wtedy nie podejmowałby mnie w czteropokojowym mieszkaniu, tylko w jakimś pałacu, ale na pewno powodów, by się ukrywać, miał aż nadto.

– Jest chaos, bałagan! Wielki bałagan! – dodał z ukontentowaniem. – Tu mnie nie dorwą, kupuję teraz czas i spokój – gdzie zagrała seria z karabinu, a po niej kilka wystrzałów – a potem wyjadę jak nowo narodzony! A teraz mów, co ty tu robisz, bo ty mnie nie chcesz nic powiedzieć, a ja nie wiem, czy ty mnie nie sprowadzisz na głowę jaki problem?

– Poznajesz tego człowieka? – Wyjąłem z kieszeni zdjęcie i pokazałem je Alexowi, po czym wskazałem palcem na Antka.

– W życiu... – odparł z pewnym zawahaniem.

– Pomyśl, może miał brodę, a może nie, z wąsami, z gołą głową albo...

– Nie widziałem tego człowieka, to znaczy może widziałem? – zastanowił się, czym wzbudził moją nadzieję, po czym ją rozwiął. – Ty się mnie pytasz, czy ja go widziałem, a ja ci mówię, ty się mnie pytaj, czy ja go znam. Co się tak na mnie patrzysz? Czy ty wiesz, ilu ludzi jest tu na Rambla, tu jest *traffic* jak na Time Square w New York! Wielkie mnóstwo. Ilu z nich zapamiętasz? Ty mnie lepiej powiedz, czy ten człowiek się jakoś nazywa, kto on jest? Czego ty go szukasz, jaki ty masz do niego interes, że ty specjalnie wróciłeś tu do Barcelona! Ty mi mów, bo to nie jest zwykły *ganew*, i nie rozchodzi się o jakiś tam byle *gelt*! O jaki miliony tu idzie gra? – Jego oczy się zapaliły, już liczył pieniądze. – Jaki ty będziesz *puryc*, jak ty go złapiesz?

– Będę szczęśliwy *puryc*, będę bogacz nad bogacze, a on nazywał się kiedyś Antoni Bożyczko.

– Czyli Polak... Wiesz co, mnie się wydaje, że ty go nie szukasz, żeby mu powiedzieć: „Panie Bożyczko, ja jestem *layer from Warsaw* i ja chcę pana powiedzieć, że masz pan piękny spadek!”.

Pokręciłem głową.

– Prawda mów, on cię orznął? To jakiś farmazon?

Alex zrobił się niemożliwie dociekliwy.

– To zdrajca – uciąłem.

– To poważna sprawa – zasępił się – kapuś, ucho... Bardzo niedobrze, taki człowiek... – zawiesił głos – ...taki człowiek powinien się wycofać z interesu raz na zawsze, natychmiastowo i bezpowrotnie. *One way ticket to cemetery!*

Głos Alexa przeszedł w gangsterskie tony, ale po chwili wrócił do nastroju handlowego.

– Na ile on ciebie orznął, może coś da się wycisnąć, mógłbym pomóc, jakie by było *success fee*?

– Nie do policzenia, bo on zabił moją matkę.

Zapadła cisza, nawet taki farmazon jak Alex Sycowski zrozumiał, że nie była to dobra okoliczność, żeby rozmawiać o zysku.

– No to *big problem!* – Pokiwał głową. – Dubeltowy! Bo ja wiem, jaki ty jesteś szajec.

– Może się też przedstawiać jako Ladislao Novak, Polak z Argentyny, albo działa pod kryptonimem Camarada Checo, a kiedyś Ardanowicz.

– Też nie słyszałem – pokręcił głową – ale mogę popytać!

– Tylko ostrożnie, bo to sowiecki szpieg.

Sycowski pokiwał głową, informacje o wywiadzie sprawiły, że się zasepił.

– Tyś się nieźle wpakował...

– Nie pierwszy raz.

– Skoro on jest teraz Czech, to ja bym go szukał w Madrycie, bo tam są te Brygady Międzynarodowe. Tam wielu Soviet people, więcej niż u nas, którzy kogoś udają.

– Czym się zajmują?

– Oni tu budują swoją policję, przy której federalni i defensywa to Mickey Mouse!

– Wielu jest Polaków?

– Trudno powiedzieć, noszą pseudonimy i nie chwala się, kim są.

– A w Brygadach Międzynarodowych?

– *I have no idea, my friend*, bo kierują ich do obozu szkoleniowego w Albacete, *I think so*.

Alex załatwił mi bilet kolejowy na ostatni dzień zimy 1936 roku, piątek 20 marca.

– Ja tu jestem u siebie, mam swoją chewra, *my friend* – powiedział z wielką pewnością, po czym zastrzegł: – No, może w Barcelonie nie tak jak w Chicago w dobrych latach, ale mam dobre kontakty, ja wiem, kto jest kto i gdzie uderzyć – powiedział na pożegnanie.

Alex odprowadził mnie na pociąg do Madrytu – przed wejściem dał mi małego einhanda, który nie raz uratował mi życie.

## ROZDZIAŁ XXXIII

**W którym zajeżdżam do Madrytu i zajmuję pokój w Hotelu Florida, spotykam Ernesta, do-  
wiaduję się o wadach i zaletach nowego mieszkania, oglądam pobojuwisko, wspominam  
Waldka Doliniaka i wchodzę w świat korespondentów wojennych**

Wysiadłem z taksówki. Podobnie jak w Barcelonie, także i tu konkurowały ze sobą czerwono-żółto-fioletowe flagi Republiki, czerwone komunistów-stalinistów, komunistów-trockistów i socjalistów oraz czarno-czerwone anarchistów. Pełno umundurowanych na różne sposoby ludzi, funkcjonariusze Gwardii Szturmowej, którzy wyglądali jak kolejarze, i Gwardii Cywilnej, w swych śmiesznych kapeluszach z czerwonymi wstążkami.

Choć Madryt leżał na linii frontu, całkiem sprawnie dojechałem pod Hotel Florida. Spojrzałem na mój nowy dom. Niczego sobie! Ten marmurowy pałac byłby najwyższym hotelem w Warszawie, tam gdzie wieńczył go fronton, miał dziesięć kondygnacji, do tego jeszcze na lewym skrzydle wznosiła się wieża. Wszedłem do hallu i pierwszą osobą, którą zobaczyłem w recepcji, był Hemingway, obowiązkowo otoczony wianuszkami ludzi. Rzuciliśmy się sobie w ramiona jak starzy kumple. Okazało się, że jechał tu z przygodami.

– Wiesz, jak to jest, kiedy prowadzi pijany matador? Nasz szofer, Tomás, straszny kurdupel, kiedy usiadł za kierownicą, stał się wielki jak sam Fagioli! Jechał jak szatan, o mało nas nie rozbił! Już w samym Madrycie, na Gran Vía, omal nie zderzył się z wojskowym samochodem. Z kimś takim jeszcze nie jechałem! W czasie Wielkiej Wojny prowadziłem sanitarki. W czasie ostrzału trzeba było ostro dawać gazu, ale wczoraj, mimo że nikt do nas nie walił, byłem bliżej śmierci niż wtedy!

– Rozumiem, że w Walencji nie było tak sensacyjnie?

– Było pięknie! Pociągi normalnie kursują, rolnicy uprawiają pola, rybacy łowią ryby. W samym mieście rewolucyjne wzmoczenie, zwycięskie oddziały wracające z frontu. Niebywała atmosfera!

– Czemu nie zostałeś?

– Bo relacje z Walencji się nie podobały, kręcili nosem, że to impresje, a nie depesze i reportaże. Musiałem więc przyjechać do Madrytu, bo wszyscy mają tu swoich korespondentów. Matthews nadaje dla „New York Timesa”, Delmer dla „Timesa”, Gorrell do „United Press”, Josephine Herbst dla każdego, kto będzie zainteresowany. Jest tu nawet pilot, Francuz Saint-Exupéry, który pisze dla „Le Soir”. Uznali, że jak wszyscy, to i ja też. Prędzej czy później stąd się urwę, jak ktoś da mi cynk, podczepi mnie pod jakąś dobrą historię. Są na to widoki, korespondenci sowieccy mają kontakty w sztabie, poznają coraz więcej ważnych ludzi, niedaleko siedzibę ma kierownictwo Brygad Międzynarodowych. A jak ty?

– W porządku. Ale też musiałem zmienić miasto. Powiedziano mi, że wszystko załatwia się tu, w Madrycie, a ja myślałem, że najlepiej będzie rozmawiać w porcie.

– To był błąd, mówiłem ci!

– Hotel jest taki, jak mówią?

– O tak, z wygodami, jak w Ameryce, choć niektórzy narzekają na brak ciepłej wody, czasem wcale nie leci, a bywa, że nie działa winda. Obok, w Telefonice, którą nazywano tak od nazwy firmy, co pobudowała ten solidny czternastopiętrowy gmach, mieszczą się centrala telefoniczna i telegraf. Stamtąd nadajemy korespondencje, tam też jest madrycki węzeł informacyjny i Departament Prasy i Propagandy, tam się wystawia akredytacje prasowe, więc nacjonałści, którzy urzędują ze swoją artylerią na Garabitas, jak nie mają ciekawszych pomysłów, walą w ten budynek. Nie zawsze trafiają, prawdę mó-

więc rzadko kiedy, ale od czasu do czasu pociski przelatujące nad Telefoniką sięgają Floridy, a wtedy... Sam zobaczysz – uśmiechnął się – dużo się dzieje, wszyscy walą do piwnicy!

Zgodnie z radą Ernesta wzięłem pokój, który nie wychodził na północ lub zachód, czyli na wzgórze Garabitas, co miało zagwarantować, że przez okno nie wleci mi pocisk artyleryjski.

– Jak długo tu jesteś? – zapytałem, bo sprawiał wrażenie, jakby wcale nie walił z Barcelony do Walencji, tylko od razu udał się do Madrytu i zajął miejsce we Floridzie.

– Od paru godzin – zaśmiał się – ale już wszystko wiem o tym miejscu, bo jestem niezłym reporterem!

– Masz jeszcze dla mnie jakąś radę?

– Oczywiście! Kup jakąś dobrą butelkę, a ja cię zabiorę jutro na ciekawą wycieczkę!

No i zabrał. Następnego dnia pojechaliśmy na pobojowisko bitwy o Guadalajarę, gdzie podobno doszło do prawdziwej rzezi włoskiej piechoty. Spojrzałem na kalendarz, 22 marca 1937, dzień, w którym pakuję się w kolejną aferę, i to grubą, bo wyprawa na front to nie były żarty.

Przed hotelem czekały dwa auta, jednym z nich jechał Hans Kahle, niemiecki komunista, były porucznik armii pruskiej, a teraz ważny sztabowiec, który razem z generałem Miałą dowodził obroną Madrytu, Ernest poznał go w budynku Telefoniki. Trzeba przyznać, że minuta osiem i znał wszystkich, pewnie, jakby wpadł do Moskwy, to by go przywitał Stalin, a może nawet Lenin obudziliby się ze swojej zasranej szklanej trumny, żeby udzielić mu wywiadu.

Naszym autem powoził Tomás, który o mało przez swoje szaleństwa nie zabił Ernesta i spółki, kiedy jechali z Walencji do Madrytu. Dzisiaj nie był już kierowcą rajdowym, najwyraźniej paraliżował go strach. Bał się jak cholera, chociaż Ernest zapewniał go, że bitwa zakończyła się cztery dni wcześniej, że do frontu to jednak będzie kawalek. Razem z nami jechał jeszcze reżyser Joris Ivens i kamerzysta John Ferno.

Po półtorej godziny kluczenia między taborami i wozami pancernymi oraz kolumnami piechoty dojechaliśmy na miejsce. Faktycznie wydarzyła się tu prawdziwa rzeź. Wokoło leżały trupy, które powoli dawały o sobie znać, że są już co nieco przeterminowane, zwłaszcza kiedy szło się od zawietrznej. Na razie smród rozkładających się ciał jeszcze nie zatykał, ale już niedługo będzie duszący, powodujący torsje i zawroty głowy. Niektóre trupy Włochów leżały porozrzucane przez wybuchy, jakby zapadły w sen. Inne nie wywoływały takiego złudzenia, pozbawione kończyn, nadpalone, przecięte na pół albo będące krwawymi planami.

Przypomniał mi się ostrzał artyleryjski, pod który wpadliśmy, kiedy wycofywaliśmy się spod Kijowa. To było pod Borowianką, tam spadł na nas ogień artylerii i zanim kontruderzenie uciszyło bolszewików, przez parę minut znaleźliśmy się w prawdziwym piekle. Poczulem namiastkę tego, co opowiadano o Wielkiej Wojnie. To siedzenie w okopach i nasłuchiwanie lecących pocisków, modlitwy oraz zaklęcia, by poleciały hen, daleko od nas. Ziemia chodząca od wybuchów, oszołomienie, brzęczenie w uszach, koszmar i bezradność, że nic od ciebie nie zależy. Nawet nie potrafiłem sobie wyobrazić, co działo się tam, gdzie ogień był jeszcze bardziej wzmożony. Walek Doliniak, który był wtedy ze mną pod Borowianką, zginął na miejscu. Wyglądało jakby przyjął kulkę, ale to musiał być odłamek. Tak to też tutaj musiało wyglądać, huk, wybuchające pociski, krzyk ludzi, kwik koni, powiew wybuchów, impet, który podnosił w górę tony ziemi zdolne przysypać i zadusić cudem ocalałych.

Tyle że Włosi tutaj nie siedzieli w okopach, tylko szli na rzeź, pod ogień.

Filmowcom skończyła się taśma, generał Kahle musiał wracać do Madrytu, więc po godzinie zwiedzania pobojowiska udaliśmy się w drogę powrotną. Tomás prowadził o wiele przytomniej.

Z pobojowiska wróciliśmy po południu, myślałem, że dla Ernesta to już koniec dnia, bo przecież musiał coś o tym napisać. Sprawozdanie dla agencji NANA machnął jednak błyskawicznie, widocznie przepisał na czysto to, co wcześniej skrobał ołówkiem w reporterskim kajecie. A jak skończył, zapukał

do mnie; szybko przekonałem się, że kolejnymi jego ulubionymi zajęciami są pijatyki i podrywanie kobiet.

Ernest wciągnął mnie w wir życia towarzyskiego. Najpierw wskazał mi knajpkę El Callejón, która mieściła się nieopodal nas, przy Calle de la Ternerera 6, ledwie parę minut od naszego hotelu. Było tam smaczne i jeszcze nie wściekle drogie jedzenie. Nafutrowaliśmy się i wróciliśmy do Floridy. Ernest wspominał mi, że po dniu pracy w jednym z pokoi zbierają się korespondenci i przy whisky, brandy, winie, a jak wpadną jacyś Rosjanie, to i przy wódce, każdy opowiada, co widział i słyszał. Z jednej strony giełda, wymiana informacji, planowanie dalszych ruchów, ale z drugiej popis, bo jak przyznałeś się, co wysłałeś swojej redakcji, to znaczy, że wyprzedziłeś resztę.

– A skąd o tym wiesz, dopiero wczoraj tu przyjechałeś? – zapytałem.

– Tak jest wszędzie, gdzie zbiorą się w jednym miejscu korespondenci, a tu, we Floridzie, zbierają się jak zwykle w pokoju „Toma”. On jest takim naszym mistrzem ceremonii, klawy gość, niezwykle!

„Tom” Sefton Delmer pracował dla londyńskiego „Daily Express” i faktycznie był niezwykle typem. Ten facet o wyglądzie pogodnego buldoga urodził się w Berlinie, mieszkał w Anglii, ale czuł się Australijczykiem. Cieszył się uznaniem nie tylko z powodu wieczorków, które organizował, ale także dzięki swoim osiągnięciom. Zjeździł kawałek Europy, po niemiecku mówił jak szkop i pewnie dlatego udało mu się zrobić wywiad z Hitlerem.

Poczułem swoją szansę, chciałem się trzymać blisko Ernesta, bo ten jak magnes przyciągał do siebie ludzi, otwierał zamknięte dla innych drzwi, i nawet jeśli ktoś go nie znał, to szybko okazywało się, że ma z nim wspólnych znajomych. Reżyser Joris Ivens znał wielu Sowietów, jeszcze mocniejszą kartą był Hans Kahle, niemiecki generał, nie byle jaka figura w tym towarzystwie. To wszystko dawało mi nadzieję na to, że wraz z Ernestem trafię do Hotelu Gaylord i wezmę udział w jednej z popijaw, które organizują sowieckie szychy. Może tam się czegoś dowiem, wpadnę na trop Antosia, Ardanowicza, Novaka, Camarada Checo, czy jak się teraz ten skurwysyn nazywa.



## ROZDZIAŁ XXXIV

**W którym chodzę pod Fuente de Cibeles i mam wrażenie, że choć nikogo tam nie spotykam, to jednak nie jestem sam, zostając asystentem Ernesta, przeżywam najbardziej wystrzałowy wieczór w życiu, dochodzę do wniosku, że Aldona jest wiedźmą, a na koniec kluczę po ulicach Madrytuh**

Tak jak było umówione, codziennie chodziłem pod Fuente de Cibeles, zawsze w południe i ponownie o szóstej wieczorem. Byłem tam stałym gościem, więc postanowiłem się czegoś o tym miejscu dowiedzieć. Bez przewodnika wiedziałem, co widziałem: kamienną fontannę, wyobrażającą kobietę na tronie, który ustawiony był na czterokołowym wozie zaprzężonym w dwa lwy.

Z przewodnika dla Brytyjczyków i Amerykanów, przeczytałem, że babka, która powozi lwami, to frygijska bogini płodności Kybele. W życiu o kimś takim nie słyszałem. Tak w ogóle cała mitologia średnio mnie interesowała, nawet te „antyczne gołe baby, które spoglądały na liście i ptaki swoich fagasów”, jak to mówił Miecio Kosiorek, spoglądając na rzeźby w Ogrodzie Saskim. Bo jakoś te wszystkie boginie nie były w moim guście. Ta z Madrytu też by nie zrobiła kariery w moim teatrze, chyba że dobrze by śpiewała, czego się nie dowiem, bo milczała jak kamień.

Z opisu wywiedziałem się jeszcze, że te zwierzęta pociągowe to małżeństwo, ona się nazywała Atalanta, a on Hippomenes. Afrodyta za karę zmieniała małżonków w lwy i skazała na wieczne chodzenie w zaprzęgu. Nieklawo, ale mogło być gorzej, bo bogini miłości mogła sobie wymyślić, że tę całą Kybele będą ciągnąć świnię.

Takie głupoty przychodziły mi do głowy, bo w moich madryckich sprawach był zastój. Nie trafiłem na żadne z oblicz Antosia. Paredes nie żył, a on jeden mógł coś wiedzieć. A ten jego znajomek, pizspan, z którym widziałem go na placu Czerwonym? Jak mu było... Nieważne, to był gamoń, taki, który niewiele wiedział, któremu mogli wcisnąć dowolny kit. Intelktualista komunista, dość szczególnie gatunek szkodnika.

Od wczoraj miałem większe możliwości, już nie przemykałem się ścicha pęk, tylko z poważną bu-magą. Zostałem współpracownikiem North American Newspaper Alliance! Ernest załatwił papiery, bo miał już trochę dość Tomása, który jednego dnia był kierowcą wyścigowym, a drugiego włókł się jak karawan po wybojach z niedomykającą się tylną klapą i w każdej chwili mogła z niego wylecieć trumna z nieboszczykiem.

Był mu potrzebny asystent i kierowca w jednym, do tego tani, można wręcz powiedzieć, że bezpłatny. Spełniałem te warunki, utrzymywałem się sam i nie żądałem zapłaty. Z papierem z biura prasowego czułem się pewniej, była to więc uczciwa cena za moje ewentualne usługi.

Gorzej, że nie wiedziałem, co się dzieje z moją kompanią. Rozstaliśmy się prawie tydzień temu we Francji, oni zostali w Konsulacie Polskim w Bordeaux. Tyle dni i nic. W Madrycie żyło się dziwnie, niby jeździły tramwaje, działały knajpy, ale na ulicach było zatrzęsienie ludzi w mundurach. Regularna armia, gwardie cywilna i szturmowa, ochotnicy z Brygad Międzynarodowych, wszystkie te milicje robotnicze z anarchistami na czele, nawet uzbrojone panny. W końcu Madryt był na linii frontu i od paru miesięcy był formalnie oblężony, nie ze wszystkich stron, ale jednak, a w listopadzie wydawało się, że zostanie wzięty przez nacjonalistów. Podobno rząd wiał już do Walencji, a na terenie miasteczka uniwersyteckiego toczyły się ciężkie walki, w których wyróżnili się Polacy. Tuż przed moim przyjazdem

też było gorąco, lecz atak został odparty, o czym mogłem się przekonać, zwiedzając wraz z Ernestem pobojowisko.

Czwartego dnia mojego pobytu w Madrycie znów udałem się pod fontannę; w południe nie działo się nic nadzwyczajnego, za to o szóstej wieczorem miałem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, że idzie za mną, więc wskoczyłem szybko do tramwaju i przepchnąłem się na koniec mimo protestów pasażerów i konduktora, po czym kiedy pojazd zwoolnił, wyskoczyłem. Jeśli byłem śledzony, to mój ogon za mną nie skoczył, bo nie chciał się zdekonspirować. Po tych przygodach w Moskwie i Paredesem dostałem chyba lekkiej paranoi.

Wróciłem do pokoju i zastanawiałem się co dalej. Pewnie myślałbym tak do samego rana, ale wpadł Ernest i powiedział, że skoczymy do knajpki, a później wrócimy do hotelu, bo Tom znów zarządza jakiś wieczorek, no chyba że mam coś lepszego do roboty, a jak tak, to mam dać cynk.

Żadnego cynku mu nie dałem, przyłączyłem się do niego, w końcu miejsce asystenta reportera North American Newspaper Alliance do czegoś zobowiązywało.

Upiłem się. Każdy tam był pijany, po to się tam przychodziło, ale tego wieczoru towarzystwo dostało małpiego rozumu. Piłem, bo piłem, niespecjalnie brałem udział w tym wyścigu, wciąż myślałem o tym, co się stało przy fontannie. Jak bardzo bym się nie starał, ta myśl wracała jak bumerang: kto i po co mnie śledził? Byłem lekko nieobecny i jakoś nie dotarło do mnie, że przykleiła się do mnie francuska korespondentka Elise Montignac, choć wydawało mi się, że ta całkiem do rzeczy dziewczyna była zainteresowana Kanadyjczykiem, z którym przyszła i którego emablowała przez pół wieczoru.

Tom sam pił niewiele, żeby utrzymać pozycję naczelnika dziennikarskiego towarzystwa, więc po jakimś czasie miał już dość, bo jak wytrzymać z całą pijaną zgrają na trzeźwiaka? Zgasił więc elegancko wieczorek i wyszliśmy na korytarz. Wtedy Elise uwiesiła się na mnie, bo była pod dobrą datą i poprosiła mnie, żebym ją odprowadził, gdyż winda nie chodziła. Mogło tak być, że chodziło jej tylko o to, żeby nie zlecieć ze schodów, bo panna korespondentka myliła krok, ale na półpiętrze wyprowadziła mnie z błędu. Kiedy się na chwilę zatrzymaliśmy, zaczęła mnie namiętnie całować.

– A Jean Pierre? – zapytałem, bo tak się nazywał Kanadyjczyk.

– Jean Pierre był tak pijany, że nie był w stanie wstać z fotela – powiedziała z rozbijającą szczerością, po czym zaczęła mi rozpinąć rozporek.

Musiałbym się zrobić na zupełną małpę, żeby urządzić takie fiki-miki na klatce schodowej hotelu, w którym nie działa winda, więc przytomnie zarządziłem, że dokończymy w moim pokoju. Była jak rozkapryszona dziewczynka, tupała i ciągnęła mnie za rękę, że tu i teraz, że nigdzie nie idziemy i co ze mnie za mężczyzna. Spuściła mi spodnie, pchnęła na wygodne hotelowe wyrko i z przeniesienia się do mojego pokoju wyszły nici.

Wylądowałem na nim i leżąc, obserwowałem, jak z papierosem w ustach, nieco niezdarne, bo nosiło ją z lewa na prawo, ale za to z wielkim oddaniem robi striptiz. Podciągnąłem się na łóżku i oparłem o zagłówek, żeby lepiej widzieć ten popis. Podeszła i podała mi papierosa, zaciągnąłem się i w głowie zadzwieczał mi głos Aldony: „Kochaj mnie. I nie pal papierosów, tyle wystarczy. No i nie zdradzaj mnie, żadnych tam tancerek czy prezesowych”.

To było jak alarm, jak sygnał do opamiętania. Na początek zgasilem papierosa, a potem pomyślałem, że Elise nie jest ani prezesową, ani tancerczką! Wtedy jeszcze raz, jak z płyty usłyszałem krótkie: „Nie zdradzaj mnie”. Ale było za późno, ona była już tylko w halce i pończochach, doszła do łóżka, wspięła się na nie niczym kotka, po czym położyła się na mnie, i przygłębiała tak, że nie mogłem się ruszyć. Wykonała kilka podniecających ruchów i... usnęła! Przykryłem nas kołdrą i po paru minutach sam też usnąłem.

Nad ranem poczułem wstrząs i usłyszałem ogłuszający huk, myślałem, że spadnę z łóżka, ale nie spałem, bo ktoś mnie kurczowo trzymał. Dokładnie to Elise leżała na mnie, ale już po chwili podskoczyła. Drugie trafienie zatrzęsło budynkiem jeszcze mocniej, pocisk musiał przywalić blisko naszego okna.

Trzeba mieć wyjątkowego pecha, żeby nie tylko trafić na pannę tak zwaną, że zasypia na tobie, zanim przyjdzie co do czego, to na dodatek dzieje się to w pokoju, którego okna wychodzą na wzgórze Garabitas, skąd powstańcy ostrzeliwiają Madryt, a w szczególności pobliski budynek centrali telefonicznej. Zerwaliśmy się na równe nogi niemal nadzy, ona szybko wciągnęła majtki i rzuciła mi spodnie. Nie miałem zamiaru ich zakładać, trzeba było wiać choćby w samych majtkach, a nawet bez nich!

Trzeci wybuch i kolejne rozległy się już dalej, przestali pudłować w wyznaczone cele i pociski nie leciały już we Floridę, ale i tak my i cała reszta hotelu gnała schodami do piwnicy, do schronu. Teraz można się było przekonać, kto z kim spędzał noc; czasem okazywało się, że ludzie biegną w całkiem zaskakujących parach. Niektórych spotykało się na schodach, innych widziało się, jak wybiegają z pokoi.

Kiedy zbiegliśmy do piwnicy, było już w zasadzie po wszystkim. Dwie pożegnalne salwy i koniec, dziękujemy państwu. Siedzieliśmy jednak, bo nie wiadomo było, czy nie wznowią ognia. W końcu wyszliśmy z piwnicy, Elise chciała koniecznie do mnie, a ja wiedziałem, że nie chodzi o dokończenie jej obiecującego tańca, lecz o strach przed powrotem do pokoju, do którego może wlecieć armatni pocisk. Niewyspana, przestraszona i wciąż na rauszu wtuliła się we mnie i zasnęła.

Okolo dziesiątej się wyprowadziła. I ode mnie, i z hotelu, pojechała z Jeanem Pierre'em do Barcelony. Pożegnaliśmy się, życząc sobie wzajemnie szczęścia, ale wyszło to wszystko nieco kwadratowo. Jean Pierre wiedział, gdzie nocowała, jej było trochę głupio, a ja też niespecjalnie byłem wygrany. Taki zbieg okoliczności, nie pierwszy i nie ostatni. Bywa. Może Aldona jest po prostu wiedźmą i nie dopuściła do tego, bym ją zdradził. Wydało mi się to naprawdę całkiem możliwe.

Wyzwanie czekało mnie dopiero teraz. Postanowiłem wyruszyć na spotkanie pod fontannę dwie godziny wcześniej. Zamiast iść prosto na miejsce, zatoczyłem szeroki łuk, z Plaza de Callao, gdzie mieścił się mój hotel, udałem się najpierw do Muzeum Prado, gdzie zamarkowałem zwiedzanie, po czym po kwadransie poszedłem na stację Atocha. Pokręciłem się tu i tam, obszedłem park Retiro, przyjrzałem się Palacio de Cristal (w przewodniku napisali, że pobudowano go pod wrażeniem londyńskiego Crystal Palace), minąłem prostokątny staw i zerknąłem na pomnik króla Alfonsa numer dwanaście. Z parku wyszedłem prosto na popiętny łuk triumfalny, stanąłem przed nim z przewodnikiem i wyczytałem, że nazywa się Puerta de Alcalá, o czym nie wiedziałem, i że jest w cholereę duży, czego nie dało się nie zauważyć, podobnie jak tego, że jest z kamienia. Ma prawie dwadzieścia metrów wysokości i czterdzieści cztery metry długości, tego akurat bym sam nie zmierzył, i że to pierwszym łuk triumfalny wybudowany w Europie po upadku Imperium Rzymskiego.

Miałem jeszcze dwadzieścia minut do spotkania. Poszedłem na skraj parku i klapnąłem na ławce, otworzyłem przewodnik i miałem zamiar przeczytać coś na temat wielkiej bramy, która prowadziła do parku. Nie żeby mnie to szczególnie interesowało, ale tak dla zabicia czasu. Zdążyłem tylko przeczytać, że nazywa się Puerta Real i ma ze sto pięćdziesiąt lat, bo przysiadła się do mnie kobieta, mniej niż trzydziestoletnia blondynka o zupełnie niehiszpańskiej urodzie, niebieskich oczach, perkatym nosku i krągłych policzkach, osoba niezaprzeczalnie atrakcyjna, choć z jakąś pretensją wypisaną na twarzy. Nawet kiedy się do mnie uśmiechnęła, było w tym coś nieszczerzego, a może kpiącego, co wzbudziło moje zdziwienie. Uśmiech był kwaśny, a słowa pełne niezadowolenia.

– Myślałam, że się pan nigdy nie zatrzyma, że będę pana gonić przez cały Madryt – powiedziała po polsku. – Gdybym wiedziała, to bym założyła pepegi, szkoda pantofli, poza tym strasznie niewygodnie. A tak poza wszystkim, to pan za szybko chodzi, co pana napadło?

Oslupiałem, choć po ostatniej nocy niewiele już powinno mnie zaskoczyć.

## ROZDZIAŁ XXXV

**W którym odbywam jedną z dziwniejszych parkowych rozmów, trafiam na dworzec Atocha, choć nikt nie przyjeżdża, a ja sam także nigdzie się nie wybieram, dowiaduję się o nowych planach moich przyjaciół, dostaję zlecenie na reportaż, a na koniec oczekiwane zaproszenie**

Siedzieliśmy na ławce między Puerta Real i Puerta de Alcalá, ona się wpatrywała we mnie, jakbym jej familię wybił harmonią. Byłem w środku Madrytu, miałem szeroko otwarte oczy i rozwarte usta, które chciały coś powiedzieć, ale głowa nie była gotowa na wydanie sensownego komunikatu.

– Czy szanowana pani mnie z kimś nie pomyliła? – wydukałem wreszcie.

Westchnęła ciężko, popatrzyła z politowaniem, wyciągnęła z torebki papierosa. Pewnie liczyła na to, że jej podam ogień, tyle że ja rzuciłem w San Sebastian nie tylko inne kobiety niż Aldona, ale i palenie papierosów.

Spojrzała z wyrzutem jak na nieokrzesanego chama, zapaliła i się zaciągnęła.

– Chyba wiem, panie Haas, za kim gonię po Madrycie i zdzieram obcasy w moich nowych pantoflach! – To mówiąc, wyprostowała prawą nogę, lekko ją uniosła, zakręciła stopą i zaprezentowała bucik, a przy okazji bardzo zgrabne tydki, jakby była nie w parku z obcym mężczyzną, tylko w salonie obuwia damskiego. – Jak już pan musi udawać cudzoziemca, to mów pan po francusku albo po hiszpańsku. – Moja mina wskazywała na to, że to niemożliwe, więc wydeła wargi i się zaśmiała. – Polski Amerykanin z Chicago, czego się spodziewać? Regina Morales, z domu Mogilska – podała mi dłoń do ucałowania – mieszkam w Madrycie od pięciu lat, jestem żoną Hiszpana, Rodrigo Moralesa y Morales, a zatrudnia mnie konsul honorowy pan Ildefonso González-Fierro Ordóñez. Ktoś się chce z panem spotkać i nie pod fontanną, proszę pójść na stację Atocha, w restauracji dworcowej będą na pana czekać.

– Kto?

– Ktoś, kto pana zna. Do widzenia! – powiedziała, wstała i odeszła, prezentując absolutną grację, piękno hydek i odpowiedniej budowy biodra. Piękna, zgrabna i stanowcza, musiała powozić tym całym Rodrygiem jak ta Kybele z fontanny swoimi lwami.

Byłem tym wszystkim oszołomiony. Zmierzając na dworzec, zastanawiałem się, co to wszystko znaczy, a może ona jest podstawiona, a ja idę w kocioł? Chyba nie, nie pieprzyliby się w tańcu, zgarnęliby mnie z ulicy. Prowokacja? Zobaczymy, kto będzie na mnie czekał.

Przekonałem się dwadzieścia minut później, kiedy wszedłem do restauracji, którą pamiętałem jeszcze sprzed wojny, jak się przesiadałem, jadąc z Lizbony do Bilbao. Wydała mi się wtedy wielce elegancka, ale teraz, pewnie jak wszystko, została przejęta przez jakąś związkową lub partyjną kooperatywę. Nie to mnie jednak interesowało, lecz ludzie, wszedłem, rozejrzałem się i... Przy stoliku w rogu sali machali do mnie Beniowski i Sokołowski, zatem żadna prowokacja, tyle że czemu tak?

– Witajcie! – Uściskaliśmy się serdecznie. – Co to wszystko znaczy?

– Znaczy to tyle, że potrzebujemy więcej dyskrecji i musimy pilnować swoich tyłków – odparł Julek. – Wczoraj wycofaliśmy się spod pomnika, bo zobaczyliśmy, że ciągniesz za sobą ogon...

– To znaczy, że mi się nie przewidziało! – Odetchnąłem z ulgą, po czym się zmytygowałem. – To niedobrze...

– Niedobrze – przytaknął Sokołowski. – Nie wiemy, kto to jest, ale się dowiemy, wsiedli na niego Strasburger, Nowicki i Kosiorek. A teraz opowiadaj pan, co pan widział, jakie znajomości zawarł, coś

o pana poszukiwanym wiadomo?

Wysłuchali z zainteresowaniem.

– To dobrze, bardzo dobrze – Sokołowski się uśmiechnął – przyda się nam amerykański korespondent!

– Do czego? – zapytałem.

– Do tego, co zwykle robi korespondent. My, Polacy, nie mamy tu dobrej opinii, oczywiście poza Brygadami Międzynarodowymi, ale reszta... Sowietci nie darzą nas sympatią, a mogą tu dużo, o wiele więcej, niż mogłoby się zdawać. Przywozimy broń, ale kto o tym wie, skoro to wszystko tajne? Ludzie wiedzą za to, że polski rząd trzyma z Franco, piszą o tym gazety.

– Co się dzieje? – zapytałem, bo czułem, że to wstęp do czegoś, co może tę eskapadę wyrzucić do góry nogami.

– Nasza sytuacja diametralnie się zmieniła. Są sprawy ważniejsze, pilniejsze niż tylko broń – powiedział Sokołowski. – Zresztą nie wiadomo, na jak długo rządowi Republiki starczy pieniędzy, radziecki połpred nieźle ich rozprowadził.

– Kto? – Pierwszy raz słyszałem takie słowo.

– Połpred.

– A kto to taki?

– Polonomocnyj przedstawiciel, bo przecież ludzie radzieccy stworzyli własną tytulaturę, żeby nie powielać burżuazyjnych wzorów. Trochę pan tych Sowietów widział, prawda? I tu się też na to pan napatrzy, każdego dnia dowiadujemy się o tym, jak Sowietci się tu panoszą. Otóż według ich dyplomatycznej tytulatury ten połpred, Artur Staszewski, był torgpremem, czyli przedstawicielem handlowym. Swojskie nazwisko, Staszewski, polski Żyd. Polski, niemiecki, rosyjski, radziecki, po prostu Sowiet, zdołał przekonać ministra skarbu Juana Negrína, że w obliczu marszu wojsk powstańczych na Madryt najbardziej bezpieczniej będzie wywieźć większość hiszpańskiego złota do Moskwy. Front opierał się o przedmieścia Madrytu, panowała panika, ministerstwa ewakuowały się do Walencji, więc Negrín na to przystał. Tylko jedna czwarta skarbu wyjechała do Francji i tylko z tych zasobów mogą kupować broń, bo reszta jest w Moskwie! Sowietci są krezusami!

– Ile tego było? – zapytałem.

– Dużo. Bardzo dużo, to były czwarte co do wielkości rezerwy złota na świecie!

Byłem zaskoczony, bo do tej pory miałem wrażenie, że Hiszpania raczej klepie biedę.

– Jak dużo, tak na dolary?

– Ponad osiemset milionów dolarów! – wyjaśnił Sokołowski.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, nie tylko dlatego, że suma zapierała dech w piersiach, ale i z tej przyczyny, że rachowałem, ile trafiło do Moskwy. Wyszło mi, że ponad sześćset milionów! Z tego można było nakupić broni, za którą Republika mogłaby sprać całe trio złożone z nacjonalistów, Niemców i Włochów. Ale nie kupią, bo na złocie położyli łapy Sowietci.

– Zdani są głównie na sowiecką broń? Czyli przestajemy wozić naszą?

– Nic z tych rzeczy, Rosjanie sprzedają im za mało i za drogo, oszwabiają ich w biały dzień, więc póki Republika będzie miała jakieś pieniądze, będziemy z nią handlować. Nawet jeśli symbolicznie, bo to legalizuje nas tutaj... – Julek wtrącił się do rozmowy, widać było, że ma do przedstawienia ważną sprawę. – Oczywiście nie muszę przypominać, że wszystko jest tajne – powiódł wzrokiem po zgromadzonych – otóż nasze położenie jest niezwykle delikatnej natury, bo ujawniliśmy się, na razie tylko ja jako kierownik grupy, przed ambasadorem Szumlakowskim. Pan ambasador nie prowadzi może tak samodzielnej polityki jak hiszpański poseł w Warszawie, Francisco de Serrát y Bonastre, który działał na szkodę swojego rządu, ale wykazuje... powiedzmy pewną daleko posuniętą samodzielność. Ambasador Marian Szumlakowski sprzyja władzom powstańczym i generałowi Franco. Wiem, co teraz myślisz, powiem wprost, bez eleganckiej transkrypcji – spojrzal na mnie – ten lamus eksceleńcja nas zaka-

puje, tak pewnie myślisz? – Tak myślałem, więc kiwnąłem głową. – Otóż nie! Ambasador nie do końca wie, po co tu jesteśmy, sądzi, że nasza handlowa misja to wszystko zasłona dymna. W pewnym sensie tak jest. Ekscelecja Szmulakowski wie o naszych konszachtach z władzami Republiki, wie, że rząd handluje bronią, natomiast nie zna skali naszej działalności. Dla niego to tylko przykrywka. Pretekst, do tego, by mieć mocne papiery i życzliwość władz miejscowych, bo co innego w mniemaniu ambasadora jest naszym głównym zadaniem.

Teraz głos przejął Sokołowski:

– Pan ambasador jest przekonany, że jesteśmy tu tylko po to, by pomóc w ratowaniu ludzi związanych z opozycją i ancien régime, wojskowymi, głównie emerytowanymi, posłami prawicowymi, ich rodzinami, duchownymi... Jeśli pytacie mnie, panowie, o moją prywatną opinię o tej wojnie, to jest to walka dżumy z cholera, tu się zderzają dwa totalitaryzmy, z których każdy jest szkodliwy dla Polski. Można nad tym ścięciem zamknąć klapę, jak to robi Liga Narodów, można też spróbować ugrać coś dla siebie. Dla polskiego przemysłu i armii zdobywamy środki, ale dla siebie samych, tak po ludzku, będziemy ratować ludzi. Tysiące zabitych po obu stronach to ofiary niewinne, pomordowane przez rewolucję i powstanie. To jest jakieś szaleństwo, amok, i to po każdej stronie. Słyszał pan o Zamorze?

Jak miałem go nie znać?! Hiszpan Ricardo Zamora walczył z Czechem Pláničką o tytuł najlepszego futbolisty świata, choć żaden z nich nie był łowcą bramek czy wirtuozem dryblingu, lecz bramkarzem!

– O mało go nie zabili, wielu nawet uważało, że tak się stało, nawet prezydent FIFA, pan Rimet, zarządził przed meczami minutę ciszy na jego cześć. Okazało się, że jednak El Divino żyje, choć to wcale nie znaczyło, że jest bezpieczny. Wylądował w więzieniu Modelo, które wielu jego współwięźniów opuściło w trumnach. Wstawili się za nim republikańscy piłkarze z Barcelony i Walencji, w końcu go wypuszczono.

– Za co go aresztowano? – zapytałem.

– Pisał dla katolickiej gazety i to wystarczyło – wyjaśnił Julek. – Dobrze, że żaden z nas nie wygląda na księdza...

– No nie wiem – uśmiechnąłem się – Kosiorek z tą łysiną i brzuszkiem wygląda jak proboszcz po cywilu. Nowicki też by się nadał.

– Żarty żartami, ale nie muszę ci tłumaczyć, że koszą księży dziesiątkami, że wycinają przeciwników politycznych. Każdy może być podejrzany, każdy może być faszystą, wystarczy, że okazuje za mało entuzjazmu albo ma nieodpowiednią rodzinę. Może tego na pierwszy rzut oka nie widać, ale w Madrycie zapanował terror. Masakrowano tu prawdziwych i wydumanych przeciwników władzy. Teraz się uspokoiło, ale sytuacja wciąż jest napięta, tysiące ludzi puciekowało przed terrorem do ambasad i poselstw. Pomagają prawie wszyscy, trzydzieści sześć placówek, wylamali się Bułgarzy, Duńczycy, Brytyjczycy i Amerykanie. W tym kontekście twój paszport jest dobry, bo twój rząd nie pomaga wrogom Republiki, nie udziela azylu – podsumował Julek.

– A kto pomaga najbardziej? – chciałem wiedzieć.

– Tak jak w przypadku pomocy wojskowej, i to dla obydwu stron, Latynosi, kraje hiszpańskojęzyczne – do głosu doszedł Sokołowski – ambassy, poselstwa i wynajęte przez nie domy ze statusem dyplomatycznym chronią ponad dwanaście tysięcy azylantów! Zajmują dawne, wcześniej używane poselstwa i biura, a także budynki, które specjalnie wynajęto i ogłoszono kolejnymi miejscami, gdzie prowadzi się działalność konsularną. Rząd Republikański godzi się na to, bo w wielu przypadkach chodzi o broń!

Gdyby skrzywdzili azylantów pod opieką Rzeczypospolitej, to wtedy zrobiliby się rumor i straciliby nase dostawy. Zawsze jednak mogą zaszkodzić jacyś wariaci i nadgorliwcy, tak było w Walencji. Nie uszanowali tam funkcji konsula honorowego Rzeczypospolitej, Vicenta Noguery Bonory. Noguera Bonora był jednym z najbogatszych ludzi w Walencji, więc zażądali od niego okupu. Wszystko za wiedzą miejscowej milicji i przy całkowitej bierności władz! Konsul poszedł do portu, by bezpiecznie odpłynąć z rodziną, co miał zagwarantowane nie tylko poprzez reprezentowanie Rzeczypospolitej, ale i haracz,

który miał złożyć. Zapłacił milicjantom umówiony milion peset, a ci go rozstrzelali! To było w sierpniu zeszłego roku, ale było więcej podobnych morderczych incydentów. Na szczęście mimo pewnych perturbacji nikt więcej nie zginął, nie wiadomo jednak, co im przyjdzie do głowy.

– A policja? – zapytałem nieco naiwnie.

– Policja jest marna. Ich uzbrojenie woła o pomstę do nieba. Z kolei dość sprawna Guardia de Asalto, czyli Gwardia Szturmowa, potrafi dokonać mordu politycznego, to właśnie ich zbrodnie doprowadziły do wybuchu wojny. Owszem, nacjonałiści zabili porucznika z ich oddziałów, ale powinni pochwycić winnych, wytoczyć proces, a później sprawiedliwie skazać, tymczasem oficjalne siły porządkowe rządu dopuściły się odwetu!

– Wiem, pamiętam, byłem wtedy w Hiszpanii, uprowadzili i zabili najważniejszego monarchistę.

– Wie pan zatem, że są służbą gotową na wszystko, a jak trzeba, to nawet cynglami władzy. Zważywszy na burdel, jaki tu panuje, wszystko może stać się zapalnikiem: artykuł prasowy, plotka, inicjatywa lokalnego dowódcy, sowiecka prowokacja.

– Będziemy obsadzać miejsca azylu?

– Pan nie, jest pan obywatelem amerykańskim, więc musi się pan od tych spraw trzymać z daleka, chyba że przysłuży się pan jako korespondent, który będzie relacjonował ewakuację azylantów. Nie sądzę, by się odważyli protestować.

Zrozumiałem swoje zadania, dowiedziałem się jeszcze o sprawach czysto organizacyjnych. Motorem tego wszystkiego był młody dyplomata, ledwie trzydziestoletni Leopold hrabia Koziebrodzki. Ledwie sekretarz, kierownik sekcji konsularnej poselstwa, ale podczas wybuchu poseł Szumlakowski był na urlopie, po którym, wzorem innych dyplomatów, zaczął urzędowanie we francuskim Saint-Jean-de-Luz.

W tym czasie hrabia Koziebrodzki nie tylko przyjmował azylantów, ale i otworzył Hogar Polaco, Schronisko Polskie. Placówka nie śmierdziała groszem, ale wynajęcie okazałego domu przy placu Rubén Dario i kosztowało tylko na papierze. Markiza de Ybarra, właścicielka posesji, mogła być pewna, że nikt nie będzie próbował jej zabrać czegoś, co użytkuje polskie poselstwo, więc z radością zgodziła się, by oddać dom w najem za darmo, w zamian za ochronę dyplomatyczną. Hrabia Koziebrodzki znalazł sobie rzutkiego współpracownika, polskiego Żyda, Estebana Hönigsfelda, który był w Madrycie przedstawicielem niemieckiej firmy. Z Hönigsfelda był niezły kozak, kursował po Madrycie swoim autem, interweniował u władz, wyciągał ludzi z aresztów.

Drugim miejscem, gdzie chronili się Hiszpanie, którym groziła śmierć, było mieszkanie przy ulicy Jorge Juan, należące do konsula honorowego, Ildefonso Gonzáleza-Fierro Ordoneza. Żeby władze miały czarno na białym, że to polski dom, to kwaterowano tam obywateli polskich, w tym pisarza Pruszyńskiego, którego reportaże czytaliśmy na statku. Podobały mi się te jego Listy z Hiszpanii, ale teraz lekko się zdziwiłem, że nie pisał nic o azylantach. Może dlatego, że w pewnym momencie sporą część azylantów stanowili czerwoni, którzy podczas przełamywania frontu w listopadzie bali się, że zaraz wejdą żołnierze Franco, regulares, karliści i falangiści, by rozpocząć krwawą łaźnię. Ministerstwo w Warszawie dało Koziebrodzkiemu możliwość wyboru: zostać albo się ewakuować. No i został. Pewnie dzięki temu ocalało kilkaset osób.

W styczniu przeprowadzono pierwszą ewakuację, nasze pojazdy konsularne przewiozły z Madrytu do Walencji kilkanaście osób, które tam się zaokrętowały i bezpiecznie opuściły Hiszpanię. Na dniach będzie druga tura. Po Hiszpanów ma przypłynąć nasz okręt wojskowy ORP Wilia. Moi przyjaciele będą to osłaniać z bronią w rękę, ja z notesem reportera i amerykańskim paszportem. W tej chwili mieszkali wszyscy u konsula generalnego, stwarzając pozory, że jest to polska placówka, choć papierów na to nie było. Za to oni mieli mocne papiery; byli nie tylko współpracownikami poselstwa, ale i znaleźli się w ewidencji władz jako dostawcy broni.

Na koniec jeszcze Julek spytał mnie:

– Ten twój znajomy oficer to Alfons Jesus Maria Calderon y Bahamonde?

- Tak, kapitan Calderon y Bahamonde – potwierdziłem.
- Już major! – poinformował mnie Julek z wyraźną zazdrością w głosie, że mam znajomych, którzy szybciej awansują niż on.

Wróciłem do hotelu. Kiedy zobaczyłem Ernesta, chciałem powiedzieć, że mam świetny temat, ale ugryzłem się w język. Za dużo przebywał z towarzyszami ze Związku Sowieckiego, by mu się spodobał, poza tym ja chciałem się tym zająć.

- Koniec z nudziarstwami! – zawołał do mnie Ernest. – Wieczorem zobaczysz ludzi, którzy prowadzą Republikę do zwycięstwa! Idziemy do Hotelu Gaylord! Kolcow zaprasza!

Nie wiedziałem, kto to był, generał, lotnik, czołgista? Na pewno ktoś ważny, ktoś kogo Ernest poważał.



## ROZDZIAŁ XXXVI

**W którym goszczę w hotelu nieprzyzwoicie luksusowym i skorumpowanym, spotykam się z towarzystwem, które najchętniej bym powystrzelał, rozmawiam z człowiekiem, którego czyta Stalin, ratuję pewnego ruska przed pewnym nokautem, mówią o smartwychwstaniu, a ja myślę o piekle**

Szliśmy Gran Vía, madrycką Marszałkowską, tyle że szerszą i wystawniejszą, wciąż się budującą i ruchliwą mimo wojny.

– Kto to jest ten Kolcow? – zapytałem.

– Kim jest Kolcow, kim jest Kolcow! – zachnął się Hemingway. – Michaił Jefimowicz Kolcow jest człowiekiem, którego czyta Stalin! Wyobrażasz sobie? Niezwykły dziennikarz, wymyślił pismo dla młodzieży – zabelkotał coś w swoim mniemaniu po rosyjsku, a mnie się zdawało, że chciał powiedzieć „Ogoniok” – i satyryczne pismo, najważniejsze w Rosji „Krokłod”... – domyśliłem się, że miał na myśli słowo „krokodyl”. – Kierownik wydziału zagranicznego Związku Pisarzy, no i stworzył biografię Gorkiego, a to wyróżnienie!

Nie chciałem dyskutować z Ernestem, że wszędzie indziej każdy by sobie mógł napisać o Gorkim, ale w Rosji Sowieckiej trzeba było pierw uzyskać pozwolenie.

– A skąd wiesz, że czyta go Stalin?

– To jasna sprawa! – Popatrzył na mnie jak na niedorozwiniętego. – Jest korespondentem moskiewskiej „Prawdy”, a Stalin rozpoczyna dzień od jej lektury! A teraz w „Prawdzie” nie ma nic ważniejszego od wojny w Hiszpanii.

Pewnie nie było i pewnie Ernest z takim entuzjazmem mówił o Sowietach, bo nie uczył się w ruskiej szkole, nie widział stójkowych i Kozaków, a potem Armii Czerwonej, i nie był w Moskwie.

Hotel Gaylord był imponującą budowlą, ale zupełnie inną niż Florida. Nowocześniejszy, betonowy, surowy. Trochę tak jakby go budował ten magik z Barcelony, Gaudi, ale nie dodał mu falujących kształtów, ceramiki i kolorów. Drzwi pilnowali strażnicy z przymocowanymi bagnetami, którzy niemilo kójarzyli mi się z gmachem NKWD. I pewnie nie było to takie chybione skojarzenie, skoro w środku znajdowali się tacy, którzy z Łubianką mieli wiele wspólnego. Wydawało się, że skierują bagnety ku nam, ale Ernest ich pozdrowił, poczęstował papierosami i weszliśmy do środka, jakbyśmy byli hotelowymi gośćmi.

– Gaylord to hotel nieprzyzwoicie luksusowy i skorumpowany. – Zaśmiał się i po chwili przekonałem się, że faktycznie panował tam przepych. Hol był marmurowy, windy jak złote klatki.

Wsiadliśmy i pojechaliśmy na górę. Tam weszliśmy do apartamentu, który był zadymiony i wypełniony ludźmi w mundurach i skórzanych kurtkach. Oficerowie i komisarze po pracy oraz paru ludzi po cywilu i jakieś kobiety, nienadzwyczajnie urodzive córki rewolucji, szczęśliwe, że mogą przebywać w najwyższym kręgu wtajemniczenia. Do Ernesta ruszyli dwaj cywile, chyba obaj starozakonni; starszy o pociągłej twarzy, z długawymi, zaczesanymi do góry włosami, zupełnie jak u jakiegoś pianisty, jego kolega miał pełniejszą twarz i czarne, ciężkie włosy zaczesane na bok.

– Towarzysze Ilja Erenburg – przedstawił tego o pociągłej twarzy, a ja prawie podskoczyłem. Toż to czytałem jego *Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwańca*. Lepiej było się nie przyznawać, bo nie wiadomo, czy weszła w Ameryce.

– I Michaił Kolcow! A to Henry Haas, kolejny Amerykanin, będzie mi pomagał w pracy, a dzisiaj...

Zrozumiałem, że mam pokazać wpisowe. Butelki szybko wylądowały na stole, dyskutowano na tematy wojenne i rewolucyjne, alkohol szybko zniknął, czasem mówiono po rosyjsku, czasem po angielsku.

– Kto wie, jak by się to wszystko potoczyło, gdyby przywódcą buntu pozostał Sanjurjo – powiedział po angielsku Kolcow, ten najlepiej poinformowany, którego na śniadanie i do pierwszego papierosa czytał Stalin.

– Kto wie... – Erenburg pokivał głową – ...przecież to generał José Sanjurjo był na początku najważniejszy, a Franco i Mola byli za nim. Gdyby dowodził tak, jak latał, to może już byśmy rządili całą Hiszpanią!

– Towarzysze nie wiedzą, o co chodzi! – zawołał mężczyzna w mundurze pilota, młody blondynek. – Ten cały wódz Sanjurjo zginął w katastrofie samolotu, którym leciał z Portugalii. Maszyna spadła, bo była przeładowana, podobno pilot ostrzegwał go, a ten odpowiedział mu: „Wiozę galowy mundur, jako nowy caudillo Hiszpanii, na paradę zwycięstwa”. Siedemnastego wybuchła rebelia, a dwudziestego z caudillo zostały strzepy!

– Dobrze, że nas tu jeszcze nie było, bo by poszło na nasze konto! – Erenburg przeszedł na rosyjski, Ernest, choć nic nie rozumiał, uśmiechał się, bo i oni się śmiali, a ja zgrywałem głupka i też się śmiałem, ale z opóźnieniem, jak towarzyski frajerzyna, mimo że rozumiałem wszystko od a do zet.

– Ja to chętnie wezmę na siebie – ucieszył się lotnik – bohater Związku Radzieckiego mruwany!

– Ale za co? Za udział w wojnie, której nie prowadzimy? Przecież miałem truć tych rannych w Hotelu Palace, gdyby przyszło co do czego. – Kolcow cieszył się, jakby chodziło o niewinny, sztubacki żart, wysypianie do jedzenia kolegów środka na przeczyszczenie.

– Michaile Jefimowiczu – ciągnął po rosyjsku – sprawa jest prosta, towarzysz Stalin odznaczyłby mnie jako polarnika, oni to prawdziwi bohaterowie! „Prawda” napisałaby, że lejtnant Antoni Masierowicz dokonał rekordowego przelotu nad Arktyką, a ja dostałbym tytuł Gieroja Sowietskowa Sojuza.

– I może jeszcze piękne mieszkanie w Domu Polarnika? – Kolcow popatrzył na lotnika jak na kapryśne dziecko, a ja modliłem się, żeby na mojej twarzy nie było nawet śladu wspomnienia po tym, co stało się w tym budynku.

– Nie inaczej, Michaile Jefimowiczu! – powiedział lotnik i wznosił toast za bohaterów Związku Radzieckiego.

– Jak wrócić po wojnie do Moskwy, to Stalin was odznaczy, w końcu ósmego grudnia dokonaliście najważniejszego zestrzelenia w tej wojnie. Z narażeniem życia, lecąc nad faszystowską strefą, dognaliście samolot, którym wieziono tego burżuazyjnego pacholka, i posłaliście go na ziemię. – Kolcow się zaśmiał. – Faszyci poderwali swoje maszyny, ale nie uciekliście im, zuch, gieroj!

Kompletnie nie wiedziałem, o co chodzi, rozumiałem tylko tyle, że ten młody lotnik zestrzelił maszynę z ważnym pasażerem na pokładzie. Rosjanie śmiali się i poklepywali się po plecach, polali wódkę, wszystkim, także nam, i gotowali się do wzniesienia toastu.

– Za co pijemy? – zapytał się Ernest, a ja ugryzłem się w język, by nie powiedzieć mu, że za Heroes of the Soviet Union.

Wyrezył mnie Kolcow, który streścił nam ich krótki dialog, ograniczając się do tego, że pijemy za zdrowie bohaterskich lotników, których reprezentuje przy tym stole towarzysz Zawadzki.

Wypiliśmy, a Zawadzki szybko nalał po raz kolejny.

– A teraz – powiedział po rosyjsku – za pamięć towarzysza Karpa Kowtuna!

Wszyscy wypili, więc po angielsku spytałem Kolcowa:

– Kowtun, kto to?

– Bohater! Latał na dwupłatowym myśliwcu I-15, bronił Madrytu przed faszystami. Trzynastego listopada trafili go dranie, maszyna nie doleciała do naszych linii, wylądował u nich, pochwycili go. Za-

katowali go na śmierć, a później zrzucili go na lotnisko 109 eskadry, w której latał, a na jego ciele napisali „podarunek od Franco”. Skurwysyny.

Zgodziłem się szczerze, trzeba być skurwysynem, żeby zrobić coś takiego. Tymczasem rozpuętała się literacka dyskusja między Ernestem a Ilią Erenburgiem.

– Wy pływacie po faktach – mówił do Ernesta po belfersku, wytykając palcem – wam się wiadomości mylą z nowelami, wasze reportaże to powieści, a...

Erenburg nie dokończył, bo Hemingway zerwał się z miejsca. Ze swoją sylwetką, wąsami, niegoloną od paru dni twarzą i pozą byka, który szykuje się do szarży, był przy drobnym rosyjskim pisarzu jak jakaś mityczna bestia.

– Pieprzycie jak ci z North American News Agency, tyle wam powiem!  
Zabrzmiało to jak ostrzeżenie, ale Erenburg nie miał zamiaru kończyć.

– Mieli rację – powiedział hardo.

Ernest obrócił się gwałtownie i wziął ze stołu butelkę wina.

– Dialektyka u was szwankuje – prowokował Erenburg, który też się podniósł.

Dopiero teraz spostrzegłem, że odwagi dodawał mu alkohol. Mówił do rzeczy i nie bełkotał, ale bąbało nim jak na huśtawce. Ernest upił z butelki łyka i zatkał korkiem. Jeśli nią przypalantuje Erenburga w łeb... Trup nie był tu nikomu potrzebny.

Wszedłem między nich ze szklanką w rękę.

– Polej, Ernest, polej, kurwa – zabelkotałem, żeby moja przemowa była bardziej szczerza. – A jak chcesz mu dać w mordę, to nie tą butelką, bo wina szkoda, a najlepiej jak już masz się bić, to ze mną! – zaryzykowałem.

Ernest powoli opuścił rękę, zaśmiał się, wyciągnął korek i nalał mi, po czym poklepał po ramieniu.

– To niech ten tu nie pieprzy trzy po trzy. – Pogroził palcem.

Erenburg też już był spacyfikowany, a Kolcow popchnął go w kierunku Ernesta, pakując do dłoni szklankę.

– Napijcie się, towarzysze, za *wstrieclu* się napijcie, za Republikę, na pohybel, kurwa, nacjonalistom! – zawołał korespondent „Prawdy”.

– Jebać Franco!

– Jebać Maurów i karlistów! – dodał ktoś, budząc aplauz.

– Jebać Errolla Flynna! – dorzucił inny i zrobiło się naprawdę miło.

– Za to wypiję, i za was też, Erneście Klarensowiczu! – powiedział Erenburg. – Piękne opowiadania piszecie, prędzej czy później Nobelskaja premia dostanie się właśnie wam! Zobaczą, zaczną nagradzać postępową literaturę, dostaniecie wy, dostanie i radziecki człowiek.

Postawił na swoim, złożył uszanowanie Ernestowi, ale jako noweliście. Zrobił to jednak tak, że Amerykanin roześmiał się i po chwili ściskali się, pijąc wino. Nie ze szklanek, a wprost z butelki, którą trzymał Hemingway.

– Ty mógłbyś być naszym pisarzem – skomplementował Ernesta – a wiesz dlaczego?

Wszyscy nastawili uszu.

– Bo ty, *tawariszcz Amerykaniec*, pijesz jak ruski, zapuść brodę jak Tolstoj! No i ty *gieroj*, *nastojaszczyj gieroj*.

Braterskim gestom nie było końca.

Jednym z biesiadników był kapitan republikańskiej armii, który mówił po rosyjsku nie gorzej ode mnie, kto wie, może nawet by mnie przegadał, gdybym się przyznał do znajomości tego języka i chciał z nim porozmawiać. Nie mówił po angielsku, ja nie mówiłem po hiszpańsku, więc tylko wylawiałem jakies

pojedyncze słowa, które pojawiały się w jego rozmowie z Ernestem. „Wojna, ofensywa, republika, nacjonalisci, faszyci, śmierć, lotnictwo”. Kiedy wyszliśmy od Rosjan zapytałem Ernesta, gdzie się ten kapitan tak nauczył mówić po rosyjsku.

– Nie kapitan, tylko major. Dostał awans, jutro to się dokona. Zna rosyjski, bo ukończył Akademię Frunzego i Szkołę Leninowską! – W głosie Ernesta pobrzmiwała nutka podziwu.

– To jakiś rodzynek – skonstatowałem.

– Żaden rodzynek, jest ich kilku, którzy wrócili ze Związku Radzieckiego – odparł Ernest. – Najwięcej jest tych z Asturii. Wiesz, co się tam wydarzyło? – Przytaknąłem, bo domyślałem się, że chodziło o powstanie z 1934 roku. – Prawie stu ludzi uciekło za granicę i dostało schronienie w Związku Radzieckim. Pracę dostali w fabryce parowozów w Ługańsku oraz kopalni w Griszynie, może dlatego szef sowieckich doradców wojskowych ma pseudonim generał Griszyn?

– Pseudonim?

– Bo przecież oficjalnie ich tu nie ma! – Ernest się uśmiechnął. – Dlatego noszą pseudonimy, a nie prawdziwe nazwiska, rozumiesz?

– Rozumiem.

Ernest nawet nie wiedział, jak dobrze! Przecież moje obecne nazwisko to pamiątka po powstaniu na Śląsku i grupie dywersyjnej Wawelberga. Każdy z nas miał fałszywe papiery i nazwiska, a moje przykleiło się do mnie na dobre.

– Wiesz, że Miszka Kolcow, kiedy groziło wzięciem Madrytu przez nacjonalistów, był wyznaczony do... pomocy rannym?

Przypomniało mi się to makabryczne zdanie o truci rannych, myślałem, że to żart.

– Nie... – skłamałem gładko.

– W Hotelu Palace był szpital, nie wszystkich ewakuowano, byli ranni sowieccy czołgiści; gdyby weszli nacjonalisci, miał im podać truciznę, żeby faszyci nie mieli dowodów na udział żołnierzy Stalina w wojnie.

Spojrzałem na roześmianego, nieco starszego ode mnie bruneta, który wznosił toasty, a w Moskwie zalał pismo dla młodzieży oraz tygodnik satyryczny. Ten sam facet miał chodzić od łózka do łózka i podawać truciznę?

– Pewnie myślisz, czy to możliwe? Po tym, co zrobili z lotnikiem Kowtunem, to bym to nazwał miłosierdziem.

Trudno było się nie zgodzić, ale i tak dreszcz przeszedł mi po plecach, jak patrzyłem na wesołego Kolcowa.

– No to, towarzysze, trzeba kończyć – powiedział Kolcow i podniósł słuchawkę. – Allo! Czy kierowca zawiózł już towarzysza Resucitado?

Drgnąłem – nie chciałem uronić ani słowa.

– Ernest, Henry, lepiej, żebyście nie wracali na piechotę, mocne dokumenty, ale Gwardia Szturmowa nie żartuje – pouczył Erenburg. – Michaił da wam wojskowego kierowcę.

Pożegnaliśmy się, Ernest coś do mnie gadał, a ja wypatrywałem Bożyczki. On gdzieś tu jest, będę jechał tym samym samochodem, którym morderca mojej matki przed chwilą woził swoje dupsko. Zapytam kierowcę, ale jak, jeśli to będzie Hiszpan albo Rosjanin?

Wyszliśmy przed hotel, nie było żadnego samochodu.

– Gdzie nasze auto? – Ernest spytał strażników.

– Spóźniliście się, jakiś komendant miał pilną sprawę.

Po chwili podjechało inne auto, strażnik podszedł do uchylonej szyby i coś wytłumaczył, następnie dał nam znać, że możemy wsiadać. Ruszyliśmy w kierunku Florydy. Jak odnaleźć kierowcę, który wiozł Antosia, jak?

- Co jest, zatkało cię, Henry, co tam? No mów!
- Zamyśliłem się. Czemu krzyczałeś jebać Erolla Flynna, a reszta dołączyła?
- Bo odwiedził na froncie faszystów, *fuck off*, Erollu Flynnie! – wydarł się Ernest przez otwarte okno samochodu, który pędził po Gran Vía.

## ROZDZIAŁ XXXVII

**W którym Ernest poznaje Marthę Gellhorn, prowadzimy śledztwo w sprawie mojego ogona, spotykam się w końcu z moją kompanią, poznaję bardzo wyniosłą, starszą damę, a Miecio Kosiorek i prezes Leszczycki uczą Hiszpanów, jak podawać kielbasę chorizo**

Przygotowania do ewakuacji azylantów szły pełną parą. Moi przyjaciele, Miecio i Strasburger, badali, czy jestem śledzony. Okazało się, że nie, przynajmniej przez trzy ostatni dni, kiedy krążyli za mną po Madrycie. To odkrycie zbiegło się z romanses Ernesta, który poznał angielską dziennikarkę Marthę Gellhorn. Piękna, wysoka blondynka przyjechała do Madrytu z Tedem, kanadyjskim dobiegaczem. Jeśli miał jeszcze jakiś cień szans, to w knajpce Hotelu Gran Vía, w której przysiedliśmy, stracił je do cna. Można powiedzieć, że zanim zdążył zasiąść w siodle, to Ernest go z niego wysadził. Ale zanim to się stało, Ernest zachowywał się jak skończony dupek. Ona była nieco przestraszona Madrytem po zmierzchu, mrocznym, wojennym i niebezpiecznym, a on, jako weteran Wielkiej Wojny i ktoś, kto znał Hiszpanię, grał rolę dobrego papy.

– Załatwiłem ci jak najlepszą podróż z Walencji, córko! – Tak do niej powiedział!

Wkurzyła się. A potem jeszcze bardziej, kiedy wyciął jej numer. Zakwaterował ją na tym samym pięttrze, prawie obok siebie, i dla bezpieczeństwa zamknął w pokoju. Sam poszedł grać w pokera, czego byłem świadkiem i, ma się rozumieć, uczestnikiem. Jak raz, właśnie wtedy zaczął się ostrzał ze wzgórz Garabitas, i jeden z pocisków gruchnął w ścianę hotelu. Kobieta wpadła w panikę, nie mogła wyjść, łomotała pięściami, w końcu ktoś przechodził korytarzem, usłyszał i ją uwolnił. Zeszła na dół i zrobiła mu awanturę, a on z typową dla siebie bezczelnością i bufonadą wyjaśnił jej, że po hotelu chodzą pijani żołnierze z Brygad Międzynarodowych, którzy mogliby ją wziąć za kurwę, więc dla jej bezpieczeństwa postąpił najlepiej, jak mógł. Była wściekła, drażnił ją i z tego wszystkiego po paru dniach mieszkała już razem z nim. Kto się czubi, ten się lubi, facetki tak mają, faceci też, najpierw ktoś wkurza, a później łąduje się z tą osobą w łóżku. Bywa. I to często.

Ernest interesował się Marthą, a nie towarzystwem, więc ja, jego papierowy asystent, mogłem zniknąć. Umówiłem się na spotkanie z moją ferajną. Wszystko zostało zawodowo przygotowane. Poszedłem z Floridy do Hogar Polaco, było to pół godziny marszu. Ubezpieczał mnie Strasburger, który szedł kilkanaście metrów za mną, no i Miecio, trzymający dystans do byłego komisarza Policji Państwowej. Ponad wszelką wątpliwość nikt mnie nie śledził, więc spokojnie spotkaliliśmy się w Hogar Polaco.

Chwilę czekałem na pojawienie się Julka, który w końcu nadszedł ze starszą damą.

– Seniora Maria Teresa Calderon y Bahamonde – zaprezentował kobietę, która mimo wyraźnego zmęczenia i nieco sfatygowanego ubrania zachowywała coś, co przekraczało granice godności, a było już wyniosłością.

– Henry Hass, to ja dzwoniłem do Alfonsa...

– Wiem – odparła – załatwia panu te wszystkie sprawy związane z tą... posiadłością. – Wymawiając słowo „posiadłość”, zrobiła to z przekąsem, jak obszarniczka gardząca drobnym posiadaczem ziemskim. – Oczywiście to sekretariat mojego syna się tym trudzi, w końcu on jest majorem! – Zlustrowała mnie jeszcze od góry do dołu, jakby zastanawiając się, jak to możliwe, by jej syn poznał kogoś takiego jak ja.

– Czy są jakieś wieści od Alfonsa? – zapytałem.

– Nie, kontakt z majorem Calderonem y Bahamonde jest niemożliwy, ale z pewnością będą jakieś wieści, jeśli uda się wam wyciągnąć nas z tego czerwonego piekła! – Mówiąc to, zakończyła spotkanie, jakby to była audycja, i to polskie poselstwo miało do niej jakiś interes, a nie ratowało życie jej i setkom innym.

– To teraz panowie wiedzą, czemu tu są nastroje rewolucyjne – podsumował Leszczycki, który pojawił się w Hogar Polaco. – Jedni warci drugich, ale kuchnię mają dobrą, a wino jeszcze lepsze. Dziś nie mamy już nic do roboty, więc skoro jest taka okazja i pan Haas do nas przybył, to zjedźmy kolację.

Poszliśmy w niepełnym składzie, bo major Sokółowski i kapitan Beniowski mieli robotę związaną z wywiezieniem do Walencji azylantów.

Knajpianą ekspedycję poprowadził Leszczycki, który wcześniej jeździł do Hiszpanii, i znał lepiej tujszą kuchnię niż ja z dwumiesięcznego pobytu w San Sebastian. Miecio nie był do niej przekonany, zresztą nie znał jej, na razie żywił się na kwaterze, nie wychodził na miasto, bo „ni w ząb nie rozumiał tego matadorskiego trajkotania”, no i „floty było w dolinach tyle, co kot napłakał”. Dzisiaj się znalazła, Leszczycki miał fundusze i poszliśmy w miasto.

– Może tak jak to robią Hiszpanie, pierw zaczniemy od tapas, czyli zakąsek – zaproponował Leszczycki.

Staliśmy przed oszklonym bufetem i patrzyliśmy z zainteresowaniem, ale zanim cokolwiek wymyślił, odezwał się Mietek.

– Tapasy powiadasz pan... – mruknął. – Się to kupuje na tuziny czy na tacki?

– Na sztuki, panie Mieczysławie – odparł Leszczycki.

– Chyba krasnoludki albo dzieci mogą się tym najeść – prychnął. – I po co te wykałaczk?

– Może pan różnych poprobować – wyjaśnił Leszczycki.

– Niby tak – stęknął – ale ja to się lubię tak konkretnie przysiąść.

Szliśmy dalej, patrząc na witryny, stoliki i kelnerów idących z tacami, a Strasburger jęczał, że zanim coś zjemy, to padnie z głodu.

– O! – wykrzyknął Kosiorek. – To mnie się podoba.

Znałem to danie, musieliśmy przechodzić koło restauracji jakiegoś walencjanina, bo uwagę Miecicia wzbudziła wielka żeliwna patelnia wypełniona ryżem, warzywami i kawalkami mięsa.

– To jest konkretnie, to mnie się podoba! – Klasnął w dłonie.

– To paella – powiedziałem.

– Może się i nazywać potrawką z bolszewika pod beszamelem, ale pachnie ładnie i poza tem to jest porządna porcja!

– To porcja na cały stolik.

– Na familię kurdupli chyba – zachnął się Kosiorek – i to jakichś bez apetytu. Ja rozumiem, że oni tu, w tej Hiszpanii, matadory w te i nazad, muszą być niewyglądne, żeby ich byk za łatwo nie trafił, ale ja właśnie jestem byk i po byku lubię zjeść.

– O to, to! – ożywił się pułkownik Nowicki.

– Może pan zamówić paella mixta... – zaczął Leszczycki.

– Miksta, taka bardziej zmieszana?

– Tak – potwierdził Leszczycki.

– E tam, pewnie przegląd tygodnia, co im zostanie, to do kotła i jako zmieszane frajerstwu podadzą jaką bajaderkę.

– To może con verduras, czyli z warzywami?

– A co ja, królik? – oburzył się Mietek, pułkownik Nowicki wsparł go nieartykułowanym pomrukiem, a Strasburger odgłosem rozczarowania, że wciąż nie zamówiliśmy nic do jedzenia.

– No to paella de marisco, z owocami morza...

– Gdzież tam! – Kosiorek był bliski splunięcia. – Jakież robactwo morskie!

– No to pollo!

– Polio? – Mietek się skrzywił. – Heine Medina tu częstują?

– Pollo to po hiszpańsku kurczak – wtrąciłem się.

– No to już troszkę lepiej – odetchnął Kosiorek – ale dawaj pan dalej, co tam mają do zjedzenia.

– Paella con conejo y verduras, paella z królikiem i warzywami, co pan na to?

– Z wieprzowinką nie ma? Świnę bym zjadł!

Leszczycki zaczął wertować kartę.

– Jest, lechon asado! – Wskazał pozycję w karcie.

– To dawaj go pan, i piwo, czy co tam dają.

– Przeważnie wino, piwo też tu jest całkiem dobre, ale polecam wino. Zdecydowanie!

– Może być wino, ja tam zasadniczo obrzydlivy i wybredny nie jestem. Tylko powiedz mu pan, panie prezesie, żeby się uwijali, bo strasznie głodny jestem, i może jakoś zdzierzę, ale jak patrzę na kolegów pułkownika i komisarza, to widzę, że mogą tu odwalić kitę.

– To może na początek tapas? Taki z kielbasą w winie?

– Może być, ale powiedz, nie mają tu kielbaski z wody albo serdelków?

– Nie sądzę.

– To ja już o śledzia w śmietanie nie pytam, bo mnie jakąś morską zarazę w kościanym garniturze przyniesą albo inną francę, którą trzeba będzie wyciągnąć z muszli.

Ostatecznie na stół wjechały tapas dla nas i dla Miecia Kosiorka hiszpańska kielbasa chorizo, podana z wody. Kelner, który ją wyjmował z kociołka, bardzo się zdziwił na tę prośbę.

– Tu się nie podaje kielbasy z wody, ale poinstruowałem, co mają zrobić – wyjaśnił Leszczycki.

– A co tu objaśniać? – zachnął się Kosiorek. – Się wrzuca do garnka, na kuchnię i wio! Tyle że to się jakoś na czerwono poci, co jest tej kielbasie, jak pragnę zdrowia?

– To chorizo, kielbasa z papryką, smaczna, będzie ci smakować – wyjaśniłem.

– Jak z musztardą, to bym i końskiego kutasa zjadł. Rzeczywiście, dobrze to pachnie, choć faktycznie nieszczególnie się prezentuje. O, jest i musztarda. – Rozpromienił się, po czym ostrożnie odkroił plasterek, zamoczył w musztardzie i posmakował. – Mmmm, to jest dobre! Bardzo dobre.

Zdążył zjeść kielbasę, zagryzając chlebem i popijając winem, do którego się nawet przekonał, kiedy na stół wjechały dwa prosiaczki. To było wyborne i nawet nasz paryżanin, czyli pułkownik Olek Nowicki, achał i ochał, cmokał i wychwalał szefa kuchni. Tylko Miecio milczał.

– A panu, panie Mieczysławie, smakowało? – zapytał grzecznie prezes Leszczycki.

– Jak dla mnie, panie prezesie, to to jedzie... – Wszyscy osłupieli, a Miecio dodał: – Jedzie malizną! – Otarł usta serwetą, popił wina i pstryknął palcami tak głośno, że kelner błyskawicznie podążył do naszego stolika. – Panie prezesie – zwrócił się ponownie do Leszczyckiego – niech pan z łaski swojej powie panu starszemu, że winszuję sobie jeszcze tę patelnię z ryżem, ale musowo z kurczakiem, żadnych tam innych wynalazków.

– Panowie? – Leszczycki spojrział na nas.

Ja pokręciłem głową, bo tapas i prosię mnie napęłniły, Strasburger miał minę „tyle o ile”, za to Nowicki chrząknął znacząco.

– To wezmą panowie na spółkę, bo podobnie jak pan Henryk, pas! – bardziej stwierdził, niż zapytał Leszczycki.

– Ależ skąd, głodowałem tyle dni, opchnę to całe, bez dwóch zdań! – zaprotestował Kosiorek. – Szanowny pan pułkownik weźmie drugą patelnię, pewnie panowie w końcu pękną i też skosztują! – Uśmiechnął się kusząco.



Patelinka była wielkości młyńskiego koła, ale jak powiedział Kosiorek, to nie tak dużo, jak to się wszystko dobrze popije. Więc popijaliśmy.

Objedliśmy się i zrobiliśmy na perlowo, nawet prezes Leszczycki był pod dobrą datą, ale nie na tyle dobrą, byśmy w końcu porozmawiali o jego żonie Irenie. Żeby uniknąć scen jak z powrotu Wielkiej Armii Napoleona spod Moskwy, moi przyjaciele postanowili, że zabiorą mnie dwa kroki od knajpki, czyli do mieszkania konsula honorowego, gdzie rezydowali.

– Ciasne, ale własne, no i poza ostrzałem – zachwalał Strasburger.

Skoro Ernest jest zajęty i nie będzie wszczynał alarmu, że się zawieruszyłem i nie wróciłem na noc, postanowiłem, że przenocuję u Kosiorka i Strasburgera, bo Leszczycki i Nowicki mieli swój kąć w Schronisku Polskim.

## ROZDZIAŁ XXXVIII

**W którym nie mogę już kontynuować obżarstwa, ze snu wyrывa mnie alarm, szukam przyjaciół w bombardowanym Madrycie, Miecio Kosiorek prowadzi auto jak Broniek Czech narty, zaliczam poważny nokaut, ale w zaistniałej sytuacji to i tak jak darmo**

Spałem do dziesiątej, bo musiałem odpocząć po trudach wczorajszej biesiady. Nie chciało mi się ruszać z naszej kwatery i wracać do Floridy. Może nieco zmęczył mnie Ernest, którego miałem w nadmiarze, a może podrażnił moją męską dumę łatwością, z jaką zdobył Marthę Gellhorn. Tak, zazdrościłem mu pięknej, młodej, wygadanej współlokatorki. A sam sobie współczułem, że tak kulawo poszło mi z Al-doną. Kto wie, może gdyby ze mną nie zerwała, to wymyśliłaby jakiś pretekst, żeby się znaleźć tu, w Madrycie? Tyle że nie byłoby to dla niej najlepsze miejsce, nie tylko dlatego, że jest tu niebezpiecznie, przede wszystkim upadłby w jej oczach mit republikańskiej Hiszpanii, wspaniałej rewolucji.

A co będzie, jeśli wrócę i jej wszystko opowiem? Nie uwierzy, puści mimo uszu, wyprze, tak jak obrazki z Barcelony. Kiedy rozmawialiśmy ostatni raz, powiedziała mi przez telefon: „Przecież katedra się nie spaliła, a to, co się działo, to słuszny gniew społeczeństwa, rewolucyjne wzmoczenie!”.

Trzeba było zacząć nowy dzień; zwykle zaczynało go śniadanie, ale teraz było na nie za późno, z kolei na obiad za wcześnie. Czuję się wypchany pod kokardę i od razu to powiedziałem, ale Miecio, który szukał kogoś, kto pójdzie z nim coś zjeść, nie ustawał w próbach przekonania mnie do wyjścia na „małe co nieco”. Strasburger też powiedział pas, ale za to pan pułkownik Aleksander Nowicki... Przeszedł tu z Hogar Polaco, żeby mnie wyciągnąć do knajpki, ale grzecznie odmówiłem. „Tylko na kawkę, mój drogi”, tłumaczył, ale bałem się, że przy stoliku okaże się, że mam słabą silną wolę i znów się przejem. Wiem, jak się kończyły takie wyjścia z pułkownikiem Olkiem!

– W takim razie idę z panem Mieczysławem, a ty... – pułkownik popatrzył na mnie z wyrazem współczucia – ...żałuj, bo szykuje się piękne południe.

Jasne, że się szykowało. Pułkownik był niezłym birbantem, stara carska szkoła! Opowiadał, jak przed Wielką Wojną jako młody kornet zajechał do Warszawy. Zdziwił się, bo myślał, że na stacji nikt nie będzie na niego czekał, może jakiś szeregowiec czy podoficer. Tymczasem na skromnym Dworcu Petersburskim pojawiła się delegacja kornetów, poruczników i kapitanów Lejb-Gwardyjskiego Pułku Ułanów Jego Wysokości. Koledzy, którzy zajechali kilkoma dorożkami, przywitali się z nim wylewnie, pogonili służbę, żeby się zajęła bagażami, i powiedzieli, że w pułku melduje się jutro, a dzisiaj wiozą go na kwatere.

Nowicki ucieszył się, bo wiedział, że jeśli ktoś chciał mieszkać wygodnie poza koszarami, musiał długo szukać odpowiedniego lokum, wygodnego i na kieszeń młodego oficera. Tymczasem koledzy ułani powieźli go do eleganckiego, niedrogiego pensjonatu, w którym była reszta jego nowych kolegów. Bardzo to miejsce reklamowali, bo wszyscy je sobie chwalili, a specjalnie dla niego przytrzymali pokój. Na tę okazję już w dorożce strzeliły korki najpierw szampana, a już na moście Kierbedzia butelki wódki. Pili gorzałkę z szampańskich kieliszków, śpiewając i sławiąc Lejb-Gwardyjski Pułk Ułanów Jego Wysokości.

Kiedy zajechali na miejsce, okazało się, że był to elegancki, ale nie pensjonat, tylko burdel! Panie, szampan i koledzy oficerowie już czekali, było pysznie i rozkosznie, tyle że przez parę kolejnych miesięcy biednie i na pożyczkach. Oficerskim obyczajem było, by nowy kolega zaraz po przyjeździe fundował szampańską zabawę w zamtuzie. Później pod wpływem swojej przyszłej żony, panny Emilii Ra-

dziejowskiej, ustatkował się, ale echa dzikiego, oficerskiego zaśpiewu ułana Jego Wysokości pozostały w jego duszy.

Wybrali się więc na obiad, a może jak starczy floty, to i na kolację, dwaj miłośnicy koni, pułkownik ułanów Nowicki i szpenio od obstawiania na wyścigach i koni mechanicznych, szofer Kosiorek. W tym towarzystwie zdecydowanie nie było miejsca dla mnie. Może i bywałem restauracyjnym kozakiem, ale nie dzień po dniu i nie w takim czambule! Musiałbym mieć dwa żołądki i ważyć drugie tyle.

Miałem się związać do Florydy, ale przyszli Beniowski i Sokołowski, była więc okazja, żeby pogadać. Ale nie pogadaliśmy, najpierw usłyszeliśmy lecące samoloty. Nagle w uszy wdarł się nowy dźwięk, wycie syreny karetki pogotowia, które narastało i umilkło pod hotelem. Julek podszedł do okna, ale zanim zraportował, co się dzieje, do mieszkania wparował Miecio, był podniecony, jakby właśnie wygrał na wyścigach.

– Szybko, musimy grzać, dzieje się!

– Co się stało? – zapytałem, zrywając się z łóżka i wciągając buty. – Pożar?

– Pożar to małe piwo – odparł zasapany Mietek, który podał mi marynarkę. – Nowicki przyuważył tego gada Antosia.

– Co? – Nie wierzyłem własnym uszom. – Antosia Bożyczkę?

Nie zapinałem koszuli, rozglądałem się za jakąś bronią.

– Wypatrzyl go w knajpie, poszliśmy później za nim pod jakiś dom, w dupie nigdzie, przedmieście robociarskie. Z jakąś panną poszedł, więc mu się troszkę zejdzie, a jakby co, to Nowicki go przypilnuje, pięścią potrafi przemówić elegancko.

– Ma broń?

– Nie wzięliśmy, po co się nam jakieś problemy miały przytrafić? – mówił, dysząc, bo zbiegaliśmy ze schodów, które trzeszczały pod ciężarem Miecicia.

– Czym przyjechałeś? – zapytałem, choć chyba znałem odpowiedź.

– Zorganizowałem samochód! Gazu, bo nie zdążymy.

Ruszyłem za nim biegiem, a ze mną reszta naszej kompanii, Beniowski, Sokołowski, Strasburger i Leszczycki, który także przyszedł ze Schroniska Polskiego do mieszkania konsula honorowego.

– Wszyscy się nie zmieszczą, no chyba że limuzyna! – krzyknął Julek, kiedy zbiegaliśmy po schodach.

– Się zmieścimy – odkrzyknął Kosiorek – spokojna głowa!

Wybiegliśmy na ulicę, i wcale się nie zdziwiłem, kiedy zobaczyłem karetkę pogotowia!

Kosiorek wsiadł za kierownicę, obok niego drugi potężny człowiek z naszego zespołu, pułkownik Sokołowski, ja jako najdłuższy położyłem się na noszach, pozostała trójka stłoczyła się wokół mnie, jakby byli ekipą sanitariuszy.

Silnik odpalił, a wraz z nim zaryczała syrena karetki, ruszyliśmy z kopyta, z piskiem opon i z dodatkową synkopowaną melodią, którą wygrywał na klaksonie Kosiorek, ale głos miał potężny, więc przekrzyczał i syrenę, i klakson, i odgłosy wybuchów. Miałem nieodparte wrażenie, że jedziemy właśnie tam, gdzie samoloty rzuciły bomby.

– Kiedy siedzieliśmy w sympatycznej kawiarence, pułkownik zobaczył przez witrynę, że ulicą idzie ten twój Bożyczko! – wykrzyczał.

Nagle umilkł, bo o mało nie władował się w drugi samochód.

– Gdzie masz oczy, lebiego, wrzuć na wsteczny i wypad mnie stąd!

Tamten zrozumiał przekaz mimo braku znajomości języka polskiego, dał wsteczny, a naszą karetką szarpnęło i pojechaliśmy dalej. Miecio ciągnął opowieść.

– Poszliśmy za nim, najpierw pułkownik, a ja parę metrów za nim, nie mogliśmy go zgasić, bo był w kompanii pięciu typów, którzy wyglądali jak ruskie komisarze, wszystkie w skórzanych płaszczach

i czapkach, leninówkach, buty z cholewami, pod bronią, na rękawach opaski partii komunistycznej, bez kija nie podchodź.

Znów umilkł, a ja poczułem, że hamujemy. Uniosłem się na noszach i zobaczyłem, że zbliżamy się do skrzyżowania.

W zakręt weszliśmy tak, jak to robił Miecio, kiedy naprawdę się spieszyliśmy: rozpędzony dał po hamulcach, autem rzuciło na boki, głowy naszej siedzącej z tyłu trójki uderzyły o blaszane ściany ambulansu, kolejne bujnięcie, ryk silnika i pisk opon. Zwykle prowadził jak jaśnie pan szofer, dostojnie, omijając dziury i skręcając tak, by woda nie wylała się ze szklanki. W sytuacjach nadzwyczajnych jechał jak rajdowcy, którzy co roku bili rekordy na trasie do Morskiego Oka. Miotало mną w lewo i prawo, nie bardzo miałem się za co złapać.

– Prowadzi jak Ola – wysapał Strasburger.

– Nie inaczej! – jęknął Beniowski.

Wieczna narzeczona Strasburgera kochała sportową jazdę, była z tego znana w całej Warszawie, ale na coś takiego były komisarz Policji Państwowej nie był gotowy. Po kolejnym hamowaniu przydzwonił głową o karoserię, ja próbowałem się podnieść, niepotrzebnie, bo zderzyłem się głową z Julkiem. W tym momencie rozległ się huk, gdzie blisko nas rzucono bomby.

Gnaliśmy przed siebie, mimo nalotu ulice nie pustoszały, jedni wiali jak najdalej, drudzy pakowali się w piekło, niosąc pomoc poszkodowanym. Kiedy zacząłem się zastanawiać, czy nie jedziemy wprost w środek bombardowania, usłyszałem pisk opon, poleciliśmy w przód, a do uszu wdarł się ryk głośniejszy od naszej syreny i dźwięk dzwonka. Obróciłem się, przysiadłem na noszach i zobaczyłem przed maską czerwoną strzałę. Niewiele brakowało, a wpakowalibyśmy się pod pędzących do pożaru strażaków. Po chwili bezwładu naszym autem znów szarpnęło, wóz wyrwał się do przodu, a my poleciliśmy do tyłu, Leszczycki z grymasem bólu złapał się za szyję.

Przez chwilę jechaliśmy równo i prosto, ale ledwie się pozbieraliśmy, autem bujnęło w lewo i prawo. Miałem wrażenie, że się przewrócimy, że były momenty, w których jezdni dotykały tylko dwa koła. Musieliśmy mijać przechodniów albo rowerzystów, później znów szpula po prostej, następnie Kosiorek dał po hamulcach, poszliśmy ślizgiem i kiedy ponownie zaczął przyśpieszać ulicą, przed nami nastąpił wybuch.

Sanitarka stanęła, wyskoczyliśmy na jezdnię, przed nami ulica złożona z parterowych domów przylegających do siebie ścianami; kilka z nich było wyższych, jeden nawet piętrowy i z poddaszem. To właśnie w niego trafiła bomba. Poddasze było zawalone, piętro częściowo też, pół domu stało w płomieniach.

– To ten dom – jęknął Kosiorek, wskazując na płonące ruiny.

Rozejrzeliśmy się, ani śladu Nowickiego. Podbiegliśmy do drzwi wejściowych, wyciągnęliśmy broń, Julek pierwszy wparował do środka, nie padły jednak strzały, rozległ się za to jego krzyk.

– Pomocy!

W sieni leżał Nowicki, obficie krwawił, jęczał, był półprzytomny. Major Sokołowski się nim zajął, a Kosiorek pobiegł do karetki, żeby podprowadzić ją do rannego, ja wskoczyłem do środka, leżały jakieś trupy, płonęły papiery, za ścianą gruchnęła amunicja, może granat. Ogluszony, porwany siłą wybuchu, padłem jak znokautowany.

Zawlekli mnie do karetki, po chwili doszedłem do siebie, patrzyłem na leżącego na noszach Nowickiego.

– Co się z nim stało? – szepnąłem.

– Nie wiem, nie wiem... – jęknął i stracił przytomność.

Pełnym gazem podjechaliśmy pod szpital, z pułkownikami zostali major Sokołowski i Leszczycki. Mieli najlepsze papiery z rządowymi stemplami, prezes mówił po hiszpańsku, będą nawijali, że ich kolega został ranny podczas bombardowania, że podrzuciła ich karetka. My zmyśliśmy się, bo tłumaczenie, w jaki sposób sześciu Polaków znalazło się w skradzionej godzinie temu karetce, nie przyniosłoby

nic dobrego. Odjechaliśmy i zostawiliśmy ją niedaleko szpitala, wyla na sygnale i zaraz ruszyli do niej sanitariusze.

Wciąż huczało mi w głowie i dzwoniło w uszach, wlekliśmy się przez to noga za nogą. Weszliśmy na izbę przyjęć, szklane oczy Sokołowskiego i Julka mówiły wszystko, ale ja nie wierzyłem.

– Co jest kurwa! – zaryczałem i chciałem się przepchać za drzwi, przed którymi stali strażnicy, za drzwiami, za którymi musiał być pułkownik Olek Nowicki.

Sokołowski i Leszczycki zastąpili mi drogę, przez moment szarpałem się z nimi, ale wtedy pomógł im Kosiorek. Zaniósłem się płaczem, podszedł do mnie Julek i objął z całych sił.

Nowickiego widziałem parę razy w życiu, ale było co wspominać. Poznałem go, bo chadzałem do jego mieszkania przy Mokotowskiej. Nie miał o tym pojęcia, bo kiedy u niego urzędowałem, nie było w mieszkaniu ani jego, ani jego żony, pani Emilii Nowickiej. Co tu dużo opowiadać, odwiedzałem ich służącą, Ludmiłę, póki mnie nie spławiła, kiedy wreszcie okręciła sobie wokół palca Nowickiego. Jego żona, kiedy to odkryła, chciała uciec z dopiero co poznanym oficerem, którym okazał się Julek Beniowski. Można powiedzieć, że w pewnym sensie byliśmy jedną rodziną, o jakiej nawet Boyowi-Zeleńskiemu i jego kochance Irenie Krzywickiej oraz ich małżonkom się nie śniło.

Tyle że tamci wszyscy o sobie wiedzieli, a my nie, więc pewnego dnia w bombie zapłonął lont, który alkohol zamiast zagasić, tylko rozpałił. No i finał był taki, że się o mało nie pozbijaliśmy. A później, jak to w rodzinie, spotkania przy jednym stole, najszampierw, jak to warszawiacy, w Zakopanem, a później w Juracie, no i ma się rozumieć na różnych stołecznych imprezach.

Aż wreszcie wpadliśmy na siebie w Paryżu, gdzie Olek zwerbował mnie do akcji przeciwko sowieckiemu wywiadowi... Tych dni, w których się w życiu widzieliśmy, ubierały się może miesiąc z haczykiem, niewiele tego, ale zawsze mocno, z przygodami. Starczyłoby na długie lata innych znajomości, a nawet przyjaźni.

– Powiedział coś przed śmiercią? – zapytałem Leszczyckiego i Sokołowskiego, którzy byli przy nim.

– Tyle że zabił go ten Antoś, na którego się pan zasadza – odparł Sokołowski.

Zatem rachunek przez niego wystawiony wciąż rósł...

– Bomba dupnęła potem w dom, chodziliśmy więc po zgliszczach i szukaliśmy ciała Antosia. Były dwa trupy, ale żaden z nich nie pasował.

– I jeszcze coś powiedział – Sokołowski się uśmiechnął – jest pan oznaczony w jego spadku. Mówił już mało składnie, odchodził, ale zrozumiałem to tak, że chciał z panem o tym porozmawiać, ale się jakoś nie złożyło. Wszystko jednak jest w testamentie. Nie powiedział, o co chodzi, wygląda mi to na jakąś wielką tajemnicę.

Nie miałem teraz do tego głowy. Biłem się z myślami, bo straciłem kogoś bliskiego, gdyby to się trochę inaczej ułożyło, to pułkownik Nowicki by żył, a ja pochwyciłbym Antosia... Przecież Nowicki przyszedł do mnie, żeby pogadać i wyciągnąć mnie do knajpki, nie powinienem był mu odmawiać, razem dalibyśmy radę zdrajcy, zabilibyśmy Antosia, a Olek dalej by żył.

Mogło tak być. Nawet powinno.

## ROZDZIAŁ XXXIX

**W którym czeka na mnie niezapowiedziany gość, ludzie potrafią zaskakiwać i przekonują się o tym nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz, zostają ograni jak dzieciak, ale za to zyskują, tylko jeszcze nie wiem kogo, mocnego współnika albo człowieka, który będzie jak gwóźdź do trumny**

Śmierć pułkownika Nowickiego mocno skomplikowała sprawy, nie tylko tak po ludzku. Bo to była strata jednego z ludzi mających osłaniać ewakuację azylantów, a on zamiast ich chronić, pojedzie z nimi do Walencji, tyle że w trumnie, a potem popłynie do Gdyni okrętem ORP Wilia. Leszczycki, ten młody hrabia Koziebrodzki i niezawodny Hönigsfeld załatwiali niezbędne formalności. Po drugiej stronie, w Polsce, koordynował to radca MSZ-etu, nie kto inny jak sam Poldek Walewski. Przy okazji okazało się, że Poldek zna Koziebrodzkiego, wiadomo, dwaj arystokraci, hrabiaki, obaj młodzi. Nic tam po mnie, musiałem pokazać się we Floridzie, powiedzieć Ernestowi, że wybieram się do Walencji.

Poszedłem do hotelu na piechotę, uparłem się, choć chcieli mnie podwieźć, ale chciałem być sam. Był wieczór, miałem nadzieję, że ochłone. Gdzież tam, kotłowało mi się w głowie, szedłem jak jakiś lunatyk i tylko cudem nie wpadłem pod tramwaj. Miałem ochotę się napić, w pokoju była jeszcze jakaś butelka whisky. Szedłem coraz szybciej, jak zwierzę, co ciągnie do wodopoju. W końcu nie za bardzo wiem jak, ale dotarłem do Florydy. Jak na złość winda nie działała, powlokłem się na górę jak stary ludzki automat, doszedłem do pokoju, przekręciłem klucz i...

Na stoliku stała flaszka whisky, zupełnie zapomniałem, że ją tak zostawiłem, wydawało mi się, że była w szafce. Wtedy pojąłem, o co chodzi. W moim pokoju ktoś siedział, nie wiedziałem kto, bo znajdował się w obrysie okna, a do tego obok siebie miał włączoną lampę, której światło biło mnie w oczy. Widziałem tylko zarys jego sylwetki i pistolet skierowany w moją stronę. Byłem za bardzo skolowany tym, co się stało, śmiercią pułkownika, przegraną szansą na wymierzenie sprawiedliwości Antosiowi, wreszcie wybuchem bomby, który mnie ogłuszył, by zareagować.

Stałem w snopie światła rzuconym przez lampkę jak zając, którego złapano światłem reflektora. Słyszałem, że tak się dzieje, zwierzę jest wtedy bezradne, stoi jak skamieniałe i można je rach-ciach ostrzelić. Ten myśliwy nie nacisnął na cyngiel, tylko przemówił.

– Czekałem na pana, senior Haas! – usłyszałem entuzjastyczny głos.

Policjant, gwardzista, sowiecki agent, wszystko jedno kim był, miał szczególne poczucie humoru. Jeszcze trochę, a rzuci mi się na szyję, po czym poczęstuje kulką. Ale on faktycznie rzucił się do ściskania.

– Wiedziałem, że pan nie rzuca słów na wiatr, chociaż do końca moskiewskiego wyjazdu śmiano się ze mnie, że padłem ofiarą własnej naiwności.

Teraz już wiedziałem, kto mówi... Oczywiście miał nieco zamglone, zmęczone, ale wciąż te same, czarne, tajemnicze, z błyskiem wskazującym na bystrość i pasję. Minęło ledwie kilka miesięcy, a ja miałem wrażenie, że Oscarowi Trejo przybyło najmniej dziesięć lat. I ja ścisnąłem go, choć nieszczerze, bo nie považam tego hiszpańskiego, czerwonego dupka.

– Senior, ja w pana wierzyłem, i pan jako jeden z nielicznych mnie nie zawiódł...

Tan mały czerwony gnojek wyraźnie się wzruszył. Wiedziałem już, że nie żywi wobec mnie wrogich zamiarów, choć byłem ostrożny, bo wciąż w prawej dłoni miał pistolet. Jak kławkę trzyma gość, który

wie co i jak, to nie ma się czego bać, a to był lamus, do którego broń na pasowała, i nie wiadomo, czy w ogóle kiedykolwiek z niej strzelał.

– Chciałem z panem porozmawiać... – powiedział, bawiąc się pistoletem.

– I dlatego się pan do mnie włamał. Kto panu otworzył, doktorze Trejo?

– Poruczniku Trejo. – Uśmiechnął się, odkładając pistolet na stolik. Usiadł w fotelu.

Usiadłem i ja, po czym zacząłem rozlewać whisky do szklaneczek.

– Poruczniku? – zdziwiłem się.

– Wkrótce kapitanie, błyskawiczna kariera, mamy kłopoty z kadrami, niedawno byłem alferez, to najniższy stopień oficerski. Teraz oficerami są robotnicy i rolnicy, mogą więc i dostawać gwiazdki na pagonach doktorzy nauk humanistycznych, choć... – zrobił smętna minę – ...być może nie do końca się w tym wszystkim odnajdują.

Nie tylko przez grzeczność nie zaprzeczyłem. Co taki typ mógł robić w wojsku? Pisarz w sztabie, a może oficer oświatowy, tutaj nazywa się to polityczny, a przecież był w partii, był z delegacją w Moskwie. Cholera wie, kim był, bo nosił cywilne ciuchy.

– Chciałem z panem o tym porozmawiać i dlatego musiałem zastawić na pana pułapkę. To dość skomplikowane, my, czyli ludzie służący Republice, ludzie partii, rządu, oficerowie są... – Nie dokończył. – Po prostu są pewne powody, dla których chciałem zachować dyskrecję, ale to się nie udało. Parę dni temu czekałem na pana pod hotelem, w końcu pan wyszedł, ruszyłem za panem, czekałem na sposobność, ale pan wskoczył do kraba!

– Słucham? – O czym on pieprzył? Nie miałem nastroju do żartów.

– Krab, to znaczy wagon pomalowany na czerwono, tak mówimy na wozy Compañía Eléctrica Madrileña de Tracción. Krótco jest pan w Madrycie, nie zna pan języka miasta. Wie pan jednak, że niektórzy ludzie, zupełnie jak nasze madryckie kraby, żyją pod napięciem. Rozumiem, że uznał mnie pan za kogoś, kto pana śledzi, więc mi pan zwyczajnie uciekł, prawda? – Przytaknąłem, nie było sensu zaprzeczać. – Z kolei ja zorientowałem się, że także mam towarzystwo, czyż tak nie było?

Musiałem mieć nieszczęśliwą minę. O ile Trejo zadziwił mnie tym, w jaki sposób zaaranżował spotkanie ze mną, to już fakt, że ten piszpanek, który zaraz ma zostać kapitanem, a pistolet trzyma jak pióro, odkrył, iż sam był śledzony, wprawił mnie w osłupienie.

– W istocie tak mogło być, tu chyba jest sporo agentów, jest piąta kolumna, są sowieccy doradcy...

– I są ludzie, z którymi pan przyjechał – przerwał mi Trejo. – Przywieźliście broń dla Republiki, ale nie tylko dlatego panowie przyjechaliście do Hiszpanii, prawda?

Doktorek odłożył pistolet na stolik. Teraz kuśił, wręcz prowokował.

– Wiesz, co to jest? – rzucił nagle, po czym dodał: – Myślę, że możemy sobie mówić na ty, prawda?

Wzniósł szklaneczkę whisky. Znów nie sposób się było z nim nie zgodzić.

– Astra, taki wasz hiszpański browning – rozpoznałem kanciastą, nieco nieproporcjonalną sylwetkę broni.

– Lepszy od browninga. A wiesz, gdzie ostatnio ze mną był?

Nie miałem pojęcia.

– W Bilbao.

Zdrętwiałem, a on dalej opowiadał, spokojnie, bez pośpiechu i emocji, jakby to było sprawozdanie z familijnego wieczorku.

– Nasz wspólny znajomy, w Moskwie jeszcze anonimowy, przedstawił ci się jako camarad Victor Paredes. Zaprosił mnie na przejażdżkę. To było tuż po tym, jak nie mogłem porozmawiać z tobą. Był bardzo rozczarowany, że nie mogłem cię bliżej poznać...

– Czego ode mnie chciał? – przerwałem mu, ale dał mi znak ręką, że do wszystkiego dojdzie.

– No więc zaprosili mnie do auta. Obstawa kapitana Paredesa to specjaliści z doborowych drużyn Gwardii Szturmowej... Twardzi, opanowani, bezwzględni, jeździli po domach nacjonalistów. Byli egzekutorami, bardzo oddanymi, można powiedzieć, że robili to z pasją, choć nie z taką jak towarzyszył kapitan. Bardzo się ich bałem, zwłaszcza jego i zwłaszcza po pobycie w Moskwie. Niektórzy z nas polecieliśmy do Związku nie tylko na święto rewolucji, ale również po instrukcje. Tak sam kapitan Paredes. On jest jednym z tych, którzy zostali przeszkoleni w Związku Radzieckim, poznałem kilku z nich w Hotelu Gaylord. To niebezpieczne miejsce, ktoś, kto tam chodzi, wzbudza niepotrzebne zainteresowanie, aby nie chcieli cię dokładnie przesświetlić...

Te słowa zabrzmiały jak groźba, ale Trejo wrócił do dawnego, nonszalanckiego tonu.

– Kolejne instrukcje, bo przecież są one przekazywane na bieżąco przez sowieckich generałów, oficerów, rezydentów, na przykład pana Kolcowa i pana Erenburga... – Spojrzał na mnie wymownie. – Przekazywane są bezpośrednio i pośrednio, jako rozkazy, jako sugestie i jako inspiracje. Takim jak mnie przekazuje się je bezpośrednio, takich jak ja zmusza się do podległości, takich jak ja w razie wątpliwości się zabija. A wątpliwości może dostarczyć najmniejsze podejrzenie, na przykład spotkanie z tobą. Tak jak to w Moskwie!

Popatrzył na mnie z pełną powagą swoich czarnych jak węgle oczu.

– Tu, zupełnie jak w Rosji Sowieckiej, można zostać oskarżonym o zdradę z byle powodu. Uwierz mi, dla nich to, że spotkaliście się parę miesięcy temu w Moskwie, a później, w tym samym czasie znaleźliście się w Bilbao, nie może być dziełem przypadku. Dla nich to umówione spotkanie agentów, spisek i zdrada. Prawda, że paranoja?

Przez moment zagościł na jego twarzy uśmiech, ale szybko zniknął.

– Tak, to paranoja! Chciał wiedzieć, po co tu jesteś, co knujesz, czy to zwykłe szpiegostwo, czy może jakiś poważny spisek. Zamknęliby mnie w pokoju przesłuchań i poddali badaniu, tak to niemal naukowo określają, bo trzeba przyznać, podnieśli tortury do rangi dyscypliny naukowej, a może i sztuki. Na początek jednak dali mi szansę na szczere wyznanie, dzięki któremu uratowałem życie.

Zaśmiał się.

– Iluż ludzi na to idzie, a koniec zawsze jest ten sam! Za wiele słyszałem o takich przypadkach, za dobrze ich znałem, dlatego nie wierzyłem mu. Skoro tak to wszystko sobie uroił, to nawet po tym, jakby cię aresztował i przesłuchał tak, byś się przyznał do tego, że przyjechałeś tu zamordować premiera Caballero albo towarzyszkę Dolores Ibárruri, to i tak, a raczej zwłaszcza dlatego trafiłbym pod ścianę, albo, co pewniejsze, po sowiecku dostał kulę w tył głowy. Bo skoro znałem ciebie, to mogłem znać innych faszystowskich szpiegów, wtedy, chcąc wydobyc kolejne nazwiska, zatłukłby mnie na śmierć. Wiesz, do czego są zdolni? Nie wiesz, niewiele wie. Dla nich wróg czai się wszędzie, w obozie szkoleniowym Brygad Międzynarodowych w Albacete dziesiątkują rekrutów. Działa tam szaleniec, o którym mówią „ukochany Francuz Stalina”. To André Marty, który wszędzie widzi szpiegów, osobiście studiuje akta i typuje zdrajców, szpiegów, faszystów i trockistów. Bawił się doktora! Wysłał podejrzanych do Alcalá de Henares na leczenie. A tam czekali na nich lekarze z NKWD, którzy leczyli ich salwą. Większość zabitych to w ewidencji poległ w walce z faszystami lub zmarli z powodu ran i chorób. Tak to się robi w rewolucyjnej Hiszpanii!

Trejo trzącił leżący na blacie pistolet, a ten zaczął się kręcić wokół własnej osi.

– Mimo wszystko powiedziałem, że wystawię cię Paredesowi, powiedziałem mu całą prawdę, jakiej oczekiwał, o twojej tajnej misji...

Pistolet wciąż kręcił się na blacie, ale już wolniej, po czym stanął, dokładnie tak, bym go chwycił. Jego kolba kusila, zachęcała do tego, bym z niego skorzystał.

– Wydałem cię – oznajmił to, jakby to była jakaś błaha sprawa – musiałem!

Nie wytrzymałem napięcia, chwyciłem pistolet i wycelowałem w porucznika Trejo.

– Co im powiedziałeś?



– Że przyjechałeś, by dokonać zamachu, zabić jednego z towarzyszy, ważnego, kogoś większego niż Paredes!

Poczułem, że zimny pot płynie mi po plecach.

– Skąd wiesz?! – Odbezpieczyłem pistolet.

– Zabrali mi go, a tobie sam go oddałem. Tyle że oni dostali moją astrę wraz z naładowanym magazynkiem, cóż – wzruszył ramionami – nie wiedziałem, że mnie dopadną, ale i wtedy miałem jeszcze asa w rękawie.

To mówiąc, sięgnął do kieszeni i wyjął mały pistolecik. Nie był to lignose einhand, nie tak doskonały, chociaż lżejszy i jeszcze mniejszy colt vest.

– Zlekceważyli mnie, ty także mnie nie doceniłeś, ale oni zapłacili za to drożej. Zastrzeliłem Paredesa i jego ludzi. To w istocie marna broń, wyjmując ją w pokoju, nie ma się szans na trafienie, ale przystawiając do głowy... – Uśmiechał się, kręcąc tą śmiertelną zabawką na palcu. – Nie było idealnie. Kiedy już powiedziałem, co uznałem za stosowne, sprzedałem im bajeczkę, którą dzisiaj ty – zaśmiał się, kręcąc głową – to niewiarygodne, potwierdziłeś ją!

Wysypałem się jak jakiś mały gnojek – i to przed takim amatorem! Tak się czułem, siedząc z pistoletem z pustym magazynkiem naprzeciwko hiszpańskiego komunisty, który mierzył do mnie z kieszonekowego pistoleciku.

– Wtedy jednak – ciągnął dalej – to była tylko bajka, którą Paredes kupił. Uwierzył, że mnie ma, że będę jego wiernym psem. Zapytałem grzecznie, czy mogę zapalić. Wierne psy zasługują na takie drobne gesty, więc mi pozwolił i oczywiście sięgnąłem do kieszeni nie po cygaretki, tylko po broń. Wypaliłem przez kieszeń w pierś sąsiada, z kulką w płucach ciężko się oddycha, trzeba się do tego przyzwyczaić. Zyskałem parę sekund i strzeliłem w głowę Paredesowi, który siedział przede mną. Później trafiłem kierowcę, dobrze, że ulica była wąska, nie rozpedził się, uderzył autem w róg domu. Kapitan Victor Paredes padł na miejscu, tych dwóch dobiłem. Zabrałem swoją broń – wskazał pistolet, który już zdążyłem odłożyć na stół – i zniknąłem we mgle. Przydają się czasem mgliste poranki, prawda? Nie przeszukali mnie dokładnie, nie założyli kajdanek, zlekceważyli mnie.

Z tobą by tak nie było, uważali cię za bardzo niebezpiecznego, nawet bez moich rewelacji. Gdyby tylko wpadli na prosty pomysł, żeby zadzwonić do Moskwy i spytać o ciebie... to byłby twój koniec. Ja akurat wiem, bo przed wyjazdem do Bilbao spotkałem w Madrycie kogoś, kto mi dużo o tobie opowiedział. – Oscar Trejo triumfował. – Wiem, że uciekłeś z Hotelu Metropol, i wiem też to, że łączą cię z sąbójstwem obywatela Finlandii. Pewnie jeszcze ci przypiszą porwanie samolotu w Leningradzie, ale chyba nie mają aż takiej fantazji.

– Kim ty właściwie jesteś – zapytałem – agentem NKWD?

– Skąd! – Pokręcił głową. – Ale był nim Paredes.

– To kim?

– Niecierpliwym człowiekiem, który popełnił błąd i próbuje go naprawić. Byłem przez lata w Partido Socialista Obrero Español, Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, ale stawałem się coraz bardziej radykalny, aż w 1934 przystąpiłem do Partido Comunista de España, stałem się komunistą, bo zawiadło mnie kierownictwo PSOE. Liczyłem, że Krajowy Komitet Łączności zjednoczy przeciwko faszystom całą lewicę. Nasi ludzie, wtedy jeszcze moi towarzysze – skrzywił się – blokowali inicjatywy komunistów. Wtedy rzuciłem legitymację i spod jednego czerwonego sztandaru poszedłem pod drugi. Pośpieszyłem się, bo niedługo potem powstał Front Ludowy, więc stało się to, na co liczyłem, tyle że później wszystko poszło nie tak.

Wiesz, co mi otworzyło oczy? Masakra w Paracuellos del Jarama. Kiedy w listopadzie ubiegłego roku faszysty byli tuż-tuż od zdobycia Madrytu, a nasz rząd ewakuował się do Walencji, zarządzono, by więźniów politycznych, pięć tysięcy wojskowych, księży, arystokratów, a czasem zwykłych ludzi trzymany w koszarach Montana, wywieźć z miasta. Słuszna decyzja, bo kto wie, jaką piątą, a może szóstą i siódmą kolumnę mogliby stworzyć? Ale Sowietci wpłynęli na naszych ludzi, Kolcow, tak, ten dzień

nikarz, a tak naprawdę komisarz Stalina, albo Orłow, attachée z sowieckiej ambasady, a tak naprawdę major NKWD, zdecydowali o rozstrzelaniu więźniów! Rozwalono bez sądu kilka tysięcy ludzi. Kiedy sprawą zainteresował się Międzynarodowy Czerwony Krzyż, zabito delegata. Zrobiono to z sowiecką przebiegłością, kiedy francuski wysłannik, Georges Henny, wracał z raportem do Paryża, zestrzelono jego maszynę. Stało się to po naszej stronie, ale władze utrzymują, że dokonali tego faszyci!

Teraz sobie przypomniałem, jak w Hotelu Gaylord Kolcow rozmawiał o tytule Bohatera Związku Sowieckiego z jakimś młodym lotnikiem, jak się śmiali, że dokonał najważniejszego zestrzelenia w tej wojnie.

– Czy to się stało ósmego grudnia? – spytałem.

– Tak, a dlaczego pytasz?

– Coś mi się obilo o uszy.

Nic nie powiedział, tylko schował do lewej kieszeni marynarki swój pistolecik, a z prawej wyjął garść nabo.

– Załaduj je z łaski swojej, nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać.

Wsadzałem kulki do magazynka, a on mówił dalej:

– Poważałem jak mało kogo dwóch ludzi, filozofów José Ortegę y Gassetę i jego nauczyciela, rektora Uniwersytetu w Salamance, Miguela de Unamuno y Jugo. Obaj byli zwolennikami Republiki. Tyle że obu terror i rewolucyjny szal zniechęciły do rządu republikańskiego.

– Zatem chcesz przejść na stronę powstańców?

– Powstańców? – wybuchnął. – Faszystów! De Unamuno już popełnił ten błąd. On, teoretyk Republiki, kiedyś nasz drogowskaz, tak rozczarował się rewolucyjnym terrorem, że po wkroczeniu do Salamanki oddziałów Franco, wsparł nacjonalistów! I równie szybko się do nich zniechęcił, bo pojął w mig, że to mordercy i gwałciciele.

– Zatem co zamierzasz?

– Chcę walczyć o Republikę, chcę ją uchronić przed współczesnymi Robespierre'ami, Sowietami i naszymi szalonymi towarzyszami.

– Jak i z kim? – zapytałem ostrożnie, bo w oczach Oscara Trejo coraz wyraźniej dostrzegałem ogniki szaleństwa.

– Nie wiem – wzruszył ramionami – może są jeszcze sprawiedliwi po obydwu stronach. Z pewnością są. Może ten Mola?! – niemal wykrzyknął z entuzjazmem. – Emilio Mola, generał puczysta, który jak się wydaje, nie jest faszystą, co więcej, określa się jako zwolennik Republiki, uważa, że Hiszpania powinna mieć republikańską, fioletowo-żółto-czerwoną flagę, a nie czerwono-żółto-czerwoną królewską.

Patrzyłem w jego oczy, słuchałem i pojmowałem, że mój rozmówca, jeśli już nie oszalał, to niedługo dojdzie do tego stanu. Co z tym fantem zrobić? Też postanowiłem zaszaleć, postawić wszystko na jedną kartę.

– Wiesz, po co tu przyjechałem?

– Towarzysz Paredes uważał, że po to, by szpiegować, zrobić dywersję, dokonać zamachu. – Trejo żartował, nie wiedząc, jak blisko był prawdy.

– Antoni Bożyczko, słyszałeś o nim.

Jego twarz nawet nie drgnęła, chwilę się zastanawiał, co znaczyło, że naprawdę szuka w pamięci. Spasował jednak, a ja dorzuciłem kolejne koła ratunkowe.

– Ladislao Novak, Polak z Argentyny? – Też nie. – A może Camarada Checo albo Ardanowicz? – Znów chwila zamyślenia i ponownie pudło. – A tawariszcz Waskriesieński, camarad Resucitado?

– Czemu chcesz go zabić? – zapytał, bo odgadł że nie szukam camarada Resucitado po to, żeby z nim mile pogawędzić.

Musiały mnie zdradzić zapalczywy ton i oczy. Nie było sensu ukrywać prawdy.

– Chcę się zemścić, bo zabił moją matkę.

Oscar Trejo patrzył we mnie swoimi coraz bardziej wariackimi oczami.

– Moją codziennie zabija... – powiedział grobowym głosem, po czym nakręcony jak sprężyna wystrzelał z siebie w gniewie. – To matkobójca, morderca mojej ojczyzny, matki Hiszpanii!

Zacząłem żałować, że powierzyłem tajemnicę temu świrowi, ale nagle Trejo jakby się uspokoił i już spokojnie powiedział:

– Słyszałem o nim. To agent NKWD, może tak być? – zapytał, a ja przytaknąłem głową. – Ściga trockistów i anarchistów, podobno operuje w Barcelonie, nie wiem tylko, pod jakim nazwiskiem, ale ustale to, na pewno!

Na pewno to Kopernik nie żyje, pomyślałem i zdałem sobie sprawę, że jestem na łasce i niełasce tego świra, i to nie od teraz, a od dnia, w którym w Bilbao załatwił agenta NKWD Paredesa. Okazało się, że ten niewyglądny pizipan potrafi zabić trzech czerwonych kozaków i wykiwać mnie jak dziecko, wie dużo i nie zawaha się podjąć ryzyka. Z nim będzie wóz albo przewóz, bo gość albo doprowadzi mnie do celu, albo okaże się gwoździem do mojej trumny. C'est la vie, jak mówią Francuzi.

## EPILOG

Porucznik Trejo, tak jak się pojawił, tak zniknął. Zwariował do szczętu i zginął, czy może aresztowali go, nie wiem. No i jest oficerem, więc mógł dostać jakiś przydział. Czekam, nie powiem, że cierpliwie, bo właśnie dzisiaj, ósmego kwietnia, zaczęły się walki o wzgórza pod Madrytem. Wojska rządowe postanowiły wyprzeć z nich powstańców, może im się uda, wtedy nie będą walić z dział w budynek Telefoniki, i siłą rzeczy w stojącą za nim Floridę.

Nie wiem, jak długo tu jeszcze będziemy, sprawa broni jest teraz już tylko przykrywką, najważniejszy jest szmugiel cywilów. Na osiemnastego kwietnia wyznaczono wyjazd ewakuowanych z Madrytu do Walencji. W konwoju pojadą trzy autobusy i dwa osobowe. Mam to w dupie, czy to nacjonałści, czy nie. Ratujemy kobiety i dzieci, a mężczyzn... Tu się jeńców nie bierze, ustalmy, nieprzesadnie wielu. W tej wojnie się zabija, dobija, torturuje i rozstrzeliwuje. I gwałci. A będzie jeszcze gorzej, bo nacjonałści coraz okrutniejsi, a NKWD panoszy się coraz mocniej. Trudno, nikt nie mówił, że będzie łatwo. Mam nadzieję, że jeśli nie pomoże Trejo, to może Alex Sycowski coś wygrzebie w Barcelonie.

Po południu przyszedł z ambasady Julek i powiedział, że radiotelegrafista dał mu szyfrówkę z Warszawy, z MSZ-etu.

– Radca Leopold Walewski pisze: WSZYSTKO W PORZĄDKU STOP ALDONA KOCHA STOP JEDZIE STOP.

W pierwszej chwili się ucieszyłem, podskoczyłem z radości, ale zaraz potem pomyślałem: „Rany boskie! Jeszcze mi tego brakowało”.

## PODZIĘKOWANIA I WYJAŚNIENIA

Dziękuję mojej Żonie, Beacie, za cierpliwość i miłość, bo kiedy kończę pisanie powieści, tę pierwszą musi mieć wprost anielską, a tę drugą – bezkresną.

Za bycie ze mną na finiszu, uwagi, poprawki i pomoc dziękuję Redaktorowi Pawłowi Wielopolskiemu i Pani Korektor Magdalenie Świerczek-Gryboś.

Dziękuję także wszystkim, bez których Śmierć frajerom nie wyszłaby poza rozmiary trylogii, stając się najpierw tetralogią, a od tej chwili pentalogią; wydawnictwu Skarpa Warszawska i jego twórcy, szefowi, a zarazem jednemu z największych i najbardziej oddanych sympatyków serii i postaci Heńka, Rafałowi Bielskiemu. Dzięki Rafałowi i Skarpie mam możliwość tworzenia cyklu bez oglądania się na trendy i mody, nie tylko ja, ale i całe grono pisarzy oddanych powieści historycznej w różnych jej barwach i odsłonach.

Jak wielu autorów powieści historycznych czuję pewien niedosyt, że można było podać więcej szczegółów i zagłębić się w niuanse polityki. Przed tą pułapką, w wyniku której zamiast powieści przygodowej czytelnik dostaje zarys monografii historycznej, ratuje Osoba Redaktora (raz jeszcze dziękuję Pawle, za trzymanie mnie w ryzach) oraz perspektywa, że część z czytelników będzie chciała sięgnąć po lektury, które zaspokoją ich ciekawość rozbudzoną przez powieść. Oto garść wyjaśnień i przy okazji lista książek, które pomogły mi w tworzeniu, a Państwu pomogą w poznaniu epoki i ludzi.

Tadeusz Dołęga-Mostowicz nie był pupilem salonów i krytyków, ale z pewnością był najlepiej zarabiającym literatem. Swoją karierę i stosunek do niej literackiego świata kwitował słowami „Wolę buicka zamiast pomnika”. Co więcej, był szalonym, można powiedzieć, nieodpowiedzialnym kierowcą. Zaciekawionym jego postacią polecam biografię *Parweniusz z rodowodem* Jarosława Górskiego.

MS Batory wyruszył w swój dziewiczy rejs z Triestu, a nie – jak się to często podaje w publikacjach – z Wenecji, stąd szaleńcza podróż motorówką z Lido do portu w Trieście. O pływającym salonie, bo tak nazywano Batorego, można przeczytać u Melchiora Wańkowicza (*Reportaże zagraniczne*) i Moniki Żeromskiej (*Wspomnienia*). Panią Żeromską miałem okazję poznać osobiście, robiąc wywiad o starym, przedwojennym Konstancinie, wtedy opowiedziała anegdotę o łódce, która wypełniona hulakami, spadła ze stopnia wodnego. Co do barwnych zachowań Mistrza Reportaży i późniejszego autora *Monte Cassino*, opisywane były w książce Bożeny Aksamit *Batory. Gwiazdy, skandale i miłość na Transatlantyku*. Zresztą sam Wańkowicz sporo pisze o swoich młodzieńczych przygodach w *Tędy i owędy. Zupa na gwoździu*.

Kapitan Eustazy Borkowski i jego pierwszy oficer, Tadeusz Meissner, faktycznie pochodzili z Warszawy. Ten drugi uczył się w szkole Wawelberga i Rotwanda oraz służył w grupie destrukcyjno-dywersyjnej Wawelberg, podobnie zresztą jak jego brat Janusz, sławny lotnik i pisarz. Batorym, tym nowszym, a już tym bardziej starym, nie płynąłem, zaliczyłem za to rejs wycieczkowcem po Morzu Śródziemnym, i mogę sobie dopowiedzieć to, czytałem w pamiętnikach pasażerów polskiego transatlantyku. Hotel Excelsior na Lido jest faktycznie luksusowy, a sternicy weneckich motorówek potrafią uatrakcyjnić podróż. Zrzućcie się na wodną taksówkę i błyskawiczny rejs z portu lotniczego do Wenecji można potraktować jako atrakcję turystyczną.

Wymieniając lektury związane z Batorym, muszę jeszcze wspomnieć seminarium u profesora Cegińskiego, podczas którego okazało się, że wygłaszający referat profesor Mariusz Czubaj skończył właśnie pisać powieść rozgrywaną się na transatlantyku (*Półmistrz*), a ja właśnie finiszowałem ze swoją. Mariusz polecił mi wtedy *Pod polską banderą przez Atlantyk* Grzegorza Rogowskiego, co pozwoliło mi sprawdzić parę szczegółów związanych z Batorym. Dziękuję za to serdecznie, a echo wspomnianego

wykładu jest na kartach tej powieści. Kto chciałby spojrzeć na pokłady Batorego, zagłębić się w niuansach, ten musi klikać, bo nie ma lepiej wyjaśnionego i przedstawionego planu transatlantyku jak na stronie internetowej Historia.org.pl. Pisząc artykuł *Przedwojenne rejsy polskimi transatlantykami MS Piłsudski i Batory. Ceny, klasy, rozrywki i czas podróży*, pan Wojtek Duch dostarczył mi najwięcej wiedzy o funkcjonowaniu Batorego. Kłaniam się nisko!

Wymieniany podczas rozmowy o polskich koloniach Michał Sumiński to TEN Michał Sumiński, znany później jako spiker polskiego radia; jego audycja, puszczona z taśmy, była ostatnią wyemitowaną przez Polskie Radio w oblężonej Warszawie. Za udział w ruchu oporu aresztowany w roku 1943, osadzony kolejno na Pawiaku, obozach w Oświęcimiu i Mauthausen. Po wojnie stał się legendą telewizji, prowadząc magazyn *Zwierzyniec*, jednocześnie zapalony myśliwy, o czym mogłem się przekonać, przeprowadzając z nim wywiad w mieszkaniu wypełnionym trofeami.

Przed wojną Batory nie był polskim transatlantykiem numer jeden, bo pływał jego starszy brat Piłsudski, mniej dzisiaj pamiętany, i korciło mnie nawet, by tam umieścić akcję powieści, ale do życiorysu Heńka pasowało mi zaokręgowanie się wiosną 1936 na Batorego i rejs przez Lizbonę. Co do Lizbony, to zdążyłem ją zwiedzić ponad trzydzieści lat temu, kiedy jeszcze ostrzegano przed wieczornymi, nie mówiąc już o nocnych, wyprawach do Alfamy. Jak wszędzie wiele się tam zmienia, ale charakter pozostaje, znakomicie uchwycili go Wim Wenders (*Lisbon Story*) i Andrzej Jakimowski (*Imagine*) oraz odpowiadający za ścieżki muzyczne Madredeus i Tomek Gąssowski. Wycieczkę tramwajem linii 28 polecam każdemu, podobnie jak przejażdżkę windą i kawę w Café A Brasileira. To właśnie przed nią stoi pomnik Fernando António Nogueiry Pessoy, lizbońskiego literata, o którym opowiada Heńkowi Elisabeth Silva. A dokąd na kolację? Gdyby Heniek pojawił się w Lizbonie dzisiaj, to porucznik Hojda poleciliby oddaloną od centrum restaurację O Mercado do Peixe (Estr. Pedro Teixeira 181).

San Sebastian jest fantastyczne, a kuchnia Hotel de Londres y de Inglaterra doskonała, piaszczysta plaża i zatoka La Concha oraz wyspa Santa Clara to miejsca przepiękne, które zapadły mi głęboko w pamięć.

Alex Little Tiger Sycowski jest postacią autentyczną. Urodzony w Wielgomłynach koło Radomska wyemigrował jako dziecko do Ameryki, a tam działał w strukturach gangu Ala Capone. W latach trzydziestych próbował odbudować swą pozycję w Europie, ale sukcesów nie notował. W końcu, po wydaleniu z Francji, Austrii i Polski, osiadł w Barcelonie. Do spotkania Heńka z Aleksem Sycowskim doszło przy Carrer d'Avinyó 56. Był tam jeden z najstarszych lokali w Barcelonie, swojego czasu mieścił się tam jeden z pierwszych kabaretów w mieście. Darzę to miejsce szczególnym sentymentem, tam późną wiosną 1997 roku oświadczyłem się mojej przyszłej żonie, wtedy mieściła się tam rewelacyjna restauracja Pitarra. Chcieliśmy po 25 latach zjeść tam kolację, ale zastaliśmy już tylko wspomnienie po tym wspaniałym miejscu. Ocalały za to Los Caracoles (Carrer dels Escudellers, 14 ) i Habana Vieja (Carrer dels Banys Vells, 2), które serdecznie polecam.

Bezczeszczenie zwłok z krypty barcelońskiego Parròquia de Sant Francesc de Sales nie jest fantazją literacką, to wydarzyło się naprawdę, podobnie jak pożar katedry Sagrada Família.

Jak zwykle nie mogłem sobie odmówić wątku piłkarskiego, wplatając historię rozczarowującego występu naszego zespołu na igrzyskach w Berlinie oraz afery Ernesta Wilimowskiego. W dwa lata później już z Wilimowskim, podczas mistrzostw świata w Strasburgu, Polska rozegrała wręcz epicki mecz z Brazylią, przegrywając po dogrywce 5:6. Wilimowski strzelił Brazylijczykom cztery gole!

Wątek moskiewski zawdzięcza powieść wielu lekturom, z których kilka należy do moich ulubionych: *Mistrz i Małgorzata* Michaiła Bułhakowa (uważni czytelnicy znajdą znane miejsca!), *Dzieci Arbatu* Anatolija Rybakowa oraz *Patrioci* Sany Krasikov. Do *Mistrza i Małgorzaty* napiszcie warto wrócić, *Dzieci Arbatu* przypomnieć, a *Patriotów* poznać. Warto też sięgnąć po reportaże napisane przez Melchiora Wańkowi-cza (wymieniany już zbiór *Reportaże zagraniczne* oraz *Opiierzona rewolucja*) i Antoniego Słonimskiego (*Moja podróż do Rosji*). Z kolei na stronie retro.press.pl dostępne są korespondencje z ZSRR, które pisał dla „Kurjera Bydgoskiego” niewymieniony z imienia reporter R. Walkowski.

Wojna domowa w Hiszpanii zawsze mnie intrygowała i nie wiem, kto, czyje dzieło lub opowiadanie zainspirowało mnie do zgłębienia tej historii. Nawet przyjmując, że był to Hemingway, to nie pamiętam, czy była to jego powieść *Komu bije dzwon*, czy też nakręcony na jej podstawie film Sama Wooda, w którym główne role zagrali Gary Cooper i Ingrid Bergman. Na pewno jednym z momentów przełomowych, który wzbudził we mnie kolejną falę zainteresowania, był referat doktoranta Pawła Machcewicza o wojnie w Hiszpanii wygłoszony podczas seminarium profesora Marcina Kuli. Dzisiaj Paweł jest panem profesorem, nie tylko naukowcem, ale i człowiekiem, który współtworzył gdańskie Muzeum II Wojny Światowej i był jego pierwszym dyrektorem.

Wtedy rzuciłem się na wspomnienia, monografie i filmy. Najważniejsze z nich to wydana w Polsce *Walka o Hiszpanię 1936–1939. Pierwsze starcie totalitaryzmów* autorstwa Antony Beevora oraz film *Ziemia i wolność* Kena Loacha. Powstało mnóstwo pamiętników i monografii, warto zapoznać się zarówno z tymi pisanymi przez stronę republikańską, jak i frankistowską, świetne są reportaże Ksawerego Pruszyńskiego, zebrane w tomie *W czerwonej Hiszpanii*. Wiedzę o tym, co i kiedy robił w Hiszpanii Ernest Hemingway, a zwłaszcza to, z kim się spotykał, a także o hotelach Florida i Gaylord czerpałem z pracy Gilberta H. Mullera *Hemingway and the Spanish Civil War. The Distant Sound of Battle* (City University of New York, New York, NY, USA 2019) oraz z biografii *Pisarz, żeglarz, żołnierz, szpieg. Tajne przygody Ernesta Hemingwaya 1935–1961* Nicholasa Rayoldsa.

W ofercie serwisu Netflix jest niemiecki serial dokumentalny *Franco: Brutalna prawda o hiszpańskim dyktatorze*, będzie on nieco uprzedzał wydarzenia, które znajdują się w ósmym tomie *Śmierci frajerom*, ale to przecież odległa perspektywa. Trzy sensacyjne powieści na temat wojny domowej stworzył znakomity hiszpański pisarz Arturo Pérez-Reverte. Dwie z nich, *Falco* i *Eva*, przetłumaczono na język polski, trzecia, *Sabotaje* czeka na lepsze czasy. O Hiszpanii lat trzydziestych wspaniale pisał Norman Lewis – *Grobowiec w Sewilli. Podróż przez Hiszpanię u progu wojny domowej*.

Mam nadzieję, że sięgną Państwo po lektury, które zainspirowały mnie do napisania piątego tomu *Śmierci frajerom*, a przede wszystkim, że będzie czekać na szóstą odsłonę przygód Heńka.

Warszawa – Bukowina – Monte Pego, 2022